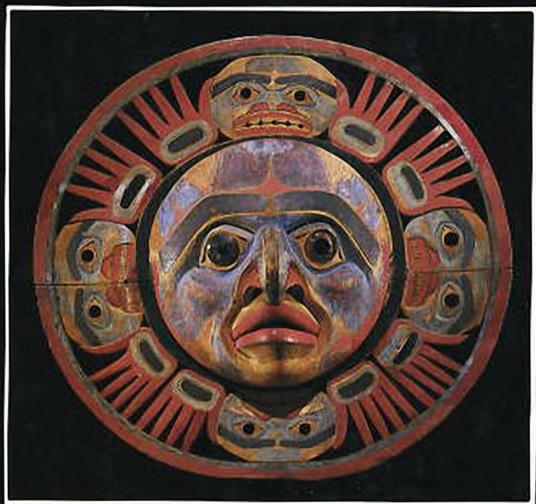


POTEGA MITU

Joseph Campbell



signum

SPIS TREŚCI

Nota redaktora	5
Wstęp	7
I Mit a świat współczesny	19
II Podróż do wnętrza	69
III Pierwsi opowiadacze	115
IV Ofiara i błogość	149
V Przygoda bohatera	195
VI Podarunek bogini	259
VII O miłości i małżeństwie	287
VIII Maski wieczności	319

Tytuł oryginalny: *The Power of Myth*

Copyright (C) 1988 by

Apostrophe S Productions and Alfred van der Marck, Inc.

Published by arrangement with Doubleday, a division of Bantam

Doubleday Dell Publishing Group, Inc.

Copyright (C) for the Polish edition by Wydawnictwo Znak,
Kraków 1994

ISBN 83-7006-210-6

NOTA REDAKTORA

Przedstawione niżej rozmowy Billa Moyersa i Josepha Campbella toczyły się w roku 1985 i 1986 w Skywalker Ranch George'a Lucasa, później w Muzeum Przyrodniczym w Nowym Jorku. Wielu z nas, czytając ich oryginalne zapisy, było pod głębokim wrażeniem bogactwa materiału zgromadzonego podczas dwudziestu dwóch godzin filmowania. Jego większą część trzeba było wyciąć, aby z reszty skomponować sześciogodzinny serial telewizyjny. Pomysł książki narodził się z chęci udostępnienia tego materiału nie tylko widzom oglądającym serial, lecz również wszystkim, którzy już od dawna wysoko cenili Campbella za jego prace.

Redagując tę książkę, starałam się utrzymać tok i rytm owej rozmowy, korzystając równocześnie ze sposobności, by wplatać w nią tu i ówdzie dodatkowe wątki, odnoszące się do poruszanej problematyki, a pojawiające się w rozmaitych miejscach zapisu. Usiłowałam, o ile możliwości, zachować ogólny styl telewizyjnego serialu. Książka wszakże ma swój własny kształt i ducha; powinna być dopełnieniem serialu, nie zaś jego repliką. Niniejszy tom powstał częściowo dlatego, że jego tworzywem stał się dialog idei godnych bacznej uwagi i refleksji.

Jest rzeczą jasną, że – ujmując rzecz głębiej – książka powstała dlatego, iż Bill Moyers zapragnął poruszyć fundamentalną i trudną problematykę mitu, Joseph Campbell zaś, z tak znamiennej dla siebie rzetelnością intelektualną (wszak przez całe życie obcował z problematyką mitu), zechciał odpowiadać na przenikliwe pytania Moyersa. Wyrażam wdzięczność im obu za to, że mogłam być świadkiem tego ich spotkania. Jestem też wdzięczna naczelnemu redaktorowi wydawnictwa Doubleday, pani Jacqueline Kennedy Onassis, której zainteresowanie poglądami Josepha

Campbella było pierwszym impulsem do opublikowania tej książki. Za okazaną mi pomoc dziękuję również Karen Bordelon, Alice Fisher, Lynn Cohea, Sonyi Haddad, Joan Konner i Johnowi Flowersowi, w szczególności zaś Maggie Keeshen za wielokrotne przepisywanie tekstu i uważne redaktorskie oko. Za pomoc w opracowaniu tekstu dziękuję także Judy Doctoroff, Andie Tucher, Becky Berman i Judy Sandman. Trudne zadanie wyszukania ilustracji spadło na barki Very Aronow, Lynn Novick, Elizabeth Fischer i Sabry Moore; pomagała im Annmari Ronnberg. Zarówno Bill Moyers, jak i Joseph Campbell przeczytali maszynopis i wysunęli wiele cennych sugestii, jednakże specjalnie wdzięczna jestem im za to, że oparli się pokusie nadawania swoim wypowiedziom stylu książkowego, postanowili natomiast zachować żywy, konwersacyjny charakter swego dialogu.

Betty Sue FLOWERS
University of Texas, Austin

WSTĘP

Jeszcze wiele tygodni po śmierci Josepha Campbella wszystko, gdziekolwiek się obróciłem, nasuwało mi go na pamięć.

Wychodząc z kolejki podziemnej na Times Square i czując energię napierającego na mnie tłumy, uśmiechnąłem się do siebie, bo przypomniałem sobie, że kiedyś, w tym samym miejscu, Campbell pewną swoją wizję wyraził w takich oto słowach: „Najswieższe wcielenie Edypa, dalszy ciąg romansu o Pięknej i Bestii stoi tego popołudnia na rogu Czerdziejstiej Drugiej Ulicy i Piątej Alei i czeka na zmianę świateł”.

Na prapremierze najnowszego filmu Johna Hustona *The Dead*, opartego na opowiadaniu Jamesa Joyce'a, pomyślałem znowu o Campbellu. Jednym z jego pierwszych ważnych dokonań było opracowanie klucza do *Finnegans Wake*. W tym, co Joyce nazwał „poważnym i stałym czynnikiem” ludzkich cierpień, Campbell rozpoznał główny temat klasycznej mitologii. „Ukrytą przyczyną wszelkiego cierpienia – powiedział – jest śmiertelność, pierwszy warunek życia. Nie można jej negować, jeśli mamy afirmować życie”.

Gdy któregoś dnia roztrząsaliśmy problem cierpienia, Campbell wymienił obok siebie Joyce'a i Igjugarjuka. „A któż to taki, ten Igjugarjuk?” – spytałem, niemal łamiąc sobie język na tym imieniu. „To był szaman z eskimoskiego plemienia Karibu w północnej Kanadzie – odrzekł Campbell. – Ten facet powiedział europejskim gościom, że jedyna prawdziwa mądrość bytuje z dala od ludzi, w wielkiej samotności, i że można do niej dotrzeć tylko przez cierpienie. Tylko wyrzeczenie i cierpienie otwierają umysł na wszystko, co dla innych jest ukryte”.

„Oczywiście – powiedziałem. – Igjugarjuk”.

Joe ani słowem nie skomentował tej mojej ignorancji. Zatrzymaliśmy się. Naraz jego oczy rozblęskły. „Czy możesz sobie wyobrazić długi wieczór, płonący ogień, a przy nim Joyce’a i Igjugarjuka? Ach, chłopie, jakżebyś chciał być przy tym!”

Campbell umarł na krótko przed dwudziestą czwartą rocznicą zamordowania Johna F. Kennedy’ego, tragedii, którą przeanalizował w kategoriach mitologicznych podczas naszego pierwszego spotkania, wiele lat wcześniej. Teraz, gdy znów przyplęnęło do mnie to melancholijne wspomnienie, siedziałem właśnie z moimi dorosłymi dziećmi i rozmawiałem z nimi o owych refleksjach Campbella. Uroczysty państwowy pogrzeb prezydenta określił on jako „przykład najwyższej posługi rytualnej wobec społeczeństwa”; przy okazji wspominał o wątkach mitologicznych głęboko zakorzenionych w ludzkich potrzebach. „Było to zrytualizowane wydarzenie najwyższej społecznej wagi – napisał wtedy Campbell. – Publiczne zabójstwo prezydenta, reprezentującego naszą całą społeczność, czyli żywy organizm, którego sami byliśmy członkami, wyrwanie go spośród nas w rozkwicie życia – domagało się obrzędu, który by temu zadośćuczynił i przywrócił poczucie solidarności. Ten ogromny naród stał się znów na cztery dni jednomyślną wspólnotą, a każdy z nas w tym samym czasie i w ten sam sposób uczestniczył w jednym i tym samym symbolicznym wydarzeniu”. Powiedział też: „Było to, w okresie pokoju, pierwsze i jedyne tego rodzaju zdarzenie, które wzbudziło we mnie odczucie przynależności do całej narodowej wspólnoty, ponieważ jako jednostka również wziąłem udział w dopełnieniu głęboko znaczącego rytuału”.

Opis ten przypomniałem sobie również, gdy przyjaciółka jednej z moich koleżanek zapytała ją o naszą współpracę z Campbellem: „Na co wam ta mitologia?” Wyznawała ona potoczny pogląd współczesny, że „greccy bogowie i w ogóle cały ten kram” nie mają już żadnego znaczenia dla dzisiejszego człowieka i jego problemów. Nie wiedziała tylko (tak jak nie wie tego większość z nas), że resztki tego „kramu” wyznaczają zarysy wewnętrznej struktury naszych przekonań, tak jak skorupy ceramiki określają rozplanowanie stanowiska archeologicznego. Ponieważ jednak jesteśmy istotami ożywionymi, w owym „kramie” tkwi energia. Przypominają o tym rytuały. Rozważmy na przykład pozycję sędziów w naszym społeczeństwie – w kategoriach nie socjologicznych, lecz mitologicznych,

tak jak widział ją Campbell. Gdyby ta pozycja sprowadzała się tylko do pewnej społecznej roli, sędzia mógłby na posiedzenie trybunału przychodzić w szarym garniturze, zamiast nakładać czarną togę. Otóż jeśli prawo ma posiadać autorytet wykraczający poza zwykły przymus, władza sędziowska musi być zrytualizowana, zmitologizowana. Podobnie musi się dziać na znacznych polaciach życia współczesnego, od religii i wojny do miłości i śmierci – twierdził Campbell.

Któregoś ranka, już po śmierci Campbella, w drodze do pracy przystanąłem przed pobliskim sklepem ze sprzętem wideo, gdzie stojący w witrynie monitor pokazywał właśnie sceny z *Wojen gwiazdnych* George'a Lucasa. Stałem i myślałem sobie o tym, jak to razem z Campbellem oglądaliśmy ten film na Skywalker Ranch Lucasa w Kalifornii. Lucas i Campbell zaprzyjaźnili się, kiedy filmowiec, w poczuciu długu, jaki zaciągnął wobec książek Campbella, zaprosił uczonego na pokaz trylogii *Wojny gwiazdne*. Campbell rozkoszował się odkrywaniem w pełnych rozmachu współczesnych obrazach, defilujących przez ogromny ekran, starożytnych tematów i wątków mitologicznych. Podczas tych właśnie odwiedzin Joe, zachwycając się znów wyczynami i niebezpiecznymi przygodami Luke Skywalker'a, ze szczególnym ożywieniem mówił o tym, że Lucas „tchnął zupełnie nowego i potężnego ducha” w klasyczną opowieść o bohaterze.

„A na czym to polega?” – zapytałem.

„Chodzi o to samo, co w *Fauście* powiedział już Goethe, co jednak Lucas wyraził po nowemu – że przesłanie zawarte w technice nie jest zdolne nas uratować. Nasze komputery, przyrządy, maszyny nie wystarczą. Musimy odwołać się do naszej intuicji, zawierzyć naszej prawdziwej istocie”.

„A czy to nie obraża rozumu? – odparłem. – I czy przypadkiem właśnie teraz nie rejerujemy pośpiesznie z pozycji rozumu?”

„Nie, to nie o tym mówi epopeja naszego bohatera. Nie chodzi o negowanie rozumu. Przeciwnie, bohater, przewyciężając ciemne namiętności, symbolizuje naszą zdolność do zapanowania nad tym, co w nas irracjonalne i dzikie”. Przy innych okazjach Campbell ubolewał nad tym, że nie potrafiłszy „uznać istnienia w nas krwiożerczej i lubieżnej gorączki”, będącej endemiczną cechą ludzkiej natury. Teraz wędrowkę bohatera opisywał nie jako heroiczny wyczyn, ale jako życie przeżywane w po-

szukiwaniu i odkrywaniu samego siebie. „Luke Skywalker nigdy nie był bardziej racjonalny niż wówczas, gdy w sobie samym odnalazł siłę ducha pozwalającą mu stawić czoło własnemu losowi” – dodał.

Campbell z niejaką ironią stwierdzał, że epopeja bohatera bynajmniej nie kończy się jego wywyższeniem. „Idzie o to – powiedział na jednym ze swoich wykładów – by nie utożsamiać się z żadną z doświadczonych form potęgi. Dążący do wyzwolenia jogin indyjski identyfikuje się ze Światłem i już z niego nie powraca. Jednakże nikt spośród tych, których ożywia pragnienie służenia innym, nigdy nie pozwoli sobie na taką ucieczkę. Ostatecznym celem poszukiwania nie może być ani wyzwolenie, ani ekstaza dla samego siebie, lecz tylko mądrość i siła do służenia innym”. Jedną z wielu różnic pomiędzy kimś sławnym a bohaterem – twierdził – jest ta, że człowiek sławny żyje tylko dla siebie, gdy tymczasem bohater działa na rzecz odkupienia społeczności.

Joseph Campbell uznawał życie za przygodę. „Do diabła z tym” – powiedział po rozmowie z urzędnikiem uniwersyteckim, usiłującym namówić go do rozpoczęcia mozolnej akademickiej kariery. Zrezygnował z robienia doktoratu, zaszył się natomiast w lasach, by czytać. Przez całe życie czytał książki o świecie; interesowała go antropologia, biologia, filozofia, sztuka, historia, religia. I przez cały czas przypominał innym, że jedyna pewna ścieżka do świata wiedzy poprzez zadrukowane stronicę. W kilka dni po jego śmierci otrzymałem list od jednej z jego dawnych studentek, obecnie współwydawczyni wielkiego magazynu. Dowiedziawszy się, że wraz z Campbellem opracowywałem serial telewizyjny, napisała, aby podzielić się ze mną wspomnieniem o tym człowieku – „cyklonie energii wiejącym przez wszelkie możliwości intelektualne” studentów, którzy „z zapartym tchem” siedzieli podczas jego wykładów w Sarah Lawrence College. „Słuchaliśmy wszyscy jak urzeczeni – pisała – ale jednocześnie przytłaczała nas ta masa lektur, jakie zalecał nam co tydzień. W końcu ktoś z nas wstał i patrząc mu śmiało w oczy (całkiem w stylu Sarah Lawrence) powiedział: » Przecież pan wie, że oprócz tego chodzę jeszcze na trzy inne wykłady. I wie pan, że pozostali wykładowcy również zalecają lektury. W jaki, zdaniem pana, sposób mam uporać się z tym wszystkim w ciągu tygodnia?» Campbell tylko się roześmiał i rzekł: »Dziwię się, że w ogóle pan próbował. Żeby to wszystko przeczytać, ma pan przed sobą całe życie»”.

Kończyła słowami: „I jeszcze wszystkiego nie przeczytałam – tak jak on, przykład życia i pracy, które nie mają kresu”.

O wpływie, jaki wywierał, można było wyrobić sobie pogląd podczas ceremonii wspomnieniowej urządzonej na jego cześć w nowojorskim Muzeum Przyrodniczym. Gdy znalazł się tam ongiś, jeszcze jako chłopiec, stanął jak wryty przed słupami i maskami totemicznymi. Kto je zrobił? – zastanawiał się. – Co one znaczą? I zaczął czytać wszystko, co mu wpadło w ręce, na temat Indian, ich mitów i legend. Jeszcze nim ukończył dziesięć lat, rozpoczął poszukiwania, które miały zeń uczynić jednego z najwybitniejszych w skali światowej specjalistów od mitologii i jednego z najbardziej urzekających wykładawców współczesnych. Powiadano o nim, że „potrafi przyoblec w żywe ciało szkielec folkloru i antropologii”. Teraz, w tym samym muzeum, gdzie trzy ćwierci stulecia wcześniej jego wyobraźnia została pobudzona po raz pierwszy, ludzie zbrali się na specjalnej uroczystości, aby oddać cześć jego pamięci. Występował Mickey Hart, perkusista rockowej grupy „Grateful Dead”, pasjonującej się, podobnie jak Campbell, właśnie perkusją. Robert Bly grał na cymbałach i recytował wiersze poświęcone Campbellowi. Przemawiali jego dawni studenci, a także ludzie, z którymi się zaprzyjaźnił już po odejściu na emeryturę i przeniesieniu się wraz z żoną, tancerką Jean Erdman, na Hawaje. Reprezentowane były wielkie firmy wydawnicze Nowego Jorku. I oczywiście pisarze oraz uczeni, młodzi i starsi, którzy w Campbellowi znaleźli swego przewodnika.

No i dziennikarze. Zetknąłem się z nim osiem lat wcześniej, gdy na własną rękę próbowałem ściągnąć do telewizji najbliżej siebie umysły naszego czasu. Nagraliśmy w muzeum dwa programy; jego osobowość tak przemożnie zawiądnęła ekranem, że nadeszło do redakcji ponad czternaście tysięcy listów z prośbą o tekst naszych rozmów. Wówczas postanowiłem, że zaproszę go raz jeszcze, żeby w sposób pełniejszy i bardziej systematyczny zaznajomić się z jego myślą. Był autorem bądź redaktorem około dwudziestu książek, ale na mnie oddziałał najbardziej jako nauczyciel mający ogromną wiedzę o świecie i dysponujący nadzwyczaj obrazowym językiem, toteż takim właśnie chciałem ukazać go również innym. Tak zatem zarówno mój serial telewizyjny, jak i tę książkę inspirowało pragnienie podzielenia się z innymi skarbami, które drzemały w tym człowieku.

Mówi się, że dziennikarz posiada przywilej pobierania edukacji publicznie. Jest on szczęśliwcem, któremu dano możliwość bezustannego dokształcania się na kursach dla dorosłych. Nikt w ostatnich latach nie nauczył mnie więcej niż Campbell, i kiedy powiedziałem mu, że spadną na niego wszelkie konsekwencje faktu, iż zostałem jego uczniem, roześmiał się i zacytował stare lańskie powiedzonko: „Los prowadzi tego, kto idzie chętnie; tego, kto się opiera, wlecze przemocą”.

Podobnie jak inni wielcy nauczyciele – uczył przykładem. Nie było w jego stylu namawianie kogokolwiek do czegokolwiek (z jednym wyjątkiem: gdy przekonywał Jean, że powinna za niego wyjść). Kaznodzieje popełniają błąd – mówil – usiłując „namówić ludzi do wiary; lepiej by było, gdyby sami promieniowali wiedzą objawioną im przez własne odkrycie”. Tak jak on sam promieniował radością życia i uczenia się! Matthew Arnold uważał, że najwyższym przejawem zmysłu krytycznego jest „wybierać z zasobu wiedzy i myśli to, co w świecie najlepsze, i z kolei uprzystępniać to innym, tworząc w ten sposób prąd prawdziwych, świeżych idei”. To właśnie robił Campbell. Słuchając go – ale tak naprawdę, całym sercem – nie można było nie odczuć we własnej duszy świeżego powiewu życia, ruchu rozbudzonej wyobraźni.

Przyznawał, że myślą przewodnią jego prac jest „znalezienie w mitach całego świata wspólnoty tematycznej wskazującej na niezmienną potrzebę ludzkiego ducha, pragnącego ześrodkować się wokół kilku głębokich zasad”.

„Masz na myśli poszukiwanie sensu życia?” – zapytałem.

„Nie, nie – odparł. – Chodzi mi o doświadczenie życia jako takiego”.

Powiedziałem kiedyś, że mitologia to mapa szlaków doświadczenia, nakreślona przez ludzi, którzy już je przewędrowali. Podejrzewam jednak, że Campbell niezbyt chętnie przystałby na tę prozaiczną dziennikarską definicję. Dla niego mitologia była „pieśnią wszechświata”, „muzyką sfer” – muzyką, w takt której tańczymy, nawet jeśli nie potrafimy nazwać melodii. Słyszymy jej refreny, gdy „z rozbawieniem, ale i z dystansu, przysłuchujemy się pieśniom kongijskiego czarownika, czciciela bożków, lub gdy z pełnym uczonego wyrafinowania zachwytem czytamy przekłady poezji Lao-tsy, bądź kiedy próbujemy rozgryźć twardą skorupę argumentów

Akwiny, albo wreszcie gdy niespodziewanie olśni nas sens dziwnej eskimoskiej baśni”.

Przypuszczał, że ten potężny i zgiełkliwy chór rozbrzmiewał wówczas, gdy nasi praprzodkowie zaczęli sobie opowiadać historie o zwierzętach, które zabiłi dla zdobycia pożywienia, i o nadprzyrodzonym świetle, do którego niechybnie odchodzą one po śmierci. „Gdzieś tam, daleko”, poza widzialnym wymiarem istnienia, bytował ów „pan zwierząt”, który nad istotami ludzkimi miał władzę życia i śmierci; jeśli nie zechciał odesłać zwierząt z powrotem na powtórny ofiarę, myśliwym i ich rodzinom zagrażał głód. W ten sposób wczesne społeczeństwa dowiedziały się, że „istotą życia jest zabijanie i zjadanie tego, co zabite; jest to wielka tajemnica, którą muszą zajmować się mity”. Łowy stały się obrzędem ofiarnym, a z kolci łowcy dokonywali aktów prześlągania duchów umarłych zwierząt w nadziei, że uda im się skłonić je do powrotu i do uczynienia z siebie ofiary po raz drugi. Zwierzęta uważano za wysłanników tamtego, innego świata, i Campbell na tej podstawie zakładał istnienie „magicznej, cudownej ugody”, rodzącej się między łowcą a zwierzyną, tak jakby oboje uwikłani byli w „mystyczny, bezczasowy cykl” śmierci, pochówków, zmartwychwstań. Ich sztuka – malowidła na ścianach jaskiń – oraz literatura ustna przyobkleły w formę ów impuls, który dziś nazywamy religią.

Gdy owi pierwotni ludzie porzucili łowiectwo i zajęli się rolnictwem, zmieniły się również opowieści tworzone przez nich w celu interpretowania tajemnic życia. Teraz magicznym symbolem nieskończonego cyklu stało się nasienie. Roślina umierała i była grzebana w ziemi, lecz nasienie odradzało się. Campbella fascynował fakt wykorzystania tego symbolu przez wielkie religie świata do objawienia odwiecznej prawdy, że ze śmierci płynie życie bądź – jak on sam to ujmował – „z ofiary – błogość”.

„Jezus miał bystre oko – mówił. – W ziarnku gorczycy potrafił dostrzec wspaniałą rzeczywistość”. Często cytował słowa Jezusa z Ewangelii Janowej: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity”^{*} – i natychmiast uzupełniał cytatem z *Koranu*: „Czy wy sądzicie, że wejdziecie do Ogrodu, kiedy jeszcze nie doświadczyliście tego, czego doświadczyli ci, którzy już przeminęli przed wami?”^{**} Penetrował rozległe obszary tej religijnej literatury, przekładając nawet

* J 12, 24. Cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia, III wđ. (Wszystkie przypisy pochodzą do tłumacza).

** *Koran*, Sura II (*Krowa*), 214.

Cytaty według przekładu J. Bielańskiego, PIW, Warszawa 1986.

z sanskrytu teksty hinduskie, i ustawicznie gromadził nowsze opowieści, które dodawał do mądrości starożytnej. Ze szczególnym upodobaniem przytaczał opowieść o kobiecie, która przyszła do Ramakryszny, indyjskiego świętego oraz mędrca, i zwierzała mu się z niepokojem: „Mistrzu, nie wydaje mi się, żebym kochała Boga”. On na to: „A więc nie istnieje nic, co byś kochała?” „Owszem – odparła. – Mój mały siostrzeniec”. Ramakryszna rzekł: „W ten właśnie sposób kochasz Boga i służysz Mu – Kochając to dziecko i opiekując się nim”.

„Właśnie w tym – mówił Campbell – zawarte jest najwyższe przesłanie religii; »Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych...«”

Był człowiekiem pełnym religijnego ducha, toteż w piśmiennictwie poszczególnych wyznań odnajdywał owe wspólne ludzkiemu duchowi zasady. Muszą one jednak uwolnić się z więzów plemiennych, bo inaczej religie świata nadal będą źródłem pogardy i agresji, jak się to dzieje obecnie na Bliskim Wschodzie i w Północnej Irlandii. Obrazów Boga jest wiele – mawiał, nazywając je „maskami wieczności”; zakrywają one i jednocześnie objawiają „Oblicze Chwały”. Chciał się dowiedzieć, co oznacza fakt, że Bóg w rozmaitych kulturach przybiera tak różne maski, a mimo to w owych tak różniących się wzajem tradycjach można odnaleźć podobne opowieści – o stworzeniu, o narodzinach z dziewicy, wcieleniach, śmierci i zmartwychwstaniu, drugim przyjściu, sądzie ostatecznym. Afirmował intuicję przebijającą z pism hinduskich: „Prawda jest jedna, lecz mędrzy nadają jej rozmaite imiona”. Wszystkie imiona i obrazy, jakie przypisujemy Bogu, to maski – mówił – wskazujące na ostateczną rzeczywistość, która z definicji transcenduje język i sztukę. Mit również jest maską Boga, metaforą czegoś, co leży poza widzialnym światem. Choć tradycje mistyczne różnią się wzajem, to przecież zgodne są w tym – twierdził – że skłaniają nas do głębszego uświadomienia sobie samego faktu naszego życia. W swoich książkach Campbell wyrażał przekonanie, że grzechem niewybaczalnym jest grzech nieuwagi, braku czujności, niepełnej świadomości.

Nigdy nie spotkałem nikogo, kto lepiej od niego potrafił opowiadać. Słuchając go snującego opowieść o pierwotnych społeczeństwach, miałem poczucie, jakbym naraz został przeniesiony na rozległą równinę, przykrytą wielką kopułą nieba, albo w leśną gęstwinę, pod sklepienie ze splecionych konarów, i zaczynałem pojmować, w jaki sposób głosy bogów mówiły do

ludzi z wiatru i grzmotu, duch Boga zaś płynął w każdym górskim strumieniu, a cała ziemia rozkwitała jako miejsce święte, królestwo mitycznej wyobraźni. I pytałem: Teraz, gdy my, ludzie nowocześni, odarliśmy ziemię z jej tajemnicy, gdyśmy – mówiąc słowami Saula Bellowa – „uprzętnęli nasz dom z wierzeń”, w jaki sposób i czym mamy karmić swoją wyobraźnię? Filmami z Hollywood i serialami telewizyjnymi?

Campbell nie był pesymistą. Uważał, że „poza konfliktami iluzji i prawdy istnieje jakiś punkt mądrości, w którym ludzkie życie może odzyskać utraconą pełnię”. Twierdził, że jest to „najważniejszy problem naszych czasów”. W ostatnich latach życia dążył do stworzenia nowej syntezy nauki i duchowości. „Zmiana wizji świata z geocentrycznej na heliocentryczną – napisał po wylądowaniu astronautów na Księżycu – poniekąd usunęła człowieka z centrum, a przecież centrum wydawało się tak ważne. Jednakże w sensie duchowym centrum jest tam, skąd patrzymy. Stań na pagórku i spójrz w stronę widnokręgu. Stań na Księżycu – choćby za pośrednictwem telewizji, w swoim pokoju – i popatrz na zawieszoną w górze całą ziemską kulę”. W rezultacie horyzont ulega niesłychanemu poszerzeniu, co w naszej epoce doskonale mogłoby spełnić tę samą rolę, którą w swoim czasie pełniły dawne mitologie – pomóc w oczyszczeniu dróg postrzegania „cudu, zarazem strasznego i fascynującego, jakim jesteśmy my sami i świat”. Dowodził, że to nie nauka pomniejszyła ludzi i spowodowała nasz rozbrat z boskością. Przeciwnie, najnowsze odkrycia nauki „na powrót jednoczą nas ze starożytnymi”, ponieważ umożliwiają nam rozpoznanie w całym Wszechświecie „powiększonego odbicia naszej najgłębszej, wewnętrznej natury, tak że istotnie stwierdzamy, iż jesteśmy jej uszami, oczami, myśleniem i mową albo – używając terminologii teologicznej – uszami Boga, oczyma Boga, myśleniem Boga i Słowem Boga”. Gdy go widziałem po raz ostatni, zapytałem, czy nadal wierzy, że – jak to kiedyś napisał – „w chwili obecnej uczestniczymy w jednym z największych w dziejach skoków ludzkiego ducha, wiodących nas ku wiedzy nie tylko o zewnętrznym świecie, ale również o naszej głęboko ukrytej, wewnętrznej tajemnicy”.

Zastanowił się przez chwilę i odparł: „Tak, w największym ze wszystkich”.

Gdy doszła mnie wieść o jego śmierci, oddawałem się właśnie nieśpiesznej lekturze otrzymanego odeń egzemplarza książki *The Hero with a Thousand*

Faces. Przyszedł mi na myśl moment, kiedy po raz pierwszy odkryłem świat bohaterów mitycznych. Przypadek zaprowadził mnie do małej biblioteki publicznej w mieście, gdzie się wychowałem; szperając na czyłbił trafił po półkach, natknąłem się na książkę, która otworzyła przede mną świat cudów. Był tam Prometeusz wykradający bogom ogień dla dobra rodzaju ludzkiego, Jazon mężnie stawiający czoło smokowi, aby zawiadnąć Złotym Runem, Rycerze Okrągłego Stołu poszukujący Świętego Graala. Ale dopiero zetknąwszy się z Josephem Campbellem zrozumiałem, że westerny, które oglądałem na niedzielnych porankach, pełnymi garściami czerpały z tych starożytnych baśni. I że historie, o jakich uczyliśmy się w szkółce niedzielnej, mają odpowiedniki w innych kulturach, którym również nieobca jest wzniosła przygoda duszy – dążenie śmiertelników do uchwycenia rzeczywistości Boga. Pomógł mi dostrzec związki i mechanizmy spajające poszczególne części i nie tylko nie obawiać się, owszem, spoglądać przychylnie na – jak to ujmował – „ogromną, wielokulturową przyszłość”.

Rzecz jasna, krytykowano go za podkreślanie psychologicznej interpretacji mitu, za to, że współczesną rolę mitu ogranicza do jego funkcji ideologicznej bądź terapeutycznej. Do udziału w tej debacie nie czuję się dość kompetentny, zostawiam ją więc innym. Sądę, że tym sporem nigdy się nie przejmował. Po prostu dalej wykładał, ucząc innych patrzenia na świat w nowy sposób.

Szczególnie pouczające jest dla nas jego własne, autentyczne życie. Twierdząc, że mity są kluczami do naszego ukrytego głęboko potencjału duchowego, który może poprowadzić nas do zachwytu, olśnienia, a nawet ekstazy, mówił jak ktoś, kto bywał już w miejscach, do których odwiedzenia zapraszał innych.

Co przyciągnęło mnie do niego?

Niewątpliwie mądrość; był człowiekiem bardzo mądrym.

I uczoność. Istotnie, „ogromną, rozległą panoramę naszej przeszłości znał jak niewielu ludzi przed nim”.

Ale było w tym coś więcej.

O anegdocie stanowi sposób jej opowiadania. Sam znał tysiące anegdot. Oto jedna z jego najbardziej ulubionych: Będąc w Japonii na międzynarodowym sympozjum religioznawczym, Campbell usłyszał przypadkiem,

jak inny delegat amerykański, socjolog z Nowego Jorku, zwraca się do kapłana szintoistycznego: „Oglądaliśmy już dość dużo waszych ceremonii, zwiedziliśmy też kilka waszych sanktuariów. Nie mogę jednak uchwycić waszej ideologii. Nie chwytam też waszej teologii”. Japończyk milczał i jakby zastanawiał się głęboko przez chwilę, po czym z wolna pokiwał głową. „Myślę, że my nie mamy ideologii – powiedział. – Ani teologii. My tańczymy”^{*}.

Tak jak Joseph Campbell, który tańczył w rytm muzyki sfer.

Bill MOYERS

^{*} Dokładnie ten sam epizod wspomina M. Eliade w swoich pamiętnikach (*Świętojańskie życie*, przeł. I. Kania, Oficyna Literacka Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, str. 131).



I MIT A ŚWIAT WSPÓŁCZESNY

*Powiada się, że tym, czego poszukujemy,
jest sens życia.*

*Otóż nie sądzę, żebyśmy szukali właśnie tego.
Myślę, że tym, o co nam chodzi,
jest doświadczenie życia jako takiego,
tak, by nasze realne przeżycia
na płaszczyźnie czysto fizycznej
wywoływały rezonans w głębi naszej najbardziej
wewnętrznej istoty i rzeczywistości,
byśmy naprawdę doznali upojenia
faktem życia.*

MOYERS: Dlaczego mit? Dlaczego mają nas obchodzić mity? Jaki jest ich związek z moim życiem?

CAMPBELL: W pierwszej chwili miałbym ochotę odpowiedzieć na to: „Daj spokój, człowieku, żyj sobie tak jak dotąd, to wcale nieźle życie, mitologia nie jest ci potrzebna”. Nie wierzę, żeby można interesować się jakąś sprawą tylko dlatego, że w powszechnej opinii jest ona ważna. Wierzę natomiast, że coś może nas w taki czy inny sposób porwać. Sam jednak możesz się przekonać, że mitologia, jeśli ktoś przedstawi ci ją we właściwy sposób, jest w stanie cię porwać. A jeżeli do tego dojdzie, to czego możesz od niej oczekiwać?

Jednym z naszych obecnych problemów jest to, że niezbyt dobrze zaznajomieni jesteśmy z literaturą dotyczącą spraw ducha. Interesujemy się aktualnościami, sprawami bieżącymi. Kampus uniwersytecki bywa zwykle czymś w rodzaju obszaru hermetycznie zamkniętego, gdzie aktualności chwili nie zakłócają uwagi skoncentrowanej na życiu wewnętrznym i na wspaniałym dziedzictwie naszej wielkiej tradycji – na Platonie, Konfucjuszu, Buddzie, Goethem i innych, którzy mówią o wiecznych wartościach, związanych z samym centrum naszego życia. Gdy się nieco zestarzejesz i będziesz miał za sobą wszelkie bieżące życiowe troski, zwrócisz się ku życiu wewnętrznemu; jeśli stwierdzisz wtedy, że nie wiesz, gdzie go szukać, albo czym ono jest – no cóż, zrobi ci się smutno.

Literatura grecka, łacińska i biblijna stanowiły kiedyś część przeciętnej edukacji. Kiedy je z niej usunięto, zagubiona została cała zachodnia tradycja informacji mitologicznej. W przeszłości zwykle było tak, że te historie tkwiły w umysłach ludzi. Kiedy nosisz w umyśle taką bądź inną historię, spostrzegasz jej związek z tym, co przytrafia ci się w życiu. Daje ci ona pewną perspektywę, w której umieszczasz to, co ci się przydarza. Z utratą takiej historii utraciliśmy coś istotnego, bo nie mamy na jej miejsce żadnej porównywalnej z nią literatury. Te fragmenty informacji z dawnych czasów, związane ze sprawami, które pomagały ludziom żyć, budowały cywilizacje i przez całe tysiąclecia kształtowały religie, mają też ścisły związek z głębokimi problemami wewnętrznymi, z duchowymi tajemnicami i progami, jakie musimy forsować, i jeśli nie masz na tej drodze żadnych drogowskazów, musisz wypracować je sobie sam. Kiedy jednak ten temat jakoś cię pochwyli, kontakt z tą bądź inną tradycją rodzi w tobie odczucie,

←

Wairoczana – thanka tybetańska z klasztoru Po w Stiti, XII w.

*Jesteśmy tak mocno zaangażowani w robienie różnych rzeczy,
w realizowanie rozmaitych celów i wartości zewnętrznych,
że zapominamy o tym,
iż wszystko sprowadza się właściwie do wartości wewnętrznej
– do zachwycenia związanego z samym faktem
bycia żywym.*

iż poznajesz coś tak istotnego, głębokiego i ożywczego, że nie chcesz już z tego zrezygnować.

MOYERS: A więc opowiadamy historie po to, by jakoś uładzić sobie świat, wprowadzić harmonię między naszym życiem i rzeczywistością?

CAMPBELL: Tak, myślę, że tak. Powieści – te wielkie powieści – mogą być cudownie pouczające. Gdy miałem dwadzieścia, trzydzieści lat, a nawet jeszcze pod czterdziestkę, moimi nauczycielami byli James Joyce i Tomasz Mann. Czytałem wszystko, co napisali. A obaj pisali w sposób, który można by określić jako osadzony w tradycjach mitologicznych. Weź na przykład historię Tonia z opowiadania Manna *Tonio Kröger*. Ojciec Tonia był poważnym człowiekiem interesów, jednym z najszacowniejszych obywateli w mieście. Mały Tonio miał jednak usposobienie artystyczne, więc pojechał do Monachium, gdzie przystał do grupy literatów uważających się za lepszych od zwykłych groszorobów i ojców rodzin.

Widzimy więc Tonia między dwoma biegunami: z jednej strony ojciec, zresztą dobry ojciec, odpowiedzialny i tak dalek, ale który nigdy, przez całe swoje życie, nie zrobił nic, na co naprawdę miał ochotę, i z drugiej strony ktoś, kto opuszcza miasto rodzinne i staje się krytykiem takiego sposobu życia. Jednakże Tonio uświadomił sobie, że w istocie kocha tych swoich skromnych ziomków. I chociaż sam uważał się za odrobinę lepszego od nich w sensie intelektualnym, i choć potrafił opisywać ich w ciętych słowach, jego serce było przecież z nimi.

Kiedy jednak przyłączył się do cyganerii, uświadomił sobie, iż ci ludzie tak strasznie pogardzają życiem, że też nie mógł z nimi wytrzymać, więc w końcu opuścił ich, po czym do jednego z członków grupy przesłał list z następującymi słowami: „Podziwiam dumnych i chłodnych, którzy szukają przegód na ścieżkach wielkiego, demonicznego piękna i gardzą »człowiekiem« – ale im nie zazdroszczę. Bo jeśli co może z literata uczynić poetę, to tylko ta moja mieszczańska miłość do tego, co ludzkie, żywe i zwyczajne. Wszelkie ciepło, wszelka dobroć, wszelki humor z niej wypływa i zdaje mi się niemal, jakby była samą ową miłością, o której napisano, że choćby człowiek mówił wszystkimi językami ludzkimi i anielskimi, bez niej jest jak cymbał brzmący i jak miedź brzęcząca”^{*}.

Potem mówi jeszcze: „Pisarz musi być wierny prawdzie”. Ale to jest zabójcze, bo jedyny sposób prawdziwego pisania o człowieku polega na

^{*} Przel. L. Staff

(jest to wyjątek z listu do Lizawiey Iwanowny).

opisywaniu jego przywar. Człowiek doskonały jest nieciekawym, na przykład taki Budda, który odchodzi od świata – rozumiesz. Urok mają właśnie niedoskonałości życia. Więc gdy pisarz wypuszcza strzałę prawdomównego słowa, rani. Ale miłość jakoś to łagodzi. Mann nazywał to „ironią erotyczną”; jest to miłość do tego, co zabijasz okrutnym, analitycznym słowem.

MOYERS: Miłość do rodzinnego miasteczka, uczucie, które masz dla tego miejsca, niezależnie od tego, jak długo przebywałeś z dala od niego i czy w ogóle kiedykolwiek jeszcze tam wrócisz. Bo przecież właśnie tam pierwszy raz ujrzales ludzi. Ten obraz jest mi drogi... A dlaczego mówisz, że kochasz ludzi za ich niedoskonałości?

CAMPBELL: Czy dzieci nie są kochane właśnie za to, że ciągle się przewracają i że mają małe ciała, a zbyt duże główki? Wiedział o tym doskonale Walt Disney, kiedy tworzył swoich siedmiu krasnoludków! No i te maleńkie śmieszne pieski, które trzymają ludzi; są rozkoszne i kochane, bo tak niedoskonałe.

MOYERS: A więc doskonałość byłaby czymś śmiertelnie nudnym, nieprawda?

CAMPBELL: Chyba tak. Byłaby nieludzka. Sedno wszystkiego – człowieczeństwo, to coś, co sprawia, że jesteś istotą ludzką, a nie nadprzyrodzoną i nieśmiertelną – właśnie to jest godne miłości. Dlatego niektórym ludziom tak trudno jest kochać Boga – dlatego że nie ma w nim żadnej niedoskonałości. Możesz się go bać, ale to jeszcze nie miłość. Godny miłości staje się dopiero Chrystus na krzyżu.

MOYERS: Co masz na myśli?

CAMPBELL: Cierpienie. Cierpienie to niedoskonałość, nie sądzisz?

MOYERS: Dzieje ludzkiego cierpienia, zmagani, życia...

CAMPBELL: ...i młody człowiek, który zdaje sobie sprawę z samego siebie i z tego, co go czeka...

MOYERS: Czytając twoje książki – na przykład *The Masks of God* czy *The Hero with a Thousand Faces* – uświadomiłem sobie, że wszystko to, co ludzie mają wspólnego, objawione jest w mitach. Mity to opowieści o naszych trwających wieki poszukiwaniach prawdy, sensu, znaczeń. Wszyscy od czuwamy potrzebę opowiedzenia i zrozumienia naszej historii. Wszyscy

usiłujemy zrozumieć śmierć i jakoś sobie z nią poradzić, wszyscy też potrzebujemy pomocy w przejściu od narodzin do życia, a potem do śmierci. Potrzebne nam jest życie, abyśmy mogli dostrzec to, co wieczne, dotknąć go, zrozumieć jego tajemnicę, dowiedzieć się, kim jesteśmy.

CAMPBELL: Powiada się, że tym, czego poszukujemy, jest sens życia. Otóż nie sądzę, żebyśmy szukali właśnie tego. Myślę, że tym, o co nam chodzi, jest doświadczenie życia jako takiego, tak by nasze realne przeżycia na płaszczyźnie czysto fizycznej wywoływały rezonans w głębi naszej najbardziej wewnętrznej istoty i rzeczywistości, byśmy naprawdę doznali upojenia faktem życia. Ostatecznie, o to właśnie chodzi w mitach i to właśnie owe klucze pomagają nam odnaleźć się w nas samych.

MOYERS: Więc mity to klucze?

CAMPBELL: Mity są kluczami do duchowych możliwości ludzkiego życia.

MOYERS: Do tego, co jesteśmy zdolni poznać i czego doświadczyć w nas samych?

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Zmieniłeś definicję mitu: najpierw było to poszukiwanie sensu, potem – doświadczenie tego sensu.

CAMPBELL: Doświadczenie życia. Sens to sprawa umysłu. Jaki jest sens kwiatu? W buddyzmie zen jest taka przypowieść o kazaniu Buddy polegającym na tym, że po prostu uniósł on w górę kwiat. Tylko jeden jedyny słuchacz dał mu oczyma znak, że pojął, o co chodzi. Otóż, jak wiesz, sam Budda określany jest jako „ten, który tak właśnie przyszedł”. Jaki w tym sens? Jaki jest sens wszechświata? Albo pchły? Ona po prostu jest. I kropka. A twój sens polega na tym, że jesteś tutaj, teraz. Jesteśmy tak mocno zaangażowani w robienie różnych rzeczy, w realizowanie rozmaitych celów i wartości zewnętrznych, że zapominamy o tym, iż wszystko sprowadza się właściwie do wartości wewnętrznej – do zachwycenia związanego z samym faktem bycia żywym.

MOYERS: W jaki sposób dochodzisz do tego doświadczenia?

CAMPBELL: Czytając mity. Uczą one, że możesz zwrócić się do wewnątrz, i w pewnym momencie zaczynasz chwycić przesłanie symboli. Czytaj mity innych ludów, nie tych, które wyznają twoją religię, bo człowiek ma

tendencję do interpretowania własnej religii w kategoriach faktów; gdy jednak czytasz inne mity, zaczynasz chwytać ich przesłanie. Mity pomagają ci wejść w bezpośredni, doświadczalny kontakt z życiem jako takim. Mówią, czym naprawdę jest to doświadczenie. Na przykład małżeństwo. Czym jest małżeństwo? Mówi o tym mit: jest to powtórne zjednoczenie rozdzielonej dwójni. Pierwotnie ty i ona byliście jednym. Teraz, w tym świecie, jesteście dwójką, ale rozpoznajecie się jako byty duchowo identyczne – i tym właśnie jest małżeństwo. To coś zupełnie innego niż tylko erotyka. Coś, co nie ma z tym nic wspólnego, bo dzieje się na innej mitologicznej płaszczyźnie doświadczenia. Kiedy ludzie pobierają się w przekonaniu, że ich romans będzie miał długi żywot, to grozi im rychły rozwód, bo przecież każdy romans kończy się rozczarowaniem. Otóż małżeństwo to rozpoznanie duchowej identyczności. Jeśli będziemy żyć w sposób właściwy, jeśli spoglądając na osoby płci przeciwnej mamy na uwadze właściwe ich cechy, potrafimy odnaleźć stosownego dla siebie partnera – mężczyznę bądź kobietę. Jeśli jednak kierują nami tylko pewne względy zmysłowe, poślubimy kogoś nieodpowiedniego. Natomiast poślubiając osobę właściwą, rekonstruujemy wizerunek wcielonego Boga. Tym właśnie jest małżeństwo.

MOYERS: Właściwą osobę? Jak wybrać właściwą osobę?

CAMPBELL: Idąc za głosem serca. Ono powinno ci podpowiedzieć.

MOYERS: Twoja wewnętrzna istota.

CAMPBELL: W tym tkwi cała tajemnica.

MOYERS: Rozpoznasz drugą część własnego jestestwa.

CAMPBELL: Cóż, nie wiem, ale to chyba jest jakiś rozbłysk i coś w tobie, w środku, mówi ci, że to jest właśnie ta osoba.

MOYERS: Skoro małżeństwo to ponowne zjednoczenie obu części naszej istoty, męskiej i żeńskiej, które tkwią w każdym z nas, to dlaczego tak kiepsko ono wygląda we współczesnym społeczeństwie?

CAMPBELL: Bo nie traktuje się go jako małżeństwa. Powiedziałbym tak: jeśli małżeństwo nie ma w twoim życiu absolutnego priorytetu, to znaczy, że nie jesteś małżonkiem. Małżeństwo to dwójnia w jedności, dwoje, którzy stali się jednym ciałem. Jeśli związek trwa wystarczająco długo i jeśli bezustannie od nowa go akceptujesz, zamiast dawać upust swoim in-

dywidualnym kaprysem, przekonujesz się, że tak właśnie naprawdę jest: że oboje istotnie jesteście jednym ciałem.

MOYERS: Nie tylko biologicznie, ale i duchowo.

CAMPBELL: Przede wszystkim duchowo. Biologia to szaleństwo, które może nas skłonić do fałszywej identyfikacji.

MOYERS: A więc funkcja nierozdzielnie związana z małżeństwem – kontynuacja nas samych w dzieciach – nie jest funkcją pierwszoplanową...

CAMPBELL: Nie, to tylko pewien elementarny aspekt małżeństwa. W małżeństwie są dwa zupełnie różne etapy. Najpierw jest etap młodzieńczy, posłuszny cudownemu impulsowi, w jaki wyposażyla nas natura posługująca się biologiczną grą płci w celu płodzenia potomstwa. Ale przychodzi czas, gdy dziecko odrywa się od rodziny i małżonkowie zostają sami. Jest dla mnie zdumiewające, jak wielu moich przyjaciół między czterdziestką a pięćdziesiątką rozwodzi się. Przez całe lata, gdy wychowywali dzieci, wiedli przykładne, zgodne życie; tyle tylko, że patrzyli na swoje małżeństwo przez pryzmat swoich związków z dzieckiem. Nie rozważali go w kategoriach osobistego, wzajemnego związku.

Małżeństwo to związek osobowy. Gdy człowiek poświęca coś dla małżeństwa, nie robi tego dla partnera, ale dla zachowania jedności związku. Chiński wizerunek Tao, przepleciona z sobą czerń i biel, to znaczy pierwiastek męski i żeński, jang i jin we wzajemnym stosunku – oto czym jest małżeństwo. Tym właśnie stają się ludzie, gdy są małżeństwem. Nie jesteś już człowiekiem poszczególnym, samym dla siebie; twoją tożsamość określa stosunek z drugim. Małżeństwo to nie po prostu romans; to ogniowa próba, a taka próba oznacza ofiarę z własnego ja na rzecz stosunku, który z dwojga czyni jedno.

MOYERS: A więc małżeństwo jest absolutnie nie do pogodzenia z pojęciem wyjątkowej, prywatnej własności.

CAMPBELL: Bo małżeństwo nie jest po prostu rzeczą, która do kogoś należy. W pewnym sensie nią jest, ale właścicielem nie jesteś wyłącznie ty, lecz wy oboje razem, jako jedno. I jest to obraz czysto mitologiczny, oznaczający ofiarę z czegoś widzialnego na rzecz dobra transcendentnego. To właśnie urzeczywistnia się tak pięknie w drugim stadium małżeństwa, które ja nazywam stadium alchemicznym, kiedy to dwoje doświadacza

poczucia jedności. Jeśli nadal żyją tak jak w pierwszym stadium małżeństwa, rozejdą się wnet po opuszczeniu domu przez dzieci. Tatuś zadrzy się w jakiejś panience i wyfrunie, a matka zostanie sama w pustym domu i z pustym sercem i będzie musiała uporać się z tym wszystkim samodzielnie, na własny sposób.

MOYERS: A to dlatego, że nie rozumiemy tych dwu poziomów małżeństwa.

CAMPBELL: Człowiek nie podejmuje poważnego zobowiązania.

MOYERS: Zakładamy, że... Podejmujemy zobowiązanie na dobre i na złe.

CAMPBELL: To pozostałości rytuału.

MOYERS: A rytuał utracił swoją siłę. Obrzęd, który kiedyś przekazywał jakieś treści wewnętrzne, dzisiaj jest tylko formą. I jest tak zarówno w dziedzinie obrzędów społecznych, jak i tych osobistych, dotyczących małżeństwa i religii.

CAMPBELL: Ilu ludzi dostaje przed ślubem pouczenie o duchowym sensie małżeństwa? Dzisiaj staje się przed sędzią i w ciągu dziesięciu minut bierze ślub. Ceremonia małżeńska w Indiach trwa trzy dni. Para zostaje trwale sklejona.

MOYERS: Mówisz, że małżeństwo to nie po prostu kontrakt społeczny, ale i ćwiczenie duchowe.

CAMPBELL: Przede wszystkim ćwiczenie duchowe, a społeczeństwo ma nam pomóc w wypełnieniu jego celu. Człowiek nie powinien być sługą społeczeństwa; to społeczeństwo powinno służyć człowiekowi. Gdy człowiek jest sługą społeczeństwa, państwo staje się potworem. Właśnie coś takiego jest w tej chwili największym zagrożeniem dla świata.

MOYERS: Co się dzieje, kiedy społeczeństwo nie utożsamia się już z żadną wpływową mitologią?

CAMPBELL: To, co widać obecnie gołym okiem. Jeśli chcesz się dowiedzieć, czym jest społeczeństwo bez żadnych rytuałów, poczytaj sobie „New York Times’a”.

MOYERS: I co tam znajdę?

CAMPBELL: Najświeższe wiadomości donoszące między innymi o nisz-

czyzielskich i zbrodniczych czynach popełnionych przez młodych ludzi, którzy nie wiedzą, jak się zachowywać w cywilizowanej społeczności.

MOYERS: Społeczeństwo nie przewidziało dla nich obrzędów umożliwiających im stanie się członkami plemienia, wspólnoty. Wszystkie dzieci muszą rodzic się dwa razy, aby nauczyć się funkcjonować racjonalnie w obecnym świecie i wyzwolić się z dzieciństwa. Myślę o tym ustępie z Pierwszego Listu do Koryntian: „Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce”.

CAMPBELL: Otóż to. Taki właśnie jest sens obrzędów związanych z dojrzewaniem. W pierwotnych społeczeństwach wyrwa się przy tej okazji zęby, robi się nacięcia na skórze, obrzezanie i wiele innych rzeczy tego rodzaju. W ten sposób człowiek traci swoje małe dziecinne ciało, staje się kimś całkowicie innym.

Gdy byłem chłopcem, nosiło się krótkie spodnie, pamiętasz, takie do kolan. Potem nadchodziła wielka chwila, kiedy wkładałeś długie spodnie. Dzisiejsi chłopcy już tego nie znają. Widzi się nawet pięcioletnich brzdąków paradujących w długich spodniach. Kiedyż się dowiedzą, że są już mężczyznami i muszą pozbyć się wszystkiego, co dziecinne?

MOYERS: Skąd dzisiejsze chłopaki, dorastające, powiedzmy, gdzieś w okolicach 125 Ulicy i Broadwayu, wezmą swoje mity?

CAMPBELL: Stworzą je sobie sami. Dlatego właśnie na każdym kroku mamy w mieście graffiti. Chłopaki zorganizowani są w gangi, mają własne obrzędy inicjacyjne i własną moralność i robią, co potrafią najlepszego. Ale są niebezpieczni, bo ich prawa nie są prawami miasta. Nie zostali wprowadzeni w naszą społeczność.

MOYERS: Rollo May mówi, że we współczesnym społeczeństwie amerykańskim jest tak wiele przemocy, ponieważ brak w nim wielkich mitów, pomagających młodym mężczyznom i kobietom nawiązać łączność ze światem bądź też zrozumieć ten drugi świat, znajdujący się poza światem widzialnym.

CAMPBELL: Tak, ale jest też druga przyczyna przemocy w Ameryce: brak etosu.

MOYERS: Wytłumacz.

CAMPBELL: Na przykład w futbolu amerykańskim reguły są bardzo sztywne i skomplikowane. Gdybyś jednak pojechał do Anglii, przekonałbyś się, że reguły rugby nie są tak ściśle. Kupę lat temu, w latach dwudziestych, kiedy jeszcze studiowałem, mieliśmy na uczelni dwójkę wspaniałych napastników. Otóż pojechali oni na stypendium do Oksfordu, gdzie zaczęli grać w tamtejszej drużynie rugby; pewnego dnia postanowili wprowadzić do gry własny sposób ataku. Na to angielscy gracze powiedzieli im: „Słuchajcie, nasze reguły nie przewidują czegoś takiego, więc nie grajcie w ten sposób. My tak nie gramy”.

Chodzi o to, że w kulturze, która przez dłuższy czas rozwijała się w formie jednolitej, istnieje pewna liczba zrozumiałych samych przez się, niepisanych reguł, według których żyją ludzie. Istnieje wśród nich pewien etos, pewien nawyk, uznawanie za oczywiste, że „my nie robimy tego w ten sposób”.

MOYERS: Mitologia.

CAMPBELL: Mitologia nie sformułowana – można by rzec. To jest sposób, w jaki używamy widelca i noża, w jaki postępujemy z ludźmi i tak dalej. Nie wszystko to zapisane jest w książkach. Ale w Ameryce mamy ludzi z najrozmaitszym bagażem kulturowym, wymieszanych i tworzących jedną masę, toteż tak wielkiego znaczenia nabrało w tym kraju prawo. Prawnicy i prawo – oto co jest naszym spoiwem. Nie ma etosu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

MOYERS: Tak. To jest to, co opisywał de Tocqueville, kiedy przyjechał tu sto sześćdziesiąt lat temu i znalazł „zgiełk anarchii”.

CAMPBELL: Dzisiaj mamy do czynienia ze światem odmitologizowanym. W rezultacie studenci, z którymi się stykam, są bardzo zainteresowani mitologią, bo mity niosą im jakieś przesłanie. Nie potrafię ci jednak powiedzieć, jakie to przesłania odnajdują dziś w mitach młodzi ludzie. Wiem tylko, co one dały mnie. Ale również im one coś dają. Kiedy przychodzę na wykład do jakiegoś koledżu, sala wprost pęka od studentów, którzy zjawili się, aby posłuchać, co też mam do powiedzenia. Władze wydziałowe przydzielają mi często pomieszczenia nieco zbyt małe – za małe, gdyż nie przewidziały, jakie podekscytowanie ta problematyka wywoła wśród studentów.

MOYERS: Zastanów się nad taką rzeczą: co oznaczają dla nich, twoim zdaniem, mity, opowieści, jakie od ciebie słyszą?

CAMPBELL: Cóż, te historie zawierają życiową mądrość, naprawdę. To, czego uczymy się w szkole, nie jest mądrością życia. Uczymy się techniki, otrzymujemy informacje. Na wyższych uczelniach panuje dziwna niechęć do zaznajamiania studentów z życiowymi wartościami wykładanych przedmiotów. W naszych naukach – a dotyczy to antropologii, językoznawstwa, religioznawstwa itd. – istnieje obecnie tendencja do specjalizacji. Ta tendencja staje się zrozumiała, jeśli wiemy, ile uczonec-specjalista musi dzisiaj wiedzieć, żeby być specjalistą kompetentnym. Aby studiować na przykład buddyzm, trzeba władać nie tylko wszystkimi językami europejskimi, w których toczono dyskusje na tematy orientalne – a więc szczególnie francuskim, niemieckim, angielskim i włoskim, ale i sanskrytem, chińskim, japońskim, tybetańskim i paroma innymi. To jest ogromne zadanie. Takiego specjalisty nie będą ciekawiły różnice między językami Algonkinów i Irokezów.

Specjalizacja dąży do zawężenia pola problematyki, którą zajmuje się specjalista. Natomiast ktoś taki jak ja, nie specjalista, lecz „generalista”, dostrzega coś więcej ponad to, czego dowiedział się od tego bądź innego specjalisty; tu widzi to, tam znów coś innego, jako że żaden z nich nie zastanawiał się nad tym, dlaczego sprawy tu i tam mają się tak a tak. „Generalista” więc (nawiasem mówiąc, dla akademickich uczonych ten termin to obelga) zaznajamia się z szeregiem innych problemów, bardziej – by tak rzec – ogólnoludzkich niż wąsko kulturowych.

MOYERS: A potem zjawia się dziennikarz wyposażony w przywilej wyjaśniania rzeczy, których nie rozumie...

CAMPBELL: To nie tylko przywilej, ale i pewien jego obowiązek – obowiązek edukowania się na oczach wszystkich, publicznie. Pamiętam, jak za młodych lat chodziłem na wykłady Heinricha Zimmera. Był to pierwszy znany mi człowiek, który mówił o mitach tak, jak gdyby zawierały one przesłania ważne dla zwykłego życia, a nie tylko jakieś szczegóły interesujące uczonych, żeby się mogli z nimi obnosić. Utwierdziło to we mnie odczucie, jakie miałem od zawsze, od dzieciństwa.

MOYERS: Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy odkryłeś mit? Kiedy taka historia zaczęła w tobie żyć?

BUFFALO BILL'S WILD WEST

AND CONGRESS OF ROUGH RIDERS OF THE WORLD.



CONGRESS OF AMERICAN INDIANS

REPRESENTING VARIOUS TRIBES, CHARACTERS AND PECuliarITIES OF THE WILD DUSKY WARRIORS IN SCENES FROM
THEIR LIFE, GIVING THEIR WEIRD WAR DANCES AND PICTURESQUE STYLE OF HORSEMANSHIP.

„Wild West Show” Buffalo Billa.

Zakochełem się w Indianach amerykańskich.

ponieważ każdego roku Buffalo Bill pojawiał się w Madison Square Garden.

Gdy zacząłem czytać mity amerykańskich Indian.

odnalazłem w nich te same motywy,

jakie poznawałem z nauk zakonnic w szkole – stworzenie,

śmierć i zmartwychwstanie, wstąpienie do nieba, narodziny z dziewicy.

CAMPBELL: Wychowałem się w kręgu wiary katolickiej. Otóż jedną z wielkich zalet wychowania katolickiego jest to, że uczysz się traktować mit poważnie i kierować się nim w życiu, uzgadniać swoje życie z motywami mitycznymi. Wpajano we mnie odczucie zgodności rytmu pór roku z powtarzającymi się cyklicznie zdarzeniami z życia Chrystusa – jego przyjściem na świat, nauczaniem, umieraniem, zmartwychwstaniem i powrotem do nieba. Obrzędy w ciągu całego roku mają ci przypominać wieczny rdzeń wszystkiego, co zmienia się w czasie. Z całej tej harmonii grzech zostaje po prostu wyłączony.

Potem zakochałem się w Indianach amerykańskich, ponieważ każdego roku Buffalo Bill pojawiał się w Madison Square Garden ze swoim cudownym Wild West Show. Chciałem więc dowiedzieć się czegoś więcej o Indianach. Moi rodzice byli ludźmi o wspaniałych sercach, toteż wyszukiwali dla mnie wszystkie książki o Indianach, jakie w owym czasie pisano dla chłopców. Zacząłem więc rozczytywać się w mitach amerykańskich Indian i niebawem w tych opowieściach odnalazłem te same motywy, które poznawałem z nauk zakonnice w szkole.

MOYERS: Stworzenie...

CAMPBELL: ...stworzenie, śmierć i zmartwychwstanie, wstąpienie do nieba, narodzenie z dziewicy... Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy, ale określenia były te same. Co do jednego.

MOYERS: Co było dalej?

CAMPBELL: Byłem podekscytowany. To stało się początkiem moich zainteresowań mitologią porównawczą.

MOYERS: Czy zacząłeś od pytań w rodzaju: „Dlaczego tu mówi się o tym w ten sposób, a w Biblii – inaczej?”

CAMPBELL: Nie, analizy porównawcze zacząłem robić dopiero wiele lat później.

MOYERS: Czym najmocniej przemawiały do ciebie indiańskie opowieści?

CAMPBELL: W tamtych czasach wiedza o kulturze amerykańskich Indian była w zasięgu ręki, Indianie jeszcze żyli wśród nas. Nawet dziś, gdy zajmuję się mitami ze wszystkich stron świata, stwierdzam, że w opowieś-

ciach i baśniach amerykańskich Indian kryje się mnóstwo bogactw, że są one bardzo dobrze rozwinięte.

Poza tym moi rodzice mieli małą posiadłość w lasach, tam gdzie żyli kiedyś Delawarowie, potem wyparci stamtąd przez przybyszów, Irokezów. Kryły się tam w ziemi całe złoża różnych rzeczy, więc kopaliliśmy i wydobywaliśmy groty do indiańskich strzał i inne takie drobiazgi. Ba, w tych lasach, wokół mnie, żyły nawet zwierzęta odgrywające jakąś rolę w indiańskich opowieściach. Wszystko to było dla mnie wspaniałym wprowadzeniem w ten materiał.

MOYERS: Czy te historie zaczęły jakoś kolidować z twoją katolicką wiarą?

CAMPBELL: Nie, nic takiego się nie stało. Konflikt z moją religią przyszedł znacznie później w związku ze studium nauk ścisłych i tego rodzaju sprawami. Potem zainteresowałem się hinduizmem – i znów natknąłem się na te same historie. W pracy dyplomowej zająłem się średniowiecznymi materiałami na temat Króla Artura, i znów stanąłem twarzą w twarz z tymi samymi opowieściami. Nie powiesz mi więc, że to nie są te same historie. Towarzyszą mi przez całe życie.

MOYERS: One istnieją w każdej kulturze, ale ich tematy są ponadczasowe.

CAMPBELL: Tematy są ponadczasowe, ale ich ujęcie zależy od kultury.

MOYERS: A więc rozmaite opowieści mogą podejmować ten sam uniwersalny temat, ale przedstawiać go nieco inaczej, w zależności od, by tak rzec, akcentu i mowy danego ludu?

CAMPBELL: Oczywiście. Gdybyś nie był wyczulony na tę równoległość tematów, mógłbyś pomyśleć, że te historie są zupełnie różne. Tak jednak nie jest.

MOYERS: Wykładałeś mitologię w Sarah Lawrence przez trzydzieści osiem lat. W jaki sposób udało ci się zainteresować mitami te dziewczęta, pochodzące z klasy średniej i wyznające rozmaite prawowierne religie?

CAMPBELL: Młodzi ludzie po prostu rzucają się na te sprawy. Mitologia pokazuje ci, co stoi za literaturą i sztukami, uczy cię wielu rzeczy o twoim własnym życiu. To wielka, ekscytująca dziedzina, pełna żywotnych soków. Mitologia ma wiele do powiedzenia, jeśli idzie o poszczególne etapy życia, o ceremonie wtajemniczenia, gdy człowiek przechodzi z dzieciństwa do

dorosłego, odpowiedzialnego życia, ze stanu wolnego do małżeńskiego. Wszystkie takie obrzędy są rytuałami mitologicznymi. Związane są one z rozpoznaniem przez ciebie nowej roli, jaka przypada ci w życiu – z odrzuceniem starej i wejściem w nową, z przyjęciem odpowiedzialności.

Kiedy sędzia wchodzi do sali i wszyscy powstają, to przecież nie wstajesz na widok tego właśnie faceta, tylko na widok togi, którą on nosi, a która symbolizuje rolę, jaką za chwilę zacznie on pełnić. Tym, co sprawia, że jest on godny tej roli, jest jego prawość jako reprezentanta zasad związanych z tą rolą, a nie jakieś jego zupełnie osobiste przesady i poglądy. Tak więc fakt twojego powstania z miejsca ma charakter mitologiczny. Wyobrażam sobie, że niektórzy królowie i królowe to najgłupszy i najbanalniejszy ludzie pod słońcem, prawdopodobnie interesujący się tylko końmi i kobietami, rozumiesz. Otóż ty reagujesz na nich nie jako na osobowości, lecz jako na reprezentantów ról mitologicznych. Gdy ktoś obejmuje urząd sędziego albo prezydenta Stanów Zjednoczonych, przestaje być tym właśnie konkretnym człowiekiem, którym dotąd był; teraz jest przedstawicielem odwiecznego urzędu i swoje osobiste pragnienia, a nieraz nawet życiowe możliwości, musi poświęcić nowej roli, której jest symbolem.

MOYERS: A więc w naszym społeczeństwie nadal działają rytuały mitologiczne. Jednym z nich jest małżeństwo. Innym – ceremonia zaprzysiężenia prezydenta albo sędziego. Jakie jeszcze inne rytuały są obecnie ważne dla społeczeństwa?

CAMPBELL: Na przykład wstąpienie do wojska, włożenie munduru. Z tą chwilą rezygnujesz z osobistego życia i przyjmujesz społecznie zdeterminowany sposób życia w służbie społeczeństwa, którego jesteś członkiem. Dlatego myślę, że jest czymś paskudnym ocenianie ludzi w kategoriach prawa cywilnego za ich dokonania podczas wojny. Przecież działali oni nie jako jednostki, ale jako przedstawiciele czegoś wyższego od nich, czemu z rozmysłem się poświęcili. Ocenianie ich tak, jak gdyby byli pojedynczymi jednostkami, jest zupełnie niewłaściwe.

MOYERS: Wiesz, co się dzieje, kiedy na społeczeństwo pierwotne zaczyna napierać cywilizacja białego człowieka. Rozpada się ono w kawałki, ulega dezintegracji, staje się chore. Czy nie to samo dzieje się z nami, odkąd nasze mity zaczęły znikać?

CAMPBELL: To samo, absolutnie.

MOYERS: Czy nie dlatego konserwatywne religie nawołują, by powrócić do starych tradycji religijnych?

CAMPBELL: Oczywiście, i robią straszny błąd. Cofają się do czegoś szczątkowego, co już nie służy życiu.

MOYERS: Czy jednak nie było to dla nas pożyteczne?

CAMPBELL: Oczywiście że było.

MOYERS: Rozumiem te tęsknoty. W młodości miałem pewne stałe punkty odniesienia. Ich niezmiennosc dodawała mi otuchy, zakreślały mi one jakiś znany horyzont. Mówiły mi, że stamtąd, z góry, patrzy na mnie kochający, łaskawy i sprawiedliwy ojciec, gotów mnie przyjąć, przez cały czas myślący o moich troskach. A teraz Saul Bellow mówi, że nauka oczyściła nasz dom z wierzeń. Ale dla mnie była w tym jakaś wartość. Dzięki tym wierzeniom jestem tym, kim jestem obecnie. Ciekawi mnie, co stanie się z dziećmi, które nie mają tych niezmiennych punktów odniesienia, tego znanego horyzontu – jednym słowem, tych mitów...

CAMPBELL: Już ci mówiłem: czytaj gazety. To jest zupełny zamęt. Mity, na pierwszym poziomie życiowym i strukturalnym, oferują wzorce życia. Ale te wzorce muszą być dostosowane do czasu, w którym żyjesz, a nasze czasy zmieniają się tak szybko, że to, co było dobre pięćdziesiąt lat temu, nie jest już dobre dzisiaj. To, co było dawniej cnotą, dzisiaj jest grzechem. A wiele z tego, co kiedyś uważano za złe, dziś stało się bieżącą koniecznością. Porządek moralny musi nadążać za moralnymi potrzebami współczesnego życia, tu i teraz. A tego właśnie nie potrafimy robić. Dawna religia przynależna jest innej epoce, innym ludziom, innej hierarchii ludzkich wartości, innemu światu. Cofając się w przeszłość, zrywasz kontakt z rytmem historii. Nasze dzieci tracą wiarę w religie, jakich ich uczono, i zwracają się do swojego wnętrza.

MOYERS: Nieraz za pomocą narkotyków.

CAMPBELL: Właśnie. I co widzimy? – Przeżycia mistyczne, wywoływane mechanicznie. Brałem udział w licznych konferencjach psychologicznych, zajmujących się całą tą problematyką różnicy między doświadczeniem mistycznym a psychicznym załamaniem narkotycznym. Różnica jest taka, że

narkoman topi się w wodzie, w której mistyk pływa swobodnie. Do takiego doświadczenia trzeba być dobrze przygotowanym.

MOYERS: Mówisz o kulturze pejotlu, która pojawiła się i zapanowała wśród Indian w następstwie tego, że utracili bizona i dawny sposób życia.

CAMPBELL: Tak. Jeśli chodzi o stosunki narodów cywilizowanych z ludami tubylczymi, nasza historia stanowi jeden z najgorszych przykładów. Te ludy utraciły swoją osobowość. Nie figurują nawet w statystykach wyborców w Stanach Zjednoczonych. Była taka krótka chwila zaraz po Amerykańskiej Rewolucji, kiedy pewna liczba wybitnych Indian rzeczywiście uczestniczyła w rządzeniu Ameryką i w jej życiu. George Washington powiedział, że Indianie powinni zostać włączeni w naszą kulturę jako pełnoprawni członkowie. Zamiast tego zmieniono ich w relikty przeszłości. W dziewiętnastym wieku wszystkich Indian zamieszkujących na południowym wschodzie załadowano na wagony i przewieziono pod wojskową eskortą na tak zwane ówczesne Terytorium Indiańskie, które na wieczne czasy oddano Indianom jako ich własny świat. Po kilku latach odebrano im je.

Antropologowie badali niedawno grupę Indian z północno-zachodniego Meksyku, mieszkających o parę mil od głównego obszaru naturalnego występowania pejotlu. Pejotl jest ich zwierzęciem – to znaczy, kojarzą go oni z jeleniem. Organizują specjalne wyprawy, żeby go zbierać i przynosić do wiossek.

Te wyprawy to podróże mistyczne ze wszystkimi szczegółami właściwymi typowej podróży mistycznej. Najpierw następuje uwolnienie się od obowiązków życia świeckiego. Każdy wyruszający na wyprawę musi całkowicie wyspowiadać się ze wszystkich występków, jakie popełnił – albo popełniła – w ostatnim okresie. Jeśli ludzie tego nie zrobią, magia nie będzie działać. Potem wyruszają w podróż. Używają nawet specjalnego, negatywnego języka. Na przykład zamiast mówić „tak”, mówią „nie”, albo zamiast „wyruszamy”, mówią „przybývámy”. Przebývają w innym świecie.

W ten sposób wkraczą w przygodę. Na całej trasie mają specjalne sanktuaria, symbolizujące etapy wewnętrznej przemiany. Potem zaczyna się cała ta wielka sprawa ze zbieraniem pejotlu. Pejotl się zabija, tak jakby był

jeleniem. Mężczyźni podkradają się do niego i wypuszczają małą strzałę, następnie zaś odprawiają obrzęd zbierania pejotlu.

Cała impreza jest dokładną kopią doświadczeń związanych z podróżą do wewnątrz, kiedy to człowiek opuszcza świat zewnętrzny i wkracza w królestwo bytów duchowych. Oni każde, najmniejsze nawet stadium utożsamiają z przemianą duchową. Przez cały czas przebywają w miejscu świętym.

MOYERS: Ale po co cała ta komplikacja?

CAMPBELL: Cóż, ma to związek z faktem, że pejotl to nie po prostu tylko pewien czynnik biologiczny, mechaniczny i chemiczny, ale i sprawiaczy przemianę duchową. Jeśli przechodzisz duchową przemianę, a nie zostałeś do tego wcześniej przygotowany, to nie potrafisz ocenić tego, co się z tobą dzieje, i twoje przeżycia będą okropne, bo będzie to „zła wycieczka”; tak to nazywają miłośnicy LSD. Ale jeśli wiesz, dokąd idziesz, unikniesz „złej wycieczki”.

MOYERS: A więc to jest przyczyna psychicznego załamania, kiedy się topisz w wodzie...

CAMPBELL: ...w której powinieneś umieć pływać, ale nie zostałeś do tego przygotowany. Tak czy owak, to odnosi się też do życia duchowego. Przemiana świadomości to straszliwe doświadczenie.

MOYERS: Ciągłe mówisz o świadomości.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Co masz na myśli?

CAMPBELL: Częścią kartezyjańskiego sposobu myślenia jest uważanie świadomości za coś specyficznego dla głowy i przekonanie, że głowa jest organem, w którym rodzi się świadomość. Tak nie jest. Głowa jest organem, który nadaje świadomości pewien określony kierunek, nastawia ją na określone cele. Ale świadomość tkwi tu, w całym ciele. Cały świat żywy kształtowany jest przez świadomość.

Mam przeświadczenie, że świadomość i energia w jakiś sposób są jednością. Tam gdzie widzisz energię życiową, jest świadomość. W świecie roślinnym na pewno jest świadomość. Gdy się mieszka w lesie, tak jak ja w czasach chłopięcych, widzi się wszystkie te rozmaite świadomości, jak spletają się z sobą. Jest świadomość roślinna i świadomość zwierzęca, a my

mamy udział w nich obu. Zjadasz pewien pokarm, a twoja żółć od razu wie, gdzie znajduje się coś dla niej, żeby mogła zacząć to obrabiać. Cały ten proces jest świadomy. Jego interpretacja czysto mechanistyczna nic nie daje.

MOYERS: W jaki sposób przekształcamy świadomość?

CAMPBELL: Zależy, o czym chcesz rozmyślać, na co się nastawiasz. Do przemiany służy medytacja. Całe życie jest medytacją, po większej części nieświadomą. Mnóstwo ludzi większą część życia spędza medytując, skąd wziąć jakąś siłę i na co ją wydać. Jeśli masz rodzinę, myślisz o rodzinie, troszczysz się o nią. Są to troski bardzo ważne, ale związane przede wszystkim z okolicznościami fizycznymi. Tylko w jaki sposób przekażesz świadomość duchową swoim dzieciom, jeśli sam jej nie masz? A jak ją uzyskać? Mity są po to, żeby przenieść nas na duchowy poziom świadomości.

Tylko jeden przykład: Znalazłem się na rogu 51 Ulicy i Piątej Alei, po czym wszedłem do katedry Św. Patryka. Porzuciłem ruchliwe miasto, jedno z najbardziej ożywionych centrów ekonomicznych na tej planecie. Wchodzę do katedry, gdzie wszystko wokół mnie mówi o tajemnicach duchowych. O tajemnicy krzyża i o tylu jeszcze innych rzeczach... Witraże w oknach tworzą inną atmosferę. Moja świadomość zostaje przeniesiona na zupełnie inny poziom, jestem na innej płaszczyźnie. A kiedy wychodzę, znów jestem na poziomie ulicy. Otóż: czy mogę zatrzymać coś z tej „świadomości katedralnej”? Celem pewnych modlitw i rozmyślań jest utrzymanie świadomości na tym poziomie, tak żeby nie spadała ustawicznie na niższy. W końcu siłą rzeczy spostrzegasz, że ten zwykły poziom jest po prostu niższym poziomem tamtej, wyższej świadomości. Wyrażona w niej tajemnica działa na przykład w tym, co się tyczy twoich pieniędzy. Pieniądze to zamrożona energia. Myślę, że w tym tkwi klucz do zrozumienia, jak przekształcić swoją świadomość.

MOYERS: Czy zastanawiając się nad tymi historiami, nie masz niekiedy wrażenia, że topisz się w snach innych ludzi?

CAMPBELL: Nie wysłuchuję snów innych ludzi.

MOYERS: Ale przecież wszystkie te mity to ludzkie sny.

CAMPBELL: Ależ nie, wcale nie. To są sny świata. Sny archetypowe, o wielkich ludzkich problemach. Mam świadomość, kiedy, w której chwili



John Wayne w filmie Synowie Katie Elder.

*W filmach jest coś magicznego.
Człowiek, na którego patrzysz,
znajduje się jednocześnie gdzieś indziej.*

stają przed jednym z takich progów. Mit mówi mi o nim i podpowiada, jak reagować na takie czy inne kryzysy, rozczarowania, zachwyty, klęski i sukcesy. Mity mówią mi, gdzie w danej chwili jestem.

MOYERS: Co się dzieje, gdy człowiek staje się legendą? Czy na przykład mógłbyś powiedzieć, że John Wayne stał się mitem?

CAMPBELL: Kiedy jakiś człowiek staje się wzorcem życiowym dla innych, to znaczy, że wszedł w sferę istnienia zmitologizowanego.

MOYERS: Tak często się dzieje z aktorami filmowymi, którzy dostarczają nam licznych wzorców.

CAMPBELL: Pamiętam, że gdy byłem chłopcem, moim wzorcem był Douglas Fairbanks. Dla mojego brata był nim Adolphe Menjou. Ci ludzie, rzecz jasna, odgrywali role postaci mitycznych. Byli wychowawcami, wprowadzali nas w życie.

MOYERS: Dla mnie najbardziej fascynującą postacią w dziejach kina był Shane. Czy widziałeś film *Shane*?

CAMPBELL: Nie.

MOYERS: To jest klasyczna opowieść o obcym, który przyjeżdża skądś, z zewnątrz, robi coś dobrego dla innych i odjeżdża, nie czekając na nagrodę. Dlaczego filmy działają na nas tak mocno?

CAMPBELL: W filmach jest coś magicznego. Człowiek, na którego patrzysz, znajduje się jednocześnie gdzie indziej. To jest cecha boska. Kiedy aktor filmowy przychodzi do teatru, wszyscy oglądają się i patrzą na aktora filmowego. To on jest w tej chwili prawdziwym bohaterem. Znajduje się jakby na innej płaszczyźnie, ma osobowość wielopostaciową.

Ten, kogo oglądasz na ekranie, nie jest naprawdę nim, a jednak to „on” tam się pojawia. Pod tą mnogością postaci, form, kryje się jakaś jedna, pierwotna, z której wszystko to wypływa, i ty ją widzisz.

MOYERS: Zdaje się, że tylko filmy tworzą te wielkie postacie, natomiast telewizja kreuje tylko przejściowe sławy. Stają się one nie tyle wzorcami, co obiektem plotek.

CAMPBELL: Może dlatego, że postacie z telewizji oglądamy u siebie w domu, a nie w specjalnej świątyni, jaką jest sala kinowa.

MOYERS: Wczoraj widziałem zdjęcie najnowszego hollywoodzkiego idola, Rambo, weterana wojny wietnamskiej, który powraca tam, żeby ratować jeńców wojennych; wokół szaleje śmierć i zniszczenie, a on wyciąga ich stamtąd. Jak mi wiadomo, jest to najbardziej popularny film w Bejrucie. Na fotografii widać nową lalkę Rambo, wypuszczoną na rynek przez tę samą firmę, która produkuje lalki typu Cabbage Patch. Na pierwszym planie jest taka rozkoszna, słodka laleczka, a za nią – Rambo, brutalna siła.

CAMPBELL: Obie są postaciami mitycznymi. W tej chwili nasuwa mi się na myśl obraz Picassa *Minotauremachie*, sztych, na którym widać zbliżającego się wielkiego byka-potwora. Po drabinie wspina się przerażony filozof, chce uciec stamtąd. Na arenie leży zabity koń, a na nim – kobieta-matador, również zabita. Jediną istotą wychodzącą naprzeciw okropnemu zwierzowi jest mała dziewczynka z kwiatkiem w dłoni. Oto właśnie obie figury, o jakich przed chwilą mówiłeś – jedna zwyczajna i dziecięco niewinna, druga przedstawiająca straszliwą groźbę. Masz tu jak na dłoni problemy dnia dzisiejszego.

MOYERS: Poeta Yeats czuł, że żyjemy pod koniec wielkiego cyklu chrześcijańskiego. W swoim wierszu *Drugie Przyjście* mówi: „Kołując coraz to szerszą spiralą, / Sokół przestaje słyseć sokolnika; / Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; / Czysta anarchia szaleje nad światem, / Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół / Zatapiając obrzędy dawnej niewinności”. Co widzisz, pełznąca „w stronę Betlejem, by tam się narodzić”? *

CAMPBELL: Nie wiem, co się zbliża, tak jak nie wiedział tego poeta Yeats, ale gdy nadchodzi kres jednej epoki i początek drugiej, to wchodzimy w okres strasznego cierpienia i zamętu. To zagrożenie, które czujemy wszyscy i każdy z osobna... Jest takie pojęcie – Armageddon, rozumiesz; on się zbliża.

MOYERS: „Stałem się Śmiercią, Destruktorem światów” – powiedział Oppenheimer, widząc wybuch pierwszej bomby atomowej. Ale ty chyba nie myślisz, że to będzie nasz koniec, co?

CAMPBELL: To nie będzie koniec. Może to będzie koniec życia na tej planecie, ale to jeszcze nie koniec wszechświata. Ta nasza eksplozja to zwykle partactwo w porównaniu ze wszystkimi eksplozjami, jakie zachodzą

* Przel. St. Barańczak.

na wszystkich słońcach wszechświata. Wszechświat to snop wybuchających atomowych pieców, takich jak nasze Słońce. Więc my tutaj mamy tylko małą imitację tego całego wielkiego interesu.

MOYERS: Czy możesz sobie wyobrazić, że gdzieś indziej jakieś inne stworzenia siedzą sobie i wymyślają dla swej krótkiej, przelotnej podróży sens taki sam, jaki mają nasze mity i wielkie opowieści?

CAMPBELL: Nie. Gdy sobie uprzytamniasz, że jeśli temperatura podniesie się o pięćdziesiąt stopni i zatrzyma się, to życie na Ziemi przestanie istnieć, i że jeśli spadnie, powiedzmy, o sto stopni i tam się zatrzyma, to życie również zginie; i gdy sobie wyobrazisz, jak delikatna jest ta równowaga, jak ważna jest odpowiednia ilość wody – no więc, kiedy pomyślisz o wszystkich tych przypadkowych czynnikach w otoczeniu, które sprzyjały życiu, to jak możesz dopuścić myśl, że znana nam postać życia mogłaby zaistnieć na którejkolwiek innej częściej wszechświata, niezależnie od liczby satelitów krążących wokół gwiazd?

MOYERS: To kruche życie trwa w ciągłym lęku przed możliwością zagłady. Obraz słodkiej laleczki zestawionej ze szkaradnym Rambo nie klóci się chyba z tym, co za pośrednictwem mitologii wiemy o życiu?

CAMPBELL: Nie, absolutnie nie.

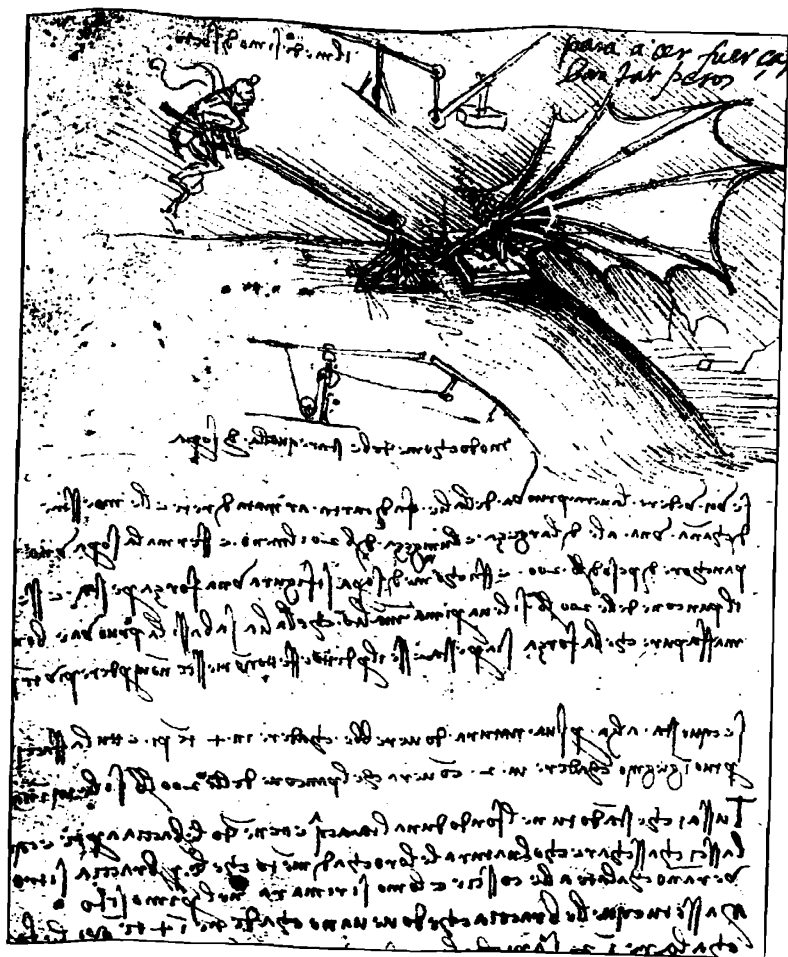
MOYERS: Czy w nowoczesnym świecie dostrzegasz jakieś inne metafory dla starych, uniwersalnych prawd?

CAMPBELL: Widzę możliwość nowych metafor, ale, moim zdaniem, nie stały się one jeszcze mitami.

MOYERS: Jak sądzisz, przez jakie mity maszyna zostanie włączona w nowy świat?

CAMPBELL: Cóż, samochody weszły już do mitologii. Przeniknęły w ludzkie sny. Również samoloty w dużym stopniu służą celom wyobraźni. Lot samolotu na przykład symbolizuje w naszej wyobraźni oderwanie się od ziemi, poniekąd tak samo jak symbolizują to ptaki. Ptak to symbol wyzwolenia się ducha z więzów przykuwających go do ziemi; te więzy z kolei symbolizuje wąż. Obecnie rolę ptaka pełni samolot.

MOYERS: A inne metafory?



Odręczny rysunek maszyny latającej, Leonardo da Vinci (1452–1519).

Lot samolotu

symbolizuje w naszej wyobraźni

oderwanie się od ziemi,

poniekąd tak samo,

jak symbolizują to zwykłe ptaki.

CAMPBELL: Oczywiście broń. W każdym filmie, jaki oglądam, podróżując samolotem tam i z powrotem między Kalifornią i Hawajami, występują ludzie z rewolwerami. No i Księżę Zagłady, też uzbrojony. Rozmaite przyrządy przejmują funkcje, których instrumenty wcześniej używane już nie potrafią wypełniać. Ale oprócz tego nic specjalnego nie widzę.

MOYERS: A więc nowe mity będą służyć starym historiom. Oglądając *Wojny gwiazdne*, przypomniałem sobie zdanie ze św. Pawła: „Walczę z Panowaniami i Potęgami”. To było dwa tysiące lat temu. A na ścianach jaskiń myśliwych z wczesnej epoki kamienia też są sceny pokazujące walkę z panowaniami i potęgami. W naszych mitach współczesnej ery technicznej nadal prowadzimy tę walkę.

CAMPBELL: Człowiek nie powinien poddawać się potęgom zewnętrznym, ale im rozkazywać. Jak to zrobić – w tym tkwi cały problem.

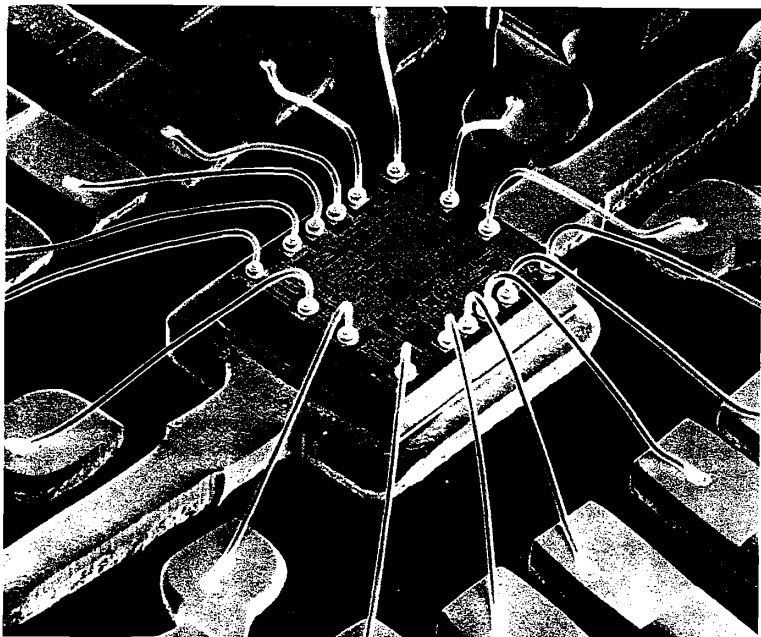
MOYERS: Kiedy nasz najmłodszy syn obejrzał *Wojny gwiazdne* dwunasty albo trzynasty raz z rzędu, spytałem go: „Dlaczego oglądasz je tak często?” A on mi na to: „Z tego samego powodu, dla którego ty przez całe życie czytasz w kółko Stary Testament”. Znalazł się w świecie nowego mitu.

CAMPBELL: Faktem jest, że *Wojny gwiazdne* rysują przekonującą perspektywę mitologiczną. Film ukazuje państwo jako maszynę i stawia pytanie: „Czy maszyna zmiążdży człowieczeństwo, czy też będzie mu służyć?” Źródłem człowieczeństwa jest nie maszyna, ale serce. Ja w *Wojnach gwiazdnych* widzę ten sam problem, który stawia przed nami *Faust*: Mefistofeles, „człowiek maszynowy”, może nam zapewnić wszelkie środki, a więc możliwe, że będzie chciał też określać cele życia. Jednakże Faust ma taką cechę charakteru, która predestynuje go do zbawienia – mianowicie poszukuje celów innych niż cele maszyny.

Gdy Luke Skywalker zdziera maskę z twarzy ojca, wyswobadza go z roli maszyny, którą ojciec grał. Ojciec był mundurem. Mundur oznacza władzę, rolę państwa.

MOYERS: Maszyny pomagają nam urzeczywistnić ideę, że świat powinien być uczyniony na nasz obraz i podobieństwo, bo my chcemy, żeby był taki, jaki, naszym zdaniem, być powinien.

CAMPBELL: Tak. Ale później przychodzi moment, kiedy maszyna zaczyna ci rozkazywać. Na przykład: kupiłem sobie tę cudowną maszynę, komputer.



„Kostka” z komputera.

Czy nie można by przyjąć wobec twojego komputera postawy owego wodza Indian, który powiedział, że wszystkie rzeczy mówią o Bogu? Pomijając przywilej specjalnego objawienia, Bóg przecież jest we wszystkich swoich dziełach, włącznie z komputerem.

Ponieważ jestem poniekąd autorytetem w sprawach bogów, więc zaraz zidentyfikowałem tę maszynę. Otóż dla mnie jest ona bogiem ze Starego Testamentu, zawiera mnóstwo nakazów, ale nie ma litości.

MOYERS: Znam jedną kapitalną historyjkę o prezydencie Eisenhowerze i pierwszym komputerze...

CAMPBELL: ...Jak to Eisenhower wszedł do pomieszczenia pełnego komputerów i zadał tym maszynom pytanie: „Czy istnieje Bóg?” Wszystko poszło w ruch, zapaliły się lampki, kółka zaczęły się kręcić, a po chwili odzywa się głos: „T e r a z już jest”.

MOYERS: A czy nie można by przyjąć wobec twojego komputera postawy owego wodza Indian, który powiadał, że wszystkie rzeczy mówią o Bogu? Pomijając przywilej specjalnego objawienia, Bóg przecież jest we wszystkich swoich dziełach, włącznie z komputerem.

CAMPBELL: Oczywiście. To, co się dzieje na tym ekranie, zakrawa na cud. Czy zaglądałeś kiedyś do środka takiego urzędnika?

MOYERS: Nie, i nie mam zamiaru.

CAMPBELL: To zupełnie nie do wiary. Masz tam całą hierarchię anielską – wszystko na płytkach. No i ta plątanina rurek... Wszystko to jest cudem.

Mój komputer oświecił mnie co do mitologii. Gdy kupujesz określony *software*, to masz tam cały zestaw sygnałów wiodących do realizacjiżądanego celu. Jeśli zaczynasz na chybił trafił uruchamiać sygnały należące do *software*'u innego systemu, po prostu nie będą one działać.

Podobnie jest w mitologii. Jeśli masz mitologię, w której metaforą tajemnicy jest ojciec, to otrzymujesz inny zestaw sygnałów niż wówczas, gdy metaforą mądrości i tajemnicy świata jest matka. A obie te metafory są równie doskonałe. Żadna z nich nie jest faktem, lecz tylko metaforą. To jest tak, jak gdyby wszechświat był moim ojcem. Albo jak gdyby wszechświat był moją matką. Jezus powiada: „Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie”. Ojciec, o którym mówił, był ojcem biblijnym. Do ojca mógłbyś więc dostać się tylko za pośrednictwem Jezusa. Jeśli natomiast założymy pośrednictwo matki, mógłbyś woleć Kali, hymny do bogini i tak dalej. Jest to po prostu inna droga dotarcia do tajemnicy twojego życia. Musisz przyjąć do wiadomości, że każda religia to swego



Przeddynastyczne bóstwo ptasie.

*Jeśli masz mitologię,
w której metaforą tajemnicy jest ojciec,
to otrzymasz inny zestaw sygnałów niż wówczas,
gdy metaforą mądrości i tajemnicy świata jest matka.
Jednakże obie te metafory
są równie doskonałe.*

rodzaju *software*, który posiada własny zestaw sygnałów i zdolny jest do operowania nimi.

Jeśli ktoś jest rzeczywiście zaangażowany w religię i naprawdę buduje na niej swoje życie, to lepiej, żeby pozostał przy *software*, jaki otrzymał. Natomiast taki facet jak ja, lubiący się bawić z *software*... Cóż, potrafię hasać tu i tam, ale prawdopodobnie nigdy nie będę mógł przeżyć czegoś podobnego do tego, co przeżywa święty.

MOYERS: Ale czy najwięksi święci nie czerpali ze wszystkich możliwych źródeł? Brali z różnych stron i budowali nowy *software*.

CAMPBELL: To właśnie nazywamy rozwojem religii. Możesz to widzieć w Biblii. Z początku jej Bóg był po prostu bogiem najmocniejszym spośród wszystkich. Po prostu jednym z bogów lokalnych, plemiennych. Potem, w szóstym wieku, gdy Żydzi byli w Babilonie, powstała koncepcja zbawiciela świata, i biblijne bóstwo przybrało nowy wymiar.

Starą tradycję możesz utrzymać przy życiu tylko odnawiając ją stosownie do aktualnych okoliczności. W czasach Starego Testamentu świat był po prostu zwykłym trójwarstwowym ciastkiem, rozłożonym na kilkaset mil wokół paru ośrodków na Bliskim Wschodzie. Nikt jeszcze nie słyszał wówczas o Aztekach ani nawet o Chińczykach. Kiedy świat się zmienia, religia też musi ulec przemianie.

MOYERS: Mnie się zdaje, że my to właśnie robimy.

CAMPBELL: Raczej powinniśmy. Dla mnie czymś naprawdę okropnym jest to, co widzimy w Bejrucie. Mamy tam trzy wielkie religie Zachodu – judaizm, chrześcijaństwo i islam, które nie potrafią ze sobą współżyć, bo tego samego biblijnego boga nazywają trzema różnymi imionami. Uczepiły się każda swojej metafory i zapomniały o jej treści. Nie chciały dopuścić do otwarcia się otaczającego ich kręgu. Jest to krąg zamknięty. Każda z tych grup mówi: „My jesteśmy wybrani, i to my mamy Boga”.

Spójrz na Irlandię. W siedemnastym wieku grupa protestantów została przez Cromwella przeniesiona do Irlandii, ale nigdy nie otwarła się na mieszkającą tam katolicką większość. Katolicy i protestanci reprezentują dwa całkowicie różne systemy społeczne, dwa odmienne ideały.

MOYERS: Obie strony potrzebują nowego mitu.

CAMPBELL: Tak, każda z nich musi mieć własny mit. Miłuj nieprzyjaciół twoje. Bądź otwarty. Nie osądzaj. Wszystko to jest u Buddy. No i w micie. Wszystko to już tam jest.

MOYERS: Opowiadasz nieraz anegdotkę o pewnym krajowcu z dżungli, który powiedział kiedyś misjonarzowi: „Twój bóg zamknął się w chacie i siedzi, jak gdyby był stary i niedołężny. Nasz mieszka w lesie, jest też na polach i w górach, gdy przychodzi deszcz”. Zdaje się, że tak jest w istocie.

CAMPBELL: Tak. Widzisz, to jest problem, który spostrzegasz w Księdze Królewskiej i u Samuela. Wielu żydowskich królów składało ofiary na szczytach gór. W oczach Jahwe czynili źle. Kult Jahwe był specyficznym nurtem w społeczności żydowskiej, i w końcu wygrał. Przeworsowano kult boga związanego ze świątynią, eliminując kult natury, uprawiany powszechnie w tych okolicach.

Ten „imperialistyczny” napór kultury niewielkiej, zamkniętej grupy trwa nadal na Zachodzie. Jednakże teraz będzie musiała się ona otworzyć na prawdziwą istotę rzeczywistości. Jeśli potrafi się otworzyć, wszelkie możliwości są jeszcze przed nią.

MOYERS: To jasne, że my, ludzie nowocześni, odzieramy świat z jego naturalnych objawień, z samej przyrody. Myślę o tej pigmejskiej legendzie opowiadającej o chłopcu, który w lesie znalazł pięknie śpiewającego ptaszka i przyniósł go do domu.

CAMPBELL: Prosi ojca, żeby przyniósł dla ptaszka jedzenie, ale ojciec nie chce; co tam będzie karmił zwykłego ptaka... I zabija go. Legenda mówi, że człowiek, zabijając ptaka, zabił też pieśń, a razem z pieśnią – siebie. Upadł martwy, zupełnie i na amen martwy, i pozostał martwy na zawsze.

MOYERS: Czy to nie jest opowieść o tym, co się dzieje, gdy ludzie niszczą swoje otoczenie? Swój świat? Naturę i jej cuda?

CAMPBELL: Niszczą też swoją własną naturę. Zabijają pieśń.

MOYERS: A czy mitologia to nie jest właśnie opowieść o pieśni?

CAMPBELL: Ona sama jest pieśnią. Jest pieśnią wyobraźni inspirowaną przez energie ciała. Pewnego razu mistrz zen stanął przed swoimi adeptami, by wygłosić kazanie. Wtem, właśnie gdy miał otworzyć usta, zaśpiewał ptak. Mistrz powiedział: „Kazanie zostało wygłoszone”.

MOYERS: Chciałem powiedzieć, że sami tworzymy mity, ale ty mówisz, że nie, że każdy z mitów, jakie obecnie opowiadamy, ma po części źródło w naszych przeszłych doświadczeniach.

CAMPBELL: Główne motywy mitów są te same i zawsze były te same. Jeśli chcesz stworzyć własną mitologię, sprawą zasadniczą jest to, z jaką społecznością się wiążesz. Każda mitologia ukształtowała się w obrębie pewnej społeczności, w zamkniętym połu. Następnie one zderzają się z sobą, wchodzą z sobą w kontakt i stapiają się, i w ten sposób otrzymujesz mitologię bardziej złożoną.

Ale dzisiaj nie ma granic. Dzisiaj jedyną prawdziwą mitologią jest mitologia planetarna – a takiej nie mamy. Spośród znanych mi rzeczy czymś najbliższym mitologii planetarnej jest buddyzm, postrzegający wszystkie istoty jako mające w sobie pierwiastek buddy. Jedyne problem polega na rozpoznaniu tego faktu. I kropka. Jedyne nasze zadanie to wiedzieć, jak się rzeczy mają, i zachowywać się stosownie do braterstwa łączącego wszystkie te istoty.

MOYERS: Braterstwa?

CAMPBELL: Tak. Otóż w większości znanych mi mitów braterstwo ograniczone jest do zamkniętej społeczności. W społecznościach zamkniętych agresja projektowana jest na zewnątrz.

Jedno z dziesięciorga przykazań mówi na przykład: „Nie zabijaj”. A w następnym rozdziale czytamy: „Idź do Kanaanu i zabij wszystkich, którzy tam są”. A więc jest to pole zamknięte. Mity mówiące o wspólnocie i miłości odnoszą się tylko do grupy wewnętrznej, grupa zewnętrzna zaś to coś całkowicie innego. Taki właśnie jest sens słowa *gentilis* [niewierny, goj] – czyli osoba nie należąca do tego samego porządku.

MOYERS: Skoro nie ubierasz się tak jak ja, to znaczy, że nie jesteśmy tego samego rodu.

CAMPBELL: Tak. Ale czymże jest mit? Słownikowa definicja mitu to „opowieści o bogach”. Więc zadajesz następne pytanie: Czym jest bóg? Bóg jest personifikacją sił kierujących nami albo systemu wartości, które funkcjonują w ludzkim życiu i we wszechświecie; bogowie to moce twojego ciała i natury. Mity są metaforami duchowych mocy człowieka, a te same moce, które przenikają nasze życie, przenikają też życie wszechświata. Ale

są też mity i bogowie powiązani z poszczególnymi społecznościami lub bóstwami opiekuńczymi danej społeczności. Innymi słowy, istnieją dwa całkowicie różne porządki mitologiczne. Jeden wiąże cię z twoją własną naturą i ze światem przyrody, którego jesteś częścią. Druga mitologia jest ściśle socjologiczna, wiąże cię z określoną społecznością. Bo przecież nie jesteś po prostu człowiekiem naturalnym, ale członkiem konkretnej grupy. W dziejach mitologii europejskiej widać przeplatanie się tych dwu systemów. Zazwyczaj system zorientowany społecznie związany jest z ludem koczowniczym, przenoszącym się z miejsca na miejsce, więc uczy cię on, że właśnie tam, w obrębie tej grupy, znajduje się twoje centrum. Mitologia zorientowana przyrodniczo byłaby zatem charakterystyczna dla ludu rolniczego.

Tradycja biblijna jest mitologią zorientowaną społecznie. Natura jest tutaj potępiona. W dziewiętnastym wieku uczeni uważali mitologię i rytuał za próby podporządkowania natury człowiekowi. Ale to jest magia, nie mitologia ani religia. Religie natury mają na celu nie poddanie przyrody człowiekowi, ale dopomożenie mu w osiągnięciu z nią zgody. Jeśli jednak uważasz naturę za złą, nie żyjesz z nią w zgodzie; poddajesz ją sobie albo tego próbujesz, i stąd biorą się napięcia, niepokój, wycinanie lasów, unicestwianie plemion tubylczych. Akcentowanie tych spraw oddziela nas od natury.

MOYERS: A więc dlatego tak łatwo podbijamy i ujarzmiamy naturę – że mamy dla niej pogardę i widzimy w niej tylko coś, co ma nam służyć?

CAMPBELL: Tak. Nigdy nie zapomnę tego, co przeżyłem kiedyś w Japonii, w miejscu, gdzie nikt nigdy nie słyszał o Upadku i Ogrodzie Edeńskim. Jeden z tekstów szintoistycznych mówi, że to, co robi natura, nie może być złe. Żadnego naturalnego impulsu nie należy poprawiać, ale tylko sublimować, zmieniać w piękno. Cudowne jest tamtejsze zainteresowanie pięknem przyrody i współdziałanie z nią, toteż w niektórych ogrodach, jakie tam widzisz, nie wiesz, gdzie zaczyna się przyroda, a kończy sztuka... Było to dla mnie niezwykle przeżycie.

MOYERS: Dobrze, Joe, ale dzisiejsze Tokio w sposób jaskrawy zaprzecza temu ideałowi. W tym mieście przyroda właściwie przestała istnieć, z wyjątkiem niewielkich ogródków, pieszczonych z miłością przez garstkę ludzi.

CAMPBELL: Jest w Japonii takie powiedzenie: płyn razem z falą. A znów bokserzy mówią: uginaj się pod ciosem. Dopiero jakieś sto dwadzieścia lat temu Perry siłą otworzył Japonię na świat. Przez ten czas Japończycy przejmowali z Zachodu całe straszliwe brzemie techniki. Tam, na miejscu, stwierdziłem jednak, że zabrali się do tego wszystkiego po swojemu i usiłują ten świat maszyn dostosować do siebie. Gdy wchodzisz do wnętrza budynków, znowu znajdujesz się w Japonii. Tylko na zewnątrz wygląda to tak jak w Nowym Jorku.

MOYERS: „Po swojemu...” To interesujące, bo choć wokół nich wyrastają miasta, w głębi duszy, a więc tam, gdzie mieszka człowiek wewnętrzny, oni nadal – jak sam mówisz – zachowują zgodę z przyrodą.

CAMPBELL: W Biblii jednak wieczność oddala się, a natura jest zepsuta, upadła. Według myślenia biblijnego, żyjemy na wygnaniu.

MOYERS: My tu sobie siedzimy i gadamy, a z Bejrutu tymczasem dochodzą ciągle wieści o eksplodujących samochodach-pułapkach: muzułmanie przeciwko chrześcijanom, chrześcijanie przeciwko muzułmanom i chrześcijanie przeciwko chrześcijanom. To uderzające, jak bardzo miał rację Marshall McLuhan mówiąc, że dzięki telewizji świat stał się wioską globalną; nie wiedział tylko, że tą wioską będzie Bejrut. Co o tym myślisz?

CAMPBELL: Myślę, że oni wszyscy nie umieją odnieść swoich poglądów religijnych do współczesnego życia i raczej do poszczególnych ludzi, a nie tylko do własnej wspólnoty. Jest to straszliwy przykład porażki religii w zetknięciu ze współczesnymi problemami. Te trzy mitologie dają tego dowód przez tę wojnę. Całkowicie zdyskwalifikowały się na przyszłość.

MOYERS: Jakiego nowego mitu nam potrzeba?

CAMPBELL: Takiego, który by utożsamiał jednostkę nie z jej własną, lokalną grupą, ale z całą planetą. Jego wzorcem mogą być Stany Zjednoczone. Istniało tu kiedyś trzynaście małych, odrębnych narodów kolonialnych, które postanowiły działać w interesie wspólnym, nie lekceważąc jednak swoich indywidualnych interesów.

MOYERS: Widzimy coś na ten temat na amerykańskiej pieczęci państwowej.

→

Rysunek piramidy na pieczęci państwowej Stanów Zjednoczonych.

*Gdy jesteś na dole,
na niższych poziomach tej piramidy,
znajdujesz się po jednej albo po drugiej jej stronie.
Jeśli jednak wydrapiesz się na jej wierzchołek,
wszystkie punkty się zbiegają
i tam właśnie otwiera się oko Boga.*



Piramidy w Gizie.

*W Egipcie piramida przedstawia pierwotny wzgórek.
Gdy po corocznym wylewie
wody Nilu zaczynają opadać,
pierwszy wylaniający się wzgórek
symbolizuje odrodzony świat.
To właśnie pokazuje Wielka Pieczęć.*

CAMPBELL: Cała Wielka Pieczęć jest właśnie o tym. Jej kopię mam w kieszeni pod postacią banknotu dolarowego. Jest tam mowa o idealach, jakie ukształtowały Stany Zjednoczone. Spójrz na ten banknot. O, tu, gdzie narysowana jest pieczęć Stanów Zjednoczonych. Popatrz na tę piramidę po lewej. Ma ona cztery boki. To cztery kierunki kardynalne. Tu stoi ktoś, tam stoi ktoś, a tam – jeszcze ktoś inny. Gdy jesteś na dole, na niższych poziomach tej piramidy, znajdziesz się po jednej albo drugiej jej stronie. Jeśli jednak wydrapiesz się na jej wierzchołek, wszystkie punkty się zbiegają i tam właśnie otwiera się oko Boga.

MOYERS: Dla nich był on bogiem rozumu.

CAMPBELL: Tak. To jest pierwszy naród na świecie, który ukształtował się na fundamentcie rozumu zamiast po prostu wojny. Ci panowie byli osiemnastowiecznymi deistami. W górze jest napis: „W Bogu nasza ufność”. Ale nie jest to Bóg biblijny. Ci ludzie nie wierzyli w Upadek. Nie uważali, żeby umysł człowieka był odcięty od Boga. Umysł człowieka, oczyszczony z drugorzędnych i całkowicie doczesnych trosk, z jasnością czystego zwierciadła kontempluje odbicie rozumnego umysłu Boga. Poprzez rozum nawiązujesz kontakt z Bogiem. Dlatego ci ludzie uważali, że nigdzie nie ma żadnego specjalnego objawienia – i zresztą nie jest ono potrzebne, bo umysł człowieka, oczyszczony ze swoich ułomności, ma wystarczającą zdolność poznania Boga. Tak więc wszyscy ludzie na świecie są do tego zdolni, bo wszyscy dysponują rozumem.

Wszyscy ludzie są zdolni do używania rozumu. Jest to fundamentalna zasada demokracji. Ponieważ umysł każdego człowieka jest zdolny do uzyskania prawdziwej wiedzy, zbędny jest jakiś specjalny autorytet bądź specjalne objawienie mówiące ci, że wszystko na świecie ma być tak a tak, nie inaczej.

MOYERS: A jednak te symbole pochodzą z mitologii.

CAMPBELL: To prawda, ale jest to mitologia swoista. Ta mitologia głosi specjalnego objawienia. Hindusi na przykład nie wierzą w specjalne objawienie. Mówią natomiast o stanie, w którym uszy otwierają się na pieśń wszechświata. Tutaj na blask umysłu Boga otwarło się oko. Jest to fundamentalna idea deizmu. Skoro odrzucisz ideę Upadku w Ogródzie Edeńskim, to przyjmujesz, że człowiek nie jest odcięty od swego źródła.

Ale wróćmy do Wielkiej Pieczęci. Gdy policzysz rzędy w tej piramidzie, znajdziesz ich trzynaście, u samego dołu zaś zobaczysz napis cyframi rzymskimi. Jest to oczywiście rok 1776. Otóż dodając jeden do siedmiu, a siedem do sześciu, otrzymujesz dwadzieścia jeden. To wiek rozumu, nieprawda? Właśnie w 1776 r. trzynaście stanów ogłosiło niepodległość. Liczba trzynaście jest liczbą przemiany i odrodzenia. Na Ostatniej Wieczery było dwunastu apostołów i jeden Chrystus, który miał umrzeć i odrodzić się. Trzynaście to liczba wyzwania się z granic dwunastu i przejścia do transcendencji. Masz dwanaście znaków zodiaku i słońce. Ci ludzie mieli pełną świadomość trzynastki jako liczby zmartwychwstania i odrodzenia oraz nowego życia i wykorzystywali tę symbolikę przez cały czas.

MOYERS: Zresztą tych stanów naprawdę było trzynaście.

CAMPBELL: Właśnie, i czy nie jest to symboliczne? To nie po prostu przypadek. Tych trzynaście stanów same przez się było symbolami.

MOYERS: To tłumaczyłoby drugi napis tam, w dole: *Novus Ordo Seclorum*.

CAMPBELL: „Nowy porządek świata”. To jest nowy porządek świata. No i napis u góry: *Annuit Coeptis* – „On uśmiechnął się na widok naszych przedsięwzięć” albo „dokonań”.

MOYERS: On...

CAMPBELL: On, czyli oko, ten, którego wyobraża oko. Rozum. Po łacinie nie musiałbyś mówić „on”, mógłbyś powiedzieć „ono”, „ona” lub „on”. Ale boska moc uśmiechem przyjęła nasze poczynania. To znaczy, że ten nowy świat został zbudowany na podobieństwo pierwotnego Bożego stworzenia i że narodził się on z odbicia w rozumie tego pierwotnego dzieła stworzenia.

Z tyłu, za piramidą, widzisz pustynię, przed nią – bujną roślinność. Wyrwaliśmy się z tej pustyni – z europejskiego zamętu, z tych ciągłych, nie kończących się wojen – i stworzyliśmy państwo w imię rozumu, nie zaś w imię władzy; z tego wszystkiego wyrosną pędy nowego życia. Taki jest sens tej części piramidy.

Spójrz teraz na prawą stronę banknotu. Widzisz tam orła, ptaka Zeusa. Orzeł symbolizuje zstąpienie boga w wymiar czasu. Ptak przedstawia zasadę

wcielenia się bóstwa. Ten orzeł jest łysy, bo to orzeł amerykański. To amerykański odpowiednik orła najwyższego bóstwa – Zeusa.

Zstępuje ono w świat par przeciwieństw, w sferę działania. Jednym sposobem działania jest wojna, drugim – pokój. Dlatego orzeł w jednej łapie trzyma trzynaście strzał; to zasada wojny. W drugiej trzyma gałązkę lauru o trzynastu liściach – to jest zasada pokojowego dialogu. Orzeł spogląda w stronę lauru. Ci idealisci, którzy założyli nasze państwo, takie właśnie wyrażali życzenie – abyśmy spoglądali w tę stronę, w stronę stosunków dyplomatycznych i tak dalej. Gdyby jednak to się nie udawało, orzeł ma, dzięki Bogu, wiązkę strzał w drugiej łapie.

Spytajmy teraz, co wyobraża ten orzeł? Otóż wyobraża to, co zawarte jest w jaśniejącej tarczy nad jego głową. W waszyngtońskim Instytucie Służby Zagranicznej miałem kiedyś wykłady na temat indyjskiej mitologii, socjologii i polityki. W indyjskim traktacie o polityce jest максима mówiąca, że władca musi w jednej dłoni dzierżyć oręż wojenny – wielką pałkę, a w drugiej – łagodny dźwięk pieśni harmonijnej współpracy. Stałem tak przed nimi, rozłożywszy obie ręce, a wszyscy się śmiali. Nie wiedziałem, o co chodzi; wtedy oni zaczęli pokazywać palcami. Odwróciłem się i zobaczyłem wiszący na ścianie, wprost za moją głową, wizerunek tego orła, dokładnie w takiej samej jak ja pozycji. Gdy mu się przyjrzałem, zobaczyłem też ten znak nad jego głową, no i dziewięć piór w jego ogonie. Dziewięć to liczba symbolizująca zstąpienie boskiej mocy na świat. Gdy dzwonią na Anioł Pański, dzwonią dziewięć razy.

Otóż nad głową orła widzimy trzynaście gwiazd rozmieszczonych w formie Gwiazdy Dawida.

MOYERS: Kiedyś to była Pieczęć Salomona.

CAMPBELL: Tak. Wiesz, dlaczego tak ją nazwano?

MOYERS: Nie.

CAMPBELL: Otóż Salomon zamykał potwory, olbrzymów i inne takie rzeczy w dzbanach. Pamiętasz, jak w arabskich bajkach *Z tysiąca i jednej nocy* ktoś otwiera dzban i wypuszcza stamtąd dzinna? Rzuciło mi się w oczy, że mamy tu Pieczęć Salomona złożoną z trzynastu gwiazd, a potem spostrzegłem, że każdy z trójkątów jest pitagorejskim tetraksem.

MOYERS: A ten tetrakys...?

CAMPBELL: To trójkąt zbudowany z dziesięciu punktów: jeden w środku, cztery z każdego boku, tak że sumują się do dziewięciu: jeden, dwa, trzy, cztery / pięć, sześć, siedem / osiem, dziewięć. Jest to najpierwotniejszy symbol filozofii pitagorejskiej, którą można interpretować na rozmaite sposoby w sensie mitologicznym, kosmologicznym, psychologicznym i socjologicznym, a wszystkie one przeplatają się z sobą. Jednym z nich jest kropka na wierzchołku reprezentująca centrum twórcze, z którego powstał cały wszechświat i wszystko, co jest.

MOYERS: A więc centrum energetyczne?

CAMPBELL: Tak. Pierwotny dźwięk (chrześcijanin powiedziałby – stworcze Słowo), który dał początek światu, Big-Bang, wypływ transcendentnej energii i jej ekspandowanie w polu czasu. Z chwilą gdy wchodzi ona w pole czasu, rozłamuje się na pary przeciwieństw, jedność staje się dwójnią. Otóż elementy dwójni mogą mieć się do siebie w trojaki sposób: albo jedno dominuje nad drugim, albo drugie nad pierwszym, albo wreszcie pozostają w równowadze i zgodzie. Koniec końców wszystko, co istnieje w przestrzeni o czterech kierunkach, wywodzi się z tych trzech typów relacji.

Laot-sy w *Tao-te-king* mówi, że z Tao, czyli transcendencji, rodzi się Jednia. Z Jedni rodzi się Dwójnia, z Dwójni – Trójnia, a z niej wszystko inne.

Kiedy więc spostrzegłem, że w Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych mamy dwa takie przeplecione z sobą symboliczne trójkąty, uświadomiłem sobie nagle, że otrzymujemy w ten sposób trzynaście punktów na trzynaście naszych początkowych stanów, a ponadto, że jest teraz ni mniej, ni więcej, tylko sześć wierzchołków: jeden w górze, jeden w dole i cztery w czterech stronach świata, by tak rzec. Wydawało mi się, że można by przypisać temu taki oto sens: z góry czy też z dołu, czy też z którejkolwiek innej strony można usłyszeć twórcze Słowo; jest to naczelna teza demokracji. W demokracji przyjmuje się, że każdy, gdziekolwiek by stał, może mówić, i to mówić prawdę, jako że jego umysł nie został odcięty od prawdy. Musi tylko oczyścić się z namiętności i może mówić.

Mamy więc tu, na tym dolarowym banknocie, orla wyobrażającego swoim wizerunkiem ów cud, jakim jest przejawianie się transcendencji w świecie. Na tym właśnie zbudowano Stany Zjednoczone. Jeśli chcesz

sprawować rządy właściwie, to musisz rządzić ze szczytu trójkąta, w sensie, jaki ma oko świata na tym szczycie.

Kiedy byłem chłopcem, dano nam tekst pożegnalnej wypowiedzi George'a Washingtona i kazano ją szczegółowo zreferować, każde zdanie w powiązaniu z innymi. Toteż pamiętam ją doskonale. Washington powiedział: „W wyniku naszej rewolucji uwolniliśmy się od zaangażowania w chaos panujący w Europie”. Mówił więc w swoim testamencie, że nie angażujemy się w sojusze z innymi państwami. Trzymaliśmy się tego aż do pierwszej wojny światowej. Potem przekreśliliśmy Deklarację Niepodległości i przyłączyliśmy się do brytyjskiego podboju świata. W ten sposób jesteśmy teraz po jednej stronie piramidy. Z jedni przeszliśmy do dwójni. W sensie politycznym i historycznym jesteśmy teraz jedną ze stron w sporze. Nie reprezentujemy już zasady tego oka, tam, w górze. Wszystkie nasze troski związane są z polityką i gospodarką, a nie z głosem rozumu.

MOYERS: Głos rozumu... Czy idzie ci o filozofię sugerowaną przez te mitologiczne symbole?

CAMPBELL: Dokładnie. Spójrz na to ważne przejście około roku 500 przed Chrystusem. Był to czas, w którym żyli Budda, Pitagoras, Konfucjusz i Lao-tsy – jeśli Lao-tsy w ogóle istniał. Przebudził się wtedy ludzki rozum. Człowiek nie jest już kształtowany i rządzony przez zwierzęce siły. Nie kieruje się już analogią z obsianą ziemią ani ruchami planet; tylko rozumem.

MOYERS: To jest droga...

CAMPBELL: ...człowieczeństwa. Ale tym, co niszczy rozum, jest oczywiście namiętność. W polityce główną namiętnością jest zachłanność. To właśnie ciągnie ludzi w dół. I dlatego jesteśmy po jednej stronie piramidy zamiast na szczycie.

MOYERS: Dlatego nasi Założyciele sprzeciwiali się nietolerancji religijnej.

CAMPBELL: Wykluczyli ją całkowicie. Zresztą z tego też powodu odrzucili ideę Upadku. Wszyscy ludzie są zdolni do poznania umysłu Boga. Żaden naród nie dysponuje jakimś specjalnym objawieniem.

MOYERS: Teraz widzę, że takie odczytanie Wielkiej Pieczęci umożliwiły ci lata studiów, od młodości, i głębokie wniknięcie w te mitologiczne symbole. Czy jednak większość tych ludzi – deistów, jak powiadasz – nie



Mark Hamill jako Luke Skywalker w Gwiezdnych Wojnach.

*Z jednej strony wychwalasz facetów,
którzy byli inspiratorami i produktami Wieku Rozumu,
a z drugiej - przyklaskujesz Luke Skywalkerowi z Gwiezdnych Wojen,
kiedy mówi on: „Wylącz komputer i rzuć własnym odczuciom”.
W jaki sposób godzisz rolę nauki, czyli rozumu,
z rolą wiary, czyli religii?*

byłaby zaskoczona, odkrywając w swoich wysiłkach, aby zbudować nowy kraj, takie właśnie mitologiczne treści?

CAMPBELL: W takim razie dlaczego ich użyli?

MOYERS: A czy wiele z nich to nie symbole masońskie?

CAMPBELL: Tak, to znaki masońskie, a znaczenie pitagorejskiego te-trakysu jest znane od wieków. Informacje na ich temat można by znaleźć w bibliotece Tomasza Jeffersona. Zresztą oni wszyscy byli ludźmi wykształconymi. Osiemnastowieczne Oświecenie to był światek dżentelmenów bardzo uczonych. Niewielu mieliśmy w polityce ludzi o takim poziomie. Było wielkim szczęściem dla naszego narodu, że garstka tych panów znalazła się akurat przy władzy i była w stanie oddziaływać wówczas na bieg wydarzeń.

MOYERS: W jaki sposób wytłumaczyć związek tych symboli z masonerią i fakt, że tak wielu Ojców-Założycieli należało do zakonu masońskiego? Czy wolnomularstwo wyraża w jakiś sposób myślenie mitologiczne?

CAMPBELL: Tak sądzę. Jest to uczona próba zrekonstruowania pewnego typu inicjacji, która miała prowadzić do duchowego oświecenia. Ojcowie-Założyciele, którzy byli masonami, rzeczywiście zgłębiali, wedle swoich możliwości, tajemną wiedzę egipską. W Egipcie piramida symbolizuje pierwotny wzgórek. Gdy wody corocznego wylewu Nilu zaczynają opadać, pierwszy wyłaniający się wzgórek symbolizuje odrodzony świat. To właśnie przedstawione jest na pieczęci.

MOYERS: Nieraz zbijają mnie z tropu pozorne sprzeczności w twoim własnym systemie wierzeń. Z jednej strony, wychwalasz facetów, którzy byli inspiratorami i produktami Wieku Rozumu, a z drugiej – przyklaskujesz Luke Skywalkerowi z *Wojen gwiazdnych*, kiedy mówi: „Wyłącz komputer i zaufaj własnym odczuciom”. W jaki sposób godzisz rolę nauki, czyli rozumu, z rolą wiary, czyli religii?

CAMPBELL: Nie, nie, musisz rozróżniać między rozumem a myśleniem...

MOYERS: Między rozumem a myśleniem? Czy jeśli myślę, to nie rozumię na temat tego czy owego?

CAMPBELL: Owszem, rozum jest rodzajem myślenia. Ale wymyślanie różnych rzeczy to niekoniecznie rozum w tym właśnie sensie. Kom-

binowanie, w jaki sposób mógłbyś przejść przez ścianę, to jeszcze nie rozumowanie. Mysz, która wtykając nos to tu, to tam, znajduje w końcu jakąś szczelinę, też sobie coś kombinuje, tak samo jak my. Ale to nie jest rozum. Dziedzina rozumu jest znajdowanie podstawy bytu i odkrywanie fundamentalnej struktury wszechświata.

MOYERS: A więc gdy ci ludzie mówili, że okiem Boga jest rozum, to twierdzili, że podstawa naszego bytu jako społeczności, jako kultury i narodu wywodzi się z pewnej fundamentalnej struktury wszechświata?

CAMPBELL: Tak, o tym właśnie mówi ta pierwsza piramida. To piramida świata, a ta znów jest piramidą naszego społeczeństwa; obie są tego samego rodzaju. Pierwsza jest Bożym dziełem stworzenia, druga – naszym społeczeństwem.

MOYERS: Mamy mitologię tyczącą się potęg zwierzęcych. Mamy mitologię związaną z obsianą ziemią – płodność, tworzenie, bogini-matka... Mamy też mitologię światel niebieskich, niebios. Ale w epoce współczesnej już dawno wyszliśmy poza potęgi zwierzęce, poza naturę i obsianą ziemię, a gwiazdy interesują nas już tylko jako egzotyczne ciekawostki i tło podróży kosmicznych. W którym punkcie na drodze do stworzenia mitologii człowieka jesteśmy aktualnie?

CAMPBELL: Takiej mitologii nie będziemy mieć jeszcze bardzo, bardzo długo. Wszystkie rzeczy zmieniają się zbyt szybko, żeby można je zmitologizować.

MOYERS: Więc jak będziemy żyć bez mitów?

CAMPBELL: Każdy człowiek musi znaleźć taki aspekt mitu, który będzie związany z jego własnym życiem. Mity w zasadzie pełnią cztery funkcje. Pierwsza jest mistyczna: gdy uświadamiasz sobie, jakim cudem jest wszechświat i ty sam, i gdy odczuwasz lęk wobec tej tajemnicy. Mówiłem już o tym. Mit otwiera świat na wymiar tajemnicy, na zrozumienie, że ta tajemnica leży u podłoża wszelkich form. Jeśli tracisz ten wymiar, tracisz mitologię. Kiedy przez wszystkie rzeczy przeziiera tajemnica, wszechświat staje się jakby świętym obrazem. Żyjąc tu, w swoim rzeczywistym świecie, w każdej chwili nawiązujesz łączność z transcendentną tajemnicą.

Druga funkcja jest wymiarem kosmologicznym, tym, z którym ma do czynienia nauka; ukazuje ci kształt wszechświata, ale w taki

sposób, że znów dostrzegasz w nim tajemnicę. Dzisiaj jesteśmy skłonni sądzić, że naukowcy znają wszystkie odpowiedzi. Ale ci najwięksi mówią nam: „Nie, nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania. Mówimy tylko, jak to wszystko działa, ale czym jest – nie wiemy”. Zapalasz zapalnik – ale czym jest ogień? Możesz mi opowiadać o utlenianiu, ale nic mi to nie mówi.

Trzecia funkcja jest socjologiczna, polega na podtrzymywaniu i uzasadnianiu pewnego porządku społecznego. W tej właśnie dziedzinie mity ogromnie się różnią w zależności od miejsca. Możesz się spotkać z całą mitologią poligamii i z inną – dla monogamii, i każda z nich jest całkiem fajna; zależy, gdzie się znalazłeś. Właśnie socjologiczna funkcja mitu wzięła górę w naszym świecie – choć jest przestarzała.

MOYERS: Co masz na myśli?

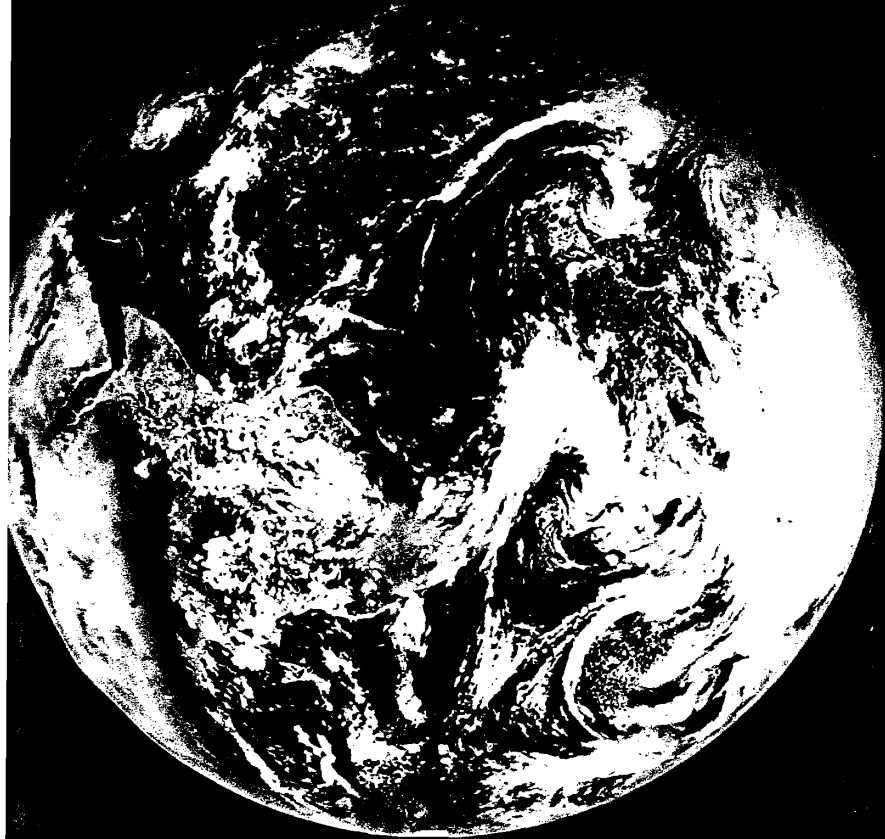
CAMPBELL: Normy etyczne. Normy określające, jak powinno wyglądać życie w porządnym społeczeństwie. W Biblii na wielu dziesiątkach stron Jahwe podaje, jakiego rodzaju odzież należy nosić, jak ludzie mają się zachowywać względem siebie i tak dalej. To było pierwsze tysiąclecie przed Chrystusem.

Ale jest jeszcze czwarta funkcja mitu i myślę, że każdy z nas powinien dziś spróbować odnieść się do niej – funkcja pedagogiczna: w jaki sposób żyć po ludzku w każdych okolicznościach. Mity mogą nas tego nauczyć.

MOYERS: A więc stara historia, znana od tak dawna i przekazywana z pokolenia na pokolenie, już nie działa, a nowej jeszcze się nie nauczyliśmy?

CAMPBELL: Ta, którą mamy na Zachodzie, oparta jest na Biblii, a więc na światopoglądzie z pierwszego tysiąclecia przed naszą erą. Nie zgadza się on z naszym wyobrażeniem o wszechświecie ani z naszym pojęciem godności człowieka. Przynależy do zupełnie innego świata.

Obecnie musimy się nauczyć, jak odzyskać harmonię z mądrością natury, i znów uprzytomnić sobie nasze braterstwo ze zwierzętami, z wodą i morzem. Twierdzenie, że boskość kształtuje świat i wszystko, co w nim jest, bywa piętnowane jako panteizm. Ale „panteizm” to słowo mylące. Sugeruje ono, że w świecie mieszka osobowy bóg, a to wcale nie o to chodzi. Chodzi o ideę pozateologiczną. O nieuchwytną, nie dającą się



zdefiniować tajemnicę pojmowaną jako moc, która jest początkiem i końcem, a także podstawą wszelkiego życia i bytu.

MOYERS: Czy nie sądzisz, że współcześni Amerykanie odrzucają ideę natury jako bóstwa, bo nie pozwoliłaby nam ona zapanować nad naturą? W jaki sposób ścinać drzewa, karczować lasy i zmieniać rzeki w prywatne posiadłości, nie zabijając jednocześnie Boga?

CAMPBELL: Oczywiście, ale to odnosi się nie tylko do współczesnych Amerykanów, którzy biblijne potępienie natury odziedziczyli z własną religią i przynieśli tutaj, przede wszystkim z Anglii. Bóg jest oddzielony od natury, a natura jest potępiona przez Boga. Dokładnie tak czytamy w Księdze Rodzaju: my, ludzie, mamy być panami świata.

Jeżeli jednak będziemy pojmować siebie samych jako pochodzących z ziemi, nie zaś wrzuconych tutaj skądinąd, to zrozumiemy, że jesteśmy ziemią, jesteśmy świadomością ziemi. Nasze oczy to oczy ziemi. Nasz głos to głos ziemi.

MOYERS: Naukowcy zaczynają otwarcie mówić o „zasadzie Gai”.

CAMPBELL: Otóż to! Cała planeta jako jeden organizm.

MOYERS: Matka-Ziemia. Czy z tego obrazu powstaną nowe mity?

CAMPBELL: Cóż, to całkiem możliwe. Ale tego, jaki będzie ten mit, nie sposób przewidzieć, tak jak nie potrafisz przewidzieć, co będzie ci się śniło tej nocy. Mity i sny przychodzą z tej samej strony. Mają swoje źródło w pewnych wyobrażeniach, które potem szukają wyrazu w formie symbolicznej. Jedyny mit, o jakim warto będzie myśleć w najbliższej przyszłości, to mit mówiący o całej planecie, nie tylko o tym mieście i o tym narodzie, ale o całej planecie i o wszystkich, co na niej żyją. Takie jest moje główne wyobrażenie o przyszłym micie.

Jeśli zaś chodzi o sprawy, które będzie poruszał, to będą one dokładnie takie same jak we wszystkich mitach: kształtowanie się jednostki, porzucanie od dziecięcej bezradności poprzez dorosłość, wiek dojrzały, aż po kres; no i kwestia stosunków jednostki ze społecznością oraz społeczności ze światem natury i z kosmosem. O tych rzeczach mówiły zawsze wszystkie mity i ten nowy mit też będzie musiał o nich mówić. Tyle że społeczność, o jakiej będzie on mówił, jest społecznością globalną. Dopóki to nie nastąpi, nie będziemy mieli nic.

Ziemia widziana z przestrzeni kosmicznej.

Kiedy patrzysz na Ziemię z Księżyca,

nie widzisz żadnych podziałów między narodami czy państwami.

To naprawdę mógłby być symbol

nowej, przyszłej mitologii.

To właśnie jest kraj, którego święto będziemy kiedyś obchodzić.

A z jego ludem stanowimy jedność.



Słupy totemowe
przed domem wodza, Alert Bay,
wyspa Vancouver, Kolumbia Brytyjska.

MOYERS: A więc sugerujesz, że od tego punktu zaczyna się nowy mit naszych czasów?

CAMPBELL: Tak, to jest podstawa dla tego przyszłego mitu. Już ją mamy gotową: oko rozumu, nie zaś mojej narodowości; oko rozumu, nie zaś mojej wspólnoty religijnej; oko rozumu, nie zaś mojej wspólnoty językowej. Pojmujesz? Taka filozofia obejmowałaby całą planetę, a nie tylko tę grupę, tamtą grupę albo jeszcze inną grupę.

Kiedy patrzysz na Ziemię z Księżycą, nie widzisz żadnych podziałów między narodami czy państwami. To naprawdę mógłby być symbol nowej, przyszłej mitologii. To właśnie jest kraj, którego święto będziemy kiedyś obchodzić. A z jego ludem stanowimy jedność.

MOYERS: W zgromadzonych przez ciebie pracach najjaśniej, moim zdaniem, tę ctykę wyraża Wódz Seattle.

CAMPBELL: Wódz Seattle był jednym z ostatnich rzeczników moralnego porządku paleolitu. Mniej więcej w 1852 r. rząd Stanów Zjednoczonych zapytywał o możliwość nabywania od Indian gruntów dla imigrantów przybywających do Stanów. W odpowiedzi Wódz Seattle napisał wspaniały list. W istocie wyraża on sedno moralne całej naszej rozmowy.

„Prezydent w Waszyngtonie przesyła słowo, że pragnie kupić naszą ziemię. Ale jak można kupować albo sprzedawać niebo? Ziemię? Taka myśl jest nam obca. Skoro nie mamy na własność świeżości powietrza ani lśnienia na wodzie, to jak moglibyście je kupić?

Każda cząstka tej ziemi jest święta dla mojego ludu. Każda błyszcząca sosnowa igła, każdy piaszczysty brzeg, każdy kłęb mgły w mrocznym lesie, każda łąka, każdy brzęczący owad. Wszystko to, w pamięci i przeżyciu mojego ludu, jest święte.

Wiemy, jak w drzewach krążą soki, tak jak znamy drogi krążącej w naszych żyłach krwi. Jesteśmy częścią ziemi, a ona jest częścią nas. Wonne kwiaty to nasze siostry. Niedźwiedź, jeleń, wielki orzeł to nasi bracia. Skaliste grzbiety, soczystość łąk, ciepło bijące z końskiego ciała i człowiek – wszystko to należy do jednej rodziny.

Lśniąca woda w potokach i rzekach to nie po prostu woda, ale krew naszych przodków. Jeśli sprzedamy wam naszą ziemię, musicie pamiętać, że

jest ona święta. Ulotna zjawia odbijająca się w jasnym zwierciadle jeziora mówi o zdarzeniach i pamiętnych faktach w życiu mego ludu. Szmer wody to głos ojca mego ojca.

Rzeki są naszymi braćmi. Gaszą nasze pragnienie. Niosą nasze łodzie i żywią nasze dzieci. Musicie więc do rzek odnosić się z uprzejmością należną każdemu z braci.

Jeśli sprzedamy wam naszą ziemię, to pamiętajcie, że powietrze jest dla nas czymś cennym, że udziela ono swego ducha wszelkiemu życiu, jakie podtrzymuje. Wiatr, który dał naszemu praprzodkowi swoje pierwsze tchnienie, przyjmuje też jego ostatni dech. Wiatr daje również tchnienie życia naszym dzieciom. Jeżeli więc sprzedamy wam naszą ziemię, powinniście strzec jej specjalnie, jak świętości, jako miejsca, gdzie człowiek może smakować wiatr nasycony słodyczą łąkowych kwiatów.

Czy będziecie uczyć swoje dzieci tego, czego my nauczyliśmy swoje – że ziemia jest naszą matką? To, co przytrafia się ziemi, przytrafia się też wszystkim synom ziemi.

To wiemy: ziemia nie należy do człowieka; człowiek należy do ziemi. Wszystkie rzeczy są połączone, jak krew, która wszystkich nas jednoczy. To nie człowiek utkał sieć życia, on jest tylko jednym z jej splotów. Cokolwiek uczyni on z siecią, uczyni samemu sobie.

To jedno wiemy: nasz bóg jest także waszym bogiem. Ziemia jest mu droga, więc szkodenie ziemi oznacza gromadzenie pogardy dla jej stwórcy.

Wasze przeznaczenie jest dla nas tajemnicą. Co się stanie, gdy wszystkie bizona będą już wybite? A wszystkie konie – ujarzmione? Co nastąpi, gdy najtajniejsze zakątki lasu wypełnią się wonią licznych ludzi, a zarys kwiatnych wzgórz przekreślą mówiące druty? Co będzie z zaroślami? Znikną! Gdzie podzieje się orzeł? Zniknie! A co dla nas oznacza pożegnanie się z chyżym koniem i łowami? Koniec życia i początek wegetacji.

Kiedy ostatni czerwony człowiek zniknie już razem ze swoim dzikim światem, gdy pamięć o nim będzie już tylko cieniem chmury wędrującym przez prerię – czy te brzegi i lasy jeszcze tutaj będą? Czy jakiś duch zostanie jeszcze po moim ludzie?

Kochamy tę ziemię, tak jak nowo narodzony kocha bicie serca swej matki. Jeśli więc sprzedamy wam naszą ziemię, kochajcie ją tak, jak myśmy ją kochali. Troszczcie się o nią tak, jak myśmy się o nią troszczyli. Zawsze

myślcie o niej tak jak teraz, gdy ją otrzymujecie. Zachowajcie ją dla wszystkich dzieci i kochajcie ją tak, jak Bóg kocha nas wszystkich.

Jak my jesteŃmy częścią tej ziemi, tak i wy jesteście jej częścią. Ta ziemia jest dla nas czymś cennym. Jest cenna również dla was. To jedno wiemy: jest tylko jeden Bóg. Źaden człowiek, Czerwony czy Biały, nie stoi osobno. Ostatecznie wszyscy jesteŃmy braćmi”*.

* Powyższy tekst różni się dość znacznie od *Odpowiedzi Seattle'a na mowę gubernatora terytorium Waszyngton Stevensa - terytorium Waszyngton, 1858 r.* (w tomie: *Indianie Stanów Zjednoczonych. Antologia tekstów źródłowych. Wstęp, wybór, tłumaczenie i opracowanie Ewa Nowicka i Izabella Rusinowa, PWN, Warszawa 1991, str. 166-169*). Godny uwagi jest komentarz autorki wymienionej antologii. „Tekst przemówienia tu zamieszczonego - piszą one - pochodzi od dr. Henry Smitha, utalentowanego pisarza, który opanował język Suquamish w ciągu około dwóch lat. Jest to tekst z pewnością daleko odbiegający od oryginału, gdyż Smith opracował go na podstawie relacji ustnej. Jest to być może jedno z najmniej autentycznych w swojej warstwie językowej przemówień indiańskich przywódców z XVIII i XIX w. Jednakże do tekstu tego przemówienia ciągle się powraca w literaturze i w wystąpieniach publicznych. Mowa Seattle'a została przekazana przez tłumacza i na miejscu zanotowana przez dr. Smitha”.

II PODRÓŻ DO WEWNĄTRZ

*W mitach przewija się myśl,
że głęboko, na samym dnie otchłani
rozlega się głos zbawienia.
Chwila, gdy naokoło jest tylko czerń,
to chwila zwiastująca
rychle nadejście prawdziwej przemiany.
W momencie największego mroku
rozbłyśnie światło.*



Stela egipska z harfistą zanoszącym modły do Horusa.

Gdy czytam miży –

obojętne: polinezyjskie, irokeskie czy egipskie

– spotykam te same obrazy

mówiące o tych samych problemach.

MOYERS: Ktoś mnie zapytał: „Co cię pociąga w tych mitach? Co widzisz w słowach Campbella?” Odpowiedziałem: „Te mity przemawiają do mnie, bo wyrażają to, o czym w głębi duszy wiem, że jest prawdą”. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego mam wrażenie, że te opowieści mówią mi o prawdziwości tego, co wiem w głębi duszy? Czy płynie to z samej podstawy mojego jestestwa, z nieświadomego, jakie odziedziczyłem po wszystkim, co mnie poprzedza?

CAMPBELL: Dokładnie tak. Masz takie samo ciało, wyposażone w takie same organy i energie, jak człowiek z Cro-Magnon trzydzieści tysięcy lat temu. Czy żyjesz jako człowiek w mieście Nowy Jork, czy też jako człowiek jaskiniowy w grocie – przechodzisz przez te same stadia: dzieciństwo, dojrzałość płciowa, przemiana dziecięcego uzależnienia od innych w męską lub kobiecą odpowiedzialność, małżeństwo, potem niedomagania ciała, stopniowa utrata sił i śmierć. Masz takie samo ciało i takie same cielesne doświadczenia, więc reagujesz na te same obrazy. Na przykład powtarzającym się obrazem jest walka orła z wężem. Wąż związany jest z ziemią, orzeł to wzlot duchowy; czy nie znamy tego konfliktu z własnego doświadczenia? Jeżeli jednak te dwa stwory połączą się, otrzymujemy cudownego smoka – uskrzydłonego węża. Ludzie rozpoznają te obrazy wszędzie, jak świat długi i szeroki. Gdy czytam mity – obojętne: polinezyjskie, irokeskie czy egipskie – spotykam te same obrazy, mówiące o tych samych problemach.

MOYERS: Po prostu w różnych czasach występują one w różnym przebraniu?

CAMPBELL: Właśnie. To jest tak, jak gdyby ta sama sztuka była przenoszona z jednego miejsca w drugie, a w każdym miejscu aktorzy przywdziewali lokalne stroje i zaczęli grać tę samą starą sztukę.

MOYERS: I te mityczne obrazy przekazywane są z jednego pokolenia w drugie, nieomal nieświadomie.

CAMPBELL: Jest to niesłychanie fascynujące, gdyż mówią one o najgłębszej tajemnicy pojedynczego człowieka i wszelkich innych rzeczy. To jest *mysterium*, tajemnica, *tremendum et fascinans* – straszliwa, przerażająca, bo rozbija w drzazgi nasze ustalone pojęcia o rzeczach, a jednocześnie ponad wszelki wyraz fascynująca, bo mówi ci o twojej własnej naturze i istocie.

Kiedy zaczynasz myśleć o wszystkich tych sprawach, o głębokiej tajemnicy wewnętrznego życia i wieczności życia, nie masz zbyt wielu obrazów do dyspozycji. Wtedy na własny użytek czerpiesz z zasobu obrazów zmagazynowanych w jakimś innym systemie myślenia.

MOYERS: Ludzie średniowiecza mieli skłonność do odczytywania świata tak, jak gdyby zawierał on jakieś przesłanie dla każdego.

CAMPBELL: Bo i zawiera, na pewno. Mity pomagają ci odczytywać te przesłania. Mówią ci o pewnych typowych możliwościach.

MOYERS: Daj jakiś przykład.

CAMPBELL: Na przykład w mitach przewija się myśl, że głęboko, na samym dnie otchłani rozlega się głos zbawienia. Chwila, gdy naokoło jest tylko czerni, to chwila zwiastująca rychłe nadejście prawdziwej przemiany. W momencie największego mroku rozbłyskuje światło.

MOYERS: Jak w wierszu Roethkego: „Gdy wkoło gęsta ciemność, oko zaczyna widzieć”. Twierdzisz, że właśnie mity uświadomiły ci to.

CAMPBELL: Żyję z nimi na co dzień, więc mówią mi o tym wszystkim przez cały czas. Masz tu problem, który można przenośnie rozumieć jako twoje wewnętrzne utożsamienie się z Chrystusem. Chrystus w tobie nie umiera. Chrystus w tobie przeżywa swoją śmierć i zmartwychwstaje. Albo też możesz utożsamieć to z Śiwą. Jestem Śiwą; to jeden z wielkich medytacyjnych wątków joginów w Himalajach.

MOYERS: A niebo, upragniony cel większości ludzi, jest w nas.

CAMPBELL: Niebo i piekło, i wszyscy bogowie są w nas, w środku. To wielkie odkrycie nastąpiło w dziewiątym wieku przed Chrystusem w Indiach; mamy je w *Upaniszadach*. Wszyscy bogowie, wszystkie niebiosy, wszystkie światy – są w nas. Są one snami w powiększeniu, a sny to przejawiające się w formie obrazów i będące we wzajemnym konflikcie energie ciała. Tym właśnie jest mit. Mit jest przejawieniem się w obrazach symbolicznych, metaforycznych, energii organów ciała pozostających wzajemnie z sobą w konflikcie. Jeden organ chce tego, drugi – czegoś innego. Mózg jest jednym z tych organów.

MOYERS: A więc gdy śnimy, zapuszczamy się w jakiś wielki mitologiczny ocean, który...

CAMPBELL: ...jest coraz głębszy i głębszy. Możesz to wszystko pokochać sobie z jakimiś tam kompleksami itd., rozumiesz, ale w gruncie rzeczy, jak mówi pewne polinezyjskie przysłowie, „stoisz wtedy na wielorybie i łowisz piskorze”. Stoimy na wielorybie. Podstawa bytu to podstawa naszego jestestwa, więc kiedy zwracamy się na zewnątrz, widzimy wszystkie te drobne problemy naokoło nas, tu i tam. Kiedy jednak popatrzymy do wewnątrz, widzimy, że my sami jesteśmy ich źródłem.

MOYERS: Powiadasz, że mitologia obecna jest w marzeniach sennych. Co to są marzenia sennie?

CAMPBELL: To jest to, w co się zanurzasz, gdy idziesz spać i śnisz sen, który mówi o pewnych istniejących w twojej psychice stałych warunkach i o ich związku z dziejącymi się w czasie, konkretnymi sytuacjami twojego życia.

MOYERS: Wyjaśnij to.

CAMPBELL: Przypuśćmy na przykład, że odczuwasz niepokój przed zbliżającym się egzaminem. Potem masz sen, śni ci się jakieś niepowodzenie i dochodzisz do wniosku, że trzeba je skojarzyć z wieloma innymi niepowodzeniami w twoim życiu. Widzisz cały ich stos. Freud powiada, że sen, nawet jeśli został jak najdokładniej wyjaśniony, w rzeczywistości wcale nie jest wyjaśniony. Sen jest niewyczerpaną kopalnią informacji o każdym z nas.

Pytania: „Czy zdam ten egzamin?” albo: „Czy mam się ożenić z tą dziewczyną?” – odnoszą się do czysto osobistego poziomu snu. Jednakże na innym poziomie problem zdania egzaminu nie jest tak po prostu problemem osobistym. Każdy przecież musi pokonywać jakieś progi. To jest coś z dziedziny archetypów. Mamy tu więc pewien podstawowy temat mitologiczny, chociaż twój sen jest całkowicie osobisty. Te dwa poziomy – aspekt osobisty, następnie wielki, generalny problem, którego lokalnym przykładem jest problem konkretnej osoby – odnajdujemy we wszystkich kulturach. Na przykład przed każdym staje problem śmierci. Jest to najpowszechniejsza tajemnica.

MOYERS: Czego dowiadujemy się ze snów?

CAMPBELL: Różnych rzeczy o nas samych.



„Och, jakże śniłem o rzeczach niemożliwych!”

William Blake (1757–1827).

*Mit jest publicznym snem,
a sen – prywatnym mitem.*

MOYERS: Jak obserwować swoje sny?

CAMPBELL: Najpierw trzeba sen zapamiętać, a potem zapisać. Później bierzesz z niego jakiś niewielki fragment – jeden lub dwa obrazy albo myśli, i kojarzysz siebie z nimi. Zapisujesz to, co ci przychodzi na myśl, i jeszcze, i jeszcze. Przekonasz się, że sen opiera się na zespole doświadczeń mających pewne znaczenie dla twojego życia, choć nie wiedziałeś, że jakoś one na nie wpływają. Potem przyjdzie następny sen i swoją interpretację pociągniesz dalej.

MOYERS: Pewien facet powiedział mi kiedyś, że zanim przeszedł na emeryturę, nigdy nie pamiętał swoich snów. Nagle, nie mając na czym skupić energii, zaczął śnić, i śniło mu się coraz więcej. Czy nie sądzisz, że my, ludzie nowoczesni, mamy skłonność do lekceważenia znaczenia snów?

CAMPBELL: Od czasu opublikowania przez Freuda książki *O marzeniu sennym* uznaje się powszechnie znaczenie snów. Ale i przedtem zajmowano się tłumaczeniem snów. Ludzie mają na ich temat różne przesady. Na przykład mówią: „Coś mi się przydarzy, bo tak mi się śniło”.

MOYERS: Dlaczego mit różni się od snu?

CAMPBELL: Cóż, dlatego, że sen to osobiste przeżycie tego głębokiego, mrocznego fundamentu naszego świadomego życia, tymczasem mit to sen społeczności. Mit jest publicznym snem, a sen – prywatnym mitem. Jeśli twój prywatny mit – sen – przypadkiem zgodzi się z mitem społecznym, pozostajesz w harmonii ze swoją grupą. Jeśli nie, to w ciemnym lesie, gdzieś przed tobą, spotka cię jakaś przygoda.

MOYERS: Zatem jeśli moje prywatne sny są zgodne z publiczną mitologią, mam większe szanse na zdrowe współżycie z tym społeczeństwem. Jeśli jednak moje prywatne sny nie idą w takt z publicznymi...

CAMPBELL: ...to znajdziesz się w kłopotach. Jeśli jesteś zmuszony żyć w tym systemie, staniesz się neurotykiem.

MOYERS: Ale czy nie było tak, że wielu wizjonerów, a nawet przywódców i bohaterów ocierało się wręcz o chorobę psychiczną?

CAMPBELL: Owszem, tak było.

MOYERS: Jak to tłumaczysz?

CAMPBELL: Oni opuścili społeczność, która mogłaby ich ochronić, i weszli w ciemny las, w ognisty świat pierwotnego doświadczenia. Nikt za ciebie nie rozpoznał pierwotnego doświadczenia, więc swoje życie musisz skonstruować sobie sam. Albo potrafisz się z tym uporać, albo nie potrafisz. Z rozpoznanej ścieżki wcale nie musisz zbaczać daleko, żeby znaleźć się w bardzo trudnych sytuacjach. Wyczyn bohatera polega na odwadze stawienia czoła próbom i przeniesienia całkiem nowego zespołu możliwości w sferę doświadczenia rozpoznanego, tak by mogły stać się udziałem również innych ludzi.

MOYERS: Mówisz, że sny wpływają z psyche.

CAMPBELL: Nie znam innego źródła. Pochodzą przecież z wyobraźni, nieprawda? Wyobraźnia zakorzeniona jest w energiach organów cielesnych, a te są jednakowe u wszystkich ludzi. Skoro więc wyobraźnia pochodzi z jednego biologicznego podłoża, musi wytwarzać określone tematy. Sny to marzenia. Sny mają pewne charakterystyczne cechy, które można wyliczyć, niezależnie od tego, kto śni.

MOYERS: Myślę, że sen to coś bardzo prywatnego, gdy tymczasem mit to coś bardzo publicznego.

CAMPBELL: Na pewnych poziomach prywatny sen przeistacza się w tematy naprawdę mityczne i nie można go zinterpretować, nie odwołując się do analogii z mitem. Jung mówi o dwu rodzajach snów – osobistym i archetypowym albo mającym wymiar mityczny. Sen osobisty możesz zinterpretować drogą kojarzenia – przedstawiając sobie jego treść w powiązaniu z twoim własnym życiem albo z twymi problemami osobistymi. Jednakże co rusz pojawiają się sny będące czystymi mitami, zawierające tematy mityczne, bądź też takie, o których twierdzi się, że rodzą się z wewnętrznego Chrystusa w człowieku.

MOYERS: Z człowieka archetypowego w nas, z archetypowej jaźni, którą jesteśmy.

CAMPBELL: Otóż to. Ale istnieje też drugie, głębsze znaczenie czasu marzenia sennego – czasu, który nie jest czasem, a tylko trwaniem bytu. Znamy ważny mit z Indonezji mówiący o takiej mitycznej erze i jej końcu. Wedle tej opowieści, na początku wśród przodków nie było rozróżnienia

plci. Nie było narodzin ani śmierci. Potem urządzono wielką publiczną uroczystość z tańcami i w tym tańcu na śmierć zdeptano jednego z uczestników, rozerwano go na sztuki i pogrzebano. W chwili tego zabójstwa płcie zostały rozdzielone, tak że odtąd przeciwumą dla śmierci stało się płodzenie, dla płodzenia – śmierć, a z pogrzebanych kawałków ciała wyrosły jadalne rośliny. Do istnienia został powołany czas, nastąpiła śmierć, narodziny, zabijanie i zjadanie innych żywych stworzeń – wszystko w celu zachowania życia. Bezczasowy czas początków zakończył się wspólnotową zbrodnią, rozmyślnym morderstwem, czyli ofiarą.

Idzie o to, że jednym z głównych problemów mitologii jest pojednanie ludzkiego umysłu z tą brutalną przesłanką wszelkiego życia, które żyje dzięki zabijaniu i zjadaniu innego życia. Nie bujajmy się, żywienie się wyłącznie roślinami też niczego nie ułatwia, bo i one żyją. A więc istotą życia jest samozjadanie się! Życie karmi się życiem, i pogodzenie się ludzkiego umysłu oraz wrażliwości z tym fundamentalnym faktem jest jednym z zadań niektórych spośród tych rzeczywiście bardzo brutalnych obrzędów, polegających głównie na zabijaniu – poniekąd imitacji pierwotnej zbrodni, z jakiej powstał nasz doczesny świat, w którym wszyscy uczestniczymy. Pojednanie umysłu z warunkami życia to podstawowy motyw wszelkich opowieści o stworzeniu. Pod tym względem są one do siebie bardzo podobne.

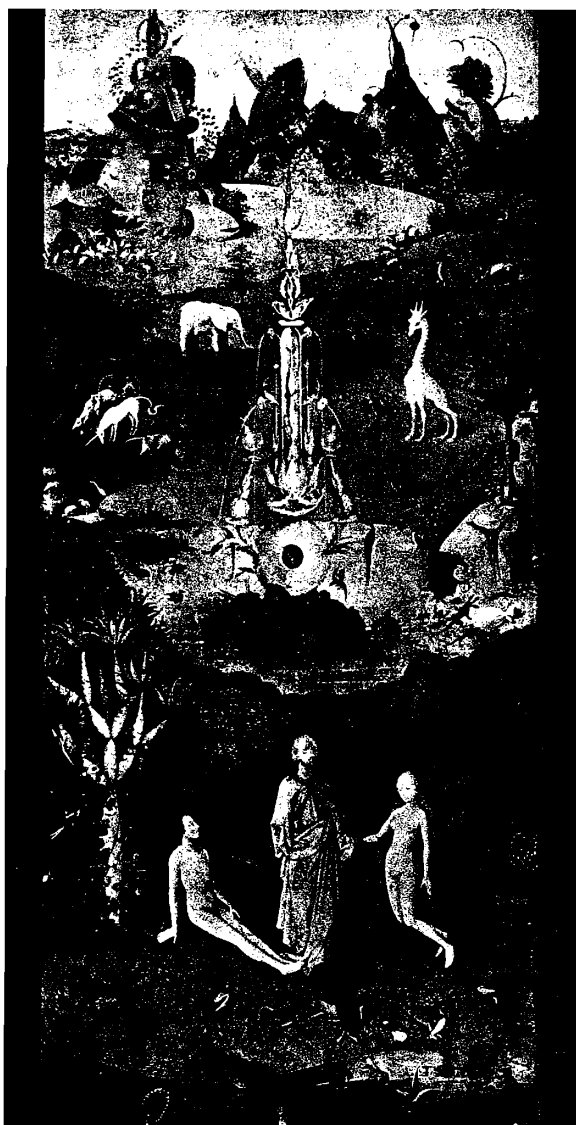
MOYERS: Na przykład opowieść o stworzeniu w Księdze Rodzaju. W jaki sposób jest ona podobna do innych takich historii?

CAMPBELL: No cóż, poczytajmy sobie – ty z Księgi Rodzaju, a ja z opowieści o stworzeniu w innych kulturach, i zobaczymy.

MOYERS: Genesis, rozdział 1: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód”.

CAMPBELL: A to jest z *Pieśni świata*, legendy Indian Pima z Arizony: „Na początku wszędzie była tylko ciemność – ciemność i woda. A ta ciemność zbierała się w pewnych miejscach, gęstniała i znów się rozdzielała, gęstniała i rozdzielała się...”

MOYERS: Genesis, 1: „A Duch Boży unosił się nad wodami. Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!« I stała się światłość”.



CAMPBELL: Z hinduskich *Upaniszad*, ok. VIII wieku przed Chrystusem: „Na początku była tylko wielka Jaźń odbijająca się w kształcie osoby. W tym odbiciu nie znalazła ona niczego poza sobą. Pierwszym słowem, jakie wyrzekła, było: »To jestem Ja«”*.

MOYERS: Genезis, 1: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę. Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się«”.

CAMPBELL: A teraz z legendy ludu Bassari z zachodniej Afryki: „Unumbotte zrobił istotę ludzką. Jej imię było Człowiek. Unumbotte zrobił następnie antylopę imieniem Antylopa. Unumbotte zrobił węża imieniem Wąż... I rzekł do nich Unumbotte: »Ziemia nie jest jeszcze ubita. Musicie na gładko ubić ziemię tam, gdzie siedzicie«. Unumbotte dał im rozmaite nasiona i rzekł: »Idźcie i zasadźcie je«”.

MOYERS: Genезis, 2: „W ten sposób zostały ukończone niebo i ziemia oraz wszystkie ich [stworzeń] zastępy. A gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął”.

CAMPBELL: I znów z legendy Indian Pima: „Robię świat – i patrzcie, już jest ukończony! Więc robię świat – i oto jest gotowy!”

MOYERS: Genезis, 1: „A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre”.

CAMPBELL: Z *Upaniszad*: „Potem uświadomił sobie: To ja w istocie, ja sam jestem tym stworzeniem, gdyż z siebie samego je wywiodłem. W ten sposób stał się tym stworzeniem. Zaprawdę, ten, kto to wie, sam w tym stworzeniu staje się stwórcyem”.

Oto samo sedno rzeczy. Gdy to wiesz, utożsamiasz się z zasadą stwórczą, która jest mocą Boga w świecie – to znaczy w tobie. To jest piękne.

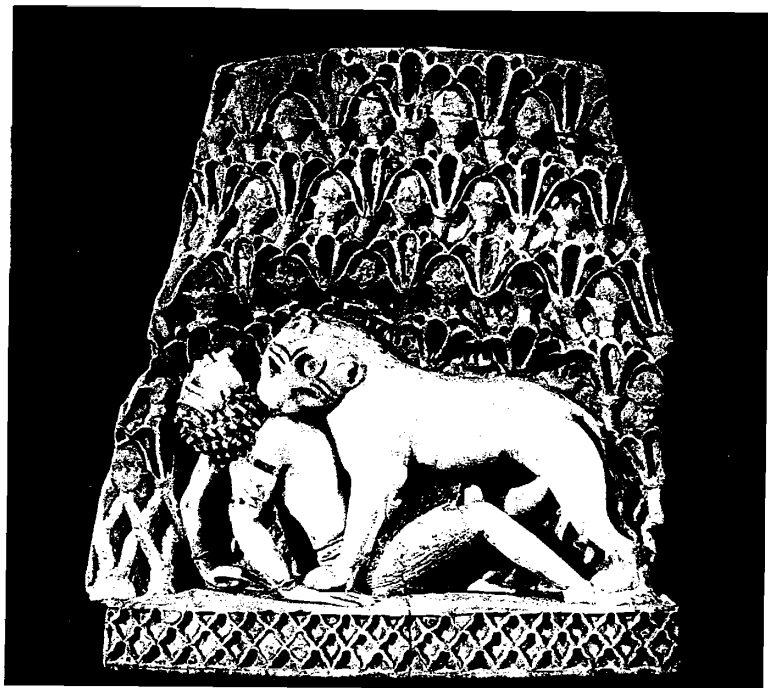
MOYERS: Ale w Księdze Rodzaju czytamy dalej: „Czy może zjadłeś z drzewa, z którego ci zakazałem jeść?» Mężczyzna odpowiedział: »Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc z tego drzewa i zjadłem«. Wtedy Pan Bóg rzekł do niewiasty: »Dlaczego to uczyniłaś?» Niewiasta odpowiedziała: »Wąż mnie zwiódł i zjadłam«”.

A więc zwalanie winy na drugiego; bardzo wcześnie się to zaczyna.

* *Bryndaranjaka - Upaniszada*, I, 4.

Ogród ziemskich rozkoszy, Hieronymus Bosch (ok. 1450-1516).

„Stworzył więc Bóg człowieka
na swój obraz,
na obraz Boży go stworzył:
stworzył mężczyznę i niewiastę”.



Plakietka ze złota i kości słoniowej, 720 p.n.e., Muzeum Bagdadzkie.

*Życie żyje dzięki zabijaniu
i samozjadaniu się,
odrzucaaniu śmierci
i odradzaniu się.*

CAMPBELL: Tak, i szczególnie w kość dostaje przy tym wąż. Legenda Bassari ciągnie dalej w tym samym stylu: „Pewnego dnia Wąż rzekł: »My też powinniśmy zjeść te owoce. Dlaczego mamy być głodni?« Antylopa powiedziała: »Ale nic nie wiemy o tym owocu«. Potem Człowiek i jego żona wzięli trochę tych owoców i zjedli. Unumbotte spuścił się z nieba i zapytał: »Kto zjadł owoc?« Oni odpowiedzieli: »My«. Unumbotte spytał: »Kto wam powiedział, że możecie jeść te owoce?« Odrzekli: »Wąż?». A więc to niemal ta sama historia.

MOYERS: Jak rozumiesz to, że w obu tych opowieściach główni sprawcy wskazują na kogoś innego jako na inicjatora Upadku?

CAMPBELL: Tu i tam okazuje się nim wąż. W obu tych historiach wąż jest symbolem życia odrzucającego przeszłość i żyjącego nadal.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Potęgą życia sprawia, że wąż zrzuca skórę, tak jak księżyc rzuca cień. Wąż zrzuca skórę, aby narodzić się na nowo, tak jak księżyc rzuca cień, by też narodzić się na nowo. Są to symbole równoważne. Niekiedy wąż przedstawiany jest jako pierścień zjadający własny ogon. To obraz życia. Życie zrzuca jedno pokolenie po drugim, aby znów się odrodzić. Wąż przedstawia nieśmiertelną energię i świadomość uwikłane w pole czasu i ustawicznie odrzucające śmierć, aby ciągle się odradzać. W życiu jest coś niezwykle przerażającego, gdy spojrzysz na nie w ten sposób. Dlatego wąż niesie w sobie oba te aspekty życia – fascynujący i przerażający.

Ponadto wąż reprezentuje naczelną funkcję życia, głównie odżywianie się. Życie polega na zjadaniu innych stworzeń. Na ogół nie przychodzi ci to na myśl, kiedy zjadasz apetycznie wyglądający obiad. W rzeczywistości jednak zjadasz coś, co niedawno było żywe. Przyjrawszy się zaś pięknu przyrody, zobaczysz wokół siebie ptaki, które sobie coś tam dziobią; one przecież zjadają różne rzeczy. Widzisz pasące się krowy; one też zjadają różne rzeczy. Wąż to ruchomy przewod pokarmowy – i tyle. Patrząc nań odczuwasz jakiś pierwotny wstrząs, tak jak na widok życia w jego najelementarniejszej formie. Z tym zwierzęciem nie ma żadnej dyskusji. Życie żyje dzięki zabijaniu i samozjadaniu się, odrzucaniu śmierci i odradzaniu się – jak księżyc. Jest to jedna z tajemnic, którą próbują wyrazić te symboliczne, paradoksalne formy.



A



B

A. *Ewa kuszona przez węża*, Łukasz Cranach, ok. 1530.

B. *Salome*, Gustav Klimt (1862- 1918).

*Utożsamienie kobiety z grzechem
i węża z grzechem, a więc i życia z grzechem
oto splót,
który określił cały mit biblijny
i naukę o Upadku.*

Jednakże w większości kultur wąż interpretowany jest pozytywnie. W Indiach nawet najbardziej jadowity z węży, kobra, jest zwierzęciem świętym, a mitologiczny Król Wąż to istota otaczana największą czcią zaraz po Buddzie. Wąż przedstawia potęgę życia włączoną w pole czasu i śmierci, choć żyje ono wiecznie. Świat to tylko jego cień – odrzucana skóra.

Wąż był czczony także w tradycjach amerykańskich Indian. Uważali go oni za bardzo ważną siłę, z którą należało się zaprzyjaźnić. Idź na przykład do puebla Indian Hopi i przypatrz się ich tańcom, kiedy biorą oni węże do ust i zaprzyjaźniają się z nimi, a potem puszczają je wolno pośród wzgórz, aby zanosły wzgórzom przesłanie od człowieka, tak jak wcześniej przyniosły one ludziom przesłanie od wzgórz. Ten związek z wężem jest ilustracją ścisłych związków człowieka z naturą. Wąż przelewa się jak woda, jest więc stworem wodnym, ale jego język bez przerwy miota ogień. Masz więc w wężu złączoną parę przeciwieństw.

MOYERS: W opowieści chrześcijańskiej wąż jest zwodzicielem.

CAMPBELL: Jest to równoznaczne z odmową afirmacji życia. W odziedziczonej przez nas tradycji biblijnej życie jest zepsute, a każdy naturalny impuls – grzeszny, o ile nie zostanie obrzezany albo ochrzczone. Tym, który przyniósł grzech na świat, był wąż, jabłko zaś dała mężczyźnie kobieta. Utożsamienie kobiety z grzechem i węża z grzechem, a więc i życia z grzechem – oto splot, który określił cały mit biblijny i naukę o Upadku.

MOYERS: Czy motyw kobiety jako grzesznicy pojawia się też w innych mitologiach?

CAMPBELL: O ile mi wiadomo – nie. Najbliższym motywem byłaby może Pandora, ta od puszki, wiesz, ale tu nie tyle chodzi o grzech, co o zwykły kłopot. Główna idea biblijnej tradycji Upadku mówi, że natura, jaką znamy, jest zepsuta, seks sam w sobie jest zepsuty, kobieta, jako ucieleśnienie seksu, jest szczytelką zepsucia. Dlaczego Adamowi i Ewie została wzbroniona wiedza o dobru i złu? Bez tej wiedzy byłibyśmy gromadą dzieciaków nadal bawiących się w Edeńskim Ogrodzie i nie mających żadnego udziału w życiu. Kobieta przynosi na świat życie. Ewa jest matką tego doczesnego świata. Wcześniej żyłeś sobie w Edenie niby w jakimś raju ze snu – nie znając czasu, narodzin, śmierci ani... życia. Wąż, umierający i zmartwychwstający, zrzucający skórę i odnawiający swoje życie

jest panem stojącego pośrodku Raju drzewa, w którym jednoczą się czas i wieczność. W istocie to on jest pierwotnym bogiem Ogrodu Edeńskiego. Jahwe, przechadzający się po nim w chłodzie wieczoru, jest tylko gościem. Ogród jest miejscem węża. To stara, bardzo stara historia. Znamy sumeryjskie pieczęcie datowane z 3500 r. p.n.e. przedstawiające węża, drzewo i boginię, z boginią podającą owoc życia mężczyźnie, który tam przyszedł. Mamy tu do czynienia z archaiczną mitologią bogini.

Wiele lat temu widziałem w kinie coś fantastycznego: birmańska kapłanka węża, której zadaniem było sprowadzić swojemu ludowi deszcz, wspina się wysoko górską percią, wywołuje z jamy królewską kobrę i naprawdę trzykroć całuje ją w nos! Ta kobra była dawcą życia i deszczu, a więc postacią boską i pozytywną, nie negatywną.

MOYERS: Dobrze, ale jak wyjaśnisz różnicę między tym obrazem a obrazem węża z Księgi Rodzaju?

CAMPBELL: Istnieje wyjaśnienie historyczne, związane z przyjściem Hebrajczyków do Kanaanu i ujarzmieniem przez nich Kanaanejczyków. Naczelnym bóstwem Kanaanu była Bogini, a z boginią związany jest wąż. To symbol tajemnicy życia. Grupa uprawiająca kult męskiego bóstwa odrzuciła go. Innymi słowy, w opowieści o Ogrodzie Edeńskim mamy do czynienia z historycznym odrzuceniem Bogini-Matki.

MOYERS: Zdaje się, że ta historia, odrzucając Ewę jako odpowiedzialną za Upadek, oddała niedźwiedzią przysługę kobietom. Dlaczego właśnie kobiety obarcza się winą za upadek?

CAMPBELL: Bo one symbolizują życie. Mężczyzna wchodzi do życia tylko przez kobietę, a więc to kobieta wprowadza nas w ten świat składający się z par przeciwieństw i cierpienia.

MOYERS: Co mit o Adamie i Ewie próbuje nam powiedzieć o parach przeciwieństw? Co on znaczy?

CAMPBELL: Jak widzisz, rozpoczyna się on od grzechu, inaczej mówiąc – od wyprowadzenia nas z mitologicznej krainy snu, z Rajskiego Ogrodu, gdzie nie istnieje czas i gdzie kobieta i mężczyzna nawet nie wiedzą, że różnią się między sobą. Są po prostu stworzeniami. Bóg i człowiek są praktycznie tym samym, Bóg zażywa wieczornego chłodku w ogrodzie,

gdzie są oboje. A potem jedzą jabłko, wiedzę o przeciwieństwach. I gdy odkrywają różnicę między sobą, mężczyzna i kobieta zasłaniają swoje części wstydlive. Jak widzisz, przedtem nie myśleli o sobie jako o przeciwieństwach. Jednym z nich jest męskość i żeńskość. Drugim jest przeciwieństwo człowiek – Bóg. Trzecim jest dobro i zło. Pierwotnymi opozycjami są opozycja seksualna i opozycja między ludźmi a Bogiem. Następnie idzie idea zła i dobra w świecie. Można by więc powiedzieć, że Adam i Ewa sami wypędzili się z Ogrodu Bezczasowej Jedności – po prostu wskutek tego, że rozpoznali dwoistość. Żeby wejść w świat, musisz działać w kategoriach par przeciwieństw.

Istnieje taki hinduski wizerunek przedstawiający trójkąt (to Bogini-Matka) z kropką w środku; jest nią energia transcendencji wkraczająca w pole czasu. Z tego trójkąta wychodzą we wszystkich kierunkach pary trójkątów. Z jedni rodzi się dwójnia. W polu czasu wszystkie rzeczy stają się parami przeciwieństw. Widzimy tu więc zmianę świadomościową: świadomość z identyczności przesuwana się na uczestnictwo w dualności. W ten sposób wchodzimy w pole czasu.

MOYERS: Czy ta historia próbuje nam powiedzieć, że zanim w Raju stała się ta straszna rzecz, istniała jedność życia?

CAMPBELL: Jest to kwestia płaszczyzn świadomości. Nie ma to związku z tym, co się stało. Jest taka płaszczyzna świadomości, na której możesz utożsamiać się z tym, co przekracza pary przeciwieństw.

MOYERS: Co to takiego?

CAMPBELL: To, co Nienazwane. Nienazwane. To, co przekracza wszelkie nazwy.

MOYERS: Bóg?

CAMPBELL: „Bóg” to słowo w naszym języku dwuznaczne, bo używane jest w odniesieniu do czegoś znanego. Ale transcendencja jest niepoznawalna i nieznana. Koniec końców, Bóg jest transcendentny wobec wszystkich takich rzeczy jak nazwa „Bóg”. Bóg jest poza nazwami i formami. Mistrz Eckhart powiedział, że ostatecznym i najwyższym pożegnaniem jest zostawienie Boga Bogu, porzucenie twego pojęcia Boga w zamian za doświadczenie tego, co przekracza wszelkie pojęcia.

Tajemnica życia znajduje się poza wszelkimi ludzkimi pojęciami. Wszystko, co wiemy, zawarte jest w obszarze wyznaczonym przez pojęcia, takie jak byt i niebyt, wielość i pojedynczość, prawda i nieprawda. Myślimy zawsze w kategoriach przeciwieństw. Ale Bóg, ostateczność, jest poza parami przeciwieństw – i tyle można o tym rzec.

MOYERS: Dlaczego myślimy przeciwieństwami?

CAMPBELL: Bo inaczej nie potrafimy.

MOYERS: Taka jest natura rzeczywistości w naszym czasie.

CAMPBELL: Taka jest natura naszego doświadczenia rzeczywistości.

MOYERS: Kobieta-mężczyzna, życie-śmierć, dobro-zło...

CAMPBELL: ...Ja i ty, to i tamto, prawda i nieprawda – każdy z członów ma swoje przeciwieństwo. Jednakże mitologia sugeruje, że poza tą dwoistością jest jakaś pojedynczość, na której tle dualność odgrywa jakby sztukę cieni. „Wieczność kocha się w wytworach czasu” – mówi poeta Blake.

MOYERS: Co to znaczy, że: „Wieczność kocha się w wytworach czasu”?

CAMPBELL: Źródłem życia doczesnego jest wieczność. Wieczność wlewa się w świat. Jest to fundamentalna mityczna idea boga, który w nas czyni się wielością. W Indiach bóg tkwiący we mnie nazywany jest „mieszkańcem” ciała. Utożsamiać się z tym boskim, nieśmiertelnym pierwiastkiem w sobie oznacza utożsamiać się z boskością.

Chodzi o to, że wieczność jest poza kategoriami myśli. To ważny punkt we wszystkich wielkich religiach Wschodu. Chcemy myśleć o Bogu. Bóg jest myślą. Bóg jest imieniem. Jest ideą. Odsyła ona jednak do czegoś, co przekracza wszelkie myślenie. Ostateczna tajemnica bytu jest poza wszelkimi kategoriami myśli. Jak powiedział Kant, rzecz sama w sobie to już nie rzecz. Przekracza ona rzecz-owość, wychodzi poza wszystko, co da się pomyśleć. Najważniejszych rzeczy nie można wypowiedzieć, bo transcendują one myśl. Następne w kolejności rozumiemy opacznie, bo są to myśli, o których sądzimy, że odnoszą się do tego, co przecież nie może być pomyślane. Dalej idą te, o których rozmawiamy. Otóż mit jest polem odniesienia do tego, co absolutnie transcendentne.

MOYERS: Co może być poznane i nazwane jedynie wtedy, gdy nieporadnie próbujemy ubrać to w słowa.

CAMPBELL: Ostatecznym terminem na to, co transcendentne, jest w naszej angielskiej mowie słowo Bóg. Ale przecież sam widzisz, że to już jest jakieś pojęcie... O Bogu myślisz jako o ojcu. Ale w religiach, gdzie bogiem czy też stwórcą jest matka, cały świat jest jej ciałem. Poza nim nie ma innego miejsca. Męski bóg zazwyczaj znajduje się w innym miejscu. Jednakże męskość i żeńskość to dwa aspekty jednej zasady. Podział życia na płcie jest późny. Biologicznie biorąc, ameba nie jest ani męska, ani żeńska. Pierwotne komórki to po prostu komórki. Dzielą się i rozdzwajają drogą reprodukcji bezpłciowej. Nie wiem, na jakich poziomach pojawia się płciowość, ale w każdym razie późno. Dlatego niedorzecznością jest mówić o Bogu jako mającym tę lub inną płć. Boska moc poprzedza wszelkie rozdzielenie płci.

MOYERS: Czy jednak odwołanie się do języka zrozumiałego dla człowieka – mężczyzny czy też kobiety – nie jest jedynym sposobem poradzenia sobie jakoś z tą potężną ideą? Ten Bóg, ta bogini...

CAMPBELL: Owszem, ale nie rozumiesz tej idei, jeśli będziesz myślał „on” albo „ona”. Te pojęcia – „on”, „ona” – są trampoliną, z której odbijasz się do skoku w transcendencję, a „transcendować” znaczy „przekraczać”, wychodzić poza dualność. Wszystko w polu czasu i przestrzeni jest dwoiste. Wcielenie pojawia się jako męskie lub żeńskie, i każdy z nas jest wcieleniem Boga. Mógłbyś powiedzieć, że rodząc się przybrałeś tylko jeden aspekt twej rzeczywistej metafizycznej dualności. Odbija się to w religiach misteryjnych, w których adept przechodzi szereg inicjacji otwierających go na coraz głębsze wymiary własnego wnętrza. Potem przychodzi moment, gdy uświadamia on sobie, że jest i śmiertelny, i nieśmiertelny, zarówno mężczyzną, jak i kobietą.

MOYERS: Czy myślisz, że istniało miejsce w rodzaju Ogrodu Edeńskiego?

CAMPBELL: Oczywiście, nie. Ogród Edeński to metafora niewinności – niewinności, której nie dotknął czas ani pary przeciwieństw – i prae-centrum, z którego wylania się świadomość, po czym zdaje sobie sprawę z zmian.



**Raj, Peter Paul Rubens (1577–1640)
i Jan Bruegel starszy (1568–1625).**

Ogród Edeński

to metafora niewinności

– niewinności, której nie dotknął czas

ani pary przeciwieństw –

i praeceptrum, z którego wylania się świadomość,

po czym zdaje sobie sprawę ze zmian.

MOYERS: Ale jeśli w idei Edenu tkwi ta niewinność, to co się z nią dzieje? Czy nie doznaje wstrząsu, czy nie zawłada nią i nie psuje jej strach?

CAMPBELL: Dokładnie tak. Jest wspaniała opowieść o bóstwie, o Ja, które rzekło „Ja jestem” i natychmiast zękło się*.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Bo teraz stało się osobnikiem zanurzonym w czasie. Później pomyślało: „Czego ja się boję, jestem przecież jedynym, co istnieje”. I zaraz gdy wyrzekło te słowa, poczuło się osamotnione, więc zapragnęło być z kimś drugim; poczuło więc żądzę. Napęczniało, rozpekło się na dwie połowy, stało się męskie i żeńskie, no i poczęło świat.

Strach jest pierwszym doświadczeniem płodu w łonie. Jest taki psychiatra z Czechosłowacji, Stanisław Grof, mieszkający teraz w Kalifornii, który przez całe lata leczył ludzi zażywających LSD. Otóż przekonał się on, że niektórzy z nich przeżywają powtórne doświadczenie narodzin; w tym przeżyciu pierwszą fazą jest stadium płodu znajdującego się w łonie i nie mającego jeszcze poczucia „Ja” ani istnienia. Potem, na krótko przed narodzinami, zaczynają się skurcze macicy – i zaczyna się trwoga! Strach przychodzi jako pierwszy, to strach mówi „Ja”. Potem następuje przerażający etap rodzenia się, trudne przejście przez kanał rodny, a potem – mój Boże, światło! Możesz to sobie wyobrazić? Czy to nie zadziwiające, że jest to dokładne powtórzenie tego, co mówi mit – że Ja powiedziało „Ja jestem” i zaraz poczuło strach? A gdy uświadomiło sobie, że jest samo, zapragnęło drugiego i stało się dwojgiem. Nastąpiło wkroczenie w świat światła i par przeciwnieństw.

MOYERS: Powiedz, co znaczy fakt tej wspólnoty między wszystkimi ludźmi, to, że tak wiele z tych opowieści zawiera podobne elementy: zakazany owoc, kobietę... Te mity na przykład, wszystkie te historie o stworzeniu zawierają zakaz – „nie powinienes”. Kobieta i mężczyzna buntują się przeciwko zakazowi i zaczynają wędrówkę na własną rękę. Po tylu latach wczytywania się w te rzeczy ciągle zdumiewają mnie podobieństwa między kulturami tak bardzo odległymi jedna od drugiej.

CAMPBELL: Jest taki standardowy ludowy motyw pod tytułem „O rzeczy zakazanej”. Pamiętasz Sinobrodego, który mówi do swej żony: „Tylko nie otwieraj tej komórki”? Ale ten drugi nigdy nie jest posłuszny.

* *Bryndaravajaka* – *Upaniszada*, zob. wyżej, s. 79.

W Starym Testamencie Bóg pokazuje, która rzecz jest zakazana. Ale przecież Bóg musiał doskonale wiedzieć, że człowiek zje zakazany owoc. Jednakże tylko robiąc to właśnie, człowiek mógł stać się budowniczym własnego życia. Życie zaczęło się naprawę od tego aktu nieposłuszeństwa.

MOYERS: Jak wyjaśnisz te podobieństwa?

CAMPBELL: Są dwa wyjaśnienia. Pierwsze – że ludzka psyche jest zasadniczo taka sama na całym świecie. Psyche to wewnętrzne doświadczenie ludzkiego ciała, które jest w zasadzie takie samo u wszystkich ludzi, ma te same organy, te same instynkty, te same popędy, przeżywa te same konflikty i lęki. Z tego wspólnego podłoża zrodziły się Jungowskie archetypy, będące wspólnym dla mitów zasobem idei.

MOYERS: Czym są archetypy?

CAMPBELL: Są elementarnymi ideami, czymś, co można by określić jako „idee bazowe”. Jung mówił o nich jako o archetypach nieświadomego. „Archetyp” jest lepszym słowem, bo termin „idea elementarna” sugeruje pracę myślową. „Archetyp nieświadomego” znaczy, że pochodzi on skądś z dołu. Różnica między Jungowskimi archetypami nieświadomego a Freudowskimi kompleksami jest taka, że archetypy nieświadomego to przejawy organów ciała i ich mocy. Archetypy mają podłoże biologiczne, podczas gdy Freudowska nieświadomość jest zbiorem stłumionych doświadczeń traumatycznych z całego życia człowieka. Freudowska nieświadomość jest nieświadomością osobistą, biograficzną. Jungowskie archetypy nieświadomego są biologiczne. Element biograficzny jest w nich drugorzędny.

Te archetypy, albo idee elementarne, na całym świecie w różnych okresach ludzkich dziejów występowały w rozmaitych przebraniach. Różnice w tych kostiumach są rezultatem warunków lokalnych i historycznych. Najważniejszym zadaniem antropologa jest wyszukiwanie i porównywanie tych właśnie różnic.

Ale jest też inna teoria – dyfuzyjna – tłumacząca podobieństwo między mitami. Na przykład sztuka uprawy ziemi rozprzestrzeniła się z terenów, na których rozwinęła się najpierw; razem z nią rozprzestrzeniła się mitologia związana z używaniem gleby, sadzeniem i hodowaniem roślin jadalnych – ot, mity w rodzaju tych, jakie przed chwilą opisałem, o zabijaniu bóstwa, kawałkowaniu go, grzebaniu części jego ciała i pobudzaniu w ten sposób

roślin do wzrostu. Tego rodzaju mit zwykle towarzyszy tradycji rolniczej, ogrodniczej. Nie znajdziesz go w cywilizacji łowieckiej. Tak więc problem podobieństwa mitów ma aspekty zarówno historyczne, jak i psychologiczne.

MOYERS: Ludzie identyfikują się z jedną bądź kilkoma takimi opowieściami o stworzeniu. Jak sądzisz, czego szukamy, gdy identyfikujemy się z jednym z takich mitów?

CAMPBELL: Myślę, że tym, czego poszukujemy, jest taki sposób doświadczania świata, który otworzy przed nami transcendencję kształtującą ten świat, a zarazem nas samych w nim. Tego pragną ludzie. Tego domaga się dusza.

MOYERS: Chcesz powiedzieć, że szukamy jakiejś zgody z tajemnicą, która wszystko przenika, z tym, co ty nazywasz wielkim milczącym podłożem, w którym wszyscy mamy udział?

CAMPBELL: Tak, ale chcemy nie tylko odnaleźć to w ogóle, lecz i znaleźć to, rozpoznać w naszym konkretnym otoczeniu, w naszym świecie. Uzyskać jakieś pouczenie, umożliwiające nam doświadczenie boskiej obecności.

MOYERS: W świecie i w nas.

CAMPBELL: W Indiach istnieje piękne pozdrowienie: składasz razem dłonie i pochylasz się przed inną osobą. Czy wiesz, co to oznacza?

MOYERS: Nie.

CAMPBELL: Złożenie dłoni jest gestem modlitewnym, nieprawda? Otóż to pozdrowienie znaczy, że bóg mieszkający w tobie rozpoznaje boga w drugim człowieku. Ci ludzie są świadomi boskiej obecności we wszystkich rzeczach. Gdy jako gość wchodzisz do indyjskiego domu, witają cię jak odwiedzającego ich boga.

MOYERS: Czy jednak ludzie, którzy opowiadali te historie, wierzyli w nie i kierowali się nimi w życiu, nie zadawali prostszych pytań? Na przykład – kto stworzył świat? I w jaki sposób? Dlaczego? Czy nie na takie właśnie pytania próbują odpowiedzieć te opowieści o stworzeniu?

CAMPBELL: Nie. Oni właśnie poprzez tę odpowiedź dostrzegają obecność stwórcy w całym świecie. Rozumiesz, co mam na myśli? Weź tę



Stworzenie, Michał Anioł, Kaplica Sykstyńska, Rzym, 1508–1512.

*Myszę, że tym, czego poszukujemy
w tych opowieściach o stworzeniu,
jest taki sposób doświadczania świata,
który otworzy przed nami transcendencję kształtującą ten świat,
a zarazem nas samych w nim.
Tego pragną ludzie. Tego domaga się dusza.*

opowieść z *Upaniszad*: „Widzę, że sam jestem tym stworzeniem” – mówi bóg. Kiedy widzisz, że Bóg jest dziełem stworzenia i że ty sam jesteś stworzeniem, pojmujesz, że Bóg jest w tobie, a także w każdym mężczyźnie i w każdej kobiecie, z którymi rozmawiasz. Dochodzi więc tu do urzeczywistnienia dwu aspektów jedynego bóstwa. Mamy podstawowy motyw mitologiczny pierwotnej prajedni, która potem rozdziela się – na ziemię i niebo, pierwiastek męski i kobiecy, itd. W jaki sposób utraciliśmy kontakt z tą jednością? Jedyne, co możesz powiedzieć, to to, że owo rozdzielenie zostało przez kogoś zawinione: ludzie zjedli niewłaściwy owoc albo powiedzieli Bogu coś niewłaściwego, tak że wpadł w gniew, a oni musieli sobie pójść. No i teraz wieczność jest od nas daleko, więc musimy odnaleźć jakąś drogę powrotu do niej i sposób wejścia w kontakt z nią.

Jest też inny motyw: człowiek nie przychodzi skądś z góry, lecz wynurza się z łona Matki Ziemi. W takich opowieściach mamy często wielką drabinę albo sznur, po którym ludzie się wspinają. Ostatni, którzy usiłują się po niej wydostać, to dwaj wielcy, potężni, grubi ludzie. Chwytają linę, a ta – trach! – pęka. Tym sposobem zostajemy oddzieleni od naszego źródła. W pewnym sensie, z racji posiadania umysłów, rzeczywiście jesteśmy oddzieleni, i w tym sęk, jak związać tę pękniętą linę.

MOYERS: Nieraz sobie myślę, że ludzie pierwotni opowiadali takie historyjki po prostu dla rozrywki.

CAMPBELL: Nie, to nie są historie dla zabawy. Wiemy, że nie są, gdyż można je opowiadać tylko w pewnych określonych momentach roku i pod pewnymi warunkami.

Są dwa rodzaje mitów: mity wielkie, na przykład te, które mamy w Biblii, związane ze świątynią, z ważnymi obrzędami sakralnymi. Wyjaśniają one rytuały, dzięki którym ludzie żyją w harmonii z sobą nawzajem i z wszechświatem. Normalnie rozumie się te opowieści jako alegorie.

MOYERS: Myślisz, że pierwsi ludzie, którzy opowiedzieli historie o stworzeniu, mieli jakąś intuicyjną świadomość takich podań?

CAMPBELL: Tak. Opowiadali je, jak gdyby tak właśnie było. Wyobrażenie, że ktoś dosłownie zrobił świat, to tak zwany „artyficyjalizm”. Jest to dziecienny sposób myślenia: stół jest zrobiony, a więc ktoś zrobił stół. Naokoło siebie widzimy świat, a więc ktoś musiał go zrobić. Jest też inny

punkt widzenia, według którego bez udziału osoby następuje emanacja i wytrącanie: dźwięk wytrąca powietrze, następnie ogień, potem wodę i ziemię – i tak powstaje świat. Cały wszechświat zawarty jest w pierwszym dźwięku, w tej wibracji, która następnie pobudza wszelkie rzeczy do dzielenia się w polu czasu na coraz mniejsze fragmenty. Przy tym poglądzie nie istnieje zewnętrznie wobec świata nikt mówiący: „Niech się stanie”.

W większości kultur są dwie albo trzy opowieści o stworzeniu, nie zaś jedna. W Biblii są dwie, choć na ogół traktuje się je jako jedną. Pamiętasz opowieść o Ogrodzie Edyńskim z rozdziału 2.: Bóg próbuje znaleźć jakąś rozrywkę dla Adama, którego stworzył do funkcji ogrodnika, na to, by pilnował jego ogrodu. Jest to prastara historia zapożyczona od starożytnych Sumeryjczyków. Ich bogowie chcieli, żeby ktoś troszczył się o ich ogród i pielęgnował potrzebne im jadalne rośliny, toteż stworzyli człowieka. Jest to fundament mitu z 2. i 3. rozdziału Genezis.

Ale ogrodnik Jahwe się nudzi, Bóg próbuje więc wymyślić dla niego zabawki. Stwarza zwierzęta, ale wszystko, co człowiek może z nimi zrobić, to nazwać je. Potem Bóg wpada na wielką myśl, aby z ciała Adama wydobyć duszę kobiety. Jest to całkiem inna opowieść o stworzeniu niż ta z rozdziału 1. Księgi Rodzaju, gdzie Bóg stwarza Adama i Ewę razem, na swój własny obraz, jako mężczyznę i kobietę. Tam sam Bóg jest pierwotnym androgynem. Rozdział 2 jest historią o wiele wcześniejszą, datującą się może z VIII w. p.n.e., gdy tymczasem rozdział 1 to tak zwany tekst kapłański z mniej więcej IV wieku p.n.e. albo późniejszy. W hinduskiej opowieści o Ja, które poczuło strach, potem żądzę, a potem rozszczepiło się na dwoje, mamy odpowiednik 2. rozdziału Genezis. Tutaj na dwoje rozszczepia się człowiek, nie Bóg.

Innym tego rodzaju przykładem jest grecka legenda, jaką w Platońskiej *Uczcie* opowiada Arystofanes. Mówi on, że na początku istniały istoty złożone z dwu części, które obecnie są dwiema istotami ludzkimi. Były one trojakiego rodzaju: męsko-żeńskie, męsko-męskie i żeńsko-żeńskie. Później bogowie rozłupali je wszystkie na dwoje. Po tym rozdzieleniu jednak owe połowki myślały tylko o tym, jak by tu złączyć się w uścisku z drugą, aby przywrócić w ten sposób pierwotną jedność. I dlatego przez całe życie usiłujemy odnaleźć nasze drugie połowy i znów połączyć się z nimi w uścisku.

MOYERS: Mówisz, że mitologia to zgłębianie jednej jedynej wielkiej opowieści rodzaju ludzkiego. Co to za opowieść?

CAMPBELL: Opowieść o tym, że wszyscy wywodzimy się ze wspólnego prapodłoża bytu i że jesteśmy jego przejawieniem się w polu czasu. Pole czasu to coś w rodzaju gry cieni na tle bezczasowości. Prowadzisz tę grę, stojąc w polu zaciemnionym, wszystkie siły wkładasz w odgrywanie tej swojej roli na tym właśnie biegunie opozycji. Ale wiesz, że na przykład twój wróg to tylko strona tego, co ujrzałbyś jako samego siebie, gdybyś mógł patrzeć z pozycji środkowej.

MOYERS: A więc ta wielka opowieść mówi o naszym poszukiwaniu własnego miejsca w owym dramacie?

CAMPBELL: O tym, jak zestroić się z wielką symfonią, którą jest świat, jak harmonię naszego własnego ciała uzgodnić z harmonią świata.

MOYERS: Czytając takie opowieści, niezależnie od tego, jaka kultura je zrodziła, odczuwam zawsze zdumienie na widok ludzkich usiłowań, żeby jakoś pojąć to istnienie, uszczknąć trochę z niezmiernych możliwości i wykorzystać je w swojej krótkiej podróży. Czy miałeś kiedyś takie odczucie?

CAMPBELL: Myślę o mitologii jako o ojczyźnie Muz, inspiratorek sztuki i poezji. Mit stwarza ci możliwość ujrzenia życia jako poematu i uczestniczenia w tym poemacie.

MOYERS: W poemacie?

CAMPBELL: Mam na myśli pewien słownik – składający się nie ze słów, ale z czynów i przygód mających zawsze odniesienie do czegoś poza naszymi działaniami tu i teraz, tak że zawsze czujesz się w zgodzie z bytem powszechnym.

MOYERS: Czytając te mity, czuję po prostu lęk wobec tajemnicy, która w tym wszystkim jest. Możemy tylko się czegoś domyślać, nie możemy w to wnikać.

CAMPBELL: Otóż to. Człowiek, który myśli, że znalazł ostateczną prawdę, myli się. Często cytuje się pewien sanskrycki werset, pojawiający się również w *Tao-te-King*: „Ten, który myśli, że wie, nie wie. Ten, kto wie,

że nie wie, wie. Albowiem w tej sytuacji wiedzieć znaczy nie wiedzieć. A nie wiedzieć – to wiedzieć”*.

MOYERS: Twoje prace z zakresu mitologii nie tylko nie nadwerżyły mojej wiary, ale wyzwoliły ją z kulturowych więzów, na które kiedyś została skazana.

CAMPBELL: Moją też, i wiem już, że będzie tak z każdym, kto uchwyci przesłanie.

MOYERS: Czy pewne mity są bardziej albo mniej prawdziwe niż inne?

CAMPBELL: Są prawdziwe w różnym sensie. Każda mitologia ma za przedmiot mądrość życiową odniesioną do konkretnej kultury w konkretnym czasie. Integruje ona jednostkę z jej społecznością, a społeczność – z przestrzenią natury. Jednoczy przestrzeń natury z moją naturą. Jest siłą harmonizującą. Na przykład nasza własna mitologia opiera się na idei dualności: dobro i zło, niebo i piekło. Dlatego nasze religie mają tendencję do podkreślania raczej etyki. Grzech i skrusza. Cnota i występki.

MOYERS: Napięcie między przeciwieństwami: miłość-nienawiść, śmierć-życie.

CAMPBELL: Ramakryszna powiedział kiedyś, że jeśli wszystko, o czym myślisz, to grzech, wówczas jesteś grzesznikiem. Gdy przeczytałem te słowa, pomyślałem o swoim dzieciństwie – o cosobotnich spowiedziach i rozpamiętywaniu wszystkich drobnych grzeszków, jakie popełniłem w ciągu tygodnia. Teraz myślę, że człowiek powinien raczej pójść do księdza i powiedzieć: „Pobłogosław mnie, ojcze, bo w tym tygodniu byłem wspaniały, zrobiłem wiele dobrych rzeczy”. Siebie samego trzeba identyfikować raczej z dobrem niż ze złem.

Widzisz, religia to naprawdę coś w rodzaju drugiego łona. Jej zadaniem jest doprowadzić tę nadzwyczaj skomplikowaną istotę, jaką jest człowiek, do dojrzałości, czyli do samodzielności w postępowaniu, do kierowania się własnymi motywacjami. Ale myśl o grzechu czyni z ciebie niewolnika na całe życie.

MOYERS: Jednak to nie jest chrześcijańska idea stworzenia i upadku.

CAMPBELL: Byłem kiedyś na wykładzie cudownego, starego filozofa zen, dr. D.T. Suzukiego. W pewnym momencie wstał, zaczął powoli gładzić się

* Istotnie, motyw ten, w nieco odmiennym sformułowaniu, mamy w *Kena-upaniśadzie* i w *Tao-te-King*, I.XXI.

rękami po bokach i rzekł: „Bóg przeciwko człowiekowi. Człowiek przeciwko Bogu. Człowiek przeciwko naturze. Natura przeciwko człowiekowi. Natura przeciwko Bogu. Bóg przeciwko naturze. Zabawna religia!”

MOYERS: Często się zastanawiałem, co by pomyślał członek plemienia łowców z północnoamerykańskiej prerii, patrząc na *Stworzenie* pędzla Michała Anioła?

CAMPBELL: Cóż, z pewnością nie jest to bóg innych tradycji. W innych mitologiach człowiek szuka zgody ze światem, z mieszaniną dobra i zła. W bliskowschodnim systemie religijnym utożsamiasz się z dobrem, a ze złem – walczysz. Biblijne tradycje judaizmu, chrześcijaństwa i islamu z pogardą mówią o tak zwanych religiach naturalnych.

Na skutek przejścia od religii naturalnej do socjologicznej jest nam trudno z powrotem nawiązać łączność z naturą. W gruncie rzeczy jednak wszystkie te kulturowe symbole doskonale można interpretować w kategoriach psychologicznych i kosmologicznych, jeśli zechcesz spojrzeć na nie od tej strony.

Każda religia jest prawdziwa w taki czy inny sposób. Jest prawdziwa, jeśli rozumieć ją metaforycznie. Jeśli jednak uczepli się swoich metafor, interpretując je jako fakty, to człowiek wpada w kłopoty.

MOYERS: Czym jest metafora?

CAMPBELL: Obrazem sugerującym coś innego. Jeśli na przykład mówię komuś: „Jesteś cymbał”, to nie sugeruję, że naprawdę myślę o tej osobie jako o owym pięknym instrumencie. „Cymbał” to metafora. W tradycjach religijnych punktem odniesienia dla metafory jest coś transcendentnego, coś, co w sposób dosłowny nie jest niczym. Jeśli myślisz, że metafora jest sama w sobie punktem odniesienia, jest tak, jakbyś szedł do restauracji, prosił o kartę *menu* i widząc, że wypisany jest na niej befszytk, zabierał się do pałaszowania karty.

Weźmy przykład: wniebowstąpienie Jezusa. Miałoby ono oznaczać, że pewna osoba wstąpiła do nieba. Tak dosłownie jest powiedziane. Gdyby jednak taki był rzeczywisty sens tego przesłania, musielibyśmy go odrzucić, bo przecież nie istniało żadne takie miejsce, do którego Jezus w sensie literalnym mógł się udać. Wiemy, że Jezus nie mógł wejść do nieba, gdyż nigdzie we wszechświecie nie ma fizycznego nieba. Jezus, nawet poruszając

się z szybkością światła, nadal byłby w naszej Galaktyce. Astronomia i fizyka po prostu wyeliminowały to jako dosłowną, fizyczną możliwość. Jeżeli jednak słowa „Jezus wstąpił do niebios” odczytasz w sensie metaforycznym, zrozumiesz, że zstąpił on w siebie, nie odszedł do jakiejś przestrzeni zewnętrznej, ale do przestrzeni wewnętrznej, tam, skąd wypływa wszelki byt, w świadomość będącą źródłem wszystkich rzeczy, w duchowe królestwo niebieskie. Obrazy zwrócone są na zewnątrz, ale ich odbicie – do wewnątrz. Chodzi o to, abyśmy wstępowali do nieba z Jezusem, zstępując w siebie samych. Jest to metafora powrotu do źródła, do Alfa i Omega; mówi ona o porzuceniu przywiązania do ciała i o powrocie do źródła cielesnej dynamiki.

MOYERS: Czy nie podważasz jednej z wielkich tradycyjnych nauk klasycznego chrześcijaństwa – o tym, że pogrzebanie i zmartwychwstanie Jezusa jest prefiguracją naszego własnego pogrzebu i zmartwychwstania?

CAMPBELL: Byłoby to błędne odczytanie symbolu. Odczytanie go jako prozy zamiast jako poezji, odczytanie metafory w kategoriach jej zakresu znaczeniowego zamiast jej treści.

MOYERS: Poezja dociera do niewidzialnej rzeczywistości.

CAMPBELL: Do tego, co jest nawet poza pojęciem rzeczywistości, co transcenduje wszelką myśl. Mit zawsze przenosi cię tam właśnie, daje ci możliwość nawiązania łączności z tajemnicą, którą jesteś.

Szekspir mówi, że sztuka jest zwierciadłem, w którym przegląda się natura. Ta natura to twoja własna istota, dlatego wszystkie te wspaniałe poetyckie obrazy mitologiczne odnoszą się do czegoś w tobie. Jeżeli twój umysł wpada w pułapkę takiego oderwanego obrazu, tak że nigdy nie odnosisz go do siebie samego, wówczas znaczy to, że źle go odczytałeś.

Świat wewnętrzny to świat twoich aspiracji, energii i możliwości, to twoja duchowa struktura, z jaką świat zewnętrzny wchodzi w kontakt. A ten świat zewnętrzny to przestrzeń twego wcielenia. Przestrzeń, w której jesteś. Musisz się starać, aby jakoś się one godziły. Jak powiedział Novalis: „Siedziba duszy jest tam, gdzie spotykają się świat wewnętrzny i zewnętrzny”.

MOYERS: A więc opowieść o wniebowstąpieniu Jezusa to list w butelce z jakiegoś brzegu, który ktoś już kiedyś odwiedził.

CAMPBELL: Rzeczywiście – Jezus. Otóż, biorąc pod uwagę normalny sposób myślenia o chrześcijaństwie, nie możemy utożsamiać się z Jezusem, wolno nam go tylko naśladować. Powiedzieć za Jezusem „Ja i Ojciec jesteśmy jednym” byłoby dla nas bluźnierstwem. A jednak w ewangelii Tomasza, odkopanej w Egipcie jakieś czterdzieści lat temu, Jezus mówi: „Ten, kto pije z moich ust, będzie jak ja, a ja będę nim”*. Jest to kropka w kropkę buddyzm. Wszyscy jesteśmy przejawieniami świadomości Buddy albo świadomości Chrystusa, tylko o tym nie wiemy. Słowo *buddha* znaczy „przebudzony”. Wszyscy musimy to zrobić – przebudzić się do świadomości Chrystusa bądź Buddy, którą nosimy w sobie. Dla normalnego myślenia chrześcijańskiego jest to bluźnierstwo, ale to właśnie jest samym jądrem chrześcijańskiego gnostycyzmu i ewangelii Tomasza.

MOYERS: Czy reinkarnacja to też metafora?

CAMPBELL: Oczywiście. Gdy mnie pytają: „Czy wierzysz w reinkarnację?”, odpowiadam tylko: „Reinkarnacja, tak jak niebo, to metafora”.

Chrześcijańską przenośnią odpowiadającą reinkarnacji jest czyściec. Jeśli ktoś, umierając, jest tak przywiązany do rzeczy tego świata, że jego duch nie jest jeszcze gotów do kontemplowania wiecznej szczęśliwości, musi przejść oczyszczenie, musi być zupełnie uwolniony od własnych ograniczeń. Te ograniczenia nazywane są zwykle grzechami. Grzech to nic innego jak czynnik ograniczający twoją świadomość i utrwalający ją w niewłaściwym stanie.

Natomiast metafora orientalna mówi, że jeśli umierasz w takim stanie, powracasz na świat, aby zgromadzić doświadczenia, które będą cię oczyszczać, oczyszczać, oczyszczać, aż wreszcie strząsniesz z siebie przywiązanie. Reinkarnująca się monada to główny bohater orientального mitu. W następujących po sobie żywotach przybiera ona rozmaite osobowości. Jednakże idea reinkarnacji nie polega na tym, że ty albo ja, jako osobowości, którymi teraz jesteśmy, będziemy się ponownie wcielać. Monada właśnie zrzuca z siebie osobowość, a potem przybiera inne ciało, męskie lub żeńskie, zależnie od tego, jakich doświadczeń jeszcze potrzebuje, aby wyzwolić się z przywiązań doczesnych.

MOYERS: A co sugeruje idea reinkarnacji?

* Jest to jedna z tzw. ewangelii gnostycznych z Nag Hammadi, odkrytych w 1945 r. W polskim przekładzie ks. W. Myszora ustrój ten brzmi: „Kto napił się z mych ust, stanie się takim jak ja. Ja sam stanę się nim” itd. (*Apokryfy Nowego Testamentu*, t. I, Lublin 1986, str. 133).

CAMPBELL: Sugeruje, że jesteś czymś więcej, niż myślisz. Istnieją takie wymiary twego bytu, potencjał do urzeczywistnienia i świadomość, które nie mieszczą się w twoim wyobrażeniu o samym sobie. Twoje życie jest o wiele głębsze i rozleglejsze, niż mógłbyś to obecnie zrozumieć. To, które teraz przeżywasz, jest ledwo ułamkiem, słabym przecuciem tego, co naprawdę w sobie nosisz, co udziela ci życia, nadając mu głębię i rozmach. Możesz żyć właśnie tak – w tym głębokim wymiarze. Jeśli jesteś zdolny do takiego doświadczenia, zaczynasz rozumieć, że wszystkie religie właśnie o tym mówią.

MOYERS: Czy jest to główny motyw mitologicznych opowieści wszystkich epok?

CAMPBELL: Nie, idea życia jako ciągu prób, poprzez które wyzwalał się z więzów życia, właściwa jest wyższym religiom. Nie sądzę, aby coś podobnego istniało w mitologii ludów pierwotnych.

MOYERS: Jakie jest źródło tej idei?

CAMPBELL: Nie wiem. Prawdopodobnie pochodzi ona od ludzi obdarzonych wielką duchową mocą i głębią, ludzi, którzy mieli poczucie nieadekwatności swego życia do duchowego wymiaru istnienia.

MOYERS: Mówisz, że to elity tworzą mitologię, że szamani, artyści i wszyscy, co zapuszczają się w nieznaną, wracają, by stworzyć owe mity. A co ze zwyczajnymi ludźmi? Czy i oni nie tworzą historyjek w rodzaju, na przykład, Paula Bunyana?

CAMPBELL: Owszem, ale to nie są mity. Nie osiągają poziomu mitu. W Indiach uważa się, że prorocy i tak zwani *rishi* u słyszeli święte pisma. Chodzi o to, że każdy może nadstawić uszu, ale nie każdy jest naprawdę zdolny do usłyszenia słowa pism.

MOYERS: „Kto ma uszy do słuchania, niech słucha”.

CAMPBELL: Konieczna jest pomoc, specjalny trening, który otworzy ci uszy, tak byś mógł słyszeć metaforycznie zamiast konkretnie. Freud i Jung wiedzieli, że mit zakorzeniony jest w nieświadomym.

Każdy człowiek uprawiający twórczość pisarską wie, że autor w pewnym momencie otwiera się, ustępuje, a książka zaczyna do niego mówić i sama się buduje. Tworząc, do pewnego stopnia stajesz się nosicielem czegoś, co

jest ci dane przez jakieś „Muzy” albo – mówiąc po biblijnemu – przez „Boga”. To nie żaden wymysł, to fakt. Ponieważ natchnienie wypływa z nieświadomego, a nieświadomość ludzi należących do małych społeczeństw ma wiele wspólnego – to, co wydobywa na wierzch szaman lub wizjoner, tkwi jakoś w każdym i tylko czeka na ujawnienie. Więc gdy człowiek słyszy opowieść takiego wizjonera, reaguje: „Właśnie, przecież to jest o mnie! Zawsze chciałem to wypowiedzieć, ale nie potrafiłem”. Musi zaistnieć dialog, wzajemne oddziaływanie między wizjonerem a wspólnotą. Jeśli wizjoner widzi rzeczy, o których jego społeczność nie chce słyszeć, staje się po prostu nieskuteczny. Ludzie takiego proroka często wypędzają.

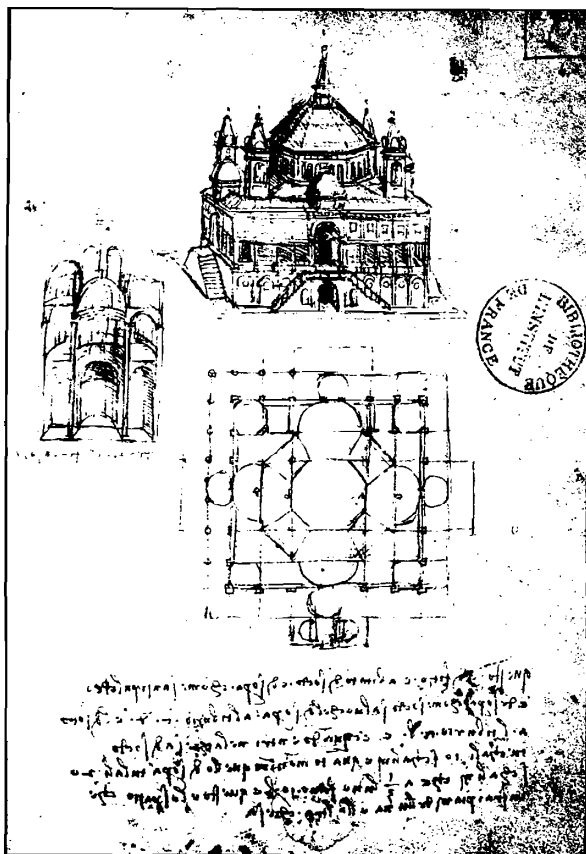
MOYERS: A więc ludowe baśnie to nie mity, tylko historie opowiadane przez zwykłych ludzi dla rozrywki albo dla wyrażenia poziomu egzystencji leżącego gdzieś poniżej wielkich pielgrzymów ducha.

CAMPBELL: Tak, baśnie są dla rozrywki, mit jest dla duchowego pouczenia. Jest w Indiach ładne określenie odnoszące się do tych dwu rodzajów mitów – ludowego i elementarnego. Aspekt ludowy nazywany jest *deśi*, co znaczy „prowincjonalny”, związany z twoją konkretną społecznością. To jest dla młodych. Poprzez *deśi* młodzi wchodzi w życie społeczne i zostają pouczeni, jak wyszukiwać potwory i zabijać je. „W porządku, mamy tu dla ciebie mundur i męskie zajęcia”. Ale jest też aspekt drugi, elementarny. Po sanskrycku nazywa się on *marga*, co znaczy „ścieżka”. To szlak wiodący wstecz, do ciebie. Mit wypływa z wyobraźni i z powrotem do niej prowadzi. Społeczność uczy cię, czym są mity, a potem cię zwalnia, tak żebyś w swych medytacjach mógł swobodnie i prosto pójść sobie tą ścieżką do środka.

Cywilizacje opierają się na mitach. Średniowieczna opierała się na micie Upadku w ogrodzie rajskim, odkupienia przez krzyż i przekazania człowiekowi łaski odkupienia przez sakramenty.

Katedra była ośrodkiem sakramentu, a zamek – ośrodkiem chroniącym katedrę. Masz więc dwie formy władzy – władzę duchową i władzę nad życiem fizycznym. Obie są w zgodzie z jednym źródłem – łaską płynącą z Ukrzyżowania.

MOYERS: Ale w obrębie obu tych sfer zwyczajni ludzie opowiadali sobie bajki o krasnoludkach i czarownicach.



Szkic katedry z rękopisu Leonarda da Vinci (1452–1519).

*Katedra była ośrodkiem sakramentu,
a zamek – ośrodkiem chroniącym katedrę.*

Masz więc dwie formy władzy

– władzę duchową i władzę nad życiem fizycznym.

Obie są w zgodzie z jednym źródłem

– łaską płynącą z Ukrzyżowania.

CAMPBELL: W średniowieczu są trzy ośrodki tego, co by można nazwać twórczością mitologiczną i folklorystyczną. Jednym jest katedra i wszystko, co się wiąże z klasztorami oraz pustelniami. Drugim jest zamek. Trzecim jest chata, w której żyją ludzie. Katedra, zamek, chata; gdziekolwiek tylko rozwijała się wyższa cywilizacja, wszędzie zobaczysz to samo – świątynię, pałac i miasto. Są to różne centra wytwórcze, ale jak długo składają się na jedną cywilizację, pracują w tym samym polu symbolicznym.

MOYERS: W polu symbolicznym?

CAMPBELL: Pole symboliczne zakorzenione jest w doświadczeniach ludzi żyjących w konkretnej wspólnocie, w określonym miejscu i czasie. Mity są tak ściśle związane z kulturą, miejscem i czasem, że jeśli życia symboli nie podtrzymują i nie odnawiają nieprzerwanie sztuki, to to życie po prostu z nich wycieka.

MOYERS: Kto dziś mówi metaforami?

CAMPBELL: Wszyscy poeci. Poezja to język metaforyczny.

MOYERS: Metafora sugeruje pewien potencjał.

CAMPBELL: Tak, ale sugeruje też rzeczywistość ukrytą za tym, co widzialne. Metafora jest maską Boga, poprzez którą mamy doświadczać wieczności.

MOYERS: Mówisz o poetach i artystach. A co z klerem?

CAMPBELL: Myślę, że nasz kler w istocie nie robi tego, co do niego należy. Nie wyjaśnia znaczenia metafor, a tylko trzyma się kurczowo etyki, spraw dobra i zła.

MOYERS: Dlaczego duchowni nie stali się szamanami amerykańskiego społeczeństwa?

CAMPBELL: Różnica między duchownym a szamanem polega na tym, że ten pierwszy jest funkcjonariuszem, podczas gdy szaman to ktoś, kto przeżył pewne doświadczenie. W naszej tradycji tym, który poszukuje doświadczenia, jest mnich, kapłan natomiast to ktoś, kto odbył studia, aby służyć wspólnocie.

Miałem przyjaciela, który brał kiedyś udział w międzynarodowym spotkaniu katolickich zakonów medytacyjnych. Odbywało się ono w Bang-

koku. Mówił mi, że katolicy mnisi nie mieli żadnych problemów, by porozumieć się z mnichami buddyjskimi, za to duchowni obu tych religii ani rusz nie mogli dojść do porozumienia.

Człowiek, który przeżył doświadczenie mistyczne, wie, że próby ujęcia go w wyrażenia symboliczne są zawodne. Symbole nie oddają doświadczenia, one tylko je sugerują. Jeśli sam go nie przeżyłeś, to jak możesz wiedzieć, czym ono jest? Spróbuj wytłumaczyć radość z jazdy na nartach facetowi, który mieszka w tropikach i nigdy nie widział śniegu. Żeby uchwycić przesłanie, musisz mieć pewien zasób doświadczeń, jakiś klucz – inaczej nie usłyszysz tego, co się do ciebie mówi.

MOYERS: Osoba, która dysponuje tym doświadczeniem, musi próbować ująć je – najlepiej, jak tylko potrafi – w obrazy. Wydaje mi się, że w naszym społeczeństwie zanikła sztuka myślenia obrazami.

CAMPBELL: Z pewnością. Nasze myślenie jest głównie dyskursywne, werbalne, linearne. W obrazie jest więcej rzeczywistości niż w słowie.

MOYERS: Czy nie wydaje ci się niekiedy, że właśnie ten brak religijnego przeżycia radości, ekstazy, to odrzucanie przez nasze społeczeństwa transcendencji sprawia, że tak wielu młodych ludzi ucieka w narkomanię?

CAMPBELL: Absolutnie tak. To jest droga do wewnątrz.

MOYERS: Droga do wewnątrz?

CAMPBELL: Do wewnętrzznego przeżycia.

MOYERS: A czy nie mogłaby tego zrobić dla nas religia albo sztuka?

CAMPBELL: Mogłaby, ale nie robi. Religie zajmują się problemami społecznymi i etycznymi zamiast doświadczeniem mistycznym.

MOYERS: A więc sądzisz, że największym powołaniem religii jest doświadczenie?

CAMPBELL: Jedną ze wspaniałych rzeczy w katolickim obrządku jest przystępowanie do komunii. Dowiadujesz się przy tej okazji, że to jest w istocie ciało i krew Zbawiciela. Przyjmujesz je, zwracasz się do wewnątrz i oto zaczyna w tobie działać Chrystus. Jest to sposób, abyś zagłębił się w medytację nad tym, jak doświadczasz w sobie ducha. Spójrz na ludzi wracających od komunii – jak są skupieni i zwrócenii do wewnątrz. Naprawdę.

W Indiach widziałem, jak pewien kamień otaczają czerwonym pierścieniem, i od tej chwili ów głaz uważany jest za wcielenie tajemnicy. Na ogół myślimy o rzeczach w ich aspekcie praktycznym, ale możemy o każdej rzeczy myśleć w aspekcie jej tajemnicy. Na przykład ten zegarek; ale przecież jest to także coś obdarzonego bytem. Mógłbyś go położyć, otoczyć go kolistą linią i rozważać go w tym wymiarze. Na czymś takim polega konsekracja.

MOYERS: Co masz na myśli? Co można zrobić ze zwyczajnym zegarkiem na rękę? Jakąż to tajemnicę on objawia?

CAMPBELL: Zegarek to rzecz, nieprawda?

MOYERS: Prawda.

CAMPBELL: A czy naprawdę wiesz, czym jest rzecz? Co jest jej fundamentem? Jest to coś istniejącego w czasie i przestrzeni. Pomyśl, jakie to tajemnicze, że coś w ogóle istnieje. Zegarek staje się ośrodkiem medytacji, ośrodkiem dostępnej rozumowi tajemnicy bytu, która jest wszędzie. W obecnej chwili ten zegarek jest centrum wszechświata, nieruchomym punktem kręcącego się świata.

MOYERS: Dokąd ta medytacja przenosi człowieka?

CAMPBELL: Cóż, to zależy od jego możliwości.

MOYERS: Mówisz o „transcendencji”. Co to takiego? Co dzieje się z człowiekiem w transcendencji?

CAMPBELL: „Transcendentny” to techniczny termin filozofii, przekładany dwojako. W teologii chrześcijańskiej odnosi się on do Boga jako bytu istniejącego poza sferą natury, na zewnątrz niej. Jest to materialistyczny sposób mówienia o transcendencji, gdyż Boga ujmuje się tu jako swego rodzaju fakt duchowy istniejący gdzieś tam, na zewnątrz. Hegel mówił, że nasz antropomorficzny bóg to jakiś kręgowiec o gazowym ciele; to jest właśnie wyobrażenie Boga, jakie ma wielu chrześcijan. Albo też myśli się o nim jako o brodatym starcu niezbyt miłego usposobienia. Jednakże „transcendentny” oznacza właściwie to, co jest poza wszelkimi pojęciami. Kant mówi nam, że wszystkie nasze doświadczenia uwarunkowane są czasem i przestrzenią. Zachodzą w przestrzeni i dzieją się w czasie.

Czas i przestrzeń kształtują formy postrzegania, które zakreślają granice naszym doświadczeniom. Nasze zmysły ograniczone są polem czasu i przestrzeni, nasze umysły uwikłane są w sieć kategorii myśli. Ale to, co najwyższe (a nie jest to żadna rzecz) i z czym próbujemy wejść w kontakt, nie jest ograniczone i zamknięte w taki sposób. Zamykamy to, gdy próbujemy o tym myśleć.

Transcendencja wykracza poza wszystkie te kategorie myślenia. Byt i niebyt – to kategorie. Właściwie słowo „Bóg” odnosi się do tego, co przekracza wszelkie myślenie, ale przecież samo to słowo „Bóg” jest czymś, o czym się myśli.

A znów Boga możesz personifikować na najrozmaitsze sposoby. Czy bóg jest jeden? Czy jest ich wielu? Są to tylko kategorie myśli. To, o czym usiłujesz mówić i myśleć, *transcenduje*, przekracza wszystko.

W starych tekstach chrześcijańskiego gnostycyzmu występuje pewien problem z Jahwe (tak się go w nich nazywa). Otóż zapomniał on, że jest metaforą. Myślał, że istnieje konkretnie. Kiedy więc powiedział: „Jestem Bogiem”, odezwał się głos mówiący: „Mylisz się, Samaelu”. „Samael” znaczy „ślepy bóg” – ślepy na nieskończoną Światłość, której on jest tylko lokalnym, historycznym przejawieniem. Sprawa ta jest znana jako błuźniers-two Jehowy – bo pomyślał on, że jest Bogiem.

MOYERS: Mówisz, że Boga nie można poznać.

CAMPBELL: Mam na myśli to, że Najwyższe to coś poza kategoriami bytu i niebytu. Czy to jest, czy nie jest? Budda miał powiedzieć tak: „To jest i nie jest; ani jest, ani nie jest”. Bóg jako ostateczna tajemnica bytu jest poza wszelkim myśleniem.

W jednej z *Upaniszad* jest piękna opowieść o bogu Indrze. Otóż zdarzyło się wówczas, że wielki potwór zamknął wszystkie wody ziemi i nastąpiła okropna posucha, tak że ze światem było bardzo, bardzo kiepsko. Indra dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że przecież ma szkatułkę z piorunami i że wystarczy mu tylko spuścić jeden z nich na potwora, aby rozpadł się on na kawałki. Gdy Indra to zrobił, wody znów popłynęły i świat odżył. Wtedy bóg powiedział sobie: „Kawał zucha ze mnie!”

Powtarzając sobie te słowa, Indra wchodzi na kosmiczną górę, stojącą w samym centrum świata, i postanawia na niej zbudować pałac godny

takiego jak on chwata. Główny cieśla bogów zabiera się do roboty i wnet okazały, piękny pałac jest prawie gotowy. Ale Indra, przychodząc na inspekcję, za każdym razem przedstawia nowy projekt pałacu, coraz wspanialszy i piękniejszy. Budowniczy mówi w końcu: „Na boga, obaj jesteścieśmy nieśmiertelni, ale jego pragnienia nie mają kresu. Jestem załatwiony, i to na całą wieczność”. I postanawia udać się do boga-stwórcy, Brahmy, na skargę.

Brahma siedzi na lotosie, symbolu boskiej energii i boskiej łaski. Lotos wyrasta z pępka Wisznu, śpiącego boga, którego snem jest wszechświat. No więc cieśla przychodzi na brzeg wielkiego lotosowego stawu wszechświata i opowiada Brahmie swoją sprawę. Brahma mówi: „Wracaj do siebie. Załatw to”. Zeskakuje ze swego lotosu i przyklęka, aby zwrócić się do uspiętego Wisznu. Wisznu robi niedbały gest i mówi coś w rodzaju: „Słuchaj, zwiewaj stąd, coś się będzie działo”.

Nazajutrz rano u bram budowanego pałacu zjawia się piękny chłopiec barwy granatowej, otoczony chmurą dzieci podziwiających jego urodę. Odźwierny nowego pałacu czym prędzej biegnie do Indry, ten zaś mówi: „Dobrze, wprowadź tego chłopca”. Chłopiec wchodzi, Indra zaś, król bogów siedzący na swym tronie, mówi: „Witaj, młodzieńcze. Co sprowadza cię do mego pałacu?”

„Cóż – mówi chłopiec głosem niby grzmot przetaczający się po horyzoncie. – Powiedziano mi, że wznosisz dla siebie pałac, jakiego nie zbudował jeszcze żaden Indra przed tobą”.

Indra na to: „Żaden Indra przede mną? Młody człowieku, o czym ty mówisz?”

Chłopiec rzekł: „Tak, Indrowie przed tobą. Widzę ich, jak przychodzą i odchodzą, przychodzą i odchodzą. Pomyśl tylko: Wisznu śpi w kosmicznym oceanie, a z jego pępka wyrasta lotos wszechświata. Na lotosie siedzi Brahma – stwórca. Brahma otwiera oczy – i oto powstaje świat; zarządza nim Indra. Brahma zamyka oczy – i świat zanika. Życie Brahmy trwa czterysta trzydzieści dwa tysiące lat. Gdy on umiera, lotos się chowa i wyrasta następny lotos, i przychodzi następny Brahma. A teraz pomyśl o galaktykach w nieskończonej przestrzeni – jedna po drugiej, i tak bez końca, a w każdej wyrasta lotos, na nim zaś siedzi Brahma, który zamyka i otwiera oczy. No, a Indrowie? Cóż, znalazłoby się zapewne na twoim

dworze mędracy, którzy podjęliby się zliczenia kropeł wody w oceanach świata lub ziarenek piasku na ich brzegach, ale nikt nie policzy wszystkich owych Brahmów, a cóż dopiero Indrów”.

Kiedy tak chłopiec mówi, podługę przecina maszerująca armia mrówek. Widząc je, chłopiec wybucha śmiechem, Indrze zaś włos jeży się na głowie. Pyta chłopca: „Dlaczego się śmiesz?”

Ten odpowiada: „Nie pytaj, jeśli nie chcesz być zraniony”.

Indra mówi: „Pytam. Nauczaj”. (Nawiasem mówiąc, piękna jest ta orientalna idea: nie powinieneś nauczać, dopóki cię nie poproszą. Tego, co masz do powiedzenia, nie powinieneś siłą wciskać ludziom w uszy.)

Chłopiec mówi, wskazując mrówki: „Wszystkie były kiedyś Indrami. Poprzez nieskończoną liczbę żywotów od najniższego położenia wznoszą się aż do najwyższego oświecenia. A potem miążdżą piorunem potwora i myślą: »Kawał ze mnie zucha«. Znów spadają w dół”.

Gdy chłopiec mówi te słowa, do pałacu wchodzi dziwny stary jogin z parasolem z bananowych liści. Jest nagi, ma tylko przepaskę na biodrach, na jego piersi zaś widać małą, okrągłą kępkę włosów, z których połowa, w samym środku, wypadła.

Chłopiec pozdrawia go i pyta właśnie o to, o co zamierzał zapytać Indra: „Jakie jest twoje imię, starcze? Skąd przychodzisz? Gdzie jest twoja rodzina? Gdzie twój dom? I co znaczy ten dziwny kształt kępki włosów na twojej piersi?”

Starszy gość odpowiada: „Nazywam się Włochacz. Nie mam domu, życie jest na to za krótkie. Mam tylko ten parasol. Nie mam rodziny. Ot, siedzę sobie u stóp Wisznu i medytuję, rozmyślam o wieczności i o tym, jak przemija czas. Widzisz, ilekroć umiera jakiś Indra, jeden świat znika – jak błysk: pstryk, i już go nie ma. Ilekroć umiera jakiś Indra, z tego krążka na mojej piersi wypada jeden włos. Połowa z nich już wypadła. Wnet znikną wszystkie. Życie jest krótkie. Po cóż budować dom?”

I obaj znikają. Chłopcem był Wisznu, Pan-Opiekun, starym joginem – Śiwa, stwórcy i niszczytel świata; przyszedł, aby udzielić pouczenia Indrze, który jest zwykłym bogiem historii, ale wyobraża sobie, że to on gra pierwsze skrzypce w całym tym interesie.

Siedzi więc Indra na tronie, zdruzgotany zupełnie i wyzbyty wszelkich złudzeń. Przywołuje cieślę i mówi mu: „Zaprzestaję budowy tego pałacu.

Jesteś wolny”. Budowniczy ma więc, czego chciał. Zostaje zwolniony z roboty, teraz nic już się nigdzie nie buduje.

Indra postanawia odejść, stać się joginem i medytować u stóp lotosu Wisznu. Sęk w tym, że ma żonę, piękną królową imieniem Indrani. Indrani, słysząc o planach Indry, idzie do kapłana bogów i mówi: „Teraz ubzdurał sobie, że odejdzie i będzie joginem”.

„W porządku, kochanie – mówi kapłan. – Wejdźmy, usiądziemy razem i coś dla ciebie wykombinuję”.

Po czym rozsiadają się przed tronem króla, kapłan zaś mówi do niego: „Przed wieloma laty napisałem dla ciebie książkę o sztuce polityki. Piastujesz godność króla bogów. Jesteś przejawieniem tajemnicy Brahmy w polu czasu. To wielki przywilej. Postaraj się go cenić i szanować, i tak sobie poczynaj z życiem, jak gdybyś był tym, kim w istocie jesteś. Oprócz tego napiszę dla ciebie jeszcze jedną książkę – o sztuce miłości, tak byście oboje, ty i twoja żona, wiedzieli, że w cudownej tajemnicy dwojga, którzy są jednym, świetliście obecny jest również Brahma”.

Otrzymałszy wszystkie te pouczenia, Indra rezygnuje ze swego pomysłu odejścia i stania się joginem; przekonuje się, że może w tym życiu reprezentować wieczność – symbolicznie, by tak rzec, zamiast Brahmy.

W podobny sposób każdy z nas jest Indrą własnego życia. Możesz wybrać: albo odrzucasz wszystko i udajesz się do lasu, aby medytować, albo pozostajesz w świecie, aby żyć i uprawiać swój zawód – królewski zawód polityka i człowieka sukcesu, i cieszyć się życiem małżeńskim oraz rodzinnym. Zdaje mi się, że to bardzo ładny mit.

MOYERS: Mówi też wiele o tym, co odkrywa współczesna nauka – że czas jest nieskończony...

CAMPBELL: ...I że są chmary galaktyk całe miliony, a nasz Bóg – to znaczy, nasza personifikacja Boga, jego syn i cała tajemnica – jest dla tego właśnie, małego skrawka czasu.

MOYERS: A jednak kultura zawsze wywierała wpływ na nasze myślenie o rzeczach ostatecznych.

CAMPBELL: Ale kultura może też nauczyć nas, w jaki sposób przekraczać jej pojęcia. Nazywa się to inicjacją. Prawdziwa inicjacja jest wtedy, gdy guru mówi ci: „Nie ma Świętego Mikołaja”. Święty Mikołaj to metafora

stosunku między rodzicami i dziećmi. Ten stosunek istnieje, więc można go doświadczać, ale Świętego Mikołaja nie ma. Święty Mikołaj był po prostu pewnym sposobem zaznajamiania dzieci z istotą tego stosunku.

Życie w swojej najgłębszej istocie jest straszliwą tajemnicą; cały ten interes życia kręci się dzięki zabijaniu i pożeraniu... Ale jest czymś dziecięcym mówić „nie” życiu z całym jego cierpieniem, mówić, że coś takiego w ogóle nie powinno istnieć.

MOYERS: Zorba powiada: „Kłopot? Życie to kłopot”.

CAMPBELL: Tylko śmierć wolna jest od kłopotów. Ludzie pytają mnie: „Czy jesteś optymistą co do świata?” Odpowiadam: „Tak, on jest wspaniały taki, jaki jest. A ty, człowieku, nie naprawisz go. Nikt nigdy go nie ulepszył. I nigdy ani odrobinę nie będzie on lepszy. Jest, jaki jest, więc można go albo przyjąć, albo odrzucić. Nie skorygujesz go ani nie poprawisz”.

MOYERS: Czy nie prowadzi to do jakiejś bierności wobec zła?

CAMPBELL: Sam uczestniczysz w złu – no, chyba że nie żyjesz. Cokolwiek robisz, wyrządzasz komuś krzywdę. To jedna z ironicznych stron całego stworzenia.

MOYERS: A jak wygląda sprawa dobra i zła w mitologii, życie jako konflikt między siłami ciemności i siłami światła?

CAMPBELL: To idea zoroastriańska, która przeszła do judaizmu i chrześcijaństwa. W innych tradycjach dobro i zło są względne, uzależnione od miejsca, w jakim sam stoisz. Co jest dobre dla jednego, jest złe dla drugiego. Ty zaś odgrywasz swoją rolę, nie wycofując się ze świata w chwili, kiedy sobie uświadamiasz, jak jest on straszny, bo widzisz, że cała ta okropność to tylko pierwszy plan cudu – *mysterium tremendum et fascinans*.

„Wszelkie życie jest udręczeniem” – to pierwsze słowa Buddy, i rzeczywiście tak jest. Nie byłoby życia, gdyby nie było uwikłania w czas, a to niesie smutek – wszystko mija, wszystko tracimy. Ale trzeba powiedzieć życiu „tak” i dostrzec w nim wspaniałość – w takim życiu, jakie jest, bo z pewnością takie właśnie zamierzył je Bóg.

MOYERS: Naprawdę w to wierzysz?

CAMPBELL: Takie właśnie życie jest pełne radości. Nie wierzę, aby ktoś takim je świadomie zamierzył, ale jest takie i kropka. James Joyce napisał kiedyś znamienne słowa: „Historia to koszmar, z którego próbuję się obudzić”. Otóż sposobem przebudzenia się jest nie uleganie strachowi, ale w pełni świadome przyznanie, że wszystko to, tak jak jest, jest przejawem tej przerażającej potęgi, która tkwi w każdym stworzeniu. Kres wszelkiej rzeczy jest zawsze bolesny. Ale ból jest częścią istnienia tego świata.

MOYERS: Ale gdybyś przyjął to jako ostateczny wniosek, zrezygnowałbyś ze stanowienia praw, toczenia walk...

CAMPBELL: Tego nie powiedziałem.

MOYERS: Czy nie jest to logiczna konkluzja z przyjmowania wszystkiego, tak jak jest?

CAMPBELL: Nie jest to konkluzja k o n i e c z n a. Przecież mógłbyś powiedzieć: „Będę brał udział w życiu, wstąpię do armii, pójdę na wojnę” itd.

MOYERS: „Będę robił, jak najlepiej potrafię”.

CAMPBELL: „Wejdę do tej gry. Ta opera jest fantastyczna, wspaniała – tyle tylko, że zadaje rany”.

Afirmacja jest czymś trudnym. Afirmujemy zawsze stawiając warunki. Afirmuję świat pod warunkiem, że będzie taki, jaki powinien być wedle Świętego Mikołaja. Ale zaafirmować go takim, jaki jest – o, to diablo trudna sprawa; o to właśnie chodzi w rytuałach. Rytuał to zbiorowe uczestnictwo w najwstrętniejszym akcie, w akcie życia – to znaczy w zabijaniu i zjadaniu innej żywej istoty. Robimy to razem i na tym właśnie polega życie. Bohater to ktoś uczestniczący w życiu mężnie i z godnością, zgodnie z głosem natury, nie zaś pod wpływem osobistej urazy, rozczarowania, zemsty.

Sfera działania bohatera nie leży w transcendencji, ale tutaj, teraz, w polu czasu, dobra i zła – par przeciwieństw. Ilekroć opuszczamy transcendencję, wchodzimy w pole przeciwieństw. Człowiek spożył owoc z drzewa poznania nie tylko dobra i zła, ale również tego, co męskie i żeńskie, słuszne i błędne, dalsze i bliższe, jasne i ciemne. Wszystko w polu czasu jest dwoiste – przeszłość i przyszłość, martwe i żywe, byt i niebyt. Jednakże dla wyobraźni ostateczną opozycją jest męskie i żeńskie, przy czym to, co

męskie, jest agresywne, żeńskie zaś – receptywne; mężczyzna jest wojownikiem, kobieta – marzycielką. Mamy królestwo miłości i królestwo wojny, Freudowskiego Erosa i Thanatosa.

Heraklit mówił, że w oczach Boga wszystkie rzeczy są dobre, słuszne i właściwe, dla człowieka jednak niektóre są dobre, inne nie. Gdy jesteś człowiekiem, znajdujesz się w polu czasu i decyzji. Jednym z problemów jest, jak żyć ze świadomością obu tych biegunów, by móc sobie powiedzieć: „Znam centrum i wiem, że dobro i zło to tylko czasowe odchylenia i że w oczach Boga nie ma różnicy”.

MOYERS: To jest myśl z *Upaniszad*: „To nie jest męskie ani żeńskie, ani bezpłciowe; służy mu wszelkie ciało, jakie przybiera”.

CAMPBELL: Właśnie. Dlatego Jezus mówi: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”. To znaczy, że trzeba z powrotem zająć stanowisko takie jak w Raju, zanim zaczęliśmy myśleć w kategoriach dobra i zła. Ale czegoś takiego raczej nie usłyszysz z ambony. A przecież jednym z wielkich wyzwań życia jest „tak” dla osoby, uczynku lub sytuacji, która w twoim przekonaniu jest najobrzydliwsza pod słońcem.

MOYERS: Jak to – najobrzydliwsza?

CAMPBELL: W sprawach tego rodzaju mamy dwa aspekty. Jednym jest twój osąd w sferze działania, drugim – osąd z pozycji metafizycznego obserwatora. Nie ma sensu mówić, że jadowite węże nie powinny istnieć; takie jest po prostu życie. Weźmy jednak sferę działania: zabijasz jadowitego węża, gdy widzisz, że właśnie zamierza kogoś ukąsić. To nie znaczy, że mówisz „nie” temu wężowi; mówisz „nie” tej sytuacji. W *Rygwedzie* jest taki oto piękny werset: „Na drzewie [jest drzewo życia, twój własny] siedzą dwa ptaki, serdeczni przyjaciele. Jeden zjada owoc z drzewa, drugi nie je, tylko patrzy”. Otóż ten, który zjada, zabija owoc. Życie karmi się życiem – i nie ma na to rady. Jest taka indyjska opowieść o wielkim bogu Śiwie, którego taniec stwarza wszechświat. Jego małżonką była bogini Parwati, córka króla gór. Do Śiwy przychodzi potwór i mówi: „Chcę twoją żonę na kochankę”. Śiwa wpada w złość, więc otwiera tylko swoje trzecie oko i natychmiast w ziemię zaczynają bić pioruny, unoszą się kłęby dymu i ognia, a kiedy dym się rozprasza, ukazują się drugi potwór, wychudły, z grzywą jakby lwia, rozwianą na cztery strony świata. Pierwszy

potwór widzi, że ten drugi, chudy, zamierza go pożreć. Pytanie: co możesz zrobić, kiedy się znajdziesz w takiej sytuacji? Tradycyjna rada głosi, że najlepiej wówczas zdać się na łaskę bóstwa. Więc ów pierwszy potwór mówi: „Śiwo, zdaję się na twoją łaskę”. Ale taka gra z bogami rządzi się pewnymi regułami. Gdy ktoś zdaje się na twoje miłosierdzie, cóż, udzielasz mu tego miłosierdzia.

Tak więc Śiwa mówi: „Udzielam ci swej łaski. Chudy potworze, nie pożeraj go”.

„Dobrze – mówi chudy potwór – ale co ja mam zrobić? Jestem głodny. Wzbudziłeś we mnie wielką oskromę na tego typka”.

„Cóż – mówi Śiwa – zjedz sam siebie”.

Wtedy chudy potwór powstał i wziął się do polykania samego siebie. Zerał sam siebie – i to właśnie jest obraz życia karmiącego się życiem. Na koniec z chudego potwora nie zostało nic oprócz twarzy. Śiwa spojrział na nią i rzekł: „Nigdy nic nie pokazało mi lepiej, czym naprawdę jest życie. Nadaję ci imię Kirtimukha, Oblicze Chwały”. Tę maskę, to oblicze chwały zobaczysz nad wejściem do każdej świątyni śiwaickiej, a także do sanktuariów buddyjskich. Śiwa powiedział do tej twarzy: „Ten, kto nie pokłoni się tobie, nie jest godny przystąpić do mnie”. Musisz powiedzieć „tak” cudowi życia w tej właśnie postaci, nie zaś pod warunkiem, że będzie on stosował się do twoich reguł. Inaczej nigdy nie wnikniesz w wymiar metafizyczny.

Kiedyś, będąc w Indiach, pomyślałem, że warto by spotkać się osobiście z jakimś ważniejszym guru lub nauczycielem. Poszedłem więc odwiedzić słynnego mistrza o nazwisku Śri Kryszna Menon. Pierwsze jego słowa brzmiały: „Czy masz jakieś pytanie?”

W tej tradycji nauczyciele zawsze tylko odpowiadają na pytania. Nie powiedzą ci niczego, na co nie jesteś jeszcze duchowo przygotowany. Odparłem więc: „Tak, mam pytanie. Skoro wedle hinduskiego sposobu myślenia wszystko na świecie jest manifestacją boskości, to jak czemukolwiek na świecie mamy powiedzieć »nie«? W jaki sposób możemy powiedzieć »nie« brutalności, głupocie, pospolitości, bezmyślności?”

Odpowiedział: „Dla ciebie i dla mnie jest tylko jedna odpowiedź: »tak«”.

Potem mieliśmy cudowną rozmowę na ten właśnie temat – afirmacji wszystkiego, co jest. Utwierdziła mnie ona w przeświadczeniu, jakie miałem

już od dawna – że nie mam prawa sądzić, bo kim w końcu jestem? Myślę, że to jedna z największych nauk, również Jezusowych.

MOYERS: Klasyczna doktryna chrześcijańska mówi, że materialnym światem należy wzgardzić, a życie ma być odkupione później, w niebie, gdzie oczekuje nas nagroda. Ty jednak mówisz, że afirmując to, nad czym bolejesz, afirmujesz właśnie ten świat, który w tej chwili jest naszą wiecznością.

CAMPBELL: Tak, dokładnie to. Wieczność to nie jest jakiś czas późniejszy. Wieczność to nawet nie jest jakiś długi czas. Wieczność nie ma nic wspólnego z czasem. Wieczność to ten wymiar tu i teraz, do którego żadne myślenie w kategoriach czasowych nie przystaje. Jeśli nie osiągniesz go tutaj, to nie osiągniesz go nigdzie. Sprawa z niebiosami polega na tym, że będzie ci tam tak dobrze, że nawet nie pomyślisz o wieczności. Jedna nieprzerwana rozkosz i błogość z oglądania Boga. Natomiast przeżywanie wieczności właśnie tu i teraz, we wszystkich rzeczach, niezależnie od tego, czy uznajesz je za dobre czy złe – jest funkcją życia.

MOYERS: Aha...

CAMPBELL: Właśnie.

III

PIERWSI OPOWIADACZE

*Zwierzęta – wysłannicy Niewidzialnej Mocy,
nie pełnią już, jak w czasach zamierzchłych,
funkcji nauczycieli i przewodników rodzaju ludzkiego.
Niedźwiedzie, lwy, słonie, koziorożce i gazyele żyją
w klatkach w naszych ogrodach zoologicznych.
Człowiek nie jest już świeżym gościem
w świecie niezbadanych równin i lasów,
naszymi zaś bezpośrednimi sąsiadami nie są dzikie zwierzęta,
lecz inne istoty ludzkie współzawodniczące o rzeczy
i przestrzeń na planecie, która bez końca
wiruje wokół rozżarzonej gwiazdnej kuli.
Ani cieleśnie, ani duchowo nie jesteśmy już mieszkańcami
owego świata paleolitycznych plemion łowieckich,
których fizycznej egzystencji oraz sposobom życia
zawdzięczamy nawet kształty naszych ciał
i struktury naszych umysłów.
A jednak wspomnienia o ich zwierzęcych wysłannikach
nadal muszą jakoś w nas drżeć,
bo gdy zapuszczamy się w dzikie ostępy,
budzą się one na chwilę i poruszają.
Budzą się, przerażone grzmotem.
I budzą się znów, coś jakby rozpoznając,
gdy wchodzimy do którejś z owych wielkich,
ozdobionych malowidłami jaskiń.
Jakkolwiek była głęboka wewnętrzna ciemność,
w którą opuszczali się podczas swoich transów szamani
zamieszkujący te jaskinie,
taka sama ciemność musi zalegać w nas;
odwiedzamy ją nocą, podczas snu.*



Bizon, grotta w Lascaux.

Ani cieleśnie, ani duchowo nie jesteśmy już mieszkańcami owego świata paleolitycznych plemion łowieckich, których fizycznej egzystencji oraz sposobowi życia zandżęczamy nawet kształty naszych ciał i struktury naszych umysłów. A jednak wspomnienia o ich zwierzęcych wystawniakach nadal muszą jakoś w nas drzemać, bo gdy zapuszczamy się w dzikie ostepy, budzą się one na chwilę i poruszają. Budzą się, przerażone grzmotem. I budzą się znów, coś jakby rozpoznając, gdy wchodzimy do którejś z owych wielkich, ozdobionych malowidłami jaskiń.

MOYERS: Czy myślisz, że poeta Wordsworth miał rację pisząc: „Narodzeni są tylko snem i zapomnieniem: / Dusza, co u nas wschodzi – gwiazda życia czeka, / Gdzie indziej zaszła w cienie / I zmierza tu z daleka”?* Czy sądzisz, że tak właśnie jest?

CAMPBELL: Tak, tak sądzę. Tylko że zapomnienie nie jest całkowite – to znaczy, nerwy naszego ciała przenoszą pamięć o tym, co ukształtowało nasz system nerwowy i przystosowało go do warunków otoczenia oraz do wymogów organizmu.

MOYERS: Co nasze dusze zawdzięczają prastarym mitom?

CAMPBELL: Zadaniem mitów było stworzenie harmonii między umysłem i ciałem. Umysł może błędzić po najdziwniejszych manowcach i pragnąć rzeczy, których ciało nie chce. Mity i rytuały były środkami do zestrojenia umysłu z ciałem i sposobu życia z tym, co dyktuje natura.

MOYERS: A więc te stare historie żyją w nas?

CAMPBELL: Jak najbardziej. Etapy rozwoju człowieka są takie same dziś jak w najdawniejszych czasach. Jako dziecko wychowywany jesteś w dyscyplinie i posłuszeństwie, no i uzależniony jesteś od innych. Wszystko to musi zostać przekroczone, gdy wchodzisz w dojrzałość, tak byś mógł żyć niezależnie i w pełni odpowiadając za siebie. Jeśli nie potrafisz sforsować tego progu, masz wszelkie dane na niewrozę. Potem przychodzi etap, kiedy po zdobyciu własnego świata musisz go oddać; jest to kryzys odejścia, wycofania się z odpowiedzialności.

MOYERS: I na koniec – śmierć?

CAMPBELL: I na koniec – śmierć. To jest ostateczne wycofanie się. Mit ma więc służyć dwóm celom: wprowadzeniu młodego człowieka w życie jego świata (to jest funkcja idei popularnej, ludowej), a potem wycofaniu go z życia. Idea ludowa kryje w sobie ideę elementarną, która prowadzi cię ku twemu własnemu wewnętrznemu życiu.

MOYERS: Mity opowiadają mi też o tym, w jaki sposób inni urzeczywistnili to przejście, i jak ja mogę tego dokonać...

CAMPBELL: Tak, a ponadto ukazują ci dobre strony tej drogi. Odczuwam to wyraźnie teraz, gdy wchodzę w ostatni etap życia... rozumiesz, mity pomagają mi przyjąć to jakoś.

* Przel. St. Kryński.

MOYERS: Ale jakie mity? Wymień choć jeden taki, który naprawdę ci pomógł.

CAMPBELL: Na przykład indyjska tradycja, która każe ci zupełnie zmieniać sposób ubierania się, a nawet imię, gdy przechodzisz z jednego etapu w drugi. Kiedy przestałem wyklądać, wiedziałem dobrze, że muszę sobie wypracować nowy sposób życia, toteż całkowicie zmieniłem sposób myślenia o swoim życiu, właśnie kierując się tymi kategoriami – przejścia ze sfery dokonań do korzystania z przyjemności, swobodnego napawania się cudem tego świata.

MOYERS: A potem jest ostatnie przejście – przez ciemną bramę...

CAMPBELL: To nie jest żaden problem. Problemem człowieka w środkowym punkcie życia, gdy ciało osiągnęło szczyt swojej siły i zaczyna podupadać, jest utożsamienie się – nie z ciałem, które jest coraz marniejsze, tylko ze świadomością, której jest ono nosicielem. Tego właśnie nauczyłem się z mitów. Czym właściwie jestem? Żarówką niosącą światło czy też światłem, dla którego żarówka jest naczyniem?

Jednym z psychologicznych problemów starzenia się jest lęk przed śmiercią. Ludzie nie chcą wkraczać we wrota śmierci. Ale przecież to ciało jest naczyniem dla świadomości, więc jeśli potrafisz utożsamić się ze świadomością, możesz patrzeć na to ciało jak na stary samochód. Najpierw odpada błotnik, potem szlag trafia gumy, i tak dalej, jedną część po drugiej; wszystko to można jednak przewidzieć z góry. A potem stopniowo cały wehikuł rozlatuje się – i świadomość łączy się ze świadomością. Nie jest już związana z jednym, konkretnym otoczeniem.

MOYERS: A więc te mity mogą nam też powiedzieć coś niecoś o starzeniu się. Zapytałem o to, bo wiele z nich opowiada o pięknych młodych ludziach.

CAMPBELL: Mity Greków. Myśląc o mitologii, myślimy zazwyczaj albo o mitologii greckiej, albo o biblijnej. W obu tych kulturach zachodzi coś jakby ucłowianie materiału mitycznego. Bardzo silny akcent kładzie się w nich na pierwiastek ludzki; szczególnie w mitach greckich podkreśla się człowieczeństwo i chwałę urodzivej młodości.

Ale ceni się w nich również wiek. Na przykład w greckim świecie widzisz mądrych starców i mędrców jako postacie bardzo szanowane.

MOYERS: A w innych kulturach?

CAMPBELL: Nie podkreśla się w nich w takim stopniu piękna młodości.

MOYERS: Powiadasz, że obraz śmierci jest początkiem mitologii. Co masz na myśli?

CAMPBELL: Najwcześniejsze świadectwa czegoś, co by można uznać za myślenie mityczne, wiążą się z grobami.

MOYERS: I sugerują one, że owi ludzie zobaczyli życie, a potem przestali je widzieć, więc dziwili się temu...

CAMPBELL: Coś w tym rodzaju. Spróbuj tylko wyobrazić sobie własną reakcję. Pochówki w grobach, do których wkładano broń i ofiary, mające zapewnić ciągłość życia, z pewnością sugerują, że ta osoba, co teraz leży tutaj zimna i zaczynająca się rozkładać, była kiedyś ciepła i żywa. Coś tu było, a teraz tego nie ma. Gdzie się podziało?

MOYERS: Jak sądzisz, kiedy ludzie po raz pierwszy odkryli śmierć?

CAMPBELL: Wtedy, kiedy po raz pierwszy zaistnieli jako ludzie, ponieważ umierali. Otóż zwierzęta mają doświadczenie śmierci o tyle, że widzą, jak umierają ich towarzysze, wydaje się jednak, że na tym kończy się ich myślenie o śmierci. Nie ma też świadectw, żeby ludzie jakoś głębiej myśleli o śmierci przed okresem neandertalskim, kiedy w grobach zaczyna się pojawiać broń i szczątki ofiar zwierzęcych.

MOYERS: Co przedstawiały te ofiary?

CAMPBELL: Tego chyba nie wiem.

MOYERS: Spróbuj odgadnąć.

CAMPBELL: Nie chciałbym zgadywać. Widzisz, mamy na ten temat strasznie dużo informacji, ale w pewnym punkcie urywają się one i jeśli nie masz dokumentu pisanego, nie wiesz, co myśleli ci ludzie. Wszystko, czym dysponujesz, to tylko takie lub inne pozostałości, które coś znaczą. Możesz ekstrapolować wstecz, ale to niebezpieczne. Mimo wszystko wiemy, że z pochówkiem zawsze łączy się idea kontynuacji życia poza to widzialne, jakiegos wymiaru istnienia poza wymiarem widzialnym, tym, z którym mamy kontakt, a który w tamtym pierwszym ma poniekąd podporę. Powiedziałbym, że to właśnie jest głównym tematem wszelkiej mitologii – to

przeświadczenie, że istnieje niewidzialny wymiar bytu podtrzymujący wymiar widzialny.

MOYERS: To, czego nie wiemy, podtrzymuje to, co wiemy.

CAMPBELL: Tak. Zresztą ta idea niewidzialnej podpory jest związana z konkretną społecznością każdego z nas. Ta społeczność była, zanim się urodził, i będzie nadal, gdy już nie będzie Ciebie, który jesteś jej członkiem. Mity wiążące Cię z twoją grupą społeczną – mity plemiennie – twierdzą, że jesteś częścią większego organizmu. Sama społeczność jest znów częścią większego organizmu – krajobrazu, świata, w jakim porusza się plemię. Głównym motywem rytuałów jest powiązanie jednostki ze strukturą morfologiczną szerszą niż struktura jej własnego ciała fizycznego.

Człowiek żyje z zabijania i wiąże się z tym pewne poczucie winy. Pochówek sugeruje, że wprawdzie mój przyjaciel umarł, ale żyje nadal. Zwierzęta, które zabiłem, również muszą żyć nadal. Pierwsi myśliwi mieli zwykle jakieś bóstwo zwierzęce; jego technicznym określeniem było „pan zwierzyny”, zwierzę, które panuje nad innymi zwierzętami. Pan zwierząt posyła stada na zabicie.

Widzisz, podstawowy mit łowców to coś w rodzaju przymierza między światem ludzi i światem zwierzęcym. Zwierzę oddaje swoje życie dobrowolnie, wiedząc, że to życie wykracza poza jego byt fizyczny i że przez jakiś obrzęd przywracający zostanie ono zwrócone ziemi bądź matce. Ten obrzęd związany jest z najważniejszym zwierzęciem łownym. Dla Indian z amerykańskich równin był nim bizon. Na wybrzeżu północno-zachodnim urządzano wielkie festiwale z okazji wplynięcia do rzek ławic lososia. Gdy pojedziesz do południowej Afryki, zobaczysz, że głównym zwierzęciem jest tam wspaniała antylopa eland.

MOYERS: A to główne zwierzę...

CAMPBELL: Główne zwierzę jest dostarczycielem pożywienia.

MOYERS: A więc we wczesnych społecznościach łowieckich ukształtowała się między ludźmi i zwierzętami więź, w myśl której jedno ma być zjadane przez drugie.

CAMPBELL: Taka jest natura życia. Człowiek jest łowcą, a łowca to drapieżne zwierzę. W mitach zwierzę drapieżne i zwierzę-łup grają odrębne, znaczące role. Przedstawiają one dwa aspekty życia – aspekt agresywny,

morderczy, zdobywczy i twórczy, i drugi – aspekt materii, tworzywa albo materii ujarzmionej, można by powiedzieć.

MOYERS: Samego życia. Jak wygląda ten stosunek między łowcą a łowną zwierzyną?

CAMPBELL: Wiemy z życia Buszmenów i z postawy amerykańskich tubylców względem bizona, że jest to stosunek pełen szacunku, respektu. Na przykład afrykańscy Buszmeni żyją na pustyni. Życie jest tam bardzo ciężkie, a polowanie w tamtejszych warunkach – bardzo trudne. Nie ma drzewa na duże, silne łuki. Łuki Buszmenów są więc małe, a ich zasięg wynosi niewiele więcej ponad trzydzieści jardów. Strzała ma bardzo małą siłę, ledwo potrafi przebić skórę zwierzęcia. Ale Buszmeni nasycają groty swoich strzał bardzo silną trucizną, tak że te piękne zwierzęta, elandy, zdychają w męczarniach przez półtora dnia. Gdy zwierzę zostaje ustrzelone i w męczarniach umiera od trucizny, myśliwi muszą przestrzegać pewnych tabu: nie wolno im robić tego i owego i stanowi to coś w rodzaju *participation mystique*, mistycznego współuczestnictwa w śmierci zwierzęcia, którego mięso stało się dla nich życiem, a którego śmierć spowodowali. Jest to mitologiczne utożsamienie. Zabijanie to nie zwykła rzeź, ale akt rytualny, tak jak jedzenie, gdy przedtem odmawiasz modlitwę. Akt rytualny jest uznaniem przez człowieka swojej zależności od zwierzęcia, które dobrowolnie daje mu pożywienie, oddając swoje życie. Łowy są rytuałem.

MOYERS: A rytuał wyraża rzeczywistość duchową.

CAMPBELL: Wyraża fakt, że to wszystko dzieje się w zgodzie z prawidłem natury, nie zaś wedle mojego własnego widzimisię.

Mówiono mi, że gdy Buszmeni opowiadają swoje historie o zwierzętach, specjalnie układają wargi, naśladując kształt pysków rozmaitych zwierząt, a słowa wypowiadają tak, jak gdyby wymawiały je same te zwierzęta. Mają oni dogłębną wiedzę o tych istotach i utrzymują z nimi bliskie, przyjacielskie stosunki.

Jednakże niektóre z nich zabijają dla pożywienia. Znam ranczerów, którzy oprócz zwykłego bydła mają jeszcze jedną, ulubioną krowę. Jej mięsa nigdy nie wezmą do ust, bo przecież zjadanie ciała przyjaciela to kanibalizm. Jednakże tubylcy zawsze zjadali ciała swoich przyjaciół. Musi więc następować jakaś psychologiczna kompensacja. Pomagają w tym mity.



*Łowcy bizonów w przebraniu z wilczych skór,
u podnóży Gór Skalistych, George Catlin, 1832–1839.*

Wiemy z życia Buszmenów

i z postawy amerykańskich tubylców względem bizona,

że jest to stosunek

pelen szacunku, respektu.

MOYERS: W jaki sposób?

CAMPBELL: Te wczesne mity pomagają psyche w uczestniczeniu bez poczucia winy albo strachu w koniecznym akcie życia.

MOYERS: Ponadto owe wielkie opowieści konsekwentnie, w taki czy inny sposób, wskazują na tę dynamikę: łowy, łowca, zwierzyzna łowna, zwierzę jako przyjaciel, jako wysłaniec od Boga...

CAMPBELL: Właśnie. Posłańcem bóstwa zostaje zwykle zwierzę, na które się poluje.

MOYERS: A człowiek, jako łowca zabijający posłańca, ma niezłego pietra.

CAMPBELL: Bo zabija boga.

MOYERS: Czy to nie rodzi winy?

CAMPBELL: Nie, winę zmazuje mit. Zabicie zwierzęcia nie jest aktem osobistym. Spełniasz tylko dzieło natury.

MOYERS: Wina zostaje wymazana przez mit?

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Ale nieraz człowiek odczuwa chyba jakieś opory, gdy ma coś zabić. W gruncie rzeczy nie chce zabijać tego lub tamtego zwierzęcia.

CAMPBELL: Zwierzę jest ojcem. Wiesz, co mówią freudyści: jeśli jesteś mężczyzną, pierwszym wrogiem dla ciebie jest ojciec. Jeśli jesteś chłopcem, każdy wróg może być potencjalnie, psychologicznie skojarzony z wizerunkiem ojca.

MOYERS: Myślisz, że zwierzę stało się ojcowskim obrazem Boga?

CAMPBELL: Tak. Jest faktem, że religijna postawa wobec głównego zwierzęcia nacechowana jest uszanowaniem, respektem; więcej – uległością wobec inspiracji płynących od tego zwierzęcia. To ono przynosi dary – tytoń, mistyczną fajkę itd.

MOYERS: Czy sądzisz, że to zabijanie zwierzęcia będącego bogiem, albo wysłańcem boga, niepokoiło pierwotnego człowieka?

CAMPBELL: Na pewno. Przecież dlatego powstał rytuał.

MOYERS: Jakiego rodzaju?

CAMPBELL: Przebłagalny albo dziękczynny. Kiedy na przykład zabija się niedźwiedzia, urządzana jest ceremonia karmienia go kawałkiem jego własnego mięsa. Otwiera ją obrzęd rozpięcia na swego rodzaju stelażu skóry niedźwiedzia, tak jakby był „osobiście” obecny – i jest obecny, serwuje na tej uczcie własne mięso. Płonie ogień – a ten ogień to bogini. Potem następuje rozmowa między bogiem gór, którym jest niedźwiedź, a boginią ognia.

MOYERS: Co oni mówią?

CAMPBELL: Któż to wie? Nikt ich nie słyszy; tyle że przy tej okazji wszyscy jakby trochę kumają się z sobą.

MOYERS: Gdyby tych jaskiniowych niedźwiedzi nie dało się przebłagać, zwierzyna nie pojawiałaby się, a pierwotni łowcy pomarliby z głodu. Oni zaczęli dostrzegać jakąś moc, od której byli uzależnieni, moc większą niż ich własna siła.

CAMPBELL: Tak. To jest moc pana zwierząt, gotowość zwierząt do uczestniczenia w tej grze. Na całym świecie wśród łowców stwierdzisz tę samą, poufałą i pełną głębokiego szacunku postawę wobec głównego zwierzęcia, które dostarcza pożywienia. My, siadając do stołu, dziękujemy Bogu za jedzenie. Oni dziękowali zwierzęciu.

MOYERS: A więc przebłaganie zwierzęcia tymi obrzędami na jego cześć byłoby czymś takim jak łapówka dla rzeźnika...

CAMPBELL: Nie, wcale nie sędzę, żeby to była łapówka. To jest podziękowanie przyjacielowi za współdziałanie. Gdybyś mu nie podziękował, cały gatunek poczułby się obrażony.

Niektóre obrzędy związane z zabijaniem zwierząt zostały opisane. Otóż myśliwy, zanim wyruszy na łowy, rysuje na szczycie wzgórza wizerunek zwierzęcia, które ma zabić. Wzgórze musi być w takim miejscu, żeby pierwsze promienie słońca padły właśnie na jego wierzchołek. O wschodzie słońca myśliwy czeka tam z małą grupką ludzi, aby odprawić obrzędy. Kiedy światło pada na rysunek zwierzęcia, myśliwy wypuszcza strzałę w linii promienia, prosto w kierunku narysowanego zwierzęcia i razi je, obecna zaś przy tym kobieta unosi ręce i krzyczy. Potem myśliwy odchodzi i zabija zwierzę; jego strzała ma uderzyć dokładnie w ten sam punkt co na

rysunku. Następnego ranka o wschodzie słońca łowca ściera rysunek zwierzęcia. Wszystko to robione jest w imię porządku naturalnego, nie zaś aby spełnić czyjś osobisty zamysł.

A teraz historia z zupełnie innej społecznej sfery – o samuraju, wojowniku japońskim, którego obowiązkiem jest pomścić swego zamordowanego suzerena. Otóż gdy osaczył już on człowieka, który zabił jego pana, i zamierza załatwić go swoim samurajskim mieczem, ten, zapędzony w kąt, w paroksyzmie strachu pluje w twarz wojownika. Na to wojownik chowa miecz do pochwy i odchodzi.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Bo go rozgniewano, a gdyby zabił tego człowieka w gniewie, dokonałby aktu osobistego. Tymczasem jego zadaniem było coś innego – wykonanie bezosobowej zemsty.

MOYERS: Czy sądzisz, że tego rodzaju bezosobowa postawa grała jakąś rolę w psychice łowcy z Wielkiej Prerii?

CAMPBELL: Tak, z pewnością. Bo czyż zabicie kogoś i zjedzenie go nie jest problemem moralnym? Widzisz, owi ludzie nie myśleli o zwierzętach w taki sposób jak my – jako o gorszym gatunku istot. Wedle nich zwierzęta są nam co najmniej równe, a niekiedy nawet nas przewyższają.

Zwierzę posiada moce, których człowiek nie ma. Na przykład szaman ma często jakieś zwierzę za krewniaka, to znaczy ducha jakiegoś gatunku zwierzęcego, który ma go podtrzymywać i być mu nauczycielem.

MOYERS: Ale jeśli ludzie potrafią wyobrazić sobie i dostrzec piękno, i tworzyć piękno na fundamencie tego stosunku, to chyba zaczynają mówić nad zwierzętami, nieprawdaż?

CAMPBELL: Cóż, nie sądzę, żeby tak bardzo byli przekonani o swojej wyższości nad zwierzętami; raczej uważają je za równe sobie. Proszą je o radę, toteż zwierzę staje się dla nich wzorcem życia. W takim przypadku góruje ono nad człowiekiem. Nieraz zwierzę bywa nawet dawcą rytuału, jak na przykład w legendach o pochodzeniu bizona. Tę równość możesz na przykład zobaczyć w głównej legendzie plemienia Czarnych Stóp; ta legenda wyjaśnia pochodzenie ich rytualnego tańca bizona, za pomocą którego wzywają oni zwierzęta do współpracy w tej grze życia.

MOYERS: Więc jak to było?

CAMPBELL: Źródłem tej opowieści jest problem zdobycia pożywienia dla dużej grupy plemiennej. Jednym ze sposobów uzyskania mięsa na zimę bywało zwykle zapędzenie stada bizonów na urwistą skałę, tak by wszystkie runęły w dół, gdzie już łatwo można je było dobić. Nazywane jest to „strącaniem bizonów”.

Ta historia opowiada o tym, jak to dawno, dawno temu plemię Czarnych Stóp ani rusz nie mogło sobie poradzić z zapędzeniem bizonów na urwisko. Bizony zbliżały się do niego, a potem zawracały. Wyglądało na to, że plemię pozostanie bez mięsa na zimę.

Pewnego dnia wczesnym rankiem z którejś chaty wyszła dziewczyna, aby nabrać wody dla całej rodziny, i przypadkiem spojrzała w stronę urwiska. Na skale stały bizony. Dziewczyna rzekła: „Ach, gdybyście tylko zrobili krok przez skałę, poślubiłabym jednego z was”.

Ku jej zdumieniu zaczęły rzucić się w przepaść. To była pierwsza niespodzianka. Druga nastąpiła, gdy jeden ze starych bizonów, szaman stada, podszedł do niej i powiedział: „W porządku, dziewczeczko, chodź ze mną”.

„Ach, nie” – mówi ona.

„O, tak – mówi on. – Przecież obiecałaś. My wypełniliśmy, co do nas należało. Popatrz tylko – wszyscy moi krewniacy leżą martwi. A więc – idziemy”.

Rano jej rodzina wstaje i wszyscy rozglądają się wokoło; gdzie się podziała Minnehaha? Ojciec wypatruje śladów na ziemi (wiesz, jacy bystrzy są Indianie, po śladach odgadną wszystko) i mówi: „Odeszła z bizonem. Ale sprowadzę ją z powrotem”.

Wkłada więc mokasyny podróżne, bierze łuk i strzały, itd. i wyrusza na prerię. W pewnej chwili, gdy uszedł już spory szmat drogi, czuje, że dobrze będzie usiąść i odpocząć. Siada więc i kombinuje, co robić dalej, aż tu pojawia się obok niego sroka, jeden z tych zmyślnych ptaków obdarzonych zdolnościami szamana.

MOYERS: Magicznymi.

CAMPBELL: Tak. Indianin mówi do niej: „Śliczny ptaszku, czy moja córka uciekła z bizonem? Czy ją widziałeś? Czy nie mógłbyś polecieć i rozejrzeć się trochę po prerii? Może ją gdzieś wypatrzysz”.

Sroka na to: „Tam, dalej, niedaleko stąd, jest z bizonami jakaś ładna dziewczyna”.

„Dobrze – mówi mężczyzna. – A może poleciałbyś, ptaszku, do niej i powiedział, że jej tatuś czeka na nią tu, koło bizoniego bajorka?”

Sroka leci więc i odnajduje dziewczynę w otoczeniu bizonów. Wszystkie śpią, a ona robi na drutach czy coś w tym rodzaju. Sroka podlatuje do niej i mówi: „Twój ojciec czeka na ciebie koło bizoniego bajorka”.

„Ach, to straszne – mówi dziewczyna. – To okropne. Te bizona nas pozabijają. Powiedz mu, żeby poczekał, zaraz tam przyjdę. Postaram się dokończyć robotę”.

Ale za jej plecami leży bizon, jej mąż; budzi się, wyciąga swój rożek i mówi: „Idź do bajorka i przynieś mi wody do picia”.

Dziewczyna bierze róg i idzie, a tam czeka na nią ojciec. Chwyta ją za ramię i mówi: „Chodź!”

Ale ona mówi: „Nie, nie! To naprawdę niebezpieczne. Zaraz będziemy mieć na karku całe stado. Muszę skończyć tę robotkę. Puść mnie, muszę tam wrócić”.

Po czym nabiera wody i rusza z powrotem. Jej bizon węszy i mówi:

„Fuk, fuk, czuję krew Indianina” – rozumiesz, coś w tym rodzaju. Ona na to, że nie, absolutnie, ale on się upiera, że jednak czuje. I wydaje potężny bizoni ryk, na który wszystkie bizona zrywają się i zaczynają swój powolny bizoni taniec z ogonami sztywno do góry, biegną tam i zdeptują biednego człowieka na śmierć, tak że znika zupełnie. Po prostu rozgniatają go na miazgę. Nie ma go. Dziewczyna płacze, a jej mąż-bizon mówi: „Ty płaczesz”.

„Tak – odpowiada ona. – To mój tatuś”.

„W porządku – mówi bizon. – A co z nami? Tam, u podnóża urwiska, leżą nasze dzieci, nasze żony i krewni, a ty płaczesz po swoim tatusiu”. Zdaje się, że ten bizon miał dość miękkie serce. Więc dodaje: „Zgoda, jeśli potrafisz swojego tatę przywrócić do życia, pozwolę ci odejść”.

Na to dziewczyna zwraca się do sroki: „Podziób trochę wokół i zobacz, może znajdziesz jakiś kawałeczek tatusia”. Sroka dziobie, dziobie i na koniec znajduje jeden z kręgów, ot, tycią kostkę. Dziewczyna mówi: „To wystarczy”. Kładzie kostkę na ziemi, przykrywa ją swoją koldrą i intonuje pieśń ożywiająca, magiczną pieśń, w której jest wielka moc. I co się dzieje?

HARPER'S WEEKLY.

JOURNAL OF CIVILIZATION

Vol. VIII. No. 507.

NEW YORK, SATURDAY, DECEMBER 12, 1874.

PRICE 4 CENTS



*Mordowanie zwierząt ze względu na skórę,
„Harper's Weekly”, 12 grudnia 1874.*

*Przez całą drugą połowę ubiegłego stulecia
wyposażeni w automatyczne strzelby
pogranicznicy osadnicy wybijali całe stada,
zabierając tylko skóry na sprzedaż i zostawiając ciała zwierząt, by gniły.
To było świętokradztwo.*

Skutkiem tego bizon z kategorii „ty” przeszedł do kategorii „to”.

Po chwili pod koldrą jest człowiek. Dziewczę patrzy: „Tatus, zdrowy i cały!” Ale jeszcze nie oddycha. Córka wyśpiewuje więc jeszcze pozostałe zwrotki pieśni i ojciec staje na nogach.

Bizony patrzą w zdumieniu i mówią: „Czemu nie zrobisz tego dla nas? Nauczmy was naszego tańca, a gdy pozabijacie nasze rodziny, odtańczycie ten taniec i odśpiewacie tę pieśń, i znów wszystkie powrócimy do życia”.

To właśnie jest fundamentalna idea: że przez rytuał zostaje osiągnięty wymiar przekraczający doczesność, wymiar, z którego wypływa życie i do którego wraca.

MOYERS: Co się działo sto lat temu, kiedy przyszedł biały człowiek i wymordował te otoczone czcią zwierzęta?

CAMPBELL: Było to straszne świętokradztwo. Na wielu płótnach z początków dziewiętnastego wieku, malowanych przez George'a Catlina, możesz oglądać Wielką Zachodnią Prerię literalnie zaslaną setkami tysięcy bizonów. A później, przez całą drugą połowę stulecia, wyposażeni w automatyczne strzelby pograniczni osadnicy wybijali całe stada, zabierając tylko skóry na sprzedaż i zostawiając ciała zwierząt, by gniły. To było świętokradztwo.

MOYERS: Skutkiem czego bizon z kategorii „ty”...

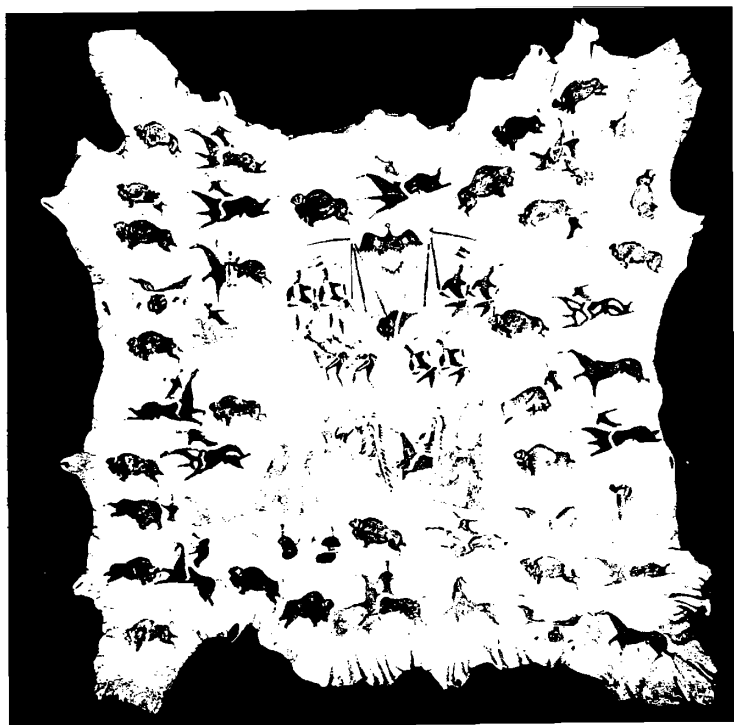
CAMPBELL: ...przeszedł do kategorii „to”.

MOYERS: Indianie, na znak szacunku, zwracali się do bizona per „ty”.

CAMPBELL: Indianie zwracali się per „ty” do wszystkiego, co żywe – do drzew, kamieni, do wszystkiego. Powiedz „ty” do jakiejś rzeczy, a zaraz odczujesz zmianę we własnej psychice. Ja, które widzi „ty”, nie jest tym samym ja, które widzi „to”. Gdy idziesz na wojnę przeciw innym ludziom, gazety robią wszystko, żeby tych ludzi zmienić w jakieś kolektywne „to”.

MOYERS: Podobnie bywa w małżeństwie, nie uważasz? No i z dziećmi.

CAMPBELL: Nieraz „ty” zmienia się w „to”, i gubisz się w tym stosunku. Stosunek Indian do zwierząt jaskrawo kontrastuje z naszym, bo my patrzymy na nie jako na niższą formę życia. Biblia mówi nam, że to my jesteśmy panami. Dla ludów łowieckich, jak już mówiłem, zwierzę pod wieloma względami góruje nad człowiekiem. Pewien Indianin Pawnee



Szoszońska szata ze skóry łosia.

Indianie zwracali się per „ty”

do wszystkiego, co żywe

– do drzew,

kamieni, wszystkiego.

Powiedz „ty” do jakiejś rzeczy,

a zaraz odczujesz zmianę we własnej psychice.

powiedział: „Na samym początku tylko zwierzęta miały mądrość i wiedzę, gdyż Tirawa, Ten z Góry, nie mówił bezpośrednio do człowieka. Posłał on pewne zwierzęta, aby powiedziały ludziom, że objawia się przez dzikie bestie. I że właśnie od nich, od gwiazd, słońca i księżyca człowiek powinien się uczyć”.

MOYERS: A więc to właśnie wtedy, w epoce kultur łowieckich, odczuliśmy pierwsze poruszenia wyobraźni mitycznej, zaczęły nas zdumiewać rzeczy.

CAMPBELL: Następuje eksplozja wspaniałej sztuki, a z nią – wszelkich możliwych świadectw rozwiniętej w pełni wyobraźni mitycznej.

MOYERS: Czy kiedy patrzysz na te obiekty pierwotnej sztuki, zdarza ci się myśleć nie o niej, ale o mężczyźnie lub kobiecie, jak stoi przy ścianie i maluje albo tworzy coś innego? Może spekuluje, ale... kim był ten człowiek?

CAMPBELL: Ta sprawa zaczyna cię nękać, gdy tylko wchodzisz do tych prastarych jaskiń. O czym oni myśleli, tworząc te wizerunki? Jak się tam dostali? I jak mogli tam cokolwiek dostrzec? Mieli przecież tylko małe, migotliwe pochodnie.

A co się tyczy piękna malowideł... Czy było ono zamierzone? A może jest to jakaś naturalna ekspresja pięknego ducha? Czy piękno ptasiego śpiewu jest intencjonalne? W jakim sensie intencjonalne? A może jest to, by się tak wyrazić, ekspresja ptaka, piękno ptasiego ducha? O tej sztuce często myślę w taki właśnie sposób. Do jakiego stopnia intencja artysty miała charakter „estetyczny”, jakbyśmy powiedzieli, a do jakiego stopnia ekspresywny? I o ile ta sztuka jest po prostu czymś, co robili tak, a nie inaczej, bo tak się nauczyli?

Kiedy pająk sporządza piękną sieć, jej piękno wypływa z natury pająka. Jest instynktowne. W jakim stopniu piękno naszego własnego życia wypływa z piękna faktu, że po prostu żyjemy? W jakiej mierze to piękno jest świadome i zamierzone? Wielkie pytania.

MOYERS: Powiedz, co odczułeś, gdyś po raz pierwszy obejrzał te malowidła w jaskiniach.

CAMPBELL: Nie chce ci się stamtąd odejść. Wchodzisz do ogromnej komory, wielkiej jak katedra, ze wszystkimi tymi malunkami zwierząt na



Portal Królewski, zachodnia fasada katedry w Chartres, 1145–1155.

Wchodząc do katedry,

zagłębiasz się w świat obrazów duchowych.

W jaskiniach obrazy mają formy zwierzęce.

Ale to jest to samo.

Forma jest czymś drugorzędnym.

Ważne jest tylko przesłanie.

ścianach. Ciemność jest niewyobrazalna. Mieliliśmy elektryczne latarki, ale facet, który nas oprowadzał, zgasił wszystkie światła, i oto jesteś, człowieku, w najciemniejszym mroku, jakiego doświadczyłeś w życiu. To było coś... no, nie wiem, ale coś jak zupełny nokaut. Nie wiesz, gdzie jesteś, czy masz przed sobą północ, południe, wschód czy zachód. Wszelką orientację diabli biorą w ciemnościach, które nigdy nie widziały słońca. Potem zapalają światła i widzisz naokoło te wspaniałe wymalowane zwierzęta. Wymalowane tak żywo, że przypomina to japońskie malunki tuszem na jedwabiu – wiesz, coś w tym guście. Masz na przykład byka długości jakichś dwudziestu stóp namalowanego tak, że jego zad oddaje wybrzuszenie skały. Ci ludzie o wszystkim pamiętali.

MOYERS: Nazywasz te grotty jaskiniami świątynnymi.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Świątynia jest krajobrazem duszy. Wchodząc do katedry, zagłębiasz się w świat obrazów duchowych. To jest matczyne łono twego życia duchowego – kościół-matka. Wszystkie formy naokoło ciebie oznaczają jakieś wartości duchowe.

W katedrze jednak obrazowanie ma charakter antropomorficzny. Bóg, Jezus i święci mają kształty ludzkie. Natomiast w jaskiniach obrazy mają formy zwierzęce. Ale to jest to samo, wierz mi. Forma jest czymś drugorzędnym. Ważne jest tylko przesłanie.

MOYERS: A co mówi przesłanie jaskiń?

CAMPBELL: Mówi o stosunku między czasem a odwiecznymi mocami, o stosunku, którego trzeba doświadczyć w tym miejscu.

MOYERS: W jakim celu używano tych jaskiń?

CAMPBELL: Uczni spekulują, że mają one jakiś związek z wtajemniczeniem chłopców w kunszt łowiecki. Musieli się nauczyć nie tylko polowania, ale i szacunku dla zwierząt, odpowiednich obrzędów i tego, jak wreszcie przestać być dzieckiem, a zacząć być mężczyzną. Widzisz, polowania były wtedy bardzo, bardzo niebezpieczne. Jaskinie służyły pierwotnym ludziom jako sanktuaria, w których chłopcy z synków mamusi przekształcali się w synów ojca.



Inicjacja przez obrzezanie u tubylców australijskich.

*Poprzez pierwotne rytuały inicjacyjne
chłopca wyprowadzano z dzieciństwa:
jego ciało poznaczono bliznami, poddano go obrzezaniu i subincyzji.
Ma teraz ciało mężczyzny.*

*Po całej tej imprezie nie ma już szans,
by z powrotem wskoczyć w skórę chłopczyka.*

MOYERS: Co by się stało ze mną, gdybym jako dziecko przeszedł jeden z takich obrzędów?

CAMPBELL: Cóż, nie wiemy, co oni robili w tych jaskiniach, ale wiemy, co robią aborygeni w Australii. Otóż gdy jakiś chłopiec staje się zanadto niesforny, pewnego pięknego dnia przychodzą po niego mężczyźni; są nadzy, z wyjątkiem dołu tułowia przysłoniętego paskami skóry białego ptaka, które za pomocą własnej krwi nakleili sobie na ciele. Mają warkotki, którymi kręcą w powietrzu, naśladując głosy duchów – bo ci mężczyźni przychodzą w charakterze duchów.

Chłopiec usiłuje szukać schronienia u matki, a ona musi udawać, że próbuje go bronić. Jednak mężczyźni zabierają go. Rozumiesz, odtąd matka jest już niepotrzebna. Nie możesz już wrócić do Matki, jesteś w innej strefie.

Chłopców umieszcza się na świętym terenie mężczyzn, gdzie poddawani są rzeczywistości ciężkim próbom – obrzezaniu, podcięciu moszny, muszą też napić się ludzkiej krwi. Tak jak w dzieciństwie pili mleko matek, tak teraz piją krew mężczyzn. Zostają przekształceni w mężczyzn. W trakcie tego wszystkiego pokazuje im się na żywo epizody z wielkich mitów. Otrzymują pouczenie na temat mitów plemiennych. Na koniec prowadzą ich z powrotem do wioski, gdzie tymczasem dla każdego wybrano już narzeczoną. Chłopiec wraca jako mężczyzna.

Chłopca wyprowadzono z dzieciństwa; jego ciało poznaczono bliznami, poddano go obrzezaniu i podcięciu. Ma teraz ciało mężczyzny. Po całej tej imprezie nie ma już szans, aby z powrotem wskoczyć w skórę chłopczyka.

MOYERS: Nikt nie wraca do Matki.

CAMPBELL: Tak. My jednak nie mamy niczego takiego jak oni. Możesz spotkać faceta czterdziestopięcioletniego, który jeszcze próbuje być posłuszny ojcu. Taki gość idzie do psychoanalityka, który wykonuje za niego robotę.

MOYERS: Albo idzie do kina.

CAMPBELL: To mógłby być nasz odpowiednik odtwarzanych scen mitologicznych, z tą tylko różnicą, że przy produkcji filmu działa inny rodzaj myślenia niż przy konstruowaniu rytuału inicjacyjnego.

MOYERS: Tak, ale skoro nie mamy już obrzędów inicjacyjnych, bo w większości zanikły, to czy świat wyobraźni, rzucony na ekran, nie spełnia jednak – choćby niedoskonale – roli przekaziciela opowieści?

CAMPBELL: Owszem, ale tak się – fatalnie dla nas – składa, że ludzie piszący te opowieści pozbawieni są poczucia odpowiedzialności. Te historie mogą budować albo łamać ludzkie życia, tymczasem zaś robi się je po prostu, by zgnać forszę. Nie ma tu tej odpowiedzialności, jaką mają w sobie kapłani odprawiający obrzędy. To jest jeden z naszych obecnych problemów.

MOYERS: Nie mamy dziś bodaj żadnego z tych rytuałów, co?

CAMPBELL: Obawiam się, że nie. Toteż młodzież wymyśla je sama, i stąd masz wszystkie te grasujące gangi itp.; to jest coś w rodzaju samoinicjacji.

MOYERS: A więc mit odnosi się wprost do obrzędu i rytuału plemiennego, tak że brak mitu może oznaczać śmierć rytuału.

CAMPBELL: Rytuał jest żywą inscenizacją mitu. Uczestnicząc w rytuale, uczestniczysz w micie.

MOYERS: Jakie skutki dla dzisiejszych chłopców pociąga za sobą brak tych mitów?

CAMPBELL: Dzisiejszym odpowiednikiem starych obrzędów jest ceremonia bierzmowania. Chłopiec katolicki wybiera sobie przy bierzmowaniu imię, które ma go umacniać. Zamiast ran, wybijania zębów itd. dostajesz od biskupa uśmiech i lekkiego klapsa w policzek. Tak to dzisiaj wygląda; nie dzieje ci się żadna krzywda. U Żydów tę rolę pełni *bar-micwa*. Przypuszczam, że rzeczywista skuteczność tych obrzędów w duchowej przemianie jest różna w różnych indywidualnych przypadkach. W owych starodawnych czasach nie było jednak żadnego problemu. Chłopiec, wychodząc z próby, miał już inne ciało, a to, co przeszedł, istotnie nie było błahostką.

MOYERS: A kobiety? Większość postaci na malowidłach jaskiniowych to mężczyźni. Czy to było coś w rodzaju tajemnego stowarzyszenia mężczyzn?

CAMPBELL: Nie, to nie było tajne stowarzyszenie, lecz tylko ciąg prób, przez które musiał przejść chłopiec. Ale oczywiście nie wiemy dokładnie, jak wówczas rzecz się miała z kobietami, mamy bardzo mało wiarygodnych świadectw. Dziś w kulturach pierwotnych dziewczynka staje się kobietą

w momencie pierwszej menstruacji. To przytrafia się tylko jej, takie jest zrzządzenie natury. W ten sposób przechodzi ona przemianę. A inicjacja? Typowa forma inicjacji jest taka, że dziewczyna siedzi przez określoną liczbę dni w małej chatce i uświadamia sobie, kim jest.

MOYERS: W jaki sposób to robi?

CAMPBELL: Siedzi tam. Jest już kobietą. A czym jest kobieta? Nosicielką życia. Życie podporządkowało ją sobie. Kobieta jest samym centrum tego interesu – daje narodziny i daje pożywienie. Jest tożsama z boginią-ziemią, ma tę samą co ona moc i musi to sobie uświadomić. Chłopiec nie ma żadnych takich doświadczeń, toteż musi być przekształcony w mężczyznę i stać się dobrowolnym służebnikiem czegoś, co go przewyższa.

MOYERS: Właśnie w tym punkcie, o ile nam wiadomo, zaczęła działać wyobraźnia mityczna.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Jakie były główne tematy w owej epoce? Śmierć?

CAMPBELL: Jednym z nich jest tajemnica śmierci – jako przeciwwaga dla tajemnicy życia. Są to dwa aspekty tej samej tajemnicy. Następnym tematem jest jej relacja do świata zwierzęcego, który umiera i znów ożywa.

Potem idzie motyw zdobywania pożywienia. Mieści się w nim stosunek między kobietą a przyrodą, światem zewnętrznym. Następnie musimy uwzględnić problem przemiany dzieci w dorosłych. Ta przemiana jest jedną z fundamentalnych trosk w obrzędowym życiu ludzi. Znamy ten problem i dzisiaj. Jak przekształcić niesforne dzieci, wyrażające proste, naiwne impulsy natury, w członków społeczności? To kosztuje masę pracy. Ludzie nie mogli tolerować nikogo, kto nie przestrzegał określonych reguł. Społeczność nie zniosłaby ich. Zostaliby zabici.

MOYERS: Ponieważ byli zagrożeniem dla zdrowia wspólnoty?

CAMPBELL: Tak, oczywiście. Byli jak rakowate narośle, coś, co rozrywa tkankę ciała. Te plemienne grupy przez cały czas balansowały na krawędzi zagłady.

MOYERS: A jednak stojąc na tej krawędzi, zdobyły się na zadawanie pytań fundamentalnych.



Fotografia ślubna Lapończyków z Norwegii.

Obrzędy,

*które kiedyś były przekąźnikami jakiejś rzeczywistości wewnętrznej,
dzisiaj są tylko formą.*

*Dotyczy to zarówno rytuałów społecznych,
jak i osobistych*

na przykład ceremonii ślubnej.

CAMPBELL: Tak. Ale ich postawa wobec umierania była zupełnie inna niż nasza. Pojęcie świata transcendentnego rzeczywiście brano na serio.

MOYERS: Ważną rolą pradawnego rytuału było przekształcanie jednostki w członka plemienia, wspólnoty, społeczności. Dzieje zachodniej cywilizacji pokazują poszerzający się ciągle rozdział między „ja” a społeczeństwem. Najpierw jest „ja”, osobna jednostka.

CAMPBELL: Nie powiedziałbym, żeby było to tak jednoznacznie cechą zachodniej cywilizacji, gdyż ten rozdział nie jest zwyczajnym podziałem czysto biologicznej jednostki. Jeszcze całkiem niedawno ważką rolę grał w tym wszystkim pierwiastek duchowy. Gdy na przykład oglądasz dziś stare kroniki filmowe z ceremonii objęcia urzędu przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, widzisz, że nosi on cylinder. Nawet prezydent Wilson nosił jeszcze cylinder. Na co dzień go nie nosił. Z jego osobą jako prezydentem wiązała się jednak pewna rytualność. A teraz, zobacz, przychodzi sobie taki, dopiero co wybrany, jegomość wprost z pola golfowego, siada z tobą i gadacie obaj o tym, czy będziemy mieli bomby atomowe. Inny styl. Rytuał uległ redukcji. Mój Boże, nawet w Kościele rzymskokatolickim przetłumaczono mszę z języka rytualnego na język niosący mnóstwo najpospolitszych, swojskich skojarzeń. Dawna łacina nabożeństw była językiem, który wyrwał cię ze sfery swojskości. Ołtarz był ustawiony w taki sposób, że ksiądz stał tyłem do ciebie i razem z nim zwracałeś się gdzieś na zewnątrz. Dziś ołtarz jest obrócony do ciebie, a ksiądz wygląda przy nim jak Julia Child * podczas pokazu; wszystko po domowemu i przytulnie.

MOYERS: No i grają na gitarach.

CAMPBELL: Grają na gitarach. Zapomnieli, że rytuał ma cię wyrwać ze zwyczajności, a nie wciągać cię w nią, bo przecież tkwisz w niej przez cały czas.

MOYERS: Natomiast rytuał ślubny ma cię rzucić ku drugiej osobie.

CAMPBELL: I robi to, na pewno. Jednakże obrzędy, które kiedyś były przekąźnikami jakiejś rzeczywistości wewnętrznej, dziś są tylko formą. Dotyczy to zarówno rytuałów społecznych, jak i osobistych – na przykład ceremonii ślubnej.

* Autorka popularnych w USA audycji telewizyjnych i książek kucharskich.

MOYERS: Teraz jest dla mnie jasne, dlaczego w pewnych dziedzinach pouczenia religijne zupełnie straciły aktualność dla mnóstwa ludzi.

CAMPBELL: Jeśli chodzi o rytuały, bezwzględnie należy je podtrzymać. Tak wiele z nich jest już martwych. Jest nadzwyczaj interesujące, gdy czytamy, jak w pierwotnych, całkiem prymitywnych kulturach ustawicznie przekształca się ludowe opowieści, mity – w zależności od warunków. Ludzie przenoszą się na prerię z obszaru, gdzie, dajmy na to, środków utrzymania dostarczały im głównie rośliny. W okresie użytkowania koni pod wierzch większość naszych Indian preriowych wywodziła się z kultury Missisipi. Mieszkali nad brzegami Missisipi w sposób osiadły, w miastach i w rolniczych wioskach.

A potem otrzymują od Hiszpanów konia, co umożliwia im zapuszczanie się na prerię i urządzenie wielkich polowań na stada bizonów. Wówczas ich mitologia zmienia się z mitologii wegetacji na mitologię bizona. Tę dawniejszą, wegetacyjną strukturę mitologiczną możesz stwierdzić u podstaw mitologii Indian Dakota, Pawnee, Kiowa itd.

MOYERS: Mówisz, że mity kształtowane są przez naturalne otoczenie...

CAMPBELL: Ludzie po prostu reagują na otoczenie. My jednak mamy teraz tradycję, która nie jest odpowiedzią na otoczenie, bo wywodzi się z innych stron, z pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem. Nie zasymilowała ona cech naszej nowoczesnej kultury i wszelkich nowych możliwości, a także nowej wizji wszechświata.

Mity trzeba utrzymać przy życiu. Ludźmi, którzy mogą to zrobić, są wszelkiego rodzaju artyści. Funkcją artysty jest mitologizacja otoczenia i świata.

MOYERS: Chcesz powiedzieć, że artyści są współczesnymi mitotwórcami?

CAMPBELL: Mitotwórcy epok wcześniejszych byli odpowiednikami naszych artystów.

MOYERS: Sporządzali malowidła na ścianach skalnych, wykonywali obrzędy.

CAMPBELL: Tak. Zgodnie ze starym, wielce romantycznym poglądem w Niemczech powiada się, że *das Volk dichtet* – czyli że w tradycyjnych kulturach idee i poezja wywodzą się z ludu. Tak nie jest. Rodzą się one

z przeżyć elitarnych, z przeżyć ludzi szczególnie uzdolnionych, których uszy otwarte są na pieśń wszechświata. Ci ludzie przemawiają do ludu, a lud odpowiada im, i ta odpowiedź uważana jest później za jego wkład. Jednakże pierwszy impuls kształtujący tradycję ludową płynie z góry, nie z dołu.

MOYERS: Kto w tych kulturach elementarnych, jak je nazywasz, był zwykle odpowiednikiem naszych poetów?

CAMPBELL: Szaman. Szaman jest osobą, mężczyzną lub kobietą, która w późnym dzieciństwie albo we wczesnej młodości doznała tak potężnych przeżyć psychicznych, że zwróciła się całkowicie do wewnątrz. To coś w rodzaju schizofrenicznego pęknięcia. Nagle cała podświadomość otwiera się, a szaman wpada do środka. To przeżycie szamańskie opisywano wielokrotnie. Spotyka się je literalnie na całym świecie – od Syberii, poprzez obie Ameryki, aż do Ziemi Ognistej.

MOYERS: Jego częścią jest ekstaza.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Na przykład taniec transowy wśród Buszmenów.

CAMPBELL: Posłuchaj, mam tu pewien fantastyczny przykład. Buszmeni żyją w świecie pustynnym. Życie jest tam bardzo ciężkie, pełne wielkiego napięcia. Obie płcie, mężczyźni i kobiety, są tam ściśle i skrupulatnie rozdzielone. Zbliżają się tylko podczas tańca, a dzieje się to następująco: Kobiety rozsiadają się kręgiem albo skupiają się w grupkę i zaczynają uderzać się dłońmi po udach, wybijając rytm mężczyznom, którzy tańczą wokół nich. Kobiety są ośrodkiem, wokół którego tańczą mężczyźni. Swoim śpiewem i biciem się po udach kontrolują one taniec i to, co dzieje się z mężczyznami.

MOYERS: Jaki jest sens faktu, że kobieta kontroluje taniec?

CAMPBELL: Taki, że kobieta jest życiem, a mężczyzna – służą życia. To jest podstawowa idea tych obrzędów. Podczas tych prowadzonych w koło tanów, trwających przez całą noc, jeden z mężczyzn nagle omdlewa. Doświadcza czegoś, co moglibyśmy nazwać opętaniem. Opisywane to jest jako błysk, coś w rodzaju pioruna, błyskawicy przebiegającej od łądźwi w górę, wzdłuż kręgosłupa aż do głowy.



Szaman syberyjski.

*Szaman jest osobą, mężczyzną lub kobietą,
która w późnym dzieciństwie albo we wczesnej młodości
doznała tak potężnych przeżyć psychicznych,
że zwróciła się całkowicie do wewnątrz.*

To coś w rodzaju schizofrenicznego pęknięcia.

*Nagle cała podświadomość otwiera się,
a szaman wpada do środka.*

MOYERS: Opisujesz to w swojej książce *The Way of the Animal Powers*; o, tutaj:

CAMPBELL: „Ludzie śpiewają, a ja tańczę. Wchodzę w ziemię. Idę w miejsce podobne do miejsca, gdzie ludzie piją wodę. Wędruję długo i bardzo daleko”. Człowiek jest teraz w transie, a to jest opis jego przeżyć. „Gdy się wynurzam, już wspinam się w górę. Pnę się po nitkach, po nitkach biegnących gdzieś tam, hen, na południu. Pnę się po jednej i porzucam ją, potem pnę się po drugiej; porzucam ją i wspinam się po następnej... A gdy człowiek dociera do miejsca Boga, robi się malutki. Już jest malutki. Malutki przychodzi do Boga. I robi tam to, co ma do zrobienia. Potem wraca tam, gdzie są wszyscy, i ukrywa swoją twarz. Ukrywa twarz, tak żeby nikt go nie widzieć. Idzie, idzie, idzie, aż wreszcie znów wchodzi w swoje ciało. Wszyscy, którzy tam pozostali, czekają na niego i boją się go. On wchodzi, wchodzi w ziemię, a potem znów wchodzi w skórę własnego ciała... I mówi: Hiiiiii! Ten dźwięk oznajmia powrót do ciała. Potem on zaczyna śpiewać. Naokoło stoją wszyscy mistrzowie *ntum*”. *Ntum* to moc nadprzyrodzona. „Biorą proszek i pufl pufl – dmuchają mu w twarz. Chwytają jego głowę i dmuchają mu tym proszkiem w twarz ze wszystkich stron. W ten sposób udaje mu się powrócić do życia. Jeśli przyjaciele nie zrobią tego dla niego, umiera... Umiera i jest martwy, koniec. *Ntum*, przyjaciele, ma wielką siłę, to *ntum*, które tu wykonuję, które tutaj tańczę”.

Mój Boże, ten facet przeżył doświadczenie całej osobnej, wielkiej sfery świadomości! Podczas tych doświadczeń latają oni w powietrzu, można by powiedzieć.

MOYERS: On wtedy staje się szamanem.

CAMPBELL: Akurat nie w tej kulturze. Staje się wykonawcą tańca transowego. Wszyscy mężczyźni są potencjalnie podatni na trans.

MOYERS: Czy coś w rodzaju tego doświadczenia spotyka się powszechniej w naszej kulturze? Mam szczególnie na myśli doświadczenie powtórných narodzin w naszej kulturze śródziemnomorskiej.

CAMPBELL: Musi być coś takiego. To jest konkretne doświadczenie przechodzenia przez ziemię do sfery obrazowania mitologicznego – do Boga, siedliska potęgi. Nie wiem, czego doświadcza przy swych powtórných narodzinach chrześcijanin; przypuszczam, że podobne doznania mieli

średniowieczni wizjonerzy, którzy doświadczali widzenia Boga i później opowiadali o tym.

MOYERS: Jest w takim przeżyciu doznanie ekstazy, nieprawda?

CAMPBELL: Podobno zawsze jest tam ekstaza.

MOYERS: Czy widziałeś kiedyś taki rytuał? Takie wydarzenie? Czy kiedykolwiek sam doznałeś tego rodzaju ekstazy albo byłeś jej świadkiem?

CAMPBELL: Nie. Mam przyjaciół, którzy przez dłuższy czas przebywali na Haiti i uczestniczyli w ceremoniach wudu, podczas których ludzie ulegali opętaniu. Odprawiane są przy tym tańce, ale ich ekstaza jest symulowana. Było w dawnych czasach coś takiego jak wzbudzenie w wojownikach bitewnego szału, podniecanie ich, zanim poszli na wojnę. Podczas bitwy, w wirze walki, powinni być ogarnięci prawdziwym szaleństwem.

MOYERS: Czy to jedyny sposób na doświadczenie nieświadomego?

CAMPBELL: Nie; całkiem inaczej dzieje się w przypadku ludzi, którym wcześniej ani przez myśl nie przeszło coś takiego: nagle coś w nich przełamuje się i otwiera – bang! Mniej więcej tak.

MOYERS: A potem ktoś taki, kto miał to psychologiczne doświadczenie, to traumatyczne przeżycie, kto doznał ekstazy, staje się zwykle dla innych tłumaczem niewidzialnych rzeczy.

CAMPBELL: Tak; chciałeś powiedzieć, że zostaje on interpretatorem spuścizny życia mitycznego.

MOYERS: Jak zostaje w to wciągnięty?

CAMPBELL: Najlepszym przykładem pomagającym odpowiedzieć na to pytanie jest doświadczenie Czarnego Łosia.

Czarny Łoś był Siuksem, chłopcem mniej więcej dziewięcioletnim. Działo się to, zanim amerykańscy jeźdźcy zetknęli się z Siuksami, podówczas wielkim ludem preriowym. Otóż chłopiec zachorował, był chory psychicznie. Jego rodzina opowiada w związku z tym historię typowo szamańską. Dzieciak zaczyna się trząść i nieruchomieje. Rodzina strasznie się o niego martwi, więc posyłają po szamana, który w młodości przeżywał coś podobnego; niech przyjdzie i wyciągnie dzieciaka z choroby, jak psychoanalityk. Jednakże szaman, zamiast uwolnić chłopca od bóstw, przy-

stosowuje go do nich, a bóstwa – do niego. To inny problem niż w psychoanalizie. Zdaje się, że to Nietzsche powiedział: „Bacz, byś wyrzucając diabły z siebie, nie wyrzucił tego, co jest w tobie najlepsze”. Tutaj napotkane bóstwa – nazwijmy je „mocami” – zostają zatrzymane. Połączenie jest utrzymane, nie ulega zerwaniu. Tacy ludzie stają się potem duchowymi doradcami swego ludu, szafarzami darów dla niego.

Otóż naszemu indiańskiemu chłopięciu dane było ujrzeć proroczą wizję strasznej przyszłości jego plemienia. Była to wizja „ciężkiej próby” jego narodu (tak to określił). Czarny Łoś zobaczył, że ta próba jego ludu jest jedną z wielu innych prób; my, jak dotąd, jeszcześmy sobie tego zupełnie nie uświadomili. Ujrzał, jak wszystkie te ciężkie doświadczenia współdziałają z sobą podczas wielkiej defilady narodów. Co więcej, przeżywał w tej swojej wizji jakby podróż poprzez światy duchowych obrazów przynależnych jego kulturze i przyswajał sobie ich treści. Na koniec mówi coś bardzo ważnego, co, według mnie, jest kluczem do rozumienia mitów i symboli. Mówi tak: „Ujrzałem się na centralnej górze świata, na najwyższym miejscu, i miałem wizję, bo spoglądałem na świat w sposób święty”. Tą świętą, centralną górą był Harney Peak w Południowej Dakocie. Ale Czarny Łoś dodaje: „Centralna góra znajduje się wszędzie”.

Mamy tu do czynienia z prawdziwą świadomością mitologiczną. Rozróżnia ona między obiektem kultu lokalnego, Harney Peak, a jego sensem jako centrum świata. Centrum świata to *axis mundi*, punkt środkowy, biegun, wokół którego wszystko się kręci. Centralny punkt świata to miejsce, gdzie jednoczą się bezruch i ruch. Ruch to czas, bezruch – to wieczność. Gdy sobie uświadomiasz, że ta oto konkretna chwila jest momentem wieczności, i gdy w przeżyciu uwikłanym w czas odnajdujesz aspekt wieczności – przeżywasz doświadczenie mityczne.

Czy więc centralną górą świata jest Jerozolima? Rzym? Benares? Lhasa? Miasto Meksyk?

MOYERS: Indiański chłopiec mówił, że jest taki świecący punkt, w którym przecinają się wszystkie linie.

CAMPBELL: Tak dokładnie mówił.

MOYERS: I mówił, że Bóg nie ma obwodu?



Czarny Łoś.

Czarny Łoś mówił:

*„Ujrzałem się na centralnej górze świata, na najwyższym miejscu,
i miałem wizję,*

bo spoglądałem na świat w sposób święty”.

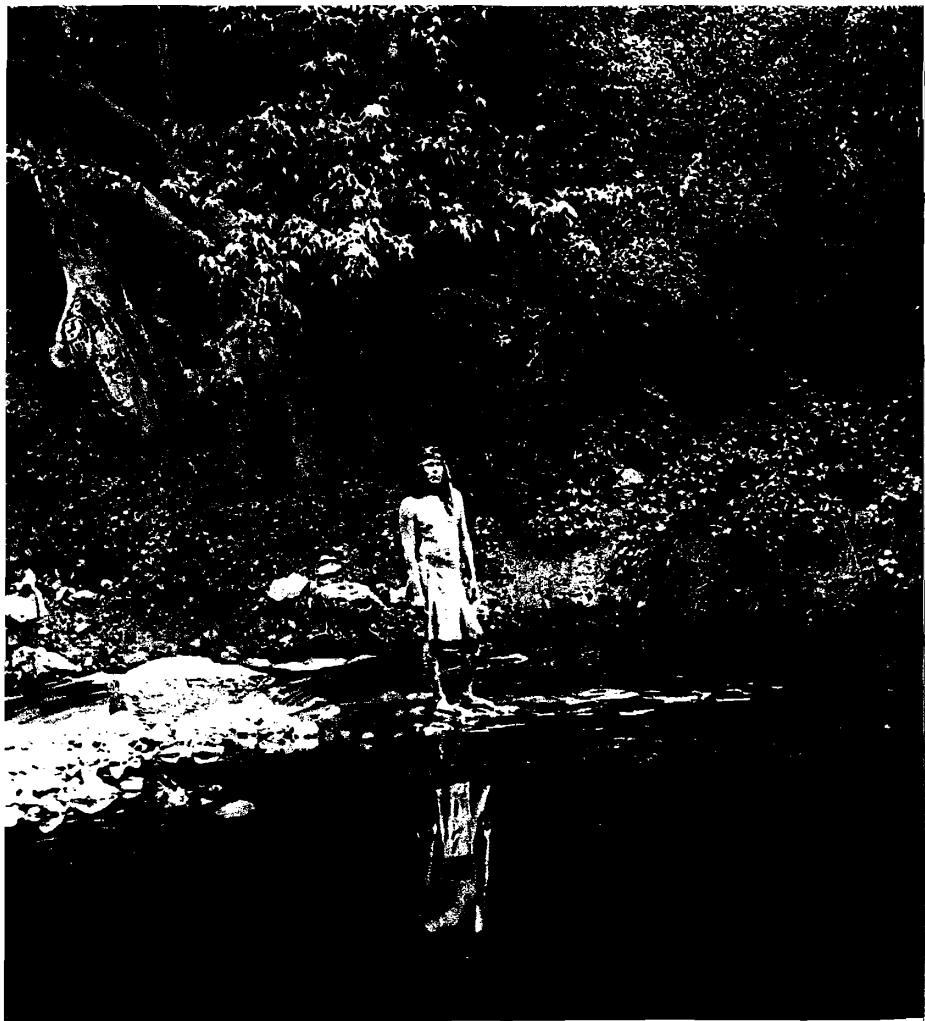
Tą świętą, centralną górą był Harney Peak w Południowej Dakocie.

Ale Czarny Łoś dodaje: „Centralna góra znajduje się wszędzie”.

CAMPBELL: Jest definicja Boga, którą powtarzało wielu filozofów. Bóg jest kulą, sferą inteligibilną, poznawalną tylko dla umysłu, nie zaś dla zmysłów – sferą, której środek jest wszędzie, a obwód nigdzie. A ten środek, Billu, znajduje się właśnie tam, gdzie teraz siedzisz. Drugi jest tam, gdzie ja siedzę. Każdy z nas jest manifestacją tej tajemnicy. To całkiem ładna figura świadomości mitologicznej, bo mówi ci ona, kim i czym jesteś.

MOYERS: A więc jest to metafora, obraz rzeczywistości.

CAMPBELL: Tak. To, o czym tu mówimy, można by zinterpretować jako najczystszy indywidualizm, gdybyś nie zdawał sobie sprawy z faktu, że centrum znajduje się również naprzeciw ciebie, w drugiej osobie. Taki jest mitologiczny sposób istnienia człowieka jako jednostki. Jesteś centralną górą, a ta centralna góra jest wszędzie.



Apacz z nad jeziora, Edward S. Curtis (1868–1952).

Miasto jest to świat, w którym człowiek wzrasta zupełnie inaczej niż w puszczu, gdzie ma za towarzyszy maleńkie ziemne wiewiórki i wielkie sowy.

Wszystkie te rzeczy są wokół ciebie jako odrębne obecności reprezentujące siły, moce i magiczne możliwości życia, które nie należą do ciebie,

a przecież wszystkie są częścią życia i otwierają się przed tobą. Potem słyszysz w sobie ich echo, bo sam jesteś naturą.

IV OFIARA I BŁOGOŚĆ

*Gdy idziesz za tym,
co jest dla ciebie błogością,
to jakbyś wchodził na szlak,
który był tutaj przez cały czas,
czekając na ciebie; żyjesz wtedy życiem,
którym żyć powinienes.*

*Jeśli idziesz za tym, co daje ci błogość,
to, gdziekolwiek jesteś,
nieprzerwanie napawasz się tym wytchnieniem,
tym życiem, które nosisz w sobie.*

MOYERS: Tym, co wywiera na mnie wielkie wrażenie, gdy czytam, co napisałeś o wpływie otoczenia naturalnego na opowiadaczy, jest fakt, że ci ludzie – mieszkańcy prerii, myśliwi, mieszkańcy lasów, rolnicy – uczestniczą w swoim krajobrazie. Są częścią otaczającego ich świata, a każdy aspekt tego świata staje się dla nich święty.

CAMPBELL: Uświęcenie lokalnego krajobrazu jest podstawową funkcją mitologii. Widać to bardzo wyraźnie u Nawahów, wyróżniających górę północną, południową, wschodnią, zachodnią i centralną. W *hoganie* Nawahów drzwi zawsze zwrócone są na wschód. Palenisko jest na środku, który staje się centrum kosmicznym, bo dym wychodzi przez otwór w stropie w taki sposób, że woń kadzidła dociera wprost do nozdrzy bogów. Krajobraz, siedziba mieszkalna stają się ikoną, sakralnym malowidłem. Gdziekolwiek się znajdujesz, powiązany jesteś z porządkiem kosmicznym.

Gdy przyjrzyś się „piaskowym malowidłom” Nawahów, zobaczysz na nich figurę otaczającą zewsząd wizerunek; może ona przedstawiać miraż albo tęczę, albo Bóg wie co jeszcze, ale zawsze będzie tam taka figura – z otworem od wschodu, aby mógł nim wejść nowy duch. Gdy Budda siedział pod drzewem Bo, patrzył na wschód, w kierunku wstającego słońca.

MOYERS: Kiedy po raz pierwszy byłem w Kenii, poszedłem samotnie odwiedzić jedno z miejsc, gdzie w pradawnych czasach było obozowisko pierwotnych ludzi, na brzegu wyschłego teraz jeziora. Zostałem tam aż do zapadnięcia nocy. Miałem odczucie obecności wszechstworzenia; pod tym nocnym niebem, w tym rozległym miejscu czułem, że należę do czegoś prastarego, a jednak ciągle bardzo żywego.

CAMPBELL: Cyceron, zdaje się, mówił, że gdy wchodzisz do wielkiego, wysokiego lasu, wyraźnie uobecnia ci się bóstwo. Święte gaje są wszędzie. Pamiętam, że gdy jako chłopiec wchodziłem do lasu, w myśli oddawałem cześć drzewu, potężnemu staremu drzewu: „Jejku, jakie ty musisz być stare i mądre!” Myślę, że takie doznanie obecności stworzenia jest jednym z podstawowych odczuć człowieka. Teraz jednak żyjemy w mieście. Wszystko jest w nim z kamienia i skały zrobionej rękami człowieka. Jest to świat, w którym człowiek wzrasta zupełnie inaczej niż w puszczy, gdzie ma za towarzyszy małe ziemne wiewiórki i wielkie sowy. Wszystkie te rzeczy są wokół ciebie jako odrębne obecności reprezentujące siły, moce

i magiczne możliwości życia, które nie należą do ciebie, a przecież wszystkie są częścią życia i otwierają się przed tobą. Potem słyszysz w sobie ich echo, bo sam jesteś naturą. Gdy Siuks bierze kalumet, swoją fajkę, najpierw podnosi ją cybuchem ku niebu, tak by pierwszy haust dymu mogło wciągnąć słońce. Następnie zawsze zwraca się w cztery strony świata. Taka jest mentalność tych ludzi. Zwracając się do widnokręgu, do świata, w którym żyjesz, odnajdujesz w nim swoje miejsce. To jest zupełnie inny sposób życia.

MOYERS: W książce *The Mythic Image* piszesz o centrum przemiany, o idei świętego miejsca, gdzie mury doczesności mogą się rozpaść, aby objawić coś cudownego. Co to znaczy – mieć święte miejsce?

CAMPBELL: Dziś to dla każdego absolutna konieczność. Musisz mieć miejsce i codziennie jakąś określoną chwilę, w której mógłbyś zapomnieć, co dziś rano było w gazetach, kim są twoi przyjaciele, co komu jesteś winien i co inni ludzie winni są tobie. W tym miejscu możesz po prostu przeżywać i objawiać przed sobą to, czym jesteś i czym mógłbyś być. To jest miejsce twórczego fermentu. Być może z początku stwierdzisz, że nic się nie dzieje. Jeśli jednak masz takie uświęcone miejsce i używasz go, kiedyś coś wydarzy się w nim.

MOYERS: Ono jest dla nas tym, czym były prerie dla myśliwych.

CAMPBELL: Dla nich cały świat był miejscem świętym. Ale nasze życie przybrało kierunek tak bardzo ekonomiczny i praktyczny, że w miarę jak się starzejemy, wymogi codzienności oplątują nas do tego stopnia, iż nie bardzo już wiemy, gdzie u licha jesteśmy i o co nam właściwie chodzi. Człowiek zawsze robi to, czego od niego żądają. A gdzie przystanek jego błogości? Trzeba próbować go odnaleźć. Weź na przykład gramofon i nastaw sobie muzykę, jaką naprawdę lubisz, choćby to była jakaś starzyzna, której nikt już nie szanuje. Albo weź ulubioną książkę. W swoim świętym miejscu odzyskujesz odczucie zbratania się z życiem – odczucie, które owi ludzie mieli w stosunku do całego świata, w jakim żyli.

MOYERS: Mówiliśmy o wpływie krajobrazu na ludzi. A jak jest z oddziaływaniem ludzi na krajobraz?

CAMPBELL: Ludzie pragną przyswoić sobie świat, tworząc święte miejsca, mitologizując zwierzęta i rośliny; wyposazają ziemię w moce duchowe.



Drabina Jakubowa, William Blake (1757–1827).

*Gdy Jakub się budzi,
to miejsce staje się Beth-el, domem Boga.
Jakub rości sobie do niego prawa,
gdyż ma ono dlań określone znaczenie duchowe.
Jest to miejsce,
gdzie Bóg posiał swoje energie.*

Staje się ona czymś na kształt świątyni, miejsca do medytacji. Nawahowie na przykład dokonali kapitalnego dzieła, umietyczniając zwierzęta. Na ich „piaskowych malowidłach” widzisz wszelkie maleńkie zwierzątka, a każde z nich ma swoją wartość. Jednakże nie są one ukazane w sposób naturalistyczny; są stylizowane. Ta stylizacja ma związek z ich cechami duchowymi, nie zaś wyłącznie fizycznymi. Jest tam na przykład wielka mucha, która niekiedy przylatuje i siada ci na ramieniu, gdy wędrujesz przez pustynię. W mitach Nawahów znana jest pod mianem Wielkiej Muchy albo Wietrzyku. Młodym bohaterom szeptała ona do ucha odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie ojcowie postawili im podczas prób. Jest ona głosem świętego ducha objawiającego ukrytą mądrość.

MOYERS: Jaki jest cel tego wszystkiego?

CAMPBELL: Zawłaszczenie świata. Uczynienie z krainy, w której żyją, miejsca duchowo wyróżnionego.

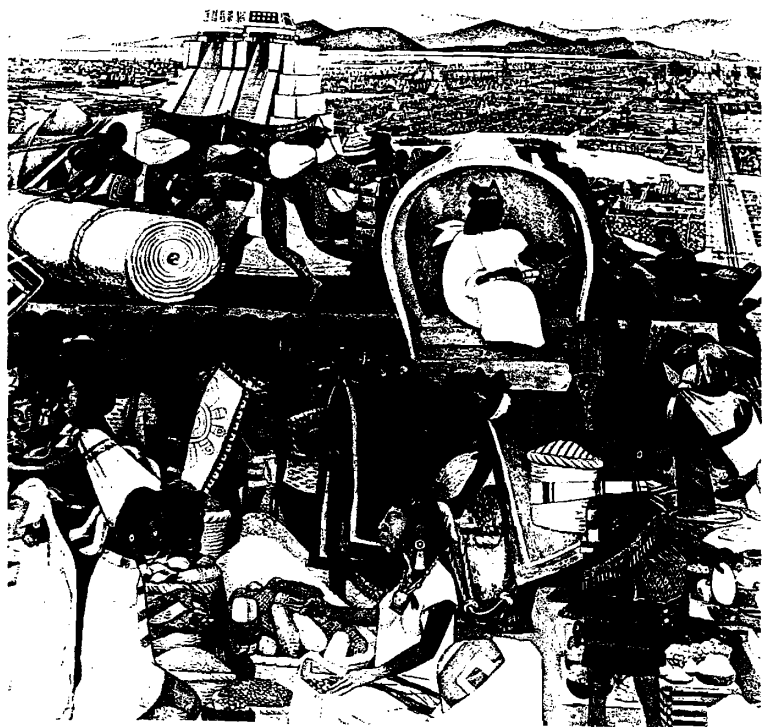
MOYERS: A więc kiedy Mojżesz spoglądał ku Ziemi Obiecanej, robił tylko to, co inni przywódcy duchowi wcześniej zrobili dla swoich ludów: zgłaszał roszczenie do tej krainy.

CAMPBELL: Tak. Pamiętasz opowieść o śnie Jakuba: gdy Jakub się budzi, to miejsce staje się *Beth-el*, domem Boga. Jakub rości do niego prawa, gdyż ma ono dlań określone znaczenie duchowe. Jest to miejsce, gdzie Bóg posłał swoje energie.

MOYERS: Czy dziś są jeszcze na tym kontynencie święte miejsca?

CAMPBELL: Było nim miasto Meksyk, jedna z wielkich metropolii świata przed przyjściem Hiszpanów, którzy obrócili je w perzynę. Kiedy Hiszpanie po raz pierwszy ujrzeli Meksyk, albo Tenochtitlán, było to miasto większe niż jakiegokolwiek miasto w Europie. I było to miasto święte, z wielkimi świątyniami. Teraz katedra katolicka stoi dokładnie w miejscu, gdzie ongiś stała świątynia słońca. To jest przykład zawłaszczenia kraju przez chrześcijan. Jak widzisz, przekształcają oni tamten krajobraz w swój krajobraz, wznosząc swoją świątynię tam, gdzie kiedyś stała inna świątynia.

Na przykład nasi Ojcowie-Pielgrzymi nazywali miejsca podług centrów biblijnych. A znów ktoś w północnej części stanu Nowy Jork miał w pamięci *Odyseję* i *Iliadę* – pełno tam klasycznych nazw w rodzaju Ithaca i Utica.



Marsz na Tenochtitlán, Diego Rivera, 1929–1944.

Kiedy Hiszpanie po raz pierwszy ujrzeli Meksyk, czyli Tenochtitlán, było to miasto większe niż jakiegokolwiek miasto w Europie.

I było to miasto święte, z wielkimi świątyniami.

Teraz katedra katolicka stoi dokładnie w miejscu, gdzie ongiś stała świątynia słońca.

Chrześcijanie przekształcili tamten krajobraz w swój krajobraz, wznosząc swoją świątynię tam, gdzie stała kiedyś inna świątynia.

MOYERS: Ludzie w pewnym sensie namaszczają ziemię, w której, jak wierzą, przebywa energia dająca im siłę. Istnieje organiczny związek międyzym ziemią a strukturami, jakie ludzie na niej wznoszą.

CAMPBELL: Tak, ale to się skończyło z powstaniem metropolii.

MOYERS: W Nowym Jorku trwa teraz wyścig: kto zbuduje najwyższy wieżowiec.

CAMPBELL: To jest coś jakby architektoniczny triumf. Miasto oznajmia, że tu właśnie jest centrum potęgi finansowej, więc patrzcie, co potrafimy... To coś w rodzaju akrobatycznego superwyczynu.

MOYERS: Gdzie są dziś miejsca święte?

CAMPBELL: Nie ma ich. Jest parę miejsc historycznych, które ludzie mogą odwiedzać, aby pomedytować o ważnych rzeczach, jakie ongiś tam się wydarzyły. Możemy na przykład pojechać do Ziemi Świętej, bo tam narodziła się nasza religia. Ale każdy kraj powinien być ziemią świętą. Człowiek powinien w samym krajobrazie odnajdywać symbole tkwiącej w nim życiowej energii. Tak właśnie jest we wszystkich dawnych tradycjach. Uświęcają one własny krajobraz.

Zrobili to na przykład w Islandii pierwsi koloniści, w ósmym i dziewiątym wieku. Swoje osiedla porozmieszczali w odległości 432 000 stóp rzymskich jedno od drugiego (432 000 to ważna liczba mityczna, znana w wielu tradycjach). Cały islandzki krajobraz został uporządkowany wedle takich kosmicznych stosunków, toteż gdziekolwiek w Islandii się obrócisz, zawsze jesteś, by tak rzec (o ile znasz swoją mitologię), w harmonii ze wszechświatem. Ten sam rodzaj mitologii masz w Egipcie, tyle tylko, że tam symbolika przybrała inny kształt, ponieważ Egipt ma kształt nie okrągły, lecz wydłużony. Bogini nieba jest tu więc Świętą Krową – dwiema nogami stoi na południu, dwiema na północy; jest to idea prostokątna, żeby tak powiedzieć. Jeśli idzie o nas, to w zasadzie zatraciłimy duchową symbolikę naszej własnej cywilizacji. Dlatego jest czymś tak cudownym pojechać do ślicznego francuskiego miasteczka Chartres, gdzie nad wszystkim wciąż jeszcze dominuje katedra i gdzie rozlega się bicie dzwonów, gdy noc przemienia się w dzień, ranek – w południe, i dzień – w noc.

Uważam Chartres za moją parafię. Często tam jeździłem. Za moich paryskich, studenckich czasów spędziłem kiedyś cały weekend w katedrze,

studiując każdą jej rzeźbę z osobna. Tak byłem tym pochłonięty, że któregoś południa dozorca podszedł do mnie i powiedział: „A może poszedłby pan ze mną na górę i podzwonił?” „Oczywiście” – odparłem. Wdrapaliśmy się obaj na wieżę, gdzie wisiał wielki dzwon z brązu. Była tam też maleńka platforma w rodzaju huśtawki. On stanął na jednym jej końcu, ja na drugim; trzymaliśmy się małego drążka pośrodku. Pchnął mocno i zakotyssał dzwonem, a potem zakotyssałem ja. I zaczęliśmy się bujać – w dół i w górę, w dół i w górę, włosy rozwiewał nam wiatr, byliśmy wysoko, ponad katedrą i nagle tam, pod nami, rozległ się dźwięk dzwonu: bong, bong, bong... Była to jedna z najbardziej porywających przygód mego życia.

Gdy skończyliśmy, sprowadził mnie na dół i powiedział: „Chciałbym panu pokazać moje mieszkanie”. Jak wiesz, w katedrze jest nawa główna, transept i apsyda, wokół apsydy zaś – galeria chóru. Wszedłem za nim przez małe drzwiczki pośrodku tej galerii, a za nimi był pokój z małym łóżkiem i stolikiem, na którym stała lampa. Spoglądając przez galerię, widziało się witraż z Czarną Madonną; w takim miejscu żył ten człowiek. On żył w nieprzerwanej medytacji. To było coś bardzo poruszającego i pięknego. Potem wiele, wiele razy odwiedzałem Chartres.

MOYERS: Co tam znajdowałeś?

CAMPBELL: To miejsce przenosi mnie do czasów, gdy zasady duchowe kształtowały społeczeństwo. To, jakie zasady kształtują daną społeczność, możesz ustalić, patrząc na najwyższe budynki. Gdy zbliżasz się do miasta średniowiecznego, widzisz, że dominuje nad nim katedra. Najwyższą budowlą w mieście osiemnastowiecznym jest ośrodek władzy politycznej. Gdy zbliżasz się do miasta współczesnego, zauważasz, że najwyższymi jego punktami są biurowce, ośrodki życia gospodarczego.

Wjeżdżając do Salt Lake City, masz naoczną ilustrację tego wszystkiego, wprost przed sobą. Najpierw, w samym środku miasta, zbudowano świątynię. To prawidłowa organizacja, gdyż świątynia jest centrum duchowym, z którego wszystko promieniuje na wszystkie strony. Potem obok niej wzniesiono Kapitol, centrum polityczne, górujące nad nią. Teraz najwyższym budynkiem jest biurowiec mający w swojej pieczy sprawy finansowe zarówno świątyni, jak i ośrodka władzy. Taka jest historia zachodniej cywilizacji. Od gotyku poprzez epokę monarchii szesnasto-

siedemnasto- i osiemnastowiecznych, aż do naszego, współczesnego świata ekonomii.

MOYERS: A więc, jadąc do Chartres...

CAMPBELL: ...jestem znów w średniowieczu. Jestem znów w świecie, w jakim wzrastałem dzieckiem – w świecie duchowych obrazów kościoła rzymskokatolickiego, i to jest wspaniałe.

MOYERS: Nie jesteś człowiekiem lubiącym zbyt długo pławić się w nostalgii. Czy to przypadkiem nie przeszłość tak cię wzrusza, gdy tam jesteś?

CAMPBELL: Nie, to terażniejszość. Ta katedra mówi mi o tym, jaka duchowość kształtuje świat. To jest miejsce do medytacji; chodzisz sobie, siadasz, przyglądasz się tym wszystkim cudownościom...

MOYERS: Katedra w Chartres, którą tak kochasz, również wyraża pewien stosunek człowieka do kosmosu, nieprawda?

CAMPBELL: Oczywiście. Katedra ma kształt krzyża, z ołtarzem w centrum. Jest to struktura symboliczna. Teraz kościoły często budowane są tak jak teatry, liczy się dobra widzialność. W katedrze ten wzgląd zupełnie się nie liczy. Większość z tego, co się w niej dzieje, jest poza zasięgiem twego wzroku. Ale tutaj ważny jest symbol, a nie oglądanie widowiska, bo każdy zna je na pamięć. Począwszy od szóstego roku życia, każdy oglądał je wiele razy.

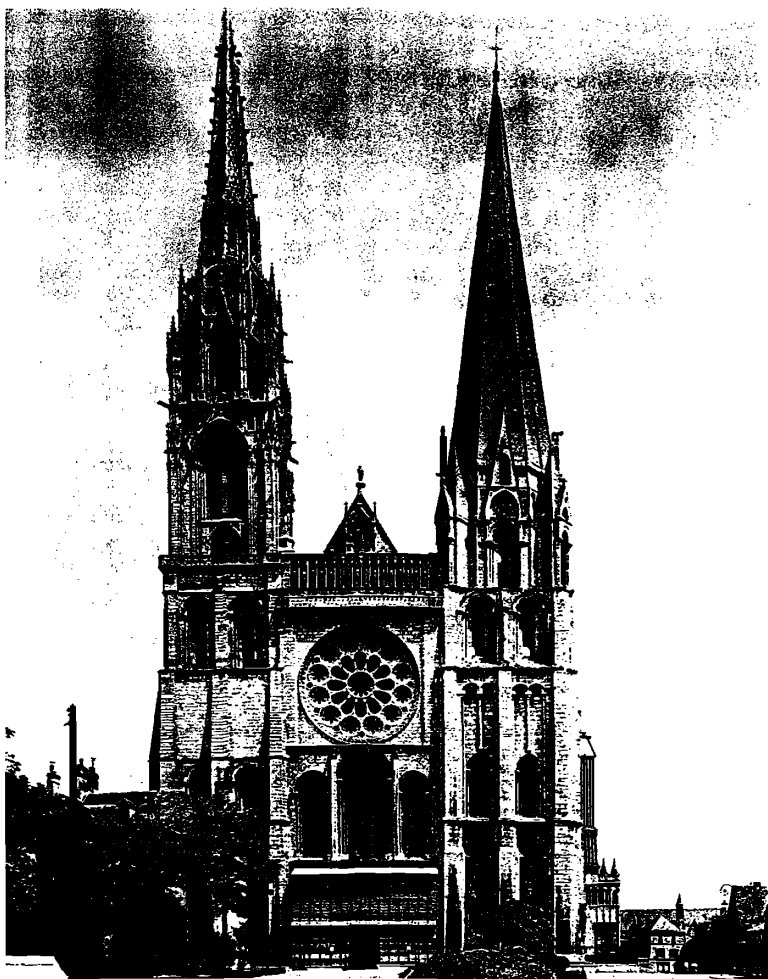
MOYERS: Po co więc chodzić do katedry?

CAMPBELL: Cóż, tak to już jest z mitami. Dlaczego lubimy o tym mówić, wciąż i wciąż? Bo dzięki temu znów nawiązujemy kontakt z podstawowymi archetypami naszego duchowego życia. Codzienne uczestnictwo w rytuale utrzymuje cię we właściwej koleinie.

MOYERS: Ale teraz już tego nie robimy.

CAMPBELL: Zatraciliśmy zrozumienie wagi tych spraw. W dawnych epokach celem życia było ciągle podtrzymywanie świadomości zasady duchowej. W asyryjskich pałacach zobaczysz stwora poskładanego z kawałków: głowę ma ludzką, tułów lwi, skrzydła orła, a nogi byka. Są to cztery znaki zodiaku, z których skomponowano strażników bram.

Te same cztery zwierzęta, związane z widzeniem proroka Ezechiela, w tradycji chrześcijańskiej stają się czterema ewangelistami. Pamiętasz



Katedra w Chartres.

*W zasadzie zatraciliśmy duchową symbolikę naszej własnej cywilizacji.
Dlatego jest czymś tak cudownym pojechać
do ślicznego francuskiego miasteczka Chartres,
gdzie nad wszystkim wciąż jeszcze dominuje katedra
i gdzie rozlega się bicie dzwonów, gdy noc przemienia się w dzień,
ranek – w południe, i dzień – w noc. Uważam Chartres za moją parafię.*

modlitwę: „Mateuszu, Marku, Łukaszu i Janie, pobłogosławcie moje łóżko i posłanie”. Według tej modlitwy ty jesteś w środku, tam gdzie Chrystus, a cztery strony świata wokół ciebie to cztery słupki twojego łóżka.

Widzisz, ta mandala przedstawia Chrystusa wyłaniającego się skądś spoza Czasoprzestrzeni. Cztery zwierzęta reprezentują zasłonę Czasoprzestrzeni, przesłaniającą wieczność, a Chrystus pośrodku to przerwa w zasłonie, powtórne narodziny, przyjście Pana Świata z łona bogini powszechnej – Czasoprzestrzeni.

MOYERS: Twierdzisz, że katedra taka jak w Chartres symbolizuje wiedzę o najgłębszym sensie rzeczy, sensie transcendującym wszelkie prawo i obecnym nie tylko w majestatycznych formach kamiennej architektury, ale i w wielkim milczeniu, jakie otacza i zamieszkuje te formy.

CAMPBELL: Ostatecznym odniesieniem duchowym jest zawsze coś poza wszelkim dźwiękiem, milczenie. Pierwszym dźwiękiem jest wcielone słowo. Poza nim jest nieznana i niepoznawalna transcendencja. Można ją określić jako wielkie milczenie albo pustkę, bądź jako transcendentny absolut.

MOYERS: Gdy cię słucham mówiącego o tym, jak mity wiążą nas z naszymi świętymi miejscami i jak krajobrazy wiązały pierwotnych ludzi ze wszechświatem, zaczynam myśleć, że to, co nadnaturalne – przynajmniej w twoim rozumieniu – jest w istocie po prostu naturą.

CAMPBELL: Idea, że nadnaturalne to coś powyżej i ponad naturalnym, jest zabójcza. W średniowieczu właśnie ona uczyniła z tego świata coś na kształt pustyni, krainy, w której ludzie żyli życiem nieautentycznym, nigdy nie robiąc tego, czego naprawdę chcieli, bo prawa nadnaturalne żądały od nich, by żyli zgodnie ze wskazaniami ich duchowych. Na pustyni ludzie realizują cele nie będące w istocie ich własnymi celami, lecz czymś, co im narzucono jako nieubłagane prawa. To było zabójcze. Dwunastowieczna poezja trubadurów, opiewająca dworną miłość, była protestem przeciwko gwałceniu radości życia w prawdzie uzasadnianemu zrzędzeniami nadprzyrodzonymi. Podobnie legenda o Tristanie i przynajmniej jedna z głównych wersji legendy o Graalu, pióra Wolframa von Eschenbach. Duch jest rzeczywiście bukietem wina życia. Nie jest czymś tchniętym w życie, ale sam wydziela się z życia. Jest to jeden z najwspanialszych motywów religii bogini-matki: świat jest w nich ciałem Bogini, które samo w sobie jest



Asyryjski uskrzydłony byk.

W asyryjskich palacach

zobaczysz stwora poskładanego z kawalków:

głowę ma ludzką, tułów lwi, skrzydła orla, a nogi byka.

Są to cztery znaki Zodiaku, z których skomponowano strażników bram.

Te same cztery zwierzęta, związane z widzeniem proroka Ezechiela,

w tradycji chrześcijańskiej stają się czterema ewangelistami.

boskie, a ta boskość to nie jest coś, co włada z góry i ponad upadłą naturą. Coś z tego ducha było jeszcze w średniowiecznym kulcie Dziewicy, z którego to kultu wyrosły wszystkie piękne katedry francuskie trzynastego stulecia.

Jednakże w naszej opowieści o Upadku w Ogrodzie natura występuje jako zepsuta i tym zepsuciem zostaje zarażony cały nasz świat. Ponieważ natura uważana jest w owym micie za zepsutą, każdy spontaniczny akt jest grzeszny i trzeba się przed nim bronić. Otrzymujesz więc całkowicie inną cywilizację i zupełnie inny sposób życia w zależności od tego, czy twój mit ukazuje naturę jako upadłą, czy też przedstawia ją jako samoprzejawienie się boskości, przy czym duch jest objawieniem boskości zawartej w naturze.

MOYERS: Kto dzisiaj objaśnia nam boskość zawartą w naturze? Kim są nasi szamani? Kto wyklada nam rzeczy niewidzialne?

CAMPBELL: To są funkcje artystów. Obecnie przekazicielem mitów jest artysta. Jednakże musi to być artysta rozumiejący mitologię i człowieczeństwo, a nie zwykły socjolog, oferujący ci jakiś program.

MOYERS: A co ze wszystkimi innymi – ludźmi, którzy nie są poetami ani artystami, ani którzy nie zaznali transcendentalnej ekstazy? Skąd mamy wiedzieć o takich rzeczach?

CAMPBELL: Jest na to sposób, bardzo fajny; zaraz ci powiem. Usiądź sobie w pokoju i czytaj – czytaj, czytaj, czytaj... Czytaj dobre książki dobrych pisarzy; wówczas twój umysł znajdzie się na ich poziomie i przez cały czas będziesz doznawał przyjemnego, łagodnego, płonącego spokojnym płomieniem zachwycenia. Taki sposób przeżywania życia może ci nieustannie przynosić wielką satysfakcję. Gdy znajdziesz autora, który naprawdę cię „weźmie”, czytaj wszystko, co napisał. Nie mów sobie: „Cóż, trzeba by przeczytać książkę pana Iksa lub Ygreka”, i zupełnie nie przejmuj się listą bestsellerów. Po prostu czytaj wszystko, co dany autor ci oferuje. Potem możesz przejść do czytania tego, co on czytał. Wówczas świat ukaże ci pewną perspektywę zgodną z określonym punktem widzenia. Jeśli jednak będziesz przeskakiwał od jednego autora do drugiego, może potrafisz powiedzieć, w którym roku i przez kogo został napisany taki a taki wiersz – ale żaden z tych autorów nie powie ci niczego istotnego.

MOYERS: A więc szamani pełnili w pierwotnych społecznościach rolę dzisiejszych artystów. A ta rola artystów jest o wiele ważniejsza niż tylko...

CAMPBELL: Pełnili rolę, jaką w naszym społeczeństwie tradycyjnie pełnią kapłani.

MOYERS: Więc szamani byli kapłanami?

CAMPBELL: Mnie się wydaje, że między szamanem a kapłanem jest zasadnicza różnica. Kapłan to poniekąd urzędnik społeczny. Społeczność czci pewne bóstwa w pewien sposób, a kapłan zostaje wyświęcony na funkcjonariusza spełniającego obrządek. Bóstwo, któremu się on poświęca, istniało już przed nim. Natomiast symbolami mocy szamana są jego własne bóstwa, znane mu z osobistych przeżyć. Jego autorytet płynie z psychologicznego doświadczenia, nie ze społecznego mianowania.

MOYERS: Szaman odwiedzał miejsca, w których ja nie byłem, potem zaś objaśnia mi je.

CAMPBELL: Oprócz tego, jak w przypadku Czarnego Łosia, szaman może niektóre swoje wizje przekładać na język czynności obrzędowych i prezentować je swojemu ludowi. Jest to wprowadzanie doświadczenia wewnętrznego w zewnętrzne życie tychże ludzi.

MOYERS: Czy taki był początek religii?

CAMPBELL: Osobiście sądzę, że tak właśnie zrodziły się religie. Ale to tylko domysł. Tak naprawdę nie wiemy tego.

MOYERS: Ktoś taki jak Jezus idzie na pustynię, przeżywa duchową przemianę, wraca i mówi ludziom: „Pójdźcie za mną”. Czy coś takiego zdarza się również w tych prymitywnych kulturach?

CAMPBELL: Tak, mamy po temu świadectwa. Aspekt szamanistyczny odnajdujemy praktycznie we wszystkich kulturach łowieckich.

MOYERS: Dlaczego akurat w kulturach łowieckich?

CAMPBELL: Bo są indywidualistyczne. Łowca jest indywidualną jednostką w stopniu niedostępnym osiadłemu rolnikowi. Znojna praca na roli i wsluchiwanie się w głos natury, mówiącej ci, co masz kiedy zrobić – to jedno, a wyruszenie na łowy – to coś zupełnie innego, bo każde polowanie różni się od poprzedniego. Toteż myśliwych ćwiczy się w umiejętnościach indywidualnych, wymagających specjalnych talentów i uzdolnień.

MOYERS: Co się stało z szamanem w trakcie ewolucji człowieka?

CAMPBELL: Kiedy główny akcent przemieścił się na życie wioskowe, osiadłe, szaman utracił swoją władzę. Weźmy na przykład garść pięknych opowieści i mitów południowo-zachodnich Indian amerykańskich, Nawaho i Apaczów, którzy pierwotnie byli ludami łowieckimi, a później przenieśli się na tereny, gdzie rozwijało się rolnictwo, i przyjęli rolniczy tryb życia. Dla ich opowieści o początkach typowy jest zabawny epizod opowiadający o tym, jak to szamani popadają w niełaskę, przewagę zaś uzyskują kapłani. Szamani czymś tam obrażają słońce, które znika; na to oni mówią: „Och, możemy znów je sprowadzić”. I zabierają się do swoich rozmaitych sztuczek; opisywane są one w sposób bardzo cyniczny i komiczny. Jednakże nie udaje im się sprowadzić słońca z powrotem. Wówczas szamani przekształcają się w stowarzyszenie szamańskie, właściwie trochę błazeńskie. Są magikami dysponującymi specjalną mocą, ale ta ich moc podporządkowana jest teraz większej społeczności.

MOYERS: Mówiliśmy o wpływie łowieckich równin na mitologię, o tej przestrzeni wyraźnie ograniczonej kolistym horyzontem, przykrytej wielką kopułą niebios. A jak się miały rzeczy z ludźmi żyjącymi w gąszczach dżungli? Nie ma tam kopuły niebieskiej, horyzontu, żadnej perspektywy – tylko drzewa, drzewa, drzewa.

CAMPBELL: Colin Turnbull przytacza ciekawą historię o Pigmeju, który nigdy nie wychylał nosa z lasu i którego zaprowadzono na szczyt góry. W pewnej chwili wyszli z nim razem spośród drzew i wspięli się na wzgórze, skąd roztaczał się rozległy widok na równinę wokół. Biedny człowieczek był śmiertelnie przerażony. Nie miał żadnego sposobu, aby ocenić perspektywę lub odległość. Myślał, że zwierzęta pasące się daleko na równinie są tuż za drogą i że mają rozmiary mrówek. Był zupełnie zбитy z tropu i z powrotem popędził do lasu.

MOYERS: Geografia miała wielki udział w uformowaniu naszej kultury i naszych wyobrażeń o religii. Bóg pustyni nie jest bogiem równin...

CAMPBELL: ...czy też bogiem lasu równikowego – albo w liczbie mnogiej: bogami lasu równikowego. Gdy jesteś na rozległej przestrzeni, w pustyni, i masz nad sobą jedno niebo i jeden świat wokół siebie, możesz

sobie mieć jednego boga. Ale w dżungli, gdzie nie ma horyzontu i nigdy nie widzisz dalej niż na dziesięć, dwanaście jardów, ta idea jest już niemożliwa.

MOYERS: A więc ludzie rzutują swoją ideę Boga w świat?

CAMPBELL: Oczywiście.

MOYERS: Ich geografia kształtuje ich obraz bóstwa, który oni następnie rzutują na zewnątrz i nazywają Bogiem.

CAMPBELL: Tak. Idea boga jest zawsze uwarunkowana kulturowo, zawsze. Nawet gdy misjonarz przekazuje innym to, co myśli o Bogu, swoim bogu, ten bóg zostaje przekształcony w sposób dostosowany do rozumiających dla tych ludzi pojęć o boskości.

Jest zabawna historyjka o angielskim misjonarzu na Hawajach, któremu złożyła wizytę kapłanka bogini Pele. A trzeba ci wiedzieć, że kapłanka bogini Pele jest zwykle, w pewnym sensie, pomniejszym wcieleniem samej Pele. Misjonarz więc rozmawiał w istocie z boginią. Mówi on: „Przyszędłem do ciebie z przesłaniem od Boga”. Kapłanka na to: „To jest twój bóg; moim bóstwem jest Pele”.

MOYERS: Czy zakaz „Nie będziesz miał innych bogów oprócz mnie” jest ideą wyłącznie żydowską?

CAMPBELL: Nigdzie indziej jej nie spotkałem.

MOYERS: Dlaczego ten jedyny bóg?

CAMPBELL: Tego nie rozumiem. Rozumiem akcentowanie znaczenia lokalnego bóstwa dla społeczności żyjącej na pustyni. Człowiek angażuje się całkowicie na rzecz wspólnoty, która go ochrania. Społeczeństwo jest zawsze patriarchalne. Przyroda jest zawsze matriarchalna.

MOYERS: Czy myślisz, że religie bogiń-matek powstały dlatego, że w procesie ucywilizowania rodzaju ludzkiego kobiety odegrały tak ważną rolę, gdyż to one w tych wczesnych społecznościach zajmowały się sadzeniem roślin i zbieraniem plonów?

CAMPBELL: Co do tego nie ma wątpliwości. W owym czasie kobiety, z racji dysponowania mocą magiczną, stały się najważniejszymi członkami społeczeństwa.

MOYERS: Przedtem byli nimi myśliwi...

CAMPBELL: Tak, a teraz tę moc mają kobiety. Ponieważ magia kobiety polega na rodzeniu i żywieniu, tak jak robi to ziemia, jej moc magiczna wspiera moc magiczną ziemi. W najwcześniejszej tradycji pierwszym rolnikiem jest kobieta. Dopiero później, kiedy w wyższych systemach kulturowych wynaleziono pług, mężczyzna znów obejmuje przewodnictwo w uprawie ziemi. Wówczas dominującą figurą mityczną staje się symulacja spółkowania (pług orzący glebę).

MOYERS: A więc te właśnie rozmaite podejścia do mitu masz na myśli, mówiąc o „drodze mocy zwierzęcych”, „drodze obsianej ziemi”, „drodze światła niebieskich” i „drodze człowieka”.

CAMPBELL: Wiązą się one z systemem symboli, przez które ujmowana jest zwyczajna, doczesna ludzka kondycja; te symbole organizują ją i umożliwiają jej samopoznanie.

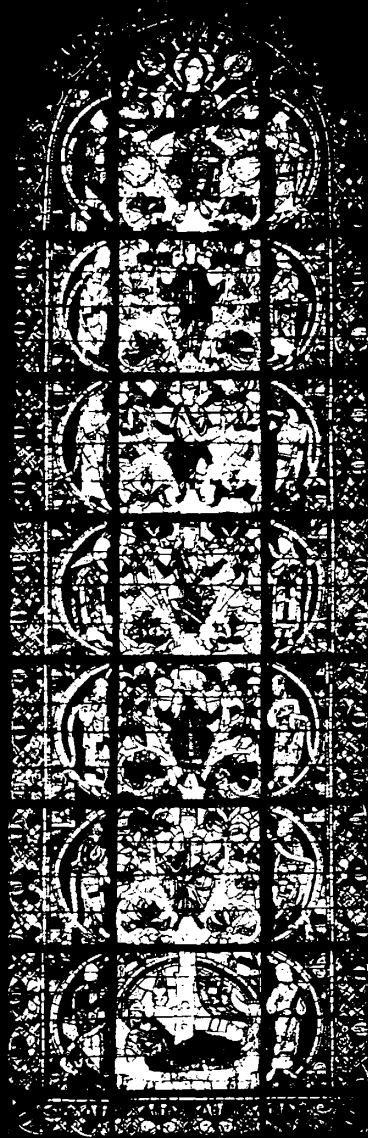
MOYERS: A jego wartość?

CAMPBELL: Jego wartość będzie rezultatem warunków życia. Na przykład łowca zawsze zwrócony jest na zewnątrz, ku zwierzęciu. Jego życie zależy od zwierząt. Jego mitologia jest zwrócona na zewnątrz. Natomiast mitologia rolnicza, związana z uprawianiem roślin, z sadzeniem i sianiem, z obumieraniem nasienia i z kiełkowaniem nowej rośliny – zwraca się bardziej do wewnątrz. W epoce łowców mitologię inspirowały zwierzęta. Gdy człowiek chciał uzyskać moc i wiedzę, szedł do lasu, pościł i modlił się, a zwierzę przychodziło do niego i udzielało mu nauk.

Dla rolnika nauczycielem jest świat roślinny. Życie świata roślin jest, w następstwie swoich etapów, identyczne z życiem człowieka. Widzisz więc, że istnieje wewnętrzny stosunek między nimi.

MOYERS: Co się stało z wyobraźnią mityczną, kiedy ludzie z polowań na zwierzęta przeszli do uprawiania roślin?

CAMPBELL: Nastąpiło dramatyczne i całkowite przekształcenie nie tylko mitów, ale i, jak sądzę, samej psyche ludzkiej. Widzisz, zwierzę to pewien byt całościowy, zawarty w obrębie skóry. Kiedy zabijasz zwierzę, staje się ono martwe – koniec, nie ma go. Natomiast w świecie roślinnym nie ma czegoś takiego jak wsobne indywiduum. Ścinasz roślinę, a z niej wyrasta nowy pęd. Przycinanie jest nawet korzystne dla rośliny. Wszystko to jest ciągłym procesem wchodzenia w byt.



Z lasami tropikalnymi kojarzy się również idea życia rodzącego się ze zgnilizny. Widziałem kiedyś wspaniałe lasy sekwojowe, gdzie ziemię zalegały ogromne, potężne pnie drzew ściętych przed dziesiątkami lat. Wyrastają z nich nowe drzewka – małe, jasnozielone potomstwo, będące częścią tej samej rośliny. Gdy więc odetniesz roślinie jakąś jej część, wyrasta nowa. Oderwij zwierzęciu jakiś członek, a nie odrośnie, chyba że masz do czynienia z pewnym gatunkiem jaszczurki.

W ten sposób w kulturach leśnych i rolniczych śmierć odczuwana jest nie jako tylko i wyłącznie śmierć, lecz jako coś niezbędnego dla nowego życia, a jednostka nie jest po prostu osobną jednostką, lecz odgałęzieniem rośliny. Jezus używa tego obrazu, gdy mówi: „Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami”. To porównanie wzięte z winnicy nie ma nic wspólnego z poszczególnością oddzielnych zwierząt. W kulturze rolniczej masz obraz hodowanej rośliny, która później będzie zjedzona.

MOYERS: Jakie opowieści zainspirowało doświadczenie rolnika?

CAMPBELL: Motyw rośliny jadalnej wyrosłej z pokawałkowanego i porzucanego ciała bóstwa złożonego w ofierze bądź osoby przodka spotykana jest wszędzie, ale szczególnie w kulturach Pacyfiku.

Aktualnie te mity roślinne przenikają na te obszary Ameryki, które normalnie kojarzymy z kulturami łowieckimi. Kultura północnoamerykańska jest bardzo dobitnym przykładem wzajemnego oddziaływania na siebie kultur łowieckich i rolniczych. Indianie byli głównie myśliwymi, ale uprawiali również kukurydzę. Pewna algonkińska opowieść o pochodzeniu kukurydzy mówi o chłopcu, który miał widzenie. Otóż ujrzał on młodzieńca z zielonymi piórami na głowie; młodzieniec podchodzi do chłopca i wyzywa go do walki zapaśniczej. Zwycięża w niej, ale przychodzi znów i znów zwycięża, i tak dalej. Jednakże pewnego dnia młodzieniec mówi chłopcu, że następnym razem ten ma go zabić, pogrzebać i otoczyć pieczą miejsce pochówku. Chłopiec spełnia wszystko, jak mu kazano – zabija i grzebie pięknego młodzieńca. Po pewnym czasie wraca na to miejsce i widzi, że wyrosła tam kukurydza – dokładnie w miejscu, gdzie upierzony młody człowiek został pochowany – albo zasiany, jak można by powiedzieć.

Chodzi o to, że ów chłopiec martwił się o swego ojca, który był myśliwym, ale się postarzał. Chłopiec zastanawiał się, czy oprócz polowania

Drzewo Jessego, Genealogia Chrystusa, katedra w Chartres, XIII w.

Gdy odetniesz roślinie jakąś jej część, wyrasta nowa.

W ten sposób w kulturach rolniczych istnieje poczucie śmierci

nie tylko jako śmierci, lecz i jako czegoś niezbędnego dla nowego życia.

A jednostka nie jest po prostu osobną jednostką,

lecz odgałęzieniem rośliny.

Jezus używa tego obrazu, gdy mówi:

„Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami”.

jest jakiś inny sposób zdobycia pożywienia. Jego wizja wypłynęła z tkwiącej w nim intencji. Pod koniec opowieści chłopiec mówi do ojca: „Teraz już nie musimy wychodzić na polowanie”. Dla tych ludzi musiał to być moment wielkiego przebudzenia.

MOYERS: Ale ideą przewodnią jest tu to, że upierzony młodzieniec z wizji musi umrzeć i być pogrzebany, po czym dopiero z resztek jego ciała może wyrosnąć roślina. Czy taka historia powtarza się we wszystkich kulturach rolniczych?

CAMPBELL: Tak. Wierną kopię tej historii spotykamy na przykład wszędzie w Polinezji. Jest sobie dziewczyna, która lubi się kąpać w jezioroku. W tym jezioroku pływa też wielki węgorz, który co dnia ociera się o udo zażywającej kąpiel dziewczyny. Pewnego pięknego dnia węgorz prześcacza się w młodzieńca i na chwilę staje się kochankiem dziewczyny. Potem odchodzi, ale przychodzi znowu, i znów odchodzi i przychodzi. Kiedyś jednak, za którymś powrotem, mówi on – zupełnie tak samo, jak mówił upierzony młodzian z opowieści Algonkinów: „Gdy następnym razem przyjdę do ciebie, musisz mnie zabić, odciąć mi głowę i pogrzebać ją”. Ona tak robi, a z pogrzebanej głowy wyrasta palma kokosowa. Weź orzech kokosowy, a zobaczysz, że on ma dokładnie rozmiary ludzkiej głowy, zauważysz nawet niewielkie zgrubienia, zupełnie jak na czaszce, i oczy. Jeśli mamy dać wiarę temu, co mówi większość amerykańskich antropologów, to nie ma bezpośredniego związku między kulturami Pacyfiku a kulturami mezoamerykańskimi, z których pochodzą nasze mity roślinne.

MOYERS: Mamy więc te same opowieści rodzące się w kulturach izolowanych od siebie. O czym to świadczy?

CAMPBELL: Jest to istotnie coś zadziwiającego. Paralem się mitami przez całe życie i nadal zdumiewa mnie dokładność, z jaką się one powtarzają. To jest całkiem tak, jak gdyby ta sama rzecz, ta sama opowieść miała swoje odbicie w innym środowisku. Tyle że zamiast kukurydzy albo zboża masz orzech kokosowy.

MOYERS: Dla mnie natomiast kapitalne w tych wszystkich historiach, pochodzących z kultur rolniczych, jest to, że po raz pierwszy widzimy w nich ludzi, którzy wychodzą z łona ziemi. Ukazuje się ono ustawicznie w mnóstwie takich opowieści.

CAMPBELL: Jest to szczególnie wyraźne w legendach amerykańskiego południowego Zachodu, gdzie pierwsi ludzie wynurzyli się z ziemi. Wychodzą oni ze specjalnego otworu, który staje się miejscem świętym, osiowym punktem ziemi. Jest on kojarzony z pewną górą.

Ta historia mówi, że gdzieś bardzo głęboko bytowali ludzie nie będący jeszcze naprawdę ludźmi, nie wiedzący nawet, że są ludźmi. Jeden z nich łamie jakieś tabu, o którym nikt nie wiedział, że jest tabu, i wody zaczynają wzbierać. Ludzie muszą więc wspinać się do góry po sznurze i wydostać się przez otwór w stropie świata – i tak oto znajdują się w innym świecie. W drugiej opowieści szamani stają się bezczelni w swoich myślach i znieważają słońce oraz księżyc, które znikają, tak że wszyscy siedzą w ciemnościach.

Szamani mówią: drobiazg, możemy sprowadzić słońce z powrotem, i łykają drzewa, po czym wypuszczają je ze swoich brzuchów, zagrzebują się w ziemi, tak że wystają im tylko oczy, no i robią wszystkie te swoje szamańskie magiczne sztuczki. Jednakże sztuczki nie działają. Słońce nie powraca.

Wówczas kapłani mówią: cóż, teraz niech spróbują ludzie. Na tych „ludzi” składają się wszystkie zwierzęta. A więc ten zwierzęcy lud tworzy krąg i zaczyna tańczyć; tańczą i tańczą, a wskutek tego tańca wylania się wzgórek, który następnie rośnie, stając się górą i wyniesionym wysoko centrum świata. Z niego wychodzi cały człowieczy ród.

I teraz rzecz interesująca, zupełnie jak w Starym Testamencie: wszystko to, co usłyszałeś, jest historią jednej tylko, określonej grupy – powiedzmy Nawahów. Gdy wszakże wychodzą oni na powierzchnię, zastają tam już lud Pueblo. Jest to podobne do problemu, skąd synowie Adama wzięli swoje żony? W legendzie mowa jest o stworzeniu tych ludzi; reszta świata istnieje sobie obok, jakby na mocy jakiegoś innego przypadku.

MOYERS: Motyw Narodu Wybranego.

CAMPBELL: Właśnie. Każdy naród jest, w swym własnym mniemaniu, narodem wybranym. To dość zabawne, że nazwa, jaką sam siebie on określa, zwykle znaczy „ludzie”. Dla innych mają rozmaite dziwaczne imiona – na przykład „Śmieszna Twarz” albo „Krzywy Nos”.

MOYERS: Leśni Indianie z północno-wschodniej Ameryki opowiadali o kobiecie, która spadła z nieba i urodziła bliźnięta. Indianie z południowego zachodu opowiadali o bliźniętach zrodzonych z dziewiczej matki.

CAMPBELL: Tak. Kobieta z nieba jest pierwotnie związana z kulturą o charakterze łowieckim, kobieta wychodząca z ziemi – z kulturą rolniczą. Bliźniacy symbolizują dwie przeciwne zasady, przeciwne jednak na zupełnie inny sposób niż Kain i Abel w Biblii. W mitcie irokeskim jeden z bliźniaków nosi imię „Kielek” bądź „Roślinka”, drugi zaś zwany jest „Krzemieniem”. „Krzemień” podczas swych narodzin tak uszkadza matkę, że ona umiera. „Krzemień” i „Kielek” reprezentują dwie tradycje: krzemienia używa się na ostrza do zabijania zwierząt, toteż bliźniak imieniem „Krzemień” reprezentuje tradycję myśliwską; „Kielek”, rzecz jasna, reprezentuje tradycję rolniczą.

W tradycji biblijnej odpowiednikiem „Kielka” jest Kain, „Krzemienia” – Abel, będący właściwie raczej pasterzem niż myśliwym. W Biblii masz więc konflikt pasterza z rolnikiem, przy czym odrazę wzbudza ten ostatni. Mit ten opowiada o ludzie łowieckim bądź pasterskim, który wdął się w świat kultury rolniczej i oczernia podbity przez siebie lud.

MOYERS: Brzmi to jak opowieść o wielkiej wojnie o tereny łowieckie na dawnym Zachodzie.

CAMPBELL: Tak. W tradycji biblijnej zwycięża zawsze drugi syn, ten dobry. Drugi syn jest przybyszem: to są Hebrajczycy. Ten starszy to Kanaanici, którzy żyli tam wcześniej. Kain reprezentuje tradycję miejską o podstawie rolniczej.

MOYERS: Nie sądzisz, że te opowieści mówią niemało o współczesnych konfliktach?

CAMPBELL: Istotnie. Fascynujące jest porównywanie sposobu, w jaki spotykają się i wchodzą w konflikt z sobą społeczności rolnicze z łowieckimi bądź pasterskimi, przy czym najeźdźcą jest jedna bądź druga społeczność. Odpowiedniki obu stron są dokładnie te same we wszystkich zakątkach planety – są to dwa systemy w konflikcie i wzajemnym związku.

MOYERS: Mówiłeś, że kobieta, która spadła z nieba, była już ciężarna, i że ta, która urodziła bliźniaki na ziemi, też była ciężarna. O czym, twoim

zdaniem, świadczy to, że w tak licznych kulturach spotykamy legendy o dziewicach rodzących bohaterów, którzy umierają i zmartwychwstają?

CAMPBELL: Śmierć i zmartwychwstanie postaci zbawcy jest wspólnym motywem wszystkich tych legend. Na przykład w opowieści o pochodzeniu kukurydzy masz tę dobrotliwą postać, która pojawia się chłopcu w jego wizji, daje mu kukurydzę i umiera. Roślina wyrasta z jej ciała. Ktoś musi umrzeć, żeby mogło pojawić się życie. Zaczynam dostrzegać ten niewiarygodny wzorzec, wedle którego ze śmierci powstają narodziny, a z narodzin powstaje śmierć. Każde pokolenie musi umrzeć, aby mogło przyjść następne.

MOYERS: Piszesz tak: „Ze stosów obumarłych drzewnych pni i liści strzelają w górę młode pędy niosące dawnym ludziom tę oto, jak się zdaje, naukę, iż ze śmierci wytryska życie i powstają narodziny. Wyciągnięto z tego ponury wniosek, że sposobem zwiększenia życia jest zwiększanie śmierci. To dlatego w całym pasie równikowym naszej planety mamy do czynienia z zupełnym rozpasaniem ofiar – roślinnych, zwierzęcych i ludzkich”.

CAMPBELL: Na Nowej Gwinei istnieje pewien rytuał związany ze stowarzyszeniami męskimi, a uobecniający rolniczy mit o śmierci, zmartwychwstaniu i kanibalistycznej uczcie. Odbywa się on na obszarze świętym przy wtórze bębnów i śpiewów; później jest przerwa. Obrzędy trwają cztery, pięć dni i powtarzają się w kółko. Są dość nudne, rozumiesz, po prostu nużą człowieka, potem jednakże coś jakby pęka i przenosisz się gdzieś indziej.

Wreszcie nadchodzi wielka chwila. Świętuje się prawdziwą orgię seksualną, złamane zostają wszelkie normy. Inicjowani w męskość młodzi chłopcy stają przed swoim pierwszym doświadczeniem seksualnym. Ludzie wnoszą wielki szalaz z ogromnych pni podtrzymywanych przez dwa pionowe słupy. Do środka wchodzi młoda kobieta przystrojona jako bóstwo, po czym każą jej się położyć tam, pod tym wielkim dachem. Przy dźwięku bębnów i śpiewów chłopcy – jest ich sześciu lub coś koło tego – odbywają z tą dziewczyną pierwszy stosunek, a kiedy ostatni z nich jest właśnie w pełnym miłosnym złączeniu z nią, podpierające słupy zostają usunięte, belki walą się na parę młodych i zabijają ich. Męskie i żeńskie znów zostaje zjednoczone,

tak jak było na początku, przed rozdzieleniem. Jedność płodzenia i śmierci; oba są tym samym.

Potem tych dwoje dzieciaków wyciągają stamtąd, pięką i zjadają jeszcze tego samego wieczora. Cały obrzęd jest powtórzeniem początkowego aktu zabicia boga, w następstwie czego martwy zbawca zsyła pożywienie. Podczas ofiary mszalne zostajesz pouczony, że jest to ciało i krew Zbawiciela. Przyjmujesz je w siebie, zwracasz się do wewnątrz, a on działa w tobie.

MOYERS: Jaką prawdę sugerują te rytuały?

CAMPBELL: Że istotę życia jako takiego masz sobie uświadamiać przez konkretne akty życiowe. W kulturach łowieckich ofiara jest poniekąd podarkiem albo łapówką dla bóstwa, które prosimy, aby coś dla nas zrobiło albo coś nam dało. Gdy jednak w kulturach rolniczych składa się w ofierze jakąś postać, to jest nią sam Bóg. Osoba, która umiera, jest pogrzebana i staje się pożywieniem. Chrystus zostaje ukrzyżowany, a z jego ciała rodzi się pożywienie dla ducha.

Historia Chrystusa stanowi sublimację pewnej, pierwotnie bardzo konkretnej, figury vegetacyjnej. Jezus wisi na Świętym Drzewie, a sam jest owocem tego drzewa. Jezus jest owocem wiecznego życia, wiszącym niegdyś na drugim z drzew zakazanych w Ogrodzie Edeńskim. Kiedy człowiek skosztował owocu z pierwszego drzewa – drzewa wiedzy o dobru i złu – został wypędzony z Ogrodu. Ogród to miejsce jedności, braku dwoistości męskie-żeńskie, dobro-zło, Bóg-ludzie. Spożywasz dwoistość – i już cię nie ma, musisz odejść. Drzewo powrotu do Ogrodu jest drzewem życia nieśmiertelnego, tego, w którym – jak o tym wiesz – ja i Ojciec stanowimy jedno.

Powrót do Ogrodu to cel wielu religii. Gdy Jahwe wyrzucił człowieka z Ogrodu, postawił u jego bram dwóch cherubinów i ognisty miecz między nimi. Zbliżając się do sanktuarium buddyjskiego, gdzie Budda siedzi pod drzewem nieśmiertelności, zobaczysz u wrót dwóch strażników; to są ci dwaj cherubini, między którymi przechodzisz, idąc ku drzewu nieśmiertelnego życia. W tradycji chrześcijańskiej Jezus na krzyżu znajduje się na drzewie, na drzewie nieśmiertelnego życia, i sam jest owocem tego drzewa. Jezus na krzyżu, Budda pod drzewem to te same figury. A cherubinowie

u wrót – kimże oni są? Otóż łatwo zauważysz, że spośród tych dwu, którzy strzegą bram sanktuarium buddyjskiego, jeden ma usta otwarte, drugi – zamknięte: strach i pożądanie, para przeciwieństw. Jeśli zbliżając się do takiego ogrodu czujesz, że te dwie postacie są dla ciebie zupełnie realne, że ci grożą, a ty lękasz się o swoje życie – to jesteś jeszcze na zewnątrz ogrodu. Jeżeli jednak nie jesteś już przywiązany do swej egoistycznej egzystencji, natomiast widzisz ją jako funkcję większej, wiecznej całości i przedkładasz to, co większe, nad to, co mniejsze – wówczas nie będziesz czuł strachu przed tymi dwiema postaciami i przejdziesz między nimi.

Poza bramami Ogrodu trzymają nas własne lęki i pożądania skierowane ku temu, co wydaje nam się dobrem naszego życia.

MOYERS: Czy wszyscy ludzie we wszystkich czasach doznawali odczucia wykluczenia z ostatecznej rzeczywistości, z błogości, rozkoszy, doskonałości, oddzielenia od Boga?

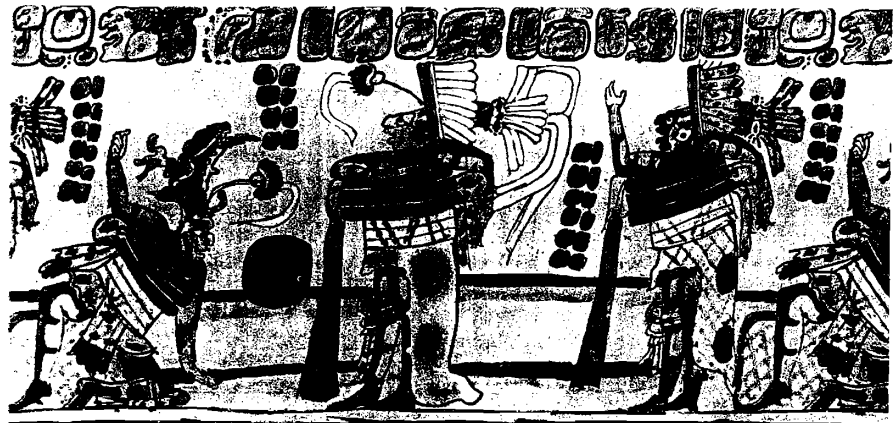
CAMPBELL: Tak, ale później następują też chwile ekstazy. Różnica między życiem codziennym a przeżywaniem ekstazy to różnica między byciem na zewnątrz i wewnątrz Ogrodu. Wychodzisz poza strach i pożądanie, poza pary przeciwieństw.

MOYERS: I wkraczasz w harmonię?...

CAMPBELL: W transcendencję. Jest to podstawowe doświadczenie każdego przeżycia mistycznego. Umierasz dla ciała, a rodzisz się dla ducha. Utożsamiasz się ze świadomością i życiem, których twoje ciało jest tylko wehikułem. Umierasz dla tego wehikułu i w swej świadomości stajesz się tożsamy z tym, co ów wehikuł wiezie. Jest to Bóg.

Poprzez tradycje rolnicze uzyskujesz pojęcie identity istniejącej gdzieś poza powierzchniowymi przejawami dualności. Spod wszystkich tych zewnętrznych przejawień przebija jeden wielki blask, prześwieca on poprzez wszystkie rzeczy. Funkcją sztuki jest objawianie tego blasku w stworzonym przedmiocie. Widząc pięknie i trafnie rozplanowane dzieło sztuki, mówisz po prostu: „Ach!” Przemawia ono jakoś do ładu organizującego twoje własne życie i prowadzi do uświadomienia ci dokładnie tego samego, co starają się oddać religie.

MOYERS: Że życie to śmierć, a śmierć to życie, i że ta dwójka pozostaje w zgodzie?



Gra w piłkę u Majów, cylindryczne naczynie z ok. 600–800n.e.

*Indianie Maja uprawiali grę,
w której kapitan zwycięskiej drużyny był składany w ofierze,
na boisku, przez kapitana drużyny przegrywającej.*

Utinano mu głowę.

*Złożenie z siebie samego ofiary wtedy, gdy się jest górą, gdy się wygrywa
co istota najdawniejszej idei ofiary.*

CAMPBELL: Że musisz balansować między życiem a śmiercią – bo są one dwoma aspektami tej samej rzeczy: bycia, stawania się.

MOYERS: I to jest we wszystkich tych opowieściach?

CAMPBELL: We wszystkich. Nie znam takiej, w której śmierć byłaby odrzucona. Stara idea ofiary ma zupełnie inną treść, niż nam się zdaje. Indianie Maja uprawiali grę, coś w rodzaju koszykówki, w której kapitan zwycięskiej drużyny był składany w ofierze, na boisku, przez kapitana drużyny przegrywającej. Ucinano mu głowę. Złożenie siebie samego w ofierze wtedy, gdy się jest górą, gdy się wygrywa – oto istota najdawniejszej idei ofiary.

MOYERS: Idea ofiary, zwłaszcza ofiary ze zwycięzcy, jest czymś strasznie obcym naszemu światu. Motywem dominującym dziś u nas jest to, że zwycięzca zgarnia wszystko.

CAMPBELL: W tym rytuale Majów zwycięzca zyskiwał taką sławę, że stawał się godny, aby być złożonym w ofierze jako bóg.

MOYERS: Czy myślisz, że jest prawdą, iż ten, kto traci życie, zyskuje życie?

CAMPBELL: Tak mówi Jezus.

MOYERS: Sądzisz, że to prawda?

CAMPBELL: Tak – o ile tracisz je w imię czegoś. Misjonarze jezuicki, działający w XVII wieku we wschodniej Kanadzie, piszą o pewnym irokeskim junaku, schwytanym przez wrogie plemię i prowadzonym na śmiertelne tortury. Północno-wschodni Indianie mieli zwyczaj metodycznego torturowania swoich jeńców. Męki trzeba było znieść bez mrugnienia okiem, była to ostateczna próba prawdziwej męskości. Prowadzą więc młodego Irokeza na miejsce tej potwornej kazi, jednak, ku zdumieniu jezuitów, wszystko odbywa się tak, jakby chłopak szedł na własne wesele. Jest pięknie przystrojony i głośno śpiewa. Oprawcy traktują go tak, jak serdeczni gospodarze traktują upragnionego i czcigodnego gościa, on zaś gra z nimi w tę grę, nie zapominając ani na chwilę, do jakiego finału ona zmierza. Opisujący to wydarzenie francuscy księża są po prostu przerażeni tym, co interpretują jako bezduszne szyderstwo z tego serdecznego przyjęcia, natomiast oprawców młodzieńca charakteryzują jako bandę

okrutnych dzikusów. Otóż – wcale nie! Ci ludzie mieli być kapłanami, składającymi w ofierze młodego zucha. Miała to być ofiara ołtarza, młodzieniec zaś – na mocy analogii – był kimś w rodzaju Jezusa. Ci francuscy księża sami codziennie celebrowali mszę, która jest odwzorowaniem okrutnej ofiary krzyża.

Odpowiednikiem tego epizodu jest opisana w apokryficznych chrześcijańskich *Aktach Jana* scena bezpośrednio poprzedzająca pójście Jezusa na śmierć krzyżową. Jest to jeden z najbardziej wzruszających ustępów w chrześcijańskiej literaturze. W Ewangeliach Mateusza, Marka, Łukasza i Jana mamy tylko krótką wzmiankę o tym, że pod koniec uroczystej Ostatniej Wieczerzy Jezus wraz z uczniami odśpiewał hymn, zanim odszedł. Ale w *Aktach Jana* mamy ten hymn, przytoczony słowo w słowo. Na chwilę przed wyjściem do ogrodu, pod koniec Ostatniej Wieczerzy, Jezus mówi do całej kompanii: „Zatańczmy!” Wszyscy biorą się za ręce i tańczą wokół Jezusa, który śpiewa: „Chwała Tobie, Ojcze!”

Taneczny krąg odpowiada: „Amen”.

„Chwała tobie, Słowo!”

I znowu: „Amen”.

„Bywam zrodzony i bywam rodzicielem!”

„Amen”.

„Bywam jedzącym i bywam pokarmem!”

„Amen”.

„Patrz na mnie, ty, który tańczysz, bo twoją jest męka człowiecza, którą mam wycierpieć!”

„Amen”.

„Bywa, że uciekam, i bywa, że zostaję!”

„Amen”.

„Bywam zjednoczeniem i zjednoczycielem!”

„Amen”.

„Drzwiami jestem dla ciebie, który stukasz do mnie... Drogą jestem dla ciebie, który wędrujesz”. Gdy taniec się kończy, Jezus wychodzi do ogrodu, gdzie zostanie pojmany i ukrzyżowany.

Gdy idziesz na śmierć w taki sposób, jak bóg, w pełni świadom mitu, idziesz do wiecznego życia. Czym więc tu się smuć? Z tą sprawą jest tak, jak jest, uczynmy ją więc czymś wspianiałym, odświętnym.

MOYERS: Pan śmierci jest panem tańca.

CAMPBELL: Pan śmierci jest jednocześnie panem płci.

MOYERS: Co masz na myśli?

CAMPBELL: To zdumiewające, ale ciągle odkrywasz bogów, którzy są zarazem bogami śmierci i płodzenia. Ghede, bóg śmierci w haitańskiej tradycji wudu, to jednocześnie bóg seksu. Egipski Ozyrys był sędzią i panem umarłych, a także panem odradzającego się życia. Jest to podstawowy temat: to, co umiera, rodzi się. Żeby mieć życie, musisz zaznać śmierci.

Taka jest też geneza polowania na głowy w południowo-wschodniej Azji, szczególnie w Indonezji. Jest to akt święty, uświęcone zabijanie. Młody człowiek, nim otrzyma zezwolenie na małżeństwo i ojcostwo, musi udać się na łowy i kogoś zabić. Bez śmierci nie może być narodzin. Sens tego jest taki, że każde pokolenie musi umrzeć, aby mogło przyjść następne. Z chwilą gdy płodzisz lub wydajesz na świat dziecko, stajesz się martwy. Dziecko jest nowym życiem, a ty jesteś tylko opiekunem tego nowego życia.

MOYERS: Twój czas się wypełnił.

CAMPBELL: Dlatego jest taki głęboki psychologiczny związek między płodzeniem i umieraniem.

MOYERS: Czy to wszystko ma jakiś związek z faktem, że rodzic chętnie odda życie za swe dziecko?

CAMPBELL: Schopenhauer napisał wspaniałą esej, w którym stawia pytanie, jak to jest możliwe, że człowiek do tego stopnia potrafi się przejąć cierpieniem drugiego człowieka bądź grożącym mu niebezpieczeństwem, iż spontanicznie, bez namysłu poświęca dla niego swe życie... Jak dochodzi do tego, że nagle ulega zniesieniu naczelne, jakby się normalnie wydawało, prawo natury i instynkt samozachowawczy?

Parę lat temu na Hawajach zdarzyło się coś niezwykłego, co doskonale ilustruje ten problem. Otóż jest tam miejsce zwane Pali, gdzie poprzez wysoki łańcuch górski przedziera się potężny, dmący z północy pasat. Ludzie lubią tam jeździć, aby poczuć, jak ten wiatr rozwiewa im włosy, a nieraz, by popełnić samobójstwo – ot, tak jak się to robi, skacząc z mostu Golden Gate, rozumiesz.



Zebranie Kajanów w „długim domu”.

*Polowanie na głowy jest aktem świętym,
zabijaniem poświęconym.*

*Młody człowiek, nim otrzyma zezwolenie na małżeństwo i ojcostwo,
musi udać się na łowy
i kogoś zabić.*

Bez śmierci nie może być narodzin.

Pewnego dnia jedzie tam szosą dwóch policjantów, którzy widzą, że jakiś młody człowiek przelazł właśnie przez barierkę, chroniącą samochody przed stoczeniem się w przepaść, i szykuje się do skoku. Policyjny wóz staje, policjant siedzący po prawej wyskakuje i łapie tego faceta, który już skoczył, tak że sam zostaje przez niego pociągnięty w dół; w tym momencie – w sam czas – zjawia się ten drugi gliniarz i wyciąga w górę obu.

Czy uświadamiasz sobie, co musiał w tym okamgnieniu przeżywać ów policjant, który zaryzykował życie dla nieznanego chłopaka? Nagle wszystko inne w jego życiu przestało istnieć – jego obowiązki względem rodziny, pracy zawodowej, wobec własnego życia; wszystkie jego pragnienia i nadzieje całego życia po prostu zniknęły. Stał w obliczu śmierci.

Później reporter zapytał go: „Dlaczego nie pozwolił mu pan skoczyć? Przecież sam pan by zginął”. Podobno odpowiedział na to: „Nie mogłem mu pozwolić. Gdybym pozwolił temu chłopcu skoczyć, nie potrafiłbym już żyć”. Więc jak to, u licha, jest?

Schopenhauer odpowiada, że tego rodzaju psychologiczny przełom polega na gwałtownym uświadomieniu sobie prawdy metafizycznej, że ty i ten drugi jesteście jednym, że jesteście dwoma aspektami tego samego życia, a więc wasza pozorna oddzielność to tylko efekt naszego sposobu doświadczania form, warunkowanego przez czas i przestrzeń. Jedyna prawdziwa rzeczywistość tkwi w naszej tożsamości i jedności z wszelkim życiem. Jest to prawda metafizyczna, którą można sobie spontanicznie uświadomić w sytuacji kryzysu. Albowiem jest ona, zdaniem Schopenhauera, prawdą naszego życia.

Bohater jest kimś, kto swoje fizyczne życie oddał, w taki bądź inny sposób, świadomemu urzeczywistnieniu tej prawdy. Idea miłości bliźniego jest po to, byś się do tego faktu dostroił. Ale czy kochasz swego bliźniego, czy też nie – w momencie gdy dopada cię ta świadomość, jesteś w stanie zaryzykować życie. Hawajski policjant nie wiedział, kim jest młody człowiek, za którego dawał swoje życie. Schopenhauer twierdzi, że podobne rzeczy zdarzają się, w mniejszej skali, codziennie; w ten sposób w świecie pulsuje życie, ludzie z pobudek nieegoistycznych świadczą sobie nawzajem różne rzeczy.

MOYERS: A więc, gdy Jezus mówi: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”, to w rzeczywistości mówi: „Miłuj bliźniego swego, bo on jest tobą”.

CAMPBELL: W tradycji orientalnej istnieje piękna postać – bodhisattwa, którego naturą jest bezgraniczne współczucie; powiada się, że z koniuszków jego palców skapuje w dół, aż do najniższych sfer piekielnych, ambrozja.

MOYERS: Co to znaczy?

CAMPBELL: Na samym końcu *Boskiej komedii* Dante uświadamia sobie, że miłość Boga przenika cały wszechświat, aż do najgłębszych otchłani piekielnych. To w gruncie rzeczy ten sam obraz. Bodhisattwa reprezentuje zasadę współczucia, leczniczą, dzięki której życie jest możliwe. Życie jest cierpieniem, ale właśnie współczucie stwarza możliwość kontynuowania go. Bodhisattwa to ten, kto urzeczywistnił dla siebie nieśmiertelność, ale dobrowolnie współuczestniczy w smutkach świata. Dobrowolne uczestnictwo w świecie to coś zupełnie różnego od zwykłego narodzenia się na nim. Jest to dokładnie sens wypowiedzi św. Pawła na temat Chrystusa w Liście do Filipian: „On, istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz (...) przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi, (...) unżył samego siebie (...) aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej”. Było to dobrowolne współuczestnictwo w wielokształcie życia.

MOYERS: A więc zgodziłbyś się z Abelardem, który w dwunastym stuleciu mówił, że śmierć Jezusa na krzyżu nie była ani zapłaconym okupem, ani poniesioną karą, lecz aktem współpokuty razem z ludzkim rodzajem...

CAMPBELL: Jest to najbardziej wyrafinowana interpretacja przyczyny, dla której Chrystus musiał być ukrzyżowany albo dla której wybrał śmierć przez ukrzyżowanie. Wcześniejsza głosiła, że wskutek grzechu w Ogródzie Edeńskim człowiek dostał się w ręce diabła, więc Bóg musiał wykupić go od właściciela zastawu – diabła. W charakterze wykupu ofiarował przeto własnego syna, Jezusa. Tę interpretację Jezusa jako przynęty, na którą złapał się diabeł, podał papież Grzegorz. Jest to idea odkupienia. Wedle innej wersji, Boga tak obraził bezwstyd popełniony w Raju, że wpadł w gniew i wyrzucił człowieka poza obszar swego miłosierdzia. W tej sytuacji jedynym, co mogło pojednać człowieka z Bogiem, była ofiara

równie wielka i ważna jak dokonany grzech. Taka ofiara nie leżała w możliwościach zwykłego człowieka, toteż człowiekiem stał się syn samego Boga, aby spłacić dług.

Jednakże idea Abelarda było, że Chrystus przyszedł umrzeć na krzyżu, aby rozbudzić w sercu człowieka współczucie dla cierpień życia, przez to zaś odwrócić jego umysł od ślepego przywiązania do dóbr tego świata. Właśnie współczując z Chrystusem, zwracamy się do Chrystusa, a ten okaleczony staje się naszym Zbawicielem.

Refleks tego mamy w średniowiecznym motywie okaleczonego króla – Króla świętego Graala, cierpiącego od nieuleczalnej rany. Okaleczony znów staje się zbawcą. To cierpienie roznieca człowieczeństwo w ludzkim sercu.

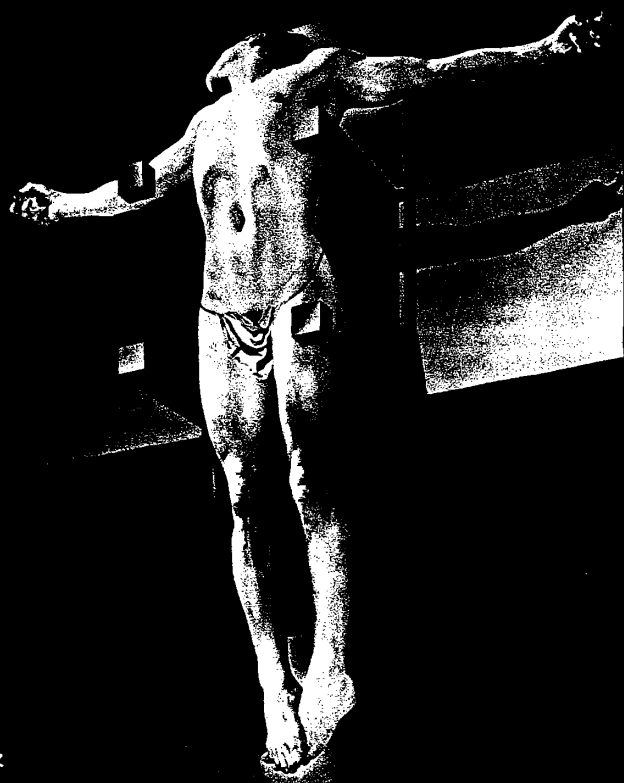
MOYERS: A więc zgodziłbyś się z Abelardem, że człowiecza tęsknota do Boga i tęsknota Boga do człowieka spotkały się we współczuciu u stóp krzyża?

CAMPBELL: Tak. Skoro jest czas, jest też cierpienie. Nie możesz mieć przyszłości, jeśli nie masz przeszłości, a jeśli rozkochany jesteś w teraźniejszości, zmienia się ona w przeszłość, jakakolwiek jest. Utrata, śmierć, narodziny, utrata, śmierć – i tak w kółko. Kontemplując krzyż, kontemplujesz symbol misterium życia.

MOYERS: Dlatego z prawdziwą religijną przemianą, czy też nawróceniem, łączy się tyle cierpienia. Nielatwo jest utracić samego siebie.

CAMPBELL: Nowy Testament uczy nas umierać dla samych siebie, przecierpieć ból śmierci dla świata i jego wartości, dosłownie. Jest to język mistyków. Ale i samobójstwo jest aktem symbolicznym. Odrzuca ono sytuację psychologiczną, w jakiej akurat się znajdujesz, tak byś mógł znaleźć się w innej, lepszej. Umierasz dla dotychczasowego, zwykłego życia, aby osiągnąć jakieś inne. Jak jednak mówi Jung, lepiej jest nie znaleźć się w sidłach sytuacji symbolicznej. Nie musisz umierać realnie, fizycznie. Tym, czego ci potrzeba, jest śmierć duchowa i odrodzenie do jakiegoś szerszego wymiaru istnienia.

MOYERS: Wszystko to jednak wydaje się bardzo obce naszym współczesnym doświadczeniom. Religia jest teraz czymś łatwym. Nakładasz ją na siebie, tak jak nakładasz płaszcz i idziesz do kina.



CAMPBELL: Tak, większość kościołów to miejsca miłych spotkań towarzyskich. Lubisz przychodzących tam ludzi, bo to ludzie porządni, starzy przyjaciele, a twoja rodzina zna ich od wielu lat.

MOYERS: Co w naszej współczesnej kulturze stało się z mityczną ideą zbawcy, który z samego siebie czyni ofiarę?

CAMPBELL: Pamiętam, jak w czasie wojny wietnamskiej oglądałem w telewizji młodych ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wyruszyli helikopterem na ratunek temu lub innemu ze swoich kolegów. Nie mieli obowiązku przychodzić z pomocą takiemu chłopcu, który znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Wtedy przekonałem się, że działa tutaj ta sama zasada, ta sama gotowość, o jakiej pisał Schopenhauer, do poświęcenia własnego życia dla kogoś innego. Mężczyźni przyznają się nieraz, że kochają wojnę, bo daje im ona bezpośrednie doświadczenie istnienia. Chodząc codziennie do biura, nie masz tego doświadczenia; któregoś dnia idziesz na wojnę i oto nagle znów dojmująco czujesz, że żyjesz. Życie jest bólem, jest cierpieniem, jest też okropnością – ale, na Boga, żyjesz... Narażając się dla swych towarzyszy, wyzywając śmierć, ci młodzi ludzie w Wietnamie naprawdę żyli.

MOYERS: A jednak kiedyś pewien człowiek, od wielu lat dyżurujący na peronie kolejki podziemnej, powiedział mi: „Co dnia zdycham tutaj po trochu, ale wiem, że to dla dobra mojej rodziny”. To też są takie małe akty heroizmu zupełnie nie dbającego o rozgłos i uwagę. Na przykład matka, która godzi się na izolację i znosi ją z myślą o rodzinie.

CAMPBELL: Macierzyństwo jest ofiarą. Na werandę naszego hawajskiego domu zlatują się po pożywienie ptaki. Każdego roku zjawiają się tam jedna albo dwie samice karmiące młode. Widząc taką ptasią mamę, dręczoną o strawę przez potomstwo, na przykład trzepoczącą wokół niej piątkę młodych, z których jedno czy dwoje są większe od niej – myślisz sobie: „Cóż, to właśnie jest symbol macierzyństwa – to dawanie samej siebie dzieciom, aż do najnędrniejszego okruszka”. Właśnie dlatego matka staje się symbolem Matki-Ziemi. To ona nas zrodziła, na niej żyjemy i na jej ciele znajdujemy pokarm.

MOYERS: Słuchając cię myślę o innej postaci z twojej książki *The Way of Animal Powers*, która uderzająco przypomina mi Chrystusa. Czy pamiętasz figurę zbawcy z legendy o stworzeniu Indian Pima?

Ukrzyżowanie, Salvador Dali (1904—1989).

Idea Abelarda było, że Chrystus przyszedł umrzeć na krzyżu, aby rozbudzić w sercu człowieka współczucie dla cierpień życia, przez to zaś odwrócić jego umysł od ślepego przywiązania do dóbr tego świata.

Właśnie współczując z Chrystusem, zwracamy się do Chrystusa, a ten, okaleczony, staje się naszym Zbawicielem.



Tay Ninh, południowy Wietnam.

*W czasie wojny wietnamskiej oglądałem w telewizji
młodych ludzi, którzy z narażeniem własnego życia
wyruszyli na ratunek koledze.*

*Jak to jest możliwe,
że człowiek do tego stopnia potrafi się przejąć
cierpieniem drugiego człowieka
bądź grożącym mu niebezpieczeństwem,
iż spontanicznie, bez namysłu poświęca dla niego swe życie?*

CAMPBELL: Tak. To pouczająca historia. Jest on klasyczną postacią zbawiciela przynoszącego życie ludziom, po czym ludzie rozdzierają go na sztuki. Znasz to stare powiedzonko: ocal komuś życie, a zyskasz sobie wroga na całe życie.

MOYERS: Gdy świat zostaje stworzony, on wynurza się ze środka ziemi, a potem wyprowadza z podziemia swój lud. Ludzie jednak zwracają się przeciwko niemu i zabijają go – nie raz, lecz wiele razy...

CAMPBELL: ...ba, miażdżą go na proszek.

MOYERS: On jednak ciągle wraca do życia. Wreszcie odchodzi w góry, gdzie ścieżki są tak splątane, że nikt już nie potrafi go wytropić. Przecież to ktoś w rodzaju Chrystusa, nie uważasz?

CAMPBELL: Owszem. Jest tu też motyw labiryntu. Szlaki są umyślnie poplątane, ale jeśli znasz sekret labiryntu, możesz tam wejść i złożyć wizytę jego mieszkańcom.

MOYERS: A jeśli masz wiarę, możesz pójść za Chrystusem.

CAMPBELL: Tak. Bywa często, że jedną z rzeczy, jakich dowiadyuje się adept religii misteryjnych, jest to, że labirynt, zagradzając drogę, jednocześnie otwiera ścieżkę do wiecznego życia. To najwyższa tajemnica mitu; uczy cię on wchodzić w labirynt życia w taki sposób, aby urzeczywistniły się jego wartości.

Jest to również problem *Boskiej Komedi* Dantego. Kryzys przychodzi „w środku naszej życiowej drogi”, kiedy ciało człowieka zaczyna więdnąć, a w świat jego marzeń wdzierają się zupełnie nowa konstelacja motywów. Dante mówi, że w środku swojego życia zagubił się nagle w groźnym, ciemnym lesie. Czyhały tam na niego trzy niebezpieczne bestie, symbolizujące pychę, pożądanie i strach. Później pojawił się Wergiliusz, uosobienie poetyckiej intuicji, i poprowadził go przez labirynt piekła, będącego miejscem pobytu tych, co przywiązani są do swoich pożądań i lęków, więc nie mogą przebić się do wieczności. Dantego prowadzono dalej, aż dotarł do błogiej wizji Boga. Ten sam mitologiczny obraz, choć w mniejszej skali, mamy w opowieści Indian Pima. Reprezentowali oni jedną z najprostszych indiańskich kultur Północnej Ameryki, a przecież potrafili na swój sposób wykorzystać ten wysoce wyrafinowany obraz, dorównujący Dantemu.

MOYERS: Napisałeś, że „znak krzyża należy uważać za znak wiecznej afirmacji wszystkiego, co kiedykolwiek było i będzie. Symbolizuje on nie tylko historyczną chwilę na Kalwarii, ale również ponadczasową i powszechną tajemnicę obecności i współuczestniczenia Boga w męce wszystkiego, co żyje”.

CAMPBELL: Momentem przełomowym w micie średniowiecznym jest obudzenie się ludzkiego serca do współczucia, przemiana czucia [*passion*] we współ-czucie [*compassion*]. Jest to jądro całej problematyki historii o Graalu – idzie tam o współczucie dla zranionego króla. Dostrzegasz w tych historiach również tę samą ideę, którą Abelard zaproponował jako wytłumaczenie ukrzyżowania – mianowicie że Syn Boży zstąpił na ten świat, aby zostać ukrzyżowanym i obudzić nasze serca do współczucia, odwracając w ten sposób nasze umysły od przyziemnych trosk materialnego bytu w świecie ku specyficznym ludzkim wartościom – dawaniu siebie samego i dzieleniu cierpień z innymi. W tym sensie ranny król, okaleczony król z legendy o Graalu, jest odpowiednikiem Chrystusa. Jego zadaniem jest rozbudzić w człowieku współczucie i w ten sposób przywrócić martwą „ziemię jałową” do życia. Mamy tu do czynienia z mistycznym pojmowaniem duchowej funkcji cierpienia w tym świecie. Ten, który cierpi, jest poniekąd Chrystusem przychodzącym, aby wzbudzić w nas to jedyne, co przemienia ludzką drapieżną bestię w pełnego człowieka. Tą rzeczą jest współczucie. Jest to temat, który James Joyce podejmuje i rozwija w *Ulyssesie* – budzenie się bohatera, Stephena Dedalusa, do człowieczeństwa przez współ-czucie z Leopoldem Bloomem. Jego serce przebudziło się do miłości, droga została otwarta.

W drugim wielkim dziele Joyce’a, *Finnegans Wake*, znajdujemy tajemniczą liczbę, która ciągle powraca – 1132. Na przykład występuje jako data, potem, w formie odwróconej, jako adres – 32 West, 11 Ulica. W taki bądź inny sposób 1132 pojawia się w każdym rozdziale. Pisząc swój *A Skeleton Key to Finnegans Wake*, kombinowałem na wszystkie strony, co też, do diabła, mogłaby oznaczać ta liczba 1132... Potem przypomniałem sobie, że w *Ulyssesie* Bloom, włócząc się po ulicach Dublina, widzi kulę czasomierza spadającą z wieży (znak, że jest południe) i myśli: „Prawo spadania ciała: trzydzieści dwie stopy na sekundę, na sekundę”. Trzydzieści dwa, pomyś-

lalem, musi być liczbą Upadku; jeśli tak, to jedenaście mogłoby być odnowieniem dziesiątki – 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, i znów 11, i zaczynasz od początku. W *Ulyssesie* zawarty było wiele innych sugestii liczbowych, które nasunęły mi taką myśl: „Może mamy tu do czynienia z liczbą Upadku, 32, i Odkupienia, 11; grzech i przebaczenie, śmierć i odnowa”. W *Finnegans Wake* jest mowa o pewnym zdarzeniu w Parku Feniks, największym parku Dublina. Feniks jest ptakiem, który spala się na śmierć i odmłodzony wraca do życia. Park Feniks staje się więc Ogrodem Edyńskim, gdzie nastąpił Upadek i gdzie na cześć Adama postawiony został krzyż. *O felix culpa* („Feniksie, winowajco!” – mówi Joyce). Mamy zatem śmierć i odkupienie. Wydało mi się to całkiem niezłą odpowiedzią i ją właśnie umieściłem w *A Skeleton Key*.

Jednak pewnego wieczoru, gdy przygotowywałem dla moich studentów wykład z mitologii porównawczej, odświeżając sobie lekturę Listu św. Pawła do Rzymian, natknąłem się na ciekawe zdanie, które jakby streszczało wszystko, co chodziło po głowie Joyce’owi, kiedy pisał *Finnegans Wake*. Św. Paweł napisał: „Albowiem Bóg poddał wszystkich nieposłuszeństwu, aby wszystkim okazać swe miłosierdzie”. Nie potrafisz być aż tak posłuszny, żeby Boże miłosierdzie nie mogło cię osiągnąć, a więc daj mu szansę. „Grzeszcie odważnie” – mówił Luter, i patrzcie, ile miłosierdzia możecie wzbudzić w Bogu. Wielki grzesznik jest wielkim budzicielem Boga do miłosierdzia. Jest to jedna z podstawowych idei wyjaśniających paradoks moralności i wartości życia.

Powiedziałem więc do siebie: „Tam do licha, przecież o tym właśnie mówi Joyce...” I zapisałem w swoim Joyce’owskim notatniku: „List do Rzymian, rozdz. 11, werset 32”. Możesz wyobrazić sobie moje zdumienie? Znowu ta sama liczba – 1132, i to gdzie – w tekście Dobrej Nowiny! Paradoks chrześcijańskiej wiary Joyce wziął jako motto dla swojego największego arcydzieła. Opisuje w nim bezlitośnie otchłanie potworności prywatnego i publicznego życia człowieka i jego uczynków, osadzonych w skrajnie grzesznym nurcie ludzkiej historii. Jest tam wszystko – ale opowiedziane z miłością.

MOYERS: Czy ludzie Zachodu mogą pojąć doświadczenie mistyczne pomijające teologię? Jeśli jesteś więźniem obrazu Boga funkcjonującego

w kulturze, w której nauka określa twój sposób postrzegania rzeczywistości, to jak mógłbyś doświadczyć tego ostatecznego podłoża, o jakim mówią szamani?

CAMPBELL: A jednak ludzie miewają to doświadczenie. Ci, którzy przeżywali je w wiekach średnich, zwykle ginęli na stosach jako heretycy. Jedną z największych herezji na Zachodzie jest ta, której dopuścił się Chrystus mówiąc: „Ja i Ojciec jesteśmy jednym”. Został za to ukrzyżowany. W średniowieczu, w dziewięćset lat po Chrystusie, pewien wielki mistyk suficki powiedział: „Ja i mój umiłowany jesteśmy jednym”, i też został ukrzyżowany. Idąc na śmierć krzyżową, modlił się: „Panie mój, gdybyś był tych ludzi nauczył tego, czego nauczyłeś mnie, nie robiliby mi tego dzisiaj. A gdybyś mnie nie był pouczył, nie zdarzyłoby mi się to. Błogosławiony jest Pan i wszystkie dzieła Jego”. Inny wielki mistyk suficki rzekł: „Rola wspólnoty prawowiernych jest wzbudzić w mistyku – przez umartwienia i śmierć – pragnienie jedności z Bogiem”.

MOYERS: Co dzisiaj nadweręża to doświadczenie?

CAMPBELL: Charakterystyczną cechą demokracji jest przekonanie, że zasada większości działa skutecznie nie tylko w polityce, ale i w dziedzinie myśli. Tu jednak większość zawsze jest w błędzie.

MOYERS: Zawsze w błędzie?

CAMPBELL: W sprawach tego rodzaju – tak. W dziedzinie ducha rolę większości jest słuchanie i otwieranie się na kogoś, komu dane było doświadczenie wykraczające poza sprawy jedzenia, schronienia, potomstwa i majątku.

Czytałeś kiedyś książkę Sinclaira Lewisa *Babbitt*?

MOYERS: Bardzo dawno.

CAMPBELL: Pamiętasz ostatnią linijkę? „Nigdy w całym moim życiu nie zrobiłem tego, na co miałem ochotę”. To człowiek, który nigdy nie poszedł za swoim szczęściem. Zdarzyło mi się dosłownie usłyszeć tę linijkę, kiedy wykladałem w kolegium Sarah Lawrence. Zanim się ożeniłem, lunchy i obiady jadałem często w miejskich restauracjach. W czwartki po południu służące w Bronxville miały wychodne, toteż wiele rodzin szło do restauracji. Pewnego pięknego wieczora siedziałem sobie w moim ulubionym lokalu,

a przy stoliku obok była rodzina – ojciec, matka i chuderlawy, może dwunastoletni chłopczyną. Ojciec mówi do chłopca: „Wypij ten swój sok pomidorowy”.

Chłopiec na to: „Nie chcę”.

Ojciec znowu, nieco głośniej: „Wypij swój sok”.

Matka mówi: „Nie zmuszaj go; skoro nie ma ochoty”.

Ojciec spojrział na nią i powiedział: „Nie może iść przez życie robiąc to, na co ma ochotę. Jeśli będzie robił tylko to, na co ma ochotę, zginie marnie. Popatrz na mnie: nigdy w życiu nie zrobiłem tego, na co miałem ochotę”.

Pomyślałem wtedy: „Mój Boże, przecież to wykapany Babbitt!”

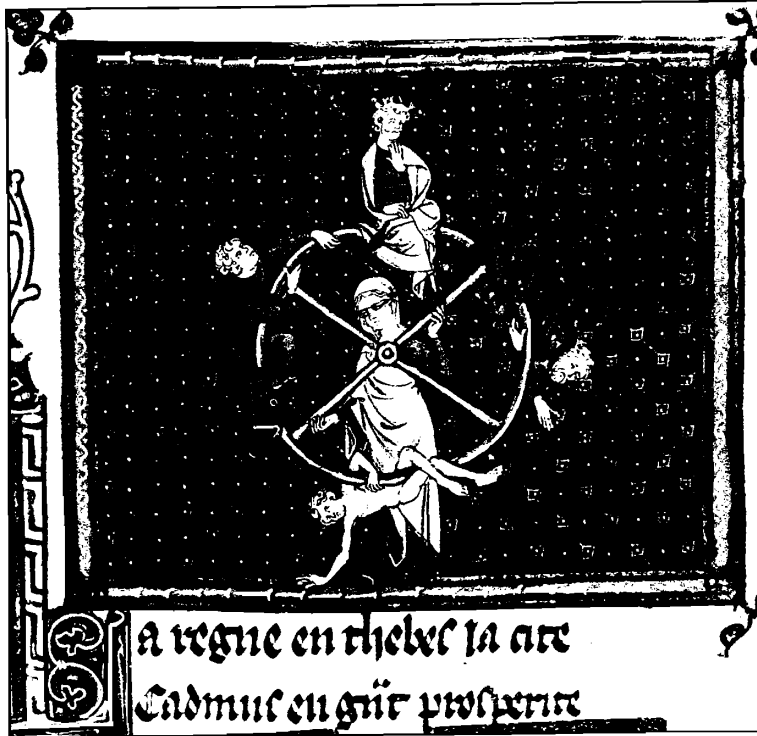
To człowiek, który nigdy nie poszedł za swoim szczęściem. Możesz mieć w życiu sukcesy, ale potem pomyśl o nim, zastanów się: jakie to było życie? Jaki z niego pożytek, skoro nigdy nie zrobiłeś tego, czego naprawdę chciałeś? Zawsze mówię swoim studentom: idźcie tam, dokąd chce iść wasze ciało i dusza. A gdy poczujecie to właśnie, trzymajcie się tego i niech nikt nie śmie was od tego odrywać.

MOYERS: Co się dzieje, kiedy człowiek idzie za tym, co go uszczęśliwia?

CAMPBELL: Zdobywa szczęście. W średniowieczu jednym z ulubionych obrazów, występującym w najrozmaitszych kontekstach, było Koło Fortuny. W środku jest piasta, wokół niej obraca się obręcz koła. Jeśli jesteś przywiązany do obręczy Koła Fortuny, to raz jesteś w górze i zjeżdżasz w dół, a innym razem jesteś na samym dnie i jedziesz do góry. Jeśli jednak tkwisz w piastie, zawsze znajdujesz się w tym samym miejscu. Taki jest sens przysięgi małżeńskiej: biorę cię w zdrowiu i chorobie, w powodzeniu i ubóstwie, na dobre i na złe. Ale zawsze ty będziesz moim centrum i moim szczęściem, nie majątność, którą możesz mi przynieść, ani nie społeczny prestiż, lecz ty. Na tym polega pójście za własnym szczęściem.

MOYERS: Jaką miałbyś radę dla kogoś, kto chciałby czerpać z tego źródła wiecznego życia, z tej błogości, którą mamy tuż obok?

CAMPBELL: Przez cały czas przytrafiają nam się doświadczenia, które w pewnych sytuacjach mogą dawać nam przeczucie, jakąś intuicję tego, gdzie znajduje się nasze szczęście. Trzeba je chwycić. Nikt nie potrafi powiedzieć, czym ono będzie. Musimy nauczyć się rozoznawać we własnym wnętrzu.



Sa regne en thebes la cite
Cadmus en gür prosperite

Kolo Fortuny, Francja, XIV w.

*Jeśli jesteś przywiązany do obręczy Kola Fortuny,
to raz jesteś w górze i zjeżdżasz w dół,
a innym razem jesteś na samym dnie i jedziesz do góry.
Jeśli jednak tkwisz w piąście,
zawsze jesteś w tym samym miejscu, w środku.*

MOYERS: Kiedy ty się nauczyłeś?

CAMPBELL: Och, jeszcze gdy byłem chłopcem. Nigdy nikomu nie dawałem się sprowadzić z własnej drogi. Moja rodzina przez cały czas pomagała mi robić to, co naprawdę i ze wszystkich sił chciałem robić. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może to być jakimś problemem.

MOYERS: W jaki sposób ci spośród nas, którzy są rodzicami, mogą pomóc swoim dzieciom w rozpoznaniu własnego szczęścia?

CAMPBELL: Musisz dobrze poznać swoje dziecko i pilnie je obserwować. Potrafisz mu pomóc. Kiedy uczyłem w Sarah Lawrence, z każdym ze swoich studentów miałem indywidualną rozmowę co najmniej raz na dwa tygodnie, przez jakieś pół godziny. Na przykład rozmawiasz z nim o tym, co powinien przeczytać, nagle wymieniasz jakiś tytuł, a student natychmiast reaguje – widzisz, jak rozbłyskują mu oczy, a skóra na jego twarzy zmienia barwę. Otworzyła się przed nim jakaś perspektywa życia. Cóż, wtedy możesz tylko powiedzieć do siebie: „Miejmy nadzieję, że ten dzieciak pójdzie za tym”. Pójdzie albo i nie, ale jeśli pójdzie, to znaczy, że tu, w tym pokoju, odnalazł swoje życie.

MOYERS: I na to wcale nie trzeba być poetą.

CAMPBELL: Poeci to po prostu ludzie, którzy z ciągłego kontaktu ze swoim szczęściem uczynili zawód i styl życia. Na ogół ludzie zajmują się innymi sprawami – wciąga ich gospodarka albo polityka, bądź też jakaś wojna, niekoniecznie ta, która naprawdę ich obchodzi, i w tych warunkach może być trudno podtrzymywać łączność z owym źródłem życia. W tym względzie każdy musi wypracować sobie własną technikę.

Mimo wszystko ludzie obracający się w tym, co można by nazwać sferą trosk okazjonalnych, zachowują zdolność do wkroczenia w tę drugą sferę; ona tylko czeka na rozbudzenie. Wiem to, widywałem to u studentów.

Gdy uczyłem w szkole przygotowawczej dla chłopców, często rozmawiałem z tymi, którzy próbowali sobie wyobrazić swoje przyszłe kariery. Przychodził do mnie taki chłopiec i pytał: „Myśli pan, że to potrafię? Albo tamto? Czy sądzi pan, że mógłbym być pisarzem?”

„Cóż – odpowiadałem – nie wiem. Czy potrafisz przez dziesięć lat znosić rozczarowania, bo wydawcy nie będą odpowiadać na twoje listy, albo może sądzisz, że uda ci się od razu wystrzelić z jakimś bestsellerem? Jeśli starczy ci

charakteru, żeby wytrwać przy tym, czego rzeczywiście pragniesz, cóż, nie oglądaj się na nic i wal śmiało naprzód”.

Ale potem w akcję wkracza tatuś i mówi: „Nie, synu, powinienes raczej studiować prawo, z tego jest więcej forsy, rozumiesz”. To jest obręcz koła, nie piasta, nie idziesz wtedy za swoim szczęściem. Za czym masz zamiar pójść – za fortuną czy za szczęściem?

Jeszcze jako student wróciłem z Europy w 1929 r., dosłownie na parę tygodni przed wielkim krachem na Wall Street, no i potem przez pięć lat nie miałem pracy. Po prostu nie było pracy. To był dla mnie wspaniały okres.

MOYERS: Wspaniały okres – samo dno depresji? Cóż było w tym wspaniałego?

CAMPBELL: Wcale nie czułem, że jestem biedny; po prostu nie miałem pieniędzy. Ludzie byli wówczas dla siebie bardzo dobrzy. Odkryłem na przykład Frobeniusa. Olśnił mnie, więc musiałem przeczytać wszystko, co napisał. Napisałem po prostu do znanej mi firmy księgarskiej w Nowym Jorku, a ona przysłała mi wszystkie te książki zaznaczając, że nie muszę płacić od razu – poczekają, aż znajdę pracę, co stało się w cztery lata później.

Był też wtedy w Woodstock, NY, pewien cudowny staruszek, który na terenie swej małej posiadłości miał parę maciupkich klitek; odnajmował je po dwadzieścia – albo coś koło tego – dolarów rocznie młodym ludziom rokującym, jego zdaniem, nadzieje w dziedzinie sztuki. Nie było tam bieżącej wody, tylko tu i ówdzie jakaś studnia czy pompa. Twierdził, że nie instaluje bieżącej wody, bo nie lubi ludzi, dla których to jest ważne. Właśnie tam zrobiłem i przeczytałem najwięcej. To było wspaniale. Szedłem za swoim szczęściem.

Wracam do tego pojęcia szczęścia, gdyż w sanskrycie, który jest jednym z wielkich światowych języków ducha, istnieją trzy terminy zawierające ideę krawędzi, trampoliny do skoku w ocean transcendencji: *sat*, *czyt* i *ananda*. Słowo *sat* znaczy „byt”, *czyt* – „świadomość”, *ananda* – „szczęśliwość” lub „zachwycenie”*. Myślałem: „Nie wiem, czy moja świadomość jest właściwa, czy nie; nie wiem, czy to, co wiem o moim bycie, jest moim własnym bytem, czy też nie. Wiem tylko, co wprawia mnie w zachwycenie, a więc muszę się tego trzymać, a to z pewnością przyniesie mi świadomość i byt”. Myślę, że to się sprawdziło.

* W tradycji indyjskiej jedno słowo:

Sacchidananda, pełnia bytu i wiedzy przeniknięta błogostanem; atrybut boga Brahmę.

MOYERS: Czy możemy poznać prawdę? I odnaleźć ją?

CAMPBELL: Każdy może mieć własną głębię, własne doświadczenie, każdy może uzyskać jakąś dozę pewności, że jest w kontakcie ze swoim *sat-czhit-ananda* – ze swoim bytem przez świadomość i szczęśliwość. Ludzie religijni mówią nam, że w istocie nie będziemy mieć doświadczenia błogości, zanim nie umrzemy i nie pójdziemy do nieba. Ja jednak myślę, że można je mieć, i to w sporej mierze, jeszcze za życia tutaj.

MOYERS: Szczęśliwość jest teraz.

CAMPBELL: W niebie będziesz przeżywał tak wielką rozkosz, oglądając Boga, że na osobiste doświadczenie nie będzie miejsca. Niebo nie jest miejscem doświadczeń – ich miejsce jest tutaj.

MOYERS: Czy ty, podążając za swoim szczęściem, miewasz niekiedy wrażenie – takie jak ja – że pomagają ci niewidzialne ręce?

CAMPBELL: Przez cały czas. To coś cudownego. To odczucie, że przez cały czas prowadzą mnie niewidzialne ręce, wytworzyło nawet we mnie przesądne przeświadczenie, że jeśli idziesz za tym, co cię uszczęśliwia, to jakbyś podążał jakimś szlakiem, który istniał od zawsze, czekał na ciebie, i że życie, które właśnie przeżywasz, jest tym, które było ci jakoś pisane. Gdy to sobie uświadamiasz, zaczynasz spotykać ludzi, których obejmuje krąg twojej szczęśliwości, i otwierają oni przed tobą drzwi. Więc powiadam: idź za tym, co ci daje szczęście, i nie bój się, otworzą się przed tobą drzwi tam, gdzie ich wcale nie oczekiwałeś.

MOYERS: Czy kiedykolwiek czuleś współczucie dla człowieka pozbawionego niewidzialnego wsparcia?

CAMPBELL: A kto jest go pozbawiony? No, tak, ktoś, kto budzi w nas współczucie, jakiś taki biedaczyna. Człowiek rzeczywiście czuje litość, gdy ktoś taki maca wokół i potyka się, kiedy wszystkie źródła życia są tuż, obok.

MOYERS: Źródła życia wiecznego są tuż obok?! Gdzie?

CAMPBELL: Wszędzie, gdziekolwiek jesteś; jeśli idziesz za tym, co daje ci błogość, to gdziekolwiek jesteś, nieprzerwanie napawasz się tym wychnieniem, tym życiem, jakie nosisz w sobie.



Martin L. King, jr, 1963.

*Bobater to człowiek,
który dał życie
za coś większego
od siebie.*

V

PRZYGODA BOHATERA

*Ponadto nie musimy nawet podejmować ryzyka samotnie,
gdyż przed nami szli już,
we wszystkich epokach, bohaterowie.*

*Labirynt jest dokładnie znany,
nam pozostaje tylko pójść szlakiem przetartym przez bohatera,
a wnet tam, gdzie spodziewaliśmy się czegoś okropnego,
znajdziemy boga.*

*Tam zaś, gdzie planowaliśmy zabić kogoś innego,
zabijemy samych siebie.*

*Myśleliśmy, że nasza wędrówka poprowadzi nas na zewnątrz,
a tymczasem dotrzemy do centrum naszego własnego istnienia.*

*Myśleliśmy, że będziemy samotni,
tymczasem zaś będziemy razem z całym światem.*

MOYERS: Dlaczego w mitologii jest tyle opowieści o bohaterach?

CAMPBELL: Bo właśnie o nich warto pisać. Nawet w popularnych powieściach główną postacią jest bohater albo bohaterka, którzy odnaleźli bądź zrobili coś, co wykracza poza normalny zakres ludzkich dokonań lub doświadczeń. Bohater to człowiek, który dał swoje życie za coś większego od siebie.

MOYERS: Niezależnie więc od lokalnego kostiumu bohatera we wszystkich tych kulturach spotykamy czyn bohaterski. Na czym on polega?

CAMPBELL: Są dwa rodzaje czynów. Pierwszy jest fizyczny: bohater wyróżnia się odwagą w czasie bitwy albo ratuje komuś życie. Drugi to wyczyn duchowy: bohater uczy się odbierać ponadnormalny zakres ludzkiego doświadczenia duchowego, a potem wraca z jakimś przesłaniem.

Początek przygody bohatera zwykle jest taki, że komuś coś zostaje zabrane albo ten ktoś czuje, iż w normalnych doświadczeniach, dostępnych bądź dozwolonych członkom jego społeczności, czegoś brak. Ta osoba podejmuje wówczas serię przygód wykraczających poza normalność, ażeby odzyskać to, co zostało utracone, albo odkryć jakiś eliksir życia. Zazwyczaj tworzy to wszystko cykl – wędrówkę i powrót.

Jednakże antycypację struktury i – w pewnej mierze – duchowego sensu tej przygody możemy dostrzec już we wczesnych społecznościach plemiennych, w ich rytuałach dojrzewania lub inicjacji, w trakcie których dziecko musi zrezygnować ze swego dzieciństwa i stać się dorosłym – umrzeć, można by powiedzieć, w swojej osobowości i psyche dziecka, aby powrócić jako odpowiedzialna, dorosła osoba. Jest to fundamentalna przemiana psychologiczna, którą każdy musi przejść. Jako dzieci jesteśmy w sytuacji zależności, znajdujemy się pod czyjąś opieką i nadzorem przez jakieś czternaście do dwudziestu jeden lat; jeśli pracujesz nad doktoratem, ten okres może trwać nawet do trzydziestego piątego roku życia. Nie odpowiadasz wówczas za siebie samego, nie masz swobody, jesteś zależny od innych i posłuszny im, od nich oczekujesz i otrzymujesz nagrody i kary. Stopniowe przejście od tej sytuacji psychicznej niedojrzałości do odważnego stanowienia o sobie samym i do pewności siebie zakłada śmierć i smiertelny powstanie. Jest to podstawowy wątek wędrówki bohatera: porzucasz

pewną sytuację, aby odszukać źródło życia, dzięki któremu wejdziesz w bogatszą sytuację egzystencjalną – w dojrzałość.

MOYERS: A więc jeśli nawet nie dane nam jest być bohaterami we wzniosłym sensie zbawiania społeczności, to i tak czeka nas obowiązek podróży do wewnątrz, w sensie duchowym i psychologicznym.

CAMPBELL: Tak jest. Otto Rank w swojej niewielkiej, ale ważnej książce *The Myth of the Birth of the Hero* stwierdza, że każdy jest bohaterem podczas narodzin, kiedy to przechodzi ogromną psychologiczną i fizyczną przemianę – z drobnej wodnej istotki, żyjącej w środowisku płynów płodowych, w oddychającego powietrzem ssaka, który kiedyś stanie na własnych nogach. To doprawdy olbrzymia przemiana, i gdyby człowiek podejmował ją świadomie, dokonywałby rzeczywiście czynu bohaterskiego. Bohaterką jest tu również matka, za której sprawą wszystko to się dzieje.

MOYERS: A więc bohaterowie to nie wyłącznie mężczyźni?

CAMPBELL: Nie, skądże. Życie po prostu układa się tak, że mężczyznom zwykle przypada rola bardziej rzucająca się w oczy. On działa w świecie, na zewnątrz, kobieta pozostaje w domu. Ale na przykład u Azteków, którzy mieli liczne nieba dla ludzkich dusz w zależności od rodzaju śmierci, wojownicy zabici w walce otrzymywali to samo niebo co matki zmarłe w połogu. Rodzenie to z pewnością bohaterstwo, ponieważ oznacza oddawanie własnego życia innemu życiu.

MOYERS: Czy nie sądzisz, że zagubiliśmy tę prawdę w naszym społeczeństwie, w którym za większy wyczyn uważa się działanie w świecie i robienie forsy niż wychowywanie dzieci?

CAMPBELL: Przy robieniu forsy jest większy hałas. Znasz to stare powiedzonko: jeśli pies ugryzie człowieka – cóż to za sensacja? Kiedy zaś człowiek ugryzie psa – a, to zupełnie co innego. To, co się zdarza codziennie, w kółko i w kółko, choćby nawet było nie wiem jakim bohaterstwem – nie jest żadną rewelacją. Można by powiedzieć, że macierzyństwo utraciło urok nowości.

MOYERS: A jednak to wspaniały obraz – matka jako bohater.

CAMPBELL: Zawsze tak sądziłem. Nauczyłem się tego, czytając mity.



Płód.

*Otto Ranke stwierdza, że każdy jest bohaterem podczas narodzin,
kiedy przechodzi ogromną przemianę
– z drobnej wodnej istotki,
żyjącej w środowisku płynów płodowych,
w oddychającego powietrzem ssaka,
który kiedyś stanie na własnych nogach.*

MOYERS: To jest podróż – żeby się na to odważyć, trzeba wyjść ze znanej, konwencjonalnie bezpiecznej przestrzeni własnego życia.

CAMPBELL: Przeistoczyć się z dziewczęcia w matkę. To potężna zmiana, łącząca się z wieloma niebezpieczeństwami.

MOYERS: A gdy powracasz z tej podróży, z dzieckiem, przynosisz coś światu.

CAMPBELL: Nie tylko to; masz też przed sobą zadanie na całe życie. Otto Rank podkreśla, że mnóstwo ludzi uważa, iż sam fakt przyjscia na ten świat jest bohaterskim wyczynem, za który należy im się szacunek i pomoc ze strony całej wspólnoty.

MOYERS: Potem jednak czeka nas następna podróż.

CAMPBELL: Bardzo długa, pełna rozmaitych prób.

MOYERS: Co oznaczają wszystkie te próby, przejścia i doświadczenia, którym poddawany jest bohater?

CAMPBELL: Jeśli rzecz ujmować w kategoriach intencji, to próby mają na celu zapewnienie, aby przyszedł bohater był rzeczywiście bohaterem. Czy naprawdę sprostą swojemu zadaniu? Czy potrafi pokonać niebezpieczeństwa? Czy będzie miał dość męstwa, wiedzy, zdolności, aby móc służyć innym?

MOYERS: Wydaje mi się, że w tej naszej cywilizacji łatwej i tanim kosztem spełnianej religii zapomnieliśmy o tym, iż wszystkie trzy wielkie religie nauczają, że wędrówka bohatera to znacząca część życia i że nie ma nagrody bez wyrzeczenia, bez zapłacenia pewnej ceny. *Koran* mówi: „Czy myślisz, że wejdiesz do Ogrodu Rozkoszy bez prób, jakie były udziałem tych, co szli przed tobą?” A w Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują!” Bohaterowie z tradycji żydowskiej przechodzą ciężkie próby, zanim dostąpią odkupienia.

CAMPBELL: Jeśli uświadomisz sobie, że sednem problemu jest ztrata samego siebie, oddanie siebie samego jakiemuś wyższemu celowi, to uświadamiasz sobie również, że to właśnie jest najwyższą próbą. Przestając myśleć przede wszystkim o samym sobie i o własnym przetrwaniu, dokonujesz rzeczywiście heroicznej przemiany świadomości.



Narodziny.

*Rodzenie to z pewnością bohaterstwo,
ponieważ oznacza oddawanie własnego życia
innemu życiu.*

Otóż głównym tematem wszystkich mitów jest taka bądź inna przemiana świadomości. Dotychczas myślałeś w pewien sposób, odtąd musisz myśleć w inny sposób.

MOYERS: Jak dokonuje się przemiana świadomości?

CAMPBELL: Przez próby albo przez objawienia niosące wiedzę. Próby i objawienia – oto, w czym rzecz.

MOYERS: Czy we wszystkich tych historiach nie chodzi o jakieś zbawienie? Kobieta zostaje ocalona ze szponów smoka, miasto zostaje uratowane przed zburzeniem, bohater w ostatniej chwili unika niebezpieczeństwa.

CAMPBELL: Owszem, tak jest. Bez wyczynu nie byłoby bohaterstwa. Można spotkać bohatera, któremu się nie udaje, ale taki przedstawiany jest zwykle jako błazen, ktoś porywający się na więcej, niż może dokonać.

MOYERS: W czym bohater różni się od przywódcy?

CAMPBELL: To jest problem, którym zajął się Tolstoj w *Wojnie i pokoju*. Masz tam Napoleona, który pustoszy Europę i zamierza właśnie najechać Rosję. Tolstoj w związku z tym stawia kwestię: czy wódz to rzeczywiście przywódca czy też tylko ktoś płynący na fali? W sensie psychologicznym przywódcą byłby ten, kto uświadomiłby sobie pewną możliwość i zrealizował ją.

MOYERS: Ktoś kiedyś powiedział, że przywódca to ten, kto zdał sobie sprawę z pewnej nieuniknionej konieczności i uprzedził ją. Napoleon był przywódcą, ale nie był bohaterem w tym sensie, iż jego wspaniałe wyczyny nie służyły dobru ludzkości. Służyły tylko Francji, chwale Francji.

CAMPBELL: A więc jest bohaterem francuskim, nieprawda? To jeden ze współczesnych problemów. Czy bohater jakiegoś określonego państwa bądź narodu jest tym, czego potrzebujemy dzisiaj, gdy przedmiotem naszej troski powinna być cała planeta? Napoleon był w dziewiętnastym wieku odpowiednikiem dwudziestowiecznego Hitlera. Napoleon spustoszył Europę w sposób przerażający.

MOYERS: Można więc być lokalnym bogiem, a nie zdać egzaminu na szerszej, kosmicznej płaszczyźnie?

CAMPBELL: Tak. Albo inaczej: możesz być bogiem lokalnym, ale dla ludzi, których ten lokalny bóg podbił, możesz być wrogiem. To, czy

PROMETHEVS.

ARTES ET INGENIUM, VEL ARTIVM
INVENTORES.

PLato in Protagora sub persona Socraris, huiusmodi narrat de Artium origine fabulam: Erar, inquit, aliquando tempus, quo dii quidem erant, mortalium autem genera non erant. Postquam autem & his tēpus factis constitutū venit, ut crearentur, formabant ipsa dii intra terrā ex terra & igne permixtis, & ex iis quae igne ac terra permiscētur. Qui verō in lucē iam illa producturi essent, illorum ornandorum facultatumq; singulis, pro ut decreet, distribuendā curā Prometheo & Epimetho demādarūt. At Epimethus sibi distribuēdi manus deposcit, & Prometheo, dum ego distribuo, dicit, Aspice & considera. Sicque illo persuaso, distributionem facit. Hic verō aliis robur absque celeritate apponebat, alia debiliora velocitate ornabat, alia acutabat, aliis incrim data natura, aliam quandam facultatem ad salutem excogitabat. Quae enim ex ipsis parua fecerat, iis volatilem fugam aut firmam habitacionem tribuebat. Quae verō magnitudine auxerat, ea hac ipsa seruabat, & relicta hoc modo exaequans distribuēbat: ea industria, ut caueret, ne quod genus interiret. Postquam verō mutae corruptionis effugia ipsis suppeditasset, facilitatem anni tēpora & varias caeli tempestatibus dio ferendi excogitabat: induens illā densis pilis, & solidis pellibus, quae & hyemem & aestum cere possent: & quae singulis cubilia petentibus proprium ac naturale stratum itidem essent: & pedibus alia vngulis, alia pilis & coriis solidis ac exunguibz muniuit. Necnon alimenta aliis & suppeditabat, his herbam ex terra, illis arborum fructus: alii radices, quibusdam verō aliorum animalium lanarium in alimentum dabat. Et his quidem paucam sobolem tribuebat, his verō quae illis dilaniarentur, multā, quo genus ipsum conseruaretur. Proinde Epimethus, ut qui non vixit sed sapiens esset, non animaduertit, se facultates in bruta animalia expendisse. Restabat adhuc ipsi innotatum hominum genus, & quid cum ipso ageret, ambigebat. Quo dubitante, venit Prometheus, in speculum distributionem, & videt reliqua quidem animalia accuratē omnia habere, hominem verō nudum, non calceatum & incrimem, iamque fatalis dies aderat, qua etiam hominem terra in lucem prodire oportebat. Consilij itaque inopia praehensus Prometheus, & quamnam illi saluē reperiret nesciens, Vulcani & Mineruae artificiosam sapientiam vnā cum igne futur. Fieri enim nullo modo poterat, ut illa absque igne ab illo possideretur, aut villo utilis esset: & illam homini largitur. Sapientiam itaque circa parandum victum hoc modo homo accepit: arte verō versandi in tep. non habebat. Illa enim apud Iouem erat. Prometheus autem Iouis arcem ingredi non licebat, quoniam Iouis munitiones horrendae erant. at in communem Mineruae & Vulcani domum, in qua artes exercebantur, furtim ingressus erat, & furto sublata ignea vulcani arte, alia mineruae, eas homini contulit. Et ex hoc contigit homini victus facultas. Prometheus verō post eam quae fertur furti penam Epimethi causa dedit. Postquam autem homo diuinae sortis particeps factus est, primum quidem propter Dei cognitionem ex igne contractam, solus inter omnia animalia deos esse putauit, iisque aras & statuas dicauit. Deinde vocem & nomina breui per arte articulauit, habitaciones, vestes, calceos, strata, & alimenta ex terra inuenit. Hoc autem modo illi fructi initio homines sparsim habitantes, nullas habentes ciuitates. Cūq; feris imbecilliores esse



Hieroglyphica..., Johannes Valeriano, Lion, 1586.

Wykradzenie ognia

jest motywem bardzo popularnym, rozpowszechnionym na całym świecie.

Prometeusz przynosi ludziom ogień, a więc i cywilizację.

nazwiemy kogoś bohaterem czy też potworem, zawsze zależy od tego, na czym skupia się nasza świadomość.

MOYERS: Musimy więc wystrzegać się uważania za heroizm czegoś, co w szerszym, mitologicznym aspekcie wcale nie jest takie jednoznaczne...

CAMPBELL: Właściwie nie wiem. Czy mógłby być heroiczny w sensie absolutnym – na przykład, gdy ktoś oddaje życie za własny naród.

MOYERS: Aha... Niemiecki żołnierz, który ginie...

CAMPBELL: ...jest tak samo bohaterem jak amerykański, który poszedł, aby go zabić.

MOYERS: Czy więc bohaterstwo ma cel moralny?

CAMPBELL: Moralnym celem jest ocalenie ludzi albo pojedynczej osoby, bądź też obrona jakiejś idei. Bohater poświęca siebie dla czegoś – oto podkład moralny sprawy. Z drugiej jednak strony, można, rzecz jasna, powiedzieć, że idea, dla której się on poświęcił, absolutnie nie zasługiwała na szacunek. To jest osąd z drugiej strony, który zresztą nie niweczy zawartego w owym czynie heroizmu.

MOYERS: Jest to spojrzenie na bohaterstwo zupełnie różne od tego, jakie wyrobiłem sobie, będąc chłopcem i czytając o Prometeuszu, który poszedł po ogień i przyniósł go ludziom. Wyświadczył im dobrodziejstwo, za co potem musiał cierpieć.

CAMPBELL: Tak, Prometeusz przynosi ludziom ogień, a więc i cywilizację. Na marginesie: wykradzenie ognia to powszechnie spotykany temat mitów. Często dokonuje tego *trickster*, sprytny zwierzątko bądź ptak; kradnie ogień i przekazuje go całej sztafecie ptaków lub zwierząt biegnących za nim. Często przy tej okazji ogień osmala zwierzętom pióra lub sierść, czym tłumaczą się różnice w maści. Wykradzenie ognia jest motywem bardzo popularnym, rozpowszechnionym na całym świecie.

MOYERS: Ludzie wszystkich kultur starają się wyjaśnić, skąd wziął się ogień.

CAMPBELL: Właściwie nie chodzi tu o wyjaśnienie, lecz raczej o samą wartość ognia. Dzięki kradzieży ognia człowiek oddziela się od zwierząt. Gdy jesteś nocą w lesie, rozpalasz ognisko, a ono trzyma zwierzęta

w oddaleniu. Widzisz naokoło ich połyskujące ślepią, ale one same trzymają się poza zasięgiem ognia.

MOYERS: A więc nie po to opowiada się tę historię, żeby zainspirować innych ludzi albo dla lekcji moralnej...

CAMPBELL: Nie, chodzi tu o podkreślenie wartości ognia, jego znaczenia dla nas, no i o ukazanie tego, co wyosobniło człowieka spośród zwierząt.

MOYERS: Czy twoje studia mitologiczne prowadzą cię do wniosku, że to jedyne w swoim rodzaju ludzkie poszukiwanie, ten powszechny wzorzec ludzkich tęsknot i myśli stanowi coś wspólnego dla nas, ludzi, niezależnie od tego, czy żyliśmy milion lat temu, czy też żyć będziemy dopiero za tysiąc lat?

CAMPBELL: Jest pewien typ mitu, który można by nazwać pogonią za wizją, poszukiwaniem najwyższego dobra, jakiejś wizji, przybierającej taką samą formę w każdej mitologii. To właśnie próbowałem ukazać w mojej pierwszej książce – *The Hero with a Thousand Faces*. Wszystkie te najrozmaitsze mitologie mówią nam o jednym i tym samym, najważniejszym poszukiwaniu. Opuszczasz świat, w którym żyjesz, i odchodzisz – zagłębiasz się w jakąś otchłań albo wędrujesz gdzieś daleko, albo wspinasz się gdzieś wysoko. Tam odnajdujesz coś, czego w twoim mniemaniu brakowało światu, jaki przedtem zamieszkiwałeś. Wówczas rodzi się problem, czy pozostać tam z tym dobrem i machnąć ręką na cały świat, czy też powrócić z nim do własnej społeczności, próbując wszakże trwać przy nim nadal. Wszystko to jest wcale niełatwe.

MOYERS: Bohater zatem wyrusza po coś, nie zaś na zwykłą wyprawę w poszukiwaniu przygód?

CAMPBELL: I jedno, i drugie; pewni bohaterowie wolą wyruszyć w podróż, inni nie. Pewien typ przygody bohatera polega na tym, że z pełną odpowiedzialnością i całkiem świadomie rusza on, by dokonać określonego czynu. Na przykład Telemachowi, synowi Odysusza, Atena mówi: „Odszukaj swego ojca”. Dla młodych ludzi to poszukiwanie ojca jest niesłychanie ważną przygodą bohaterską; dzięki niej chłopiec dowiaduje się, jaka go czeka życiowa droga, kim jest on sam, jakie są jego korzenie. On w tę podróż wyrusza świadomie. Albo też masz legendę o sumeryjskiej

bogini nieba imieniem Inanna, która zstąpiła do świata podziemnego i poddała się śmierci, aby przywrócić do życia swego ukochanego.

Są też przygody, w które człowiek zostaje wrzucony – na przykład gdy jest wcielony do wojska. Wcale nie miał na to ochoty, ale cóż, zostaje żołnierzem i basta. Przechodzi śmierć i smartwychwstanie, wkłada mundur i jest już kimś innym.

Szczególnym rodzajem bohatera, często pojawiającym się w mitach celtyckich, jest książę-myśliwy, którego jeleni zwabia w leśne ostępy, gdzie ów łowca nigdy przedtem nie zaglądał. Wówczas zwierzę przemienia się w Królową z Zaczarowanych Wzgórz albo kogoś w tym rodzaju. W przygodzie tego typu bohater nie jest świadom tego, co robi, ale oto nagle spostrzeża, że świat wokół niego uległ przemianie.

MOYERS: Czy ten, co zapuszcza się w tego rodzaju przygodę, jest bohaterem w sensie mitologicznym?

CAMPBELL: Tak, gdyż zawsze jest do niej gotowy. W owych opowieściach dzieje się tak, że bohatera spotyka zawsze taka przygoda, do jakiej jest gotowy. Przygoda jest symbolicznym ujawnieniem się jego charakteru. Z tą gotowością zestrojone są nawet krajobraz i warunki otoczenia.

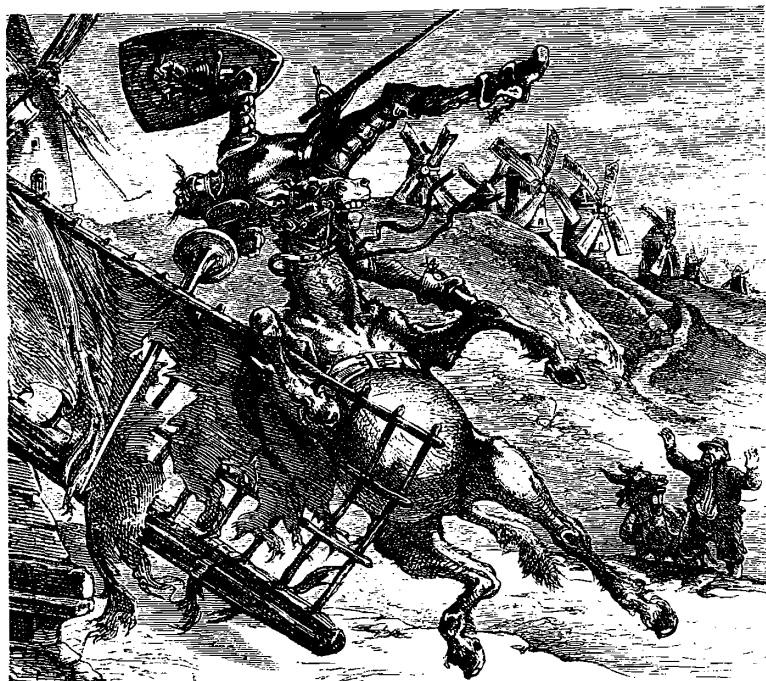
MOYERS: w *Wojnach gwiazdnych* George'a Lucasa Solo zaczyna jako najemnik, a kończy jako bohater, który na koniec wkracza w akcję, aby ratować Luke'a Skywalker'a.

CAMPBELL: Tak. Solo dokonuje tutaj czynu bohaterskiego, bo poświęca samego siebie dla kogoś innego.

MOYERS: Czy nie sądzisz, że bohaterstwo rodzi się z poczucia winy? Solo był chyba winny, skoro wcześniej opuścił Skywalker'a...

CAMPBELL: To zależy od obranego systemu ideowego. Solo był facetem bardzo praktycznym (przynajmniej tak sam o sobie myślał), materialistą. Jednocześnie był też człowiekiem pełnym współczucia, ale o tym nie wiedział. Przygoda wyzwoliła w nim pewną cechę charakteru, której nie był świadom.

MOYERS: Jeśli tak, to może w każdym z nas drzemie bohater, a my o tym nie wiemy?



Don Kichot.

*Don Kichot wyruszył na spotkanie olbrzymów,
ale zamiast olbrzymów
jego środowisko wytworzyło wiatraki.
Mechanistyczne środowisko
nie reaguje już
na duchowe potrzeby bohatera.*

CAMPBELL: Życie wydobywa na jaw nasz charakter. W miarę jak idziesz przez życie, coraz więcej dowiadujesz się o sobie. Dlatego należy się starać, aby trafiać na sytuacje wydobywające z nas raczej lepsze niż gorsze cechy naszej natury. „Nie wódz nas na pokuszenie”.

W swoich *Rozmyślaniach o Don Kichocie* Ortega y Gasset mówi o środowisku i bohaterze. Don Kichot był ostatnim bohaterem wieków średnich. Wyruszył na spotkanie olbrzymów, ale zamiast olbrzymów jego środowisko wytworzyło wiatraki. Ortega wskazuje, że ta opowieść dzieje się mniej więcej w czasie, gdy w moc wchodzi mechanistyczna interpretacja świata, skutkiem czego duchowa łączność między otoczeniem a bohaterem przestaje funkcjonować. Dziś bohater zderza się z twardym światem, który w żaden sposób nie reaguje na jego duchowe potrzeby.

MOYERS: Z wiatrakiem.

CAMPBELL: Tak, z tą tylko różnicą, że Don Kichot ocala własną przygodę, wymyślając czarownika, który właśnie przemienił w wiatraki olbrzymów, na których spotkanie wyruszył rycerz. Można i tak, jeśli ma się trochę poetyckiej wyobraźni. Dawniej jednak bohater poruszał się nie w świecie mechanistycznym, ale żywym i reagującym na jego duchową gotowość. Dziś świat, interpretowany w kategoriach nauk fizycznych, socjologii marksistowskiej i psychologii behawiorystycznej, stał się do tego stopnia czystym mechanizmem, że człowiek jest w nim już tylko wiązką łatwych do zaprogramowania drucików reagujących na bodźce. Ta dziewiętnastowieczna interpretacja zupełnie wyparła ze współczesnego życia wolność ludzkiej woli.

MOYERS: Czy nie sądzisz, że te mity o bohaterach niosą pewne niebezpieczeństwo natury politycznej, skoro uczą nas przyglądać się wyczynom innych ludzi, tak jakbyśmy siedzieli w amfiteatrze, cyrku bądź kinie i patrzyli, jak inni dokonują wielkich czynów, sami zaś pocieszali się w naszej niemocy?

CAMPBELL: Myślę, że taka postawa dopiero w ostatnich czasach bierze górę w naszej cywilizacji. Człowiekowi, który zamiast sam uprawiać sport, przygląda się zawodom sportowym, dana jest tylko namiastka prawdziwego przeżycia. Z drugiej strony, gdy pomyślisz, jakie jest naprawdę życie ludzi w naszej cywilizacji, dochodzisz do wniosku, że być człowiekiem współ-

czesnym to rzecz nader ponura. Dziś, żeby utrzymać rodzinę, większość ludzi musi przez całe życie mordować się okropnie; to zupełnie wykańcza.

MOYERS: Moim zdaniem, tak rzeczy się miały w okresach tych strasznych plag, w dwunastym i czternastym wieku...

CAMPBELL: Wówczas życie ludzi było o wiele aktywniejsze niż nasze. To znamienne, że w naszej cywilizacji tak ostry jest problem ludzi w średnim wieku.

MOYERS: Uderzasz w ton osobisty!

CAMPBELL: Mam już ten okres za sobą, toteż wiem o tym coś niecoś. Dla naszego siedzącego trybu życia charakterystyczne jest to, że daje on, albo może dawać, podniety intelektualne, ciało natomiast jest ich raczej pozbawione. Człowiek więc musi świadomie narzucić sobie jakieś mechaniczne ćwiczenia – codzienny rozruch przez kwadrans albo coś w tym rodzaju. Nie bardzo rozumiem, jak można to lubić, ale co robić... W przeciwnym razie całe twoje ciało mówi ci: „Słuchaj, zupełnie o mnie zapomniałeś! Stajesz się czymś w rodzaju przegrodzonego strumienia”.

MOYERS: A jednak, według mnie, jest możliwe, że te historie o bohaterach mogą działać jak środek uspokajający, skoro przyglądanie się wyzwała w nas dobrotliwą bierność, zamiast pchać nas do działania. Z drugiej strony, prawdą jest, że nasz świat wydaje się wyprany z wartości duchowych. Ludzie czują się bezsilni. Według mnie, to jest przekleństwo nowoczesnego społeczeństwa – ta bezsiła, ta nuda, którą odczuwają ludzie, ich wyobcowanie z otaczającego świata. Może potrzebujemy bohatera, który by wyraził nasze najgłębsze tęsknoty.

CAMPBELL: To, co opisujesz, odpowiada dokładnie *Ziemi jałowej* T.S. Eliota – to socjologiczne zjawisko zastoju, fałszywości życia, którego banalność osacza nas i nie pozwala przebić się na powierzchnię ani naszym możliwościom duchowym, ani nawet zwykłej fizycznej odwadze, chyba że zostaniemy wciągnięci w jakąś nieludzką wojnę.

MOYERS: Nie jesteś przeciwko technice, prawda?

CAMPBELL: Absolutnie nie. Gdy Dedal (którego można uważać za mistrza techniki w najdawniejszej Grecji) założył wykonane przez siebie skrzydła swemu synowi Ikarowi, żeby mógł, ulatując w górę, wyostać się

z kreteńskiego labiryntu, który zresztą on sam, Dedal, obmyślił, powiedział do niego: „Leć drogą środkową. Nie za wysoko, bo inaczej słońce stopi wosk na twoich skrzydłach i spadniesz; ani nie za nisko, bo pochłoną cię odmęty morza”. Sam Dedal leciał pośrodku, ale widział, jak jego syna ogarnia ekstaza i leci zbyt wysoko. Wosk się stopił i chłopiec runął do morza. Z jakichś powodów ludzie mówią więcej o Ikarze niż o Dedalu, tak jakby to skrzydła były winne upadku młodego lotnika. Jednakże nie jest to argument przeciwko przemysłowi i nauce. Biedny Ikarz wpadł do wody, ale Dedal, lecący drogą środkową, z powodzeniem osiągnął drugi brzeg.

Pewien tekst hinduski mówi: „Niebezpieczna to ścieżka, jak po ostrzu brzytwy”. Jest to również motyw występujący w literaturze średniowiecznej. Gdy Lancelot wyrusza, aby uwolnić Ginewrę, musi przepłynąć się przez strumień po ostrzu miecza, pomagając sobie tylko nagimi dłońmi i stopami; pod nim huczny spieniony nurt. Kiedy zapuszczasz się w jakąś zupełnie nową przygodę, odkrywasz nowe tereny – czy to będzie chodzić o jakiś przełom w technice albo po prostu o nowy sposób życia, w czym nie możesz oczekiwać pomocy od swojej wspólnoty – zawsze grozi ci niebezpieczeństwo nadmiernego entuzjazmu, zaniedbania pewnych technicznych drobiazgów. No i padasz. „Niebezpieczna to ścieżka”. Podążając ścieżką swego pragnienia, entuzjazmu i emocji, trzymaj w cuglach swój umysł, nie daj mu się wciągnąć w nieszczęście.

MOYERS: Jednym z intrygujących aspektów twej myśli naukowej jest to, że nie wierzysz w konflikt nauki i mitologii.

CAMPBELL: Bo nie są one w konflikcie. Obecnie nauka wdziera się w wymiar tajemnicy. Już wkroczyła w sferę, o której mówi mit. Dotarła do krawędzi.

MOYERS: A tą krawędzią jest...

CAMPBELL: ...ścianka między tym, co poznawalne, i tym, co nigdy nie będzie odkryte, ponieważ jest to tajemnica wykraczająca poza wszelkie ludzkie poszukiwania. Na przykład źródło życia... Czym ono jest? Nikt nie wie. Nie wiemy nawet, czym jest atom – falą czy też cząsteczką, bo jest oboma naraz. Nie mamy najmniejszego pojęcia, czym są te rzeczy.

Dlatego też mówimy o pierwiastku boskim. Jest jakieś transcendentne źródło energii. Fizyk, obserwując cząsteczki na poziomie subatomowym,



widzi tylko ślad na ekranie. Te ślady pojawiają się i znikają, pojawiają się i znikają, i my też – pojawiajemy się i znikamy, i wszystko, co żyje, tak samo. Ta energia wszystko przenika i kształtuje. To ku niej zwraca się cześć, jaką przepojone są mity.

MOYERS: Czy masz ulubionego mitycznego bohatera?

CAMPBELL: W dzieciństwie miałem dwóch: Douglasa Fairbanksa i Leonarda da Vinci. Chciałem być syntezą ich obu. Dzisiaj nie mam żadnego bohatera.

MOYERS: A nasze społeczeństwo?

CAMPBELL: Kiedyś miało; był nim Jezus Chrystus. Później Ameryka miała ludzi, takich jak Waszyngton i Jefferson, a jeszcze później – jak David Boone. Jednakże współczesne życie jest tak złożone i zmienia się tak szybko, że zanim coś zdąży się ukształtować, przychodzi coś innego i obala tamto, i tak w kółko.

MOYERS: Zdaje się, że dzisiaj czcimy ludzi sławnych, nie bohaterów.

CAMPBELL: Tak, i jest to fatalne. Kiedyś rozesłano po szkołach średnich Brooklynu ankietę zapytującą: „Kim chciałbyś być?” Dwie trzecie uczniów odpowiedziało: „Kimś sławnym”. Nawet przez myśl im nie przeszło, że aby coś osiągnąć, trzeba coś dać z siebie.

MOYERS: Być znanym – to ich jedyny cel.

CAMPBELL: Tak, tylko być znanym, mieć rozgłos i sławę. Fatalne.

MOYERS: Czy jednak społeczeństwo potrzebuje bohaterów?

CAMPBELL: Tak, myślę, że tak.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Bo musi ono mieć pewne obrazy porządkujące, które by scalały wszelkie możliwe tendencje do podziałów, wiązały je razem w określonym celu.

MOYERS: W celu pójścia pewną drogą.

CAMPBELL: Tak, właśnie. Naród musi mieć jakiś wspólny cel, aby działać jako jedna siła.

MOYERS: Co myślisz o tej fali emocji w związku ze śmiercią Johna Lennona? Czy on był bohaterem?

Dedał i Ikar.

*Ludzie mówią więcej o Ikarze niż o Dedału,
tak jakby to skrzydła były winne upadku młodego lotnika.
Jednakże nie jest to argument przeciwko przemysłowi i nauce.
Biedny Ikar upadł do wody,
ale Dedał, lecąc drogą środkową,
z powodzeniem osiągnął drugi brzeg.*

CAMPBELL: O, na pewno!

MOYERS: Wyjaśnij to w aspekcie mitologicznym.

CAMPBELL: W sensie mitologicznym był nowatorem. Beatlesi stworzyli pewną formę sztuki, na którą było zapotrzebowanie. Byli poniekąd idealnie zestroszeni ze swoją epoką. Gdyby pojawili się trzydzieści lat wcześniej, ich muzyka poniosłaby kompletne fiasko. Bohater publiczny jest bardzo wyczulony na potrzeby swojego czasu. Beatlesi wnieśli nowy, głębszy wymiar duchowy do muzyki popularnej; to od nich zaczął się ten bzik – tak to określimy – na punkcie medytacji i muzyki orientalnej. Muzykę Wschodu mieliśmy tu od lat jako ciekawostkę, ale teraz, po Beatlesach, nasza młodzież już mniej więcej wie, o co chodzi w tym wszystkim. Słyszymy ją coraz częściej i bywa coraz częściej stosowana zgodnie ze swoim pierwotnym celem – jako podpora przy medytacji. Zapoczątkowali to Beatlesi.

MOYERS: Nieraz mi się zdaje, że dla bohatera powinniśmy mieć raczej litość niż podziw. Tak wielu z nich poświęciło własne potrzeby dla innych...

CAMPBELL: Wszyscy.

MOYERS: I bardzo często ich dokonania zostają przekreślone przez ślepotę ich zwolenników.

CAMPBELL: Tak. Wychodzisz z lasu ze złotem, a ono obraca się w popiół. To dobrze znany motyw baśni.

MOYERS: W historii Odyseusza jest intrygujący epizod, gdy okręt rozpada się na kawałki, członkowie załogi zostają zmyci z pokładu, a Odyseuszem tu i tam miotają fale. Czepia się on masztu i wreszcie ląduje na jakimś brzegu, tekst zaś mówi: „Nareszcie sam. Nareszcie sam”.

CAMPBELL: Wiesz, ta przygoda Odyseusza jest trochę zbyt skomplikowana, żeby próbować ująć ją w kilku słowach. Ta konkretnie, w której okręt ulega rozbiciu, dzieje się u brzegów Wyspy Słońca – to znaczy wyspy najwyższego oświecenia. Gdyby okręt się nie rozbił, Odyseusz może pozostałby na wyspie, stając się kimś w rodzaju – powiedzmy – jogina, który, osiągnąwszy zupełne oświecenie, dalej siedzi sobie w błogości na tej wyspie i już nie wraca. Jednakże grecka idea rozpowszechniania wartości i wcielania ich w życie popycha go do powrotu.

Na Wyspie Słońca istniało tabu – zakaz zabijania i zjadania bodaj jednego z byków Heliosa. Ale ludzie Odysusza byli głodni, więc wyrznęli bydło Heliosa i to spowodowało na nich katastrofę. Jakkolwiek znajdowali się już w sferze najwyższego duchowego światła, działała w nich jeszcze niższa świadomość. Gdy człowiek staje w obliczu takiego olśnienia, nie powinien myśleć: „Psiakrew, jestem głodny... Gdyby tak kanapka z wołowiną!” Towarzysze Odysa nie byli gotowi, nie nadawali się do przyjęcia doświadczenia, jakie zostało im dane.

Jest to wzorcowa opowieść o tym, jak ziemski bohater osiąga najwyższe oświecenie, ale potem wraca.

MOYERS: O tej pięknej, ale i gorzkiej historii Odysusza pisałeś tak: „Tragizm tego dzieła polega właśnie na tym, że przenika je wielka radość życia – radość z jego piękna i wspaniałości, ze szlachetnego wdzięku pięknej kobiety, z męstwa naprawdę odważnych mężczyzn. A przecież na końcu opowieści są tylko popioły”. Jak mamy rozumieć te twoje słowa?

CAMPBELL: Nie można mówić, że życie jest bezużyteczne, skoro kończy się w grobie. Jest jeden dający wiele do myślenia wiersz w poemacie Pindara sławiącym młodzieńca, który wygrał właśnie zawody zapasnicze na igrzyskach pytyjskich. Pindar pisze: „Stworzenia dnia jednego, czymże jest każde z was? Czym nie jest? Człowiek to tylko sen cienia. Nieraz wszakże niebiosa zsyłają w darze promień słonecznego światła i wówczas ludzi jasny blask spowija, i życie tak słodkie się staje!” Smętne powiedzenie: „Marność, marność nad marnościami”, wskazuje, że nie wszystko jest marnością. Sam ten moment świadomości, właśnie on, nie jest marnością, jest triumfem, rozkoszą. To podkreślanie, że w momentach naszych triumfów osiągamy szczyty doskonałości, jest z ducha bardzo greckie.

MOYERS: Ale przecież wielu mitologicznych herosów umiera dla świata... Cierpią, umierają na krzyżu...

CAMPBELL: Wielu z nich oddaje swoje życie. Ale i wówczas mit mówi, że z oddanego życia rodzi się nowe życie. Może to nie być akurat życie bohatera, ale jest to nowe życie, nowy sposób istnienia lub stawania się.

MOYERS: Historie o bohaterach zmieniają się w zależności od kultury. Czy bohater orientalny różni się od naszego?



*Mojżesz, Marc Chagall (1887–1985).
Mojżesz wspina się na górę,
na szczycie spotyka się z Jahwe
i powraca z zestawem reguł
mających ukształtować całą nową społeczność.
Jest to typowy wyczyn bohaterski
– odejście, spełnienie, powrót.*

CAMPBELL: Różnią się oni stopniem oświecenia bądź aktywności. Typowy bohater wczesnych kultur to ktoś, kto raz tu, raz tam rozprawia się z potworami i zabija je. Ta forma przygody pochodzi z czasów prehistorycznych, gdy człowiek z dzikiej, groźnej i bezforemnej przyrody wydobywał kształt własnego świata. On zabijał wokół siebie potwory.

MOYERS: A więc bohater ewoluuje w czasie, tak jak większość naszych pojęć i idei?

CAMPBELL: Ewoluuje wraz z całą kulturą. Na przykład Mojżesz jest postacią bohaterską: wspina się na górę, na szczycie spotyka się z Jahwe i powraca z zestawem reguł mających ukształtować całą nową społeczność. Jest to typowy wyczyn bohaterski – odejście, spełnienie, powrót.

MOYERS: Czy Budda jest postacią bohaterską?

CAMPBELL: Budda szedł ścieżką bardzo podobną do ścieżki Chrystusa, z tą oczywiście różnicą, że żył pięćset lat wcześniej. Postacie obu tych zbawicieli można zestawiać z sobą; uderzające jest nawet podobieństwo ról i charakterów ich najbliższych uczniów, czy też apostołów. Można na przykład znaleźć paralelę między Anandą i św. Piotrem*.

MOYERS: Dlaczego swojej książce nadałeś tytuł *Bohater o tysiącu twarzy* [*The Hero with a Thousand Faces*]?

CAMPBELL: Bo istnieje pewna typowa sekwencja czynów bohatera, którą można odnaleźć we wszystkich opowieściach na całym świecie i we wszystkich epokach historycznych. W zasadzie można by nawet powiedzieć, że jest tylko jeden pierwowzór mitycznego bohatera, którego żywot był powielany przez wiele, wiele ludów w wielu krajach. Legendarny bohater to zazwyczaj człowiek, który coś zakłada, coś początkuje – nową epokę, nową religię, nowe miasto, nowy sposób życia. A żeby założyć coś nowego, trzeba porzucić to, co stare, i wyruszyć na poszukiwanie idei załążkowej, z której będzie mogła wykiełkować ta nowa rzecz.

Wszyscy założyciele nowych religii wyruszali na takie poszukiwanie. Budda udał się na miejsce odludne, zasiadł pod drzewem Bo, drzewem nieśmiertelnej wiedzy, i otrzymał tam oświecenie, które rozjaśniało swym światłem całą Azję przez dwadzieścia pięć stuleci.

Po chrzcie otrzymanym z rąk św. Jana Chrzciciela Jezus odszedł na pustynię, gdzie przebywał przez czterdzieści dni, i z tej właśnie pustyni

* Anandę zestawia się najczęściej ze św. Janem.



A



B

powrócił ze swoim orędziem. Mojżesz wszedł na szczyt góry i zszedł z niej, niosąc tablice Prawa. Weźmy następnie założycieli nowych miast: prawie wszystkie miasta starożytnej Grecji zostały założone przez bohaterów, którzy wyruszyli na poszukiwania, przeżywali zdumiewające przygody, a w ich wyniku każdy z owych herosów zakładał miasto. Można by też powiedzieć, że zakładanie nowego życia – mojego czy też twojego, jeśli mamy żyć własnym życiem, a nie naśladować życie innych – również jest wynikiem pewnego poszukiwania.

MOYERS: Dlaczego te historie są tak ważne dla rodzaju ludzkiego?

CAMPBELL: Zależy, o jakie historie chodzi. Jeśli opowieść przedstawia coś, co można by określić jako przygodę archetypową (na przykład mowy o stawaniu się dziecka młodzieńcem albo o budzeniu się młodzieńca do nowego świata, jaki otwiera się przed nim), to zwykle dostarcza wzorca pomagającego uporać się z tym procesem.

MOYERS: Mówisz o tym, jak owe opowieści pomagają nam w kryzysach. Te, które czytałem będąc dzieckiem, zawsze kończyły się szczęśliwie. Było to jeszcze, nim się dowiedziałem, że życie to jedna wielka harowa i ciąg okrutnych utrapień. Nieraz sobie myślę, że kupujemy bilet na operetkę Gilberta i Sullivana, a gdy wchodzimy do teatru, okazuje się, że grają sztukę Harolda Pintera. Może to wina baśni, że jesteśmy nieprzystosowani do rzeczywistości.

CAMPBELL: Baśnie są dla rozrywki. Musisz rozróżniać między mitami, zajmującymi się poważnymi sprawami życia w kategoriach ładu społecznego i przyrodniczego, i opowieściami, które nieraz zawierają te same motywy, ale przeznaczone są dla rozrywki. Jednakże nawet jeśli większość bajek kończy się szczęśliwie, to po drodze do tego szczęśliwego zakończenia występują typowe motywy mitologiczne – na przykład bohater jest czymś bardzo przybity, ale nagle słyszy głos albo też zjawia się ktoś, kto wyciąga go z opresji.

Baśnie są dla dzieci. Bardzo często mówią one o dziewczynce, która nie chce urość i stać się kobietą. W momencie rozstrzygającym, gdy ma ona przekroczyć ten próg, buntuje się – i zawraca, zapada w sen, aż wreszcie przyjdzie do niej, pokonując wszelkie przeszkody, księżę, który potrafi ją przekonać, że mimo wszystko po tej drugiej stronie mogłoby być całkiem

A. Budda z czterema uczniami, Indie.

B. Wieczerza w Emaus, Jacopo da Pontormo (1494–1557).

Budda szedł ścieżką bardzo podobną do ścieżki Chrystusa,

z tą oczywiście różnicą, że żył pięćset lat wcześniej.

Postacie obu tych zbawicieli można zestawiać z sobą;

uderzające jest nawet podobieństwo ról i charakterów ich najbliższych uczniów.

przyjemnie. W wielu bajkach braci Grimm występuje dziewczynka zadufana w sobie. Wszystkie bajkowe perypetie – zabijanie smoka, przekraczanie progów – mają związek z przezwyciężaniem tej zarozumiałości.

Wszystkie pierwotne rytuały inicjacyjne zakorzenione są w mitologii i wiążą się z zabiciem dzieciennego ja i powołaniem do istnienia człowieka dorosłego, czy to będzie chodzić o chłopca czy też o dziewczynkę. W przypadku chłopca jest to trudniejsze, gdyż dziewczynka poddaje się po prostu potędze życia, staje się kobietą, czy tego chce, czy też nie; chłopiec musi świadomie chcieć być mężczyzną. Dziewczynka w chwili pierwszej menstruacji jest kobietą. Następnie poznaje ciążę – i jest matką. Chłopiec musi najpierw oderwać się od matki, naładować się swoją własną energią – i dopiero wtedy może zaczynać. O tym właśnie mówi mitologiczne hasło „Młodzieńcze, idź i odszukaj swego ojca”. W *Odysei* Telemach mieszka razem z matką. Gdy osiąga wiek dwudziestu lat, zjawia się Atena i mówi: „Idź i odszukaj swego ojca”. Ten wątek przewija się przez mnóstwo takich opowieści. Nieraz jest to ojciec mistyczny, czasami jednak – podobnie jak tu, w *Odysei* – jest to ojciec fizyczny.

Bajka to mit dla dziecka. Dla każdego okresu życia są stosowne mity. Gdy robisz się starszy, potrzebujesz solidniejszej mitologii. To prawda, że cała historia ukrzyżowania, które w tradycji chrześcijańskiej jest obrazem fundamentalnym, mówi o wdarciu się wieczności w pole czasu i przestrzeni, gdzie następuje rozczłonkowanie. Ale mówi ona też o przejściu z pola czasu i przestrzeni w sferę życia wiecznego. Tak więc krzyżujemy nasze ciała doczesne, ziemskie; niech będą rozdarte na sztuki, byśmy przez to rozczłonkowanie mogli wejść w sferę duchową, wykraczającą poza wszelkie ziemskie zgrzyoty. Jest forma krucyfiksu zwana „Chrytusem Triumfującym”, gdzie ukazany jest on nie z głową bezwładnie zwieszoną i krwawiącą, lecz uniesioną wysoko i z otwartymi oczyma, jak gdyby śmierci krzyżowej poddał się dobrowolnie. Święty Augustyn napisał gdzieś, że Chrystus poszedł na spotkanie krzyża tak, jak pan młody idzie na spotkanie oblubienicy.

MOYERS: A więc są prawdy dla ludzi starszych i prawdy dla dzieci...

CAMPBELL: O, tak... Pamiętam, jak kiedyś Heinrich Zimmer miał na Uniwersytecie Columbia wykład o hinduskiej idei, że życie to tylko sen,

bańka na wodzie, że wszystko jest *maja*, złudzeniem. Po wykładzie podeszła do niego młoda kobieta i rzekła: „Doktorze Zimmer, wspaniały był ten pański wykład o filozofii indyjskiej! Tylko ta *maja*... Nie chwytam tego, to do mnie nie przemawia!”

On na to: „Drogie dziecko, niech pani nie będzie taka niecierpliwa! To jeszcze nie jest dla pani”. I tak to jest: gdy już posunąłeś się w latach, a wszystko, co znałeś i czym przedtem żyłeś, już przeszło, i sam świat przeminął – przychodzi mit *mai*. Jednakże dla młodego człowieka świat to coś, co wychodzi mu na spotkanie, z czym powinien on się porać i zmagać, co powinien kochać i od czego powinien się uczyć... To całkiem inna mitologia.

MOYERS: Pisarz Thomas Berry twierdzi, że wszystko jest kwestią historii. Historia to zmowa, jaką przypisujemy życiu i wszechświatowi, zespół naszych podstawowych założeń i przekonań co do sposobu funkcjonowania wszystkiego. Berry mówi, że jesteśmy obecnie w kłopotach, „ponieważ żyjemy między dwiema historiami. Stara historia podtrzymywała nas przez długi czas – kształtowała nasze postawy emocjonalne, dostarczała nam celów życiowych, przydawała impetu naszym działaniom, uświęcała cierpienie, kierowała wychowaniem. Budziliśmy się rano i wiedzieliśmy, kim jesteśmy, umieliśmy odpowiadać na pytania naszych dzieci. Wszystko było na swoim miejscu, bo nad wszystkim czuwała historia. Teraz stara historia już nie funkcjonuje, a nowej jeszcze się nie nauczyliśmy”.

CAMPBELL: Częściowo się z tym zgadzam – częściowo, ponieważ jest taki aspekt starej historii, który nadal zachowuje żywotność, mianowicie historia duchowego poszukiwania. Poszukiwanie tej najbardziej wewnętrznej rzeczywistości, którą w istocie jesteśmy – oto historia, jaką próbowałem oddać w niewielkiej książeczce sprzed czterdziestu lat z hakiem, *The Hero with a Thousand Faces*. Kwestia stosunku mitów do kosmologii i socjologii musiała poczekać, aż człowiek oswoi się z nowym światem, w jakim się znalazł. Ten świat jest dziś inny niż przed pięćdziesięcioma laty, jednakże wewnętrzne życie człowieka jest dokładnie takie samo. Jeśli więc chwilowo odłożysz na bok mit o początku świata (zresztą naukowcy objaśnią ci jego sens) i cofniesz się do mitu mówiącego o sensie ludzkich poszukiwań, o ich etapach, o próbach towarzyszących przejściu z dzieciństwa do dojrzałości,

o tym, co ta dojrzałość znaczy – to masz przed sobą całą tę historię, tak jak występuje ona we wszystkich religiach.

Weź na przykład historię Jezusa: ukazuje ona dokonanie heroiczne o uniwersalnym zasięgu i znaczeniu. Najpierw Jezus, udając się po chrzest do Jana Chrzciciela, osiąga kres możliwej w jego czasach świadomości. Potem przekracza ten próg, gdy na czterdzieści dni odchodzi na pustynię. W tradycji żydowskiej liczba czterdzieści ma znaczenie mitologiczne; dzieci Izraela spędziły czterdzieści lat na pustyni, Jezus – czterdzieści dni. Trzy razy był tam kuszony. Pierwsze kuszenie miało charakter ekonomiczny. Diabeł przychodzi do Jezusa i mówi: „Wygładasz na głodnego, młody człowieku! Może byś tak przemienił te glazy w bochny chleba?” Jezus odpowiada: „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych”. Następnie mamy kuszenie polityczne. Diabeł bierze Jezusa na szczyt góry, pokazuje mu królestwa świata i mówi: „Będziesz władał nad tym wszystkim, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon”; piękna to lekcja – niestety, zbyt słabo obecnie znana – na temat tego, co jest niezbędne do sukcesu w polityce. Jezus odmawia. Na koniec Diabeł mówi: „Cóż, skoro jesteś taki uduchowiony, to wejdźmy na szczyt Świątyni Heroda i zobaczymy: rzucisz się stamtąd w dół, a Bóg cię poniesie, tak że nawet się nie zadraśniesz”. Chodzi tu o przesadne uduchowanie: jestem kimś tak subtelnym, że nie dotyczą mnie troski cielesne, przyziemne. Ale przecież Jezus jest osobą wcieloną, nieprawda? Toteż odpowiada: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego”. Tym trzem pokusom poddany był Chrystus, i dziś nadal, podobnie jak w trzydziestym roku naszej ery, zachowują one swoją moc.

Również Budda udaje się do lasu, gdzie toczy dyskusje z czolowymi guru swojej epoki. Potem jednak przewyższył ich i po okresie prób oraz poszukiwań znalazł się pod drzewem Bo, drzewem Oświecenia, gdzie – on też – poddany został pokusom. Pierwsza była pokusą pożądania, druga – strachu, trzecia – podporządkowania opinii publicznej, czynienia wedle tego, co nam każą.

Podczas pierwszej pokusy Pan Żądy ukazał Buddzie swoje trzy śliczne córki. Ich imiona to Pragnienie, Spelnienie i Żal – Przyszłość, Teraźniejszość i Przeszłość. Ale Budda, który wyzwolił się już od zmysłowych przywiązań, był nieporuszony.

Wtedy Pan Żądy przemienił się w Pana Śmierci i rzucił przeciwko niemu całe hufce uzbrojonych po zęby potworów. Jednakże Budda, który odnalazł już był w sobie ów nieruchomy punkt – wieczność, niepodległą władzy czasu, znowu ani drgnął, i wszystkie miotane w niego pociski zmieniały się w kwiaty, oznaki czci.

Wreszcie, na koniec, Pan Żądy i Śmierci zmienił się w Pana Społecznej Powinności i zaczął mu perswadować: „Młodzieńcze, czyś nie czytał porannych gazet? Czy nie wiesz, co masz dzisiaj do zrobienia?” W odpowiedzi Budda dotknął tylko ziemi czubkami palców prawej dłoni. I zaraz dał się słyszeć, niby dudnienie grzmotu toczącego się po horyzoncie, głos bogini-matki wszechświata: „Ten mój syn umiłowany tyle już z siebie dał światu, że niczego więcej odeń żądać nie można. Daj spokój, to nonsens”. Po czym słoń, na którym jechał Pan Społecznej Powinności, ze złości pochylił się w ukłonie przed Buddą, a cały orszak Przeciwnika rozwiął się jak senne widziadło. Owej nocy Budda osiągnął Oświecenie i przez następnych pięćdziesiąt lat pozostał na świecie jako nauczyciel wskazujący drogę do wygaszenia egoistycznych przywiązań.

Widzisz, dwie pierwsze z tych pokus – pożądanie i strach – to te same, którymi poddani zostali Adam i Ewa; pokazuje nam je Tycjan na niezwykle obrazie (obecnie w Prado), namalowanym przez siebie, gdy miał dziewięćdziesiąt cztery lata. Drzewo – to, rzecz jasna, mityczna oś świata przechodząca przez punkt, w którym jednoczą się czas z wiecznością, ruch ze spoczynkiem i wokół którego wszystko się obraca. Na obrazie przedstawione jest ono tylko w aspekcie czasowym, jako drzewo poznania dobra i zła, korzyści i straty, pożądania i strachu. Po prawej stronie jest Ewa, widząca kusiciela w postaci dziecka, które ofiarowuje jej jabłko, ją zaś przenika pragnienie. Adam, patrzący z przeciwległego punktu, spostrzega wężowe łapy podejrzanego kusiciela i ogarnia go lęk. Pożądanie i strach – oto dwie emocje rządzące wszystkim, co żyje. Pożądanie jest przynętą, śmierć jest hakiem.

Adam i Ewa ulegli tym emocjom, Budda – nie. Ewa i Adam wydali z siebie życie i zostali przeklęci przez Boga; Budda nauczał, jak uwolnić się od strachu niesionego przez życie.

MOYERS: A więc razem z dzieckiem – z życiem – przychodzi niebezpieczeństwo, strach, cierpienie?

CAMPBELL: Stuknął mi już ósmy krzyżyk, ale piszę książkę, która będzie mieć kilka tomów. Bardzo chciałbym żyć tak długo, aż ukończę to dzieło. Pragnę tego dziecka, toteż czuję strach przed śmiercią. Gdyby nie to pragnienie dokończenia książki, nie przejmowałbym się śmiercią. Jeśli idzie o Buddę i Chrystusa, obaj znaleźli zbawienie poza śmiercią, a potem powrócili z pustyni, aby wybrać sobie uczniów i przekazać im swoją naukę, której orędzie ponieśli oni później światu.

Orędzia wielkich nauczycieli – Mojżesza, Buddy, Chrystusa, Mahometa – bardzo się różnią, ale ich wizyjne podróże są niemal takie same. W chwili swego wybrania Mahomet był niepiśmiennym przewodnikiem karawan. Miał jednak zwyczaj codziennie wychodzić ze swego domu w Mekce i medytować w górskiej jaskini. Pewnego dnia usłyszał głos wołający: „Pisz!” Posłuchał go i dlatego mamy Koran. To bardzo stara historia.

MOYERS: Ale za każdym razem odbiorcy tego dobrodziejstwa wyczyniali rzeczy dość groteskowe, interpretując przesłanie tego lub innego bohatera.

CAMPBELL: Niektórzy nauczyciele przewidując, co społeczność zrobi z ich odkryciami, postanawiają, że w ogóle nie będą nauczać.

MOYERS: Co się dzieje, gdy bohater po swoich próbach powraca, a świat nie chce przyjąć tego, co on mu przynosi?

CAMPBELL: To coś zupełnie normalnego. Nie zawsze jest tak, że świat nie chce tego daru; raczej nie wie, co z nim począć, jak go zinstytucjonalizować...

MOYERS: ...utrzymać go, odnowić.

CAMPBELL: Właśnie: jak sprawić, żeby nadal funkcjonował.

MOYERS: Z powrotem tchnąć życie w wyschłe kości, w ruiny i relikty... Zawsze podobał mi się ten obraz.

CAMPBELL: Istnieje kategoria pomniejszych bohaterów, zajmujących się odnawianiem tradycji. Taki bohater reinterpretuje tradycję, tak że nabiera ona mocy żywego, aktualnego doświadczenia, zamiast być kupą zrupieciałych schematów. Takiego podejścia wymaga każda tradycja.

MOYERS: Mnóstwo religii rozpoczyna się od opowieści o bohaterach. Cały Orient zaznał błogosławieństwa nauki o Dobrym Prawie, przyniesionym przez Buddę; na Zachód spłynęło błogosławieństwo praw Mojżesza,

przyniesionych przez niego z Synaju. Herosi plemienni bądź lokalni dokonują swoich czynów dla jednego ludu, natomiast bohaterowie powszechni, jak Mahomet, Jezus i Budda, niosą swoje orędzie z bardzo daleka. Ci herosi religii powrócili, przynosząc Boga jako cud, nie jako schemat.

CAMPBELL: No, ale w Starym Testamencie masz strasznie dużo rozmaitych reguł...

MOYERS: Bo tutaj religia staje się teologią. Religia zaczyna się od zdziwienia i przestachu, i od próby opowiedzenia historii, która połączyła by nas z Bogiem. Później przekształca się w zestaw dzieł teologicznych, w których wszystko zostaje zredukowane do norm, do artykułów wiary.

CAMPBELL: To jest redukcja mitologii do teologii. Mitologia to coś bardzo płynnego. Większość mitów jest wewnętrznie sprzeczna. W danej kulturze możesz znaleźć nawet cztery, pięć mitów, podających różne wersje tej samej tajemnicy. Wtedy wkracza teologia i mówi: to ma być tak a tak, i nie inaczej. Mitologia to poezja, a język poezji jest bardzo elastyczny.

Religia zmienia poezję w prozę. Bóg jest – dosłownie – tam, w górze, a to jest – dosłownie – jego myśl, i masz postępować dokładnie w taki a taki sposób, jeśli chcesz nawiązać właściwy stosunek z owym Bogiem, tam, w górze.

MOYERS: Po to, żeby tamte opowieści miały jakiś sens, nie musimy wierzyć, że istniał Król Artur, chrześcijanie natomiast twierdzą, że musimy wierzyć w istnienie Chrystusa, bo inaczej cuda nie mają żadnego sensu.

CAMPBELL: Są to te same cuda, których dokonał Elias. Jest cała gromada cudów unoszących się naokoło tak jak drobiny kurzu w powietrzu; gdy pojawia się ktoś o odpowiednim charyzmacie, wszystko to skupia się ciasno wokół niego. Opowieści o cudach informują nas po prostu, że taki wybitny człowiek nauczał o sprawach porządku duchowego, których nie należy utożsamiać z porządkiem wyłącznie fizycznym, a więc był zdolny do duchowej magii. Nie wynika z tego, że on naprawdę dokonał którejkolwiek z owych rzeczy, choć to oczywiście możliwe. Kilka razy zdarzyło mi się oglądać zupełnie wyraźne efekty sztuk magicznych; mężczyźni i kobiety obdarzeni taką mocą potrafią robić rzeczy, które uznałbyś za niemożliwe. Naprawdę nie wiemy, gdzie leżą granice możliwego. Jednakże cuda z legend niekoniecznie muszą odpowiadać faktom

rzeczywistym. Budda chodził po wodzie, jak Jezus. Uniósł się też do nieba i powrócił.

MOYERS: Pamiętam, jak podczas któregoś wykładu narysowałeś koło i powiedziałeś: „To jest twoja dusza”.

CAMPBELL: Cóż, to był tylko taki pedagogiczny wybryk. Platon napisał gdzieś, że dusza jest kołem, więc posłużyłem się tą ideą, aby rysunkiem na tablicy zasugerować całą sferę psyche. Potem przeciągnąłem w poprzek koła linię poziomą, aby przedstawić rozdział między świadomym a nieświadomym. Ośrodek, z którego płynie cała nasza energia, wyobraziłem kropką w centrum koła, poniżej linii poziomej. U małego dziecka nie pojawia się żadna intencja, która by nie wpływała z potrzeb jego drobnego ciała. Osesek to niemal w całości impuls życia. Potem w grę wkracza umysł, który ma kombinować: o co w tym wszystkim chodzi? Czego ja chcę? Jak mam to zdobyć?

A teraz spójrz: powyżej poziomej linii jest ego, które przedstawiam jako kwadrat; to ten aspekt świadomości, w którym rozpoznajemy nasze własne centrum. Ale sam widzisz, że jest ono dość daleko od środka. Nam się zdaje, że to ono pociąga za wszystkie sznurki, ale tak nie jest.

MOYERS: A co pociąga za sznurki?

CAMPBELL: To, co wypływa na wierzch, a idzie skądś z dołu. Okresem, gdy sobie uświadomiamy, że to nie my rządymy całym interesem, jest dojrzewanie; wtedy głośno daje o sobie znać cały szereg zupełnie nowych wymagań, płynących z ciała. Młody człowiek nie ma najmniejszego pojęcia, jak sobie z tym radzić, i tylko zdumiewa się tym czymś, co go pcha... Rzecz jest jeszcze bardziej tajemnicza w przypadku dziewczyny.

MOYERS: Wydaje się dość oczywiste, że zjawiając się tu, już jako noworodki dysponujemy całkiem pokaźnym zasobem jakiejś pamięci.

CAMPBELL: Tak, to zadziwiające, jak wiele w sobie mamy tej pamięci. Osesek wie, co robić, gdy chwyta ustami sutek. Mamy w sobie wbudowany cały program działania, który u zwierząt nazywamy instynktem. To jest podłoże biologiczne. Potem jednak może wydarzyć się coś, pod czego wpływem człowiek może wzdragać się przed pójściem za głosem biologii – bo może wydać mu się to wstrętne albo przerażające, bądź

grzeszne. Wtedy właśnie zaczynamy mieć najprzykrzejsze problemy psychologiczne.

Pierwszą funkcją mitu jest podstawowe pouczenie o tych sprawach. Nasze współczesne społeczeństwo nie daje nam odpowiedniego mitologicznego pouczenia, toteż młodzi ludzie mają trudności z uspojnieniem swoich działań. Mam taką teorię, że jeśli odkryjesz, w którym miejscu ktoś jest zablokowany psychicznie, to potrafisz dla tego konkretnego progowego problemu znaleźć stosowną przeciwagę mitologiczną.

MOYERS: Ludzie mówią często: „Musisz odnaleźć samego siebie”. Jak sądzisz, co to znaczy?

CAMPBELL: Człowiek jest nieraz pod tak wielkim wpływem ideałów i nakazów obowiązujących w jego bliskim otoczeniu, że sam już nie wie, czego naprawdę chce i czym mógłby być. Myślę, że ktoś wychowany w środowisku nadzwyczaj rygorystycznym i autorytatywnym raczej nie ma szans na uzyskanie samowiedzy.

MOYERS: Bo ciągle mu mówią, co ma robić.

CAMPBELL: Tak, co dokładnie ma robić, i to w każdej chwili. Znalazłeś się, bracie, w wojsku; tak wygląda teraz nasze życie. Jako dzieciak, w szkole, zawsze robisz, co ci każą, więc liczysz dni pozostające do wakacji, bo dopiero wtedy będziesz mógł być sobą.

MOYERS: Co nam mówi mitologia w kwestii odnalezienia naszego drugiego – tego prawdziwego – ja?

CAMPBELL: Pierwsze pouczenie każe ci iść za wskazówkami samego mitu i twego guru, mistrza, tego, który powinien wiedzieć. To tak jak ze sportowcem, który idzie do trenera. Trener mówi mu, jak ma uruchomić drzemiającą w sobie energię. Dobry trener nie mówi biegaczowi, w jaki sposób ma trzymać ręce czy coś w tym guście. Przygląda mu się podczas biegu i pomaga skorygować jego naturalną postawę. Dobry nauczyciel jest po to, by przyglądać się młodemu człowiekowi i rozpoznawać jego możliwości, a potem udzielać mu rad, nie poleceń. Polecenie brzmiałoby: „Popatrz, ja robię to tak, a więc i ty musisz to robić w ten sposób”. Niektórzy artyści tak właśnie uczą swoich studentów. Tak czy inaczej, nauczyciel musi się wypowiedzieć, podać jakieś ogólne wskazówki. Jeśli nie



Darth Vader i Boba Fett w Imperium kontratakuje.

*Maski potworów, jakie ludzie noszą w Wojnach Gwiezdnych,
symbolizują potworne moce*

rzeczywiście działające we współczesnym świecie.

*Gdy maska zostaje zdjęta z Dartha Vadera,
widzisz człowieka nie ukształtowanego w pełni, kogoś,
kto nie rozwinął się w normalną ludzką osobę.*

*Jest on biurokrata, kimś żyjącym nie w zgodzie z sobą,
lecz z narzuconym mu systemem.*

masz przy sobie kogoś takiego, musisz wszystko robić sam, od zera, jakbyś sam musiał na nowo wymyślać koło.

Dobrą metodą nauki jest oparcie się na jakiejś książce, traktującej – w naszym mniemaniu – o problemach, z jakimi sami się akurat borykamy. Z pewnością dostarczy nam ona jakichś kluczy. Co do mnie, życiowe pouczenia czerpałem z lektury Tomasza Manna i Jamesa Joyce'a; obaj stosowali podstawowe wątki mitologiczne do interpretacji problemów, zagadnień, dokonań i trosk młodych ludzi, wzrastających we współczesnym świecie. Motywy mityczne, kierujące twoim własnym życiem, możesz odnaleźć w utworach dobrego powieściopisarza, który sam dobrze rozumie te sprawy.

MOYERS: To właśnie mnie intriguje. Jeśli mamy trochę szczęścia, jeśli bogowie i muzy nam sprzyjają, to niemal w każdym pokoleniu pojawia się ktoś umiejący zapłodnić naszą wyobraźnię przed podróżą, którą każdy z nas musi przedsięwziąć. W twoich czasach byli to Joyce i Mann. Zdaje się, że w naszych tę rolę często pełnią filmy. Czy filmy kreują mity o bohaterach? Czy sądzisz na przykład, że film taki jak *Wojny gwiazdne* wypełnia jakieś zapotrzebowanie na wzorcowego bohatera?

CAMPBELL: Słyszałem chłopaków używających pewnych określeń z filmu George'a Lucasa – na przykład „Moc” i „ciemna strona”. A więc trafia on w jakiś czuły punkt. To znaczy, że ta nauka jest dobra, zdrowa.

MOYERS: Myślę, że to częściowo tłumaczy powodzenie *Wojen gwiazdnych*. To nie perfekcja techniczna sprawiła, że ten film jest tak fascynujący, ale fakt, że powstał on w momencie, gdy ludzie odczuwali potrzebę ujrzenia w wyrazistych, prostych obrazach, jak dobro ściera się ze złem. Pragnęli, by przypomniano im o idealizmie, chcieli oglądać epopeję ożywioną duchem bezinteresowności, nie zaś egoizmu.

CAMPBELL: Fakt, że potęga zła nie jest utożsamiona z żadnym konkretnym narodem na świecie, oznacza, że mamy do czynienia z potęgą abstrakcyjną, reprezentującą pewną zasadę, a nie określoną sytuację historyczną. Cała ta opowieść przedstawia konflikt pewnych zasad, nie zaś narodów. Maski potworów, jakie ludzie noszą w *Wojnach gwiazdnych*, symbolizują potworne moce, rzeczywiście działające we współczesnym świecie. Gdy maska zostaje zdjęta z Dartha Vadera, widzisz człowieka nie

ukształtowanego w pełni, kogoś, kto nie rozwinął się w normalną ludzką osobę. Zamiast zindywidualizowanej twarzy masz przed sobą coś dziwnego, żalosego.

MOYERS: Co to znaczy?

CAMPBELL: Darth Vader nie rozwinął własnego człowieczeństwa. Jest robotem. Jest biurokratą, kimś żyjącym nie w zgodzie z sobą, lecz z narzuconym mu systemem. Jest to śmiertelne zagrożenie, stojące dziś przed nami wszystkimi. Czy system spłaszcy cię zupełnie i odbierze ci twoje człowieczeństwo, czy też potrafisz go wykorzystać do osiągnięcia ludzkich celów? Jak masz ustalić swój stosunek do systemu, abyś nie musiał służyć mu wbrew sobie? Nie na wiele zdadzą się próby zmieniania go stosownie do twego własnego systemu myśli; napór historii stojącej za nim jest zbyt wielki, aby z takich prób mogło wynikać cokolwiek poważnego. Jedyne, co można zrobić, to uczyć się, jak żyć prawdziwie po ludzku w tym właśnie, naszym okresie dziejowym. To zupełnie inna sprawa. I osiągalna.

MOYERS: W jaki sposób?

CAMPBELL: Przez trzymanie się własnych ideałów i odrzucanie – tak jak robi to Luke Skywalker – bezosobowych roszczeń systemu wobec nas.

MOYERS: Gdy zabrałem na *Gwiezdne wojny* obu swoich chłopców, zrobili to samo co cała widownia, kiedy w kulminacyjnym momencie ostatniej walki Ben Kenobi mówi do Skywalkera: „Wyłącz swój komputer, wyłącz maszynę i zrób to sam, idź za tym, co czujesz, zaufaj temu”. Skywalker idzie za tą radą, robi tak i udaje mu się, a wtedy widownia zaczyna klaskać.

CAMPBELL: Tak, sam widzisz, że ten film przemawia do ludzi. Mówi do młodych w zrozumiałym dla nich języku, a to dużo. Stawia pytanie: czy będziesz człowiekiem mającym prawdziwe, ludzkie serce – bo właśnie stamtąd, z serca, bierze się życie – czy też będziesz tylko wykonywał polecenia czegoś, co by można określić jako „umyślnie działającą moc”? Kiedy Ben Kenobi mówi: „Oby Moc była z tobą”, mówi o mocy i energii życia, nie o zaprogramowanych zamysłach politycznych.

MOYERS: Zaintrygowała mnie definicja Mocy. Ben Kenobi mówi: „Moc to pole energetyczne wytwarzane przez wszystko, co żyje. Ono nas otacza, przenika, wiąże z sobą galaktyki”. W twojej książce *The Hero with*

a *Thousand Faces* czytałem podobne opisy pępka świata, miejsca świętego, mocy działającej w chwili stworzenia.

CAMPBELL: Tak, oczywiście. Moc działa od wewnątrz. Jednakże moc Imperium opiera się na zamiarze zwyciężania i władania. *Wojny gwiazdne* nie są zwykłym moralitetem, ale opowiadają o mocach życia – o tym, czy doznają one wypełnienia, czy też są łamane i niszczone przez działania człowieka.

MOYERS: Kiedy po raz pierwszy obejrzałem *Wojny gwiazdne*, pomyślałem: „To bardzo stara historia w nowym przebraniu”. Historia o młodzieńcu, którego wzywa przygoda, o bohaterze stawiającym czoło próbom i doświadczeniom, aby po zwycięstwie powrócić ze zdobytym dla wspólnoty dobrem...

CAMPBELL: To oczywiste, że Lucas posłużył się obiegowymi postaciami z mitów. Stary człowiek w roli doradcy nasunął mi na myśl japońskiego „mistrza miecza”. Znałem ich kilku, w charakterze Bena Kenobi jest niemało z ich charakteru.

MOYERS: Jaka jest rola „mistrza miecza”?

CAMPBELL: Jest on najwyższym ekspertem w dziedzinie sztuki walki na miecze. Na Wschodzie kultywuje się sztuki walki w sposób przewyższający wszystko, co zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać w amerykańskich salach gimnastycznych. Łączą się tam w jedno techniki psychologiczne i fizjologiczne. Z czymś podobnym spotykamy się w *Wojnach gwiazdnych*.

MOYERS: Jest również coś z mitu w tym, że bohaterowi pomaga nieznajomy, który zjawia się i daje mu narzędzie...

CAMPBELL: Daje mu nie tylko materialne narzędzie, ale i pewne zadanie, wyposaża go też w psychiczne centrum. To zadanie wykracza daleko poza zwykły krąg twych intencji; jednoczysz się z tym, co się dzieje.

MOYERS: Najbardziej podobała mi się scena, gdy oni byli wewnątrz prasy do śmieci, a jej ściany powoli zwierają się. Pomyślałem wtedy: „To jest jak brzuch wieloryba, który połknął Jonasza”.

CAMPBELL: Bo tam właśnie byli – w brzuchu wieloryba.

MOYERS: Jaki jest mitologiczny sens brzucha?

JONAH CHAP. II.
Jonah delivered from the fish.

33



JONAH 2. Verse 10. ^{2Kp.176}

And the LORD spake unto y^e
fish and it vomited out Jonah
upon the dry land.

Jonasz i wieloryb.

Historia Jonasz w brzuchu wieloryba jest przykładem wątku mitycznego o zasięgu praktycznie światowym – wątku bohatera wchodzącego do brzucha ryby i wychodzącego stamtąd, ale już w postaci przemienionej.

Woda to podświadomość,

stwór zaś pływający w wodzie to życie albo energia nieswiadomego, które wzięło górę nad świadomą częścią osobowości i które musi zostać rozbrojone, ujarzmione i poddane kontroli.

CAMPBELL: Brzuch to mroczne miejsce, gdzie odbywa się trawienie i tworzy się nowa energia. Historia Jonasza w brzuchu wieloryba jest przykładem wątku mitycznego o zasięgu praktycznie światowym – wątku bohatera wchodzącego do brzucha ryby i wychodzącego stamtąd, ale już w postaci przemienionej.

MOYERS: Dlaczego bohater musi to zrobić?

CAMPBELL: Jest to zejście w ciemność. W kategoriach psychologicznych wieloryb reprezentuje moce życia uwięzione w podświadomości. Woda jest metaforą nieświadomego, a stwór pływający w wodzie to życie albo energia nieświadomego, które wzięło górę nad świadomą częścią osobowości i które musi zostać rozbrojone, ujarzmione i poddane kontroli.

Na pierwszym etapie tego rodzaju przygody bohater opuszcza krąg swojskości, który w jakiejś mierze kontroluje, i podchodzi do krawędzi – staję, powiedzmy, na brzegu jeziora lub morza, skąd na jego spotkanie wynurza się potwór. Teraz są dwie możliwości. W historii typu Jonasza bohater zostaje połknięty i zabrany do otchłani, aby następnie zmartwychwstać; jest to wariant tematu śmierci i zmartwychwstania. Osobowość świadoma styka się tu z ładunkiem energii nieświadomej, nad którą nie potrafi zapanować, więc musi zaznać uciążliwości rozlicznych prób i kosztowań okropnej, nocnej morskiej podróży, ucząc się jednocześnie, jak dojść do porozumienia z tą ciemną potęgą, aby ostatecznie wynurzyć się do jakiegoś nowego wymiaru życia.

Druga możliwość jest taka, że bohater, napotykając moc ciemności, pokonuje ją i zabija, tak jak to zrobili Zygfryd i św. Jerzy zabijając smoka. Zygfryd jednak przekonał się, że musi pokosztować krwi smoka, jeśli chce przywłaszczyć sobie nieco z tej smoczjej potęgi. Po zabiciu smoka i skosztowaniu jego posoki Zygfryd zaczyna słyszeć pieśń natury. Wykroczył poza swoje człowieczeństwo i na powrót zjednoczył się z mocami natury, będącymi mocami życia, z których wypędzają nas precz nasze umysły.

Widzisz, świadomość sądzi, że to ona kręci całym tym biznesem. Ale świadomość jest tylko drugorzędnym organem całości ludzkiego jestestwa i nie powinna dążyć do panowania. Musi ona podporządkować się i służyć człowieczeństwu ciała. Gdy ona zaczyna rządzić, otrzymujesz kogoś

w rodzaju Dartha Vadera z *Wojen gwiazdnych* – człowieka, który staje po stronie świadomie ukierunkowanych intencji.

MOYERS: To mroczna postać.

CAMPBELL: Tak; w *Fauście* Goethego reprezentuje ją Mefistofeles.

MOYERS: Ale jestem prawie pewien, że ktoś powie na to: „To wszystko ładnie i pięknie dla kogoś o wyobraźni George’a Lucasa albo wiedzy Josepha Campbella, tylko że coś takiego nie ma związku z moim życiem”.

CAMPBELL: Ależ owszem, i to jak jeszcze! Jeśli ten ktoś nie uświadomi sobie tego, może stać się kimś takim jak Darth Vader. Jeśli człowiek upiera się przy pewnym programie i nie słucha, czego domaga się jego serce, ryzykuje popadnięcie w schizofrenię. Taka osoba traci własne centrum. Wzięła stronę jakiegoś życiowego programu, a to zupełnie nie obchodzi naszego ciała. Świat jest pełen ludzi, którzy przestali przysłuchiwać się samym sobie, albo też słuchają tylko swoich sąsiadów, żeby się dowiedzieć, co powinni robić, jak powinni się zachowywać i dla jakich wartości powinni żyć.

MOYERS: Czy na podstawie swojej wiedzy o ludziach dopuszczasz możliwość istnienia jakiejś cichej przystani mądrości, gdzieś poza konfliktami prawdy i iluzji, gdzie nasze życie będzie mogło odzyskać pełnię i harmonię? Czy jesteśmy w stanie stworzyć nowe wzorce?

CAMPBELL: One już istnieją – w religiach. Wszystkie religie były i są prawdziwe dla swoich czasów. Jeśli potrafisz rozpoznać trwały aspekt ich prawdy i oddzielić go od zastosowań uwarunkowanych czasowo – posiadasz ją.

Przecież właśnie tu i teraz o tym mówimy – o ofierze z cielesnych pragnień i lęków złożonej temu, co jest duchowym oparciem dla ciała. Czy ciało uczy się poznawać i wyrażać w polu czasu swoje najgłębsze życie? Wszyscy, w taki czy inny sposób, musimy odnaleźć to, co najlepiej sprzyja rozkwitowi naszego człowieczeństwa w naszym współczesnym życiu, i poświęcić się temu.

MOYERS: Nie chodzi więc o cel naczelny, ale o cel wyższy?

CAMPBELL: Powiedziałbym – o bardziej uwewnętrzniony. To „wyższe” jest już tutaj, i nie ma żadnego „wyżej”. Wiemy o tym. Poczciewy staruszek

tam, „wyżej”, rozwiął się. Moc musisz znaleźć w sobie, w środku. Właśnie dlatego wschodni guru są dziś tak przekonujący dla młodych ludzi. Mówią: „To jest w tobie. Idź i znajdź to”.

MOYERS: Jednak chyba tylko nieliczni zdolni są do stawienia czoła wyzwaniu nowej prawdy i zharmonizowaniu z nią własnego życia...

CAMPBELL: Bynajmniej! Prawda, że tylko nieliczni mogą być nauczycielami i przewodnikami, ale na to wyzwanie może odpowiedzieć każdy, tak jak każdego stać na to, by rzucić się na pomoc dziecku. W zasięgu możliwości każdego leży rozpoznanie w swoim życiu wartości nie ograniczonych do podtrzymania bytu ciała i do codziennych, materialnych trosk.

MOYERS: Kiedy byłem chłopcem i czytałem o rycerzach Okrągłego Stołu, ta opowieść natchnęła mnie przeświadczeniem, że sam mógłbym być bohaterem. Chciałem iść i walczyć ze smokami, zapuścić się w mroczne knieje i zabijać złe potwory. Co sądzisz o tym, że pod wpływem mitów syn farmera z Oklahomy zaczyna uważać się za bohatera?

CAMPBELL: Mit daje ci natchnienie do pełnej, doskonałej realizacji twych możliwości, pełni twojej siły, do przynoszenia światu słonecznego światła. Zabijanie potworów to zabijanie wszystkiego, co mroczne. Mity chwytają cię i wiodą gdzieś w dół, w głąb. Gdy jesteś chłopcem, patrzysz na nie w określony sposób, tak jak ja, kiedy czytałem moje indiańskie opowiadki. Później mity stopniowo mówią ci coraz więcej i więcej. Myślę, że każdy, kto kiedykolwiek zajmował się poważnie ideami religijnymi bądź mitycznymi, powie ci, że w dzieciństwie przyswajamy je sobie na pewnym poziomie, ale później ujawniają się przed nami rozmaite inne poziomy. Te objawienia mitu ciągną się w nieskończoność.

MOYERS: W jaki sposób zabijam w sobie tego smoka? Czy jest owa podróż, która czeka każdego z nas i którą ty nazywasz „wzniosłą przygodą duszy”?

CAMPBELL: Studentom odpowiadam na ogół: idź za tym, co daje ci szczęście. Odszukaj to i nie bój się pójść za tym.

MOYERS: Czy to jest moja praca czy moje życie?

CAMPBELL: Jeśli to, co robisz, jest tym, co świadomie wybierasz, bo to lubisz – tak. Ale jeśli myślisz: „Ach, nie! Nie mógłbym tego robić!”, to



Św. Jerzy i smok, Paolo Uccello, ok. 1460.

*My sami tkwimy więzieni w smoku jak w klatce.
Problemem dla psychiatry jest rozmontowanie tego smoka,
rozbić go na kawałki,
tak byś mógł swobodniej wzbogacać swoje związki ze światem.
Koniec końców najgroźniejszy smok czai się w tobie
– to jest twoje ego,
które przygważdża cię do ziemi.*

znaczy, że jesteś w niewoli smoka. „Nie, nie, nie mógłbym być pisarzem!”, albo „Nie, chyba nie mógłbym robić tego, co pan X lub Y”.

MOYERS: A więc w tym sensie – w odróżnieniu od bohaterów w rodzaju Prometeusza lub Jezusa – celem wyprawy nie jest ocalenie świata, lecz tylko nas samych.

CAMPBELL: Tak, ale właśnie dzięki temu ocalasz świat. Oddziaływanie osoby pełnej życia jest życiodajne, to nie ulega wątpliwości. Świat bez ducha jest jałową pustynią. Ludziom się wydaje, że zbawiają świat, przedstawiając wokół siebie różne rzeczy, zmieniając reguły, osoby na świeczniku i tak dalej. Nie, nie! Świat ma wartość tylko wtedy, gdy jest żywy. Chodzi o to, żeby wprowadzać w niego życie, a jedyny sposób, w jaki możesz to zrobić, to odszukać w sobie źródło własnego życia i czerpać z niego.

MOYERS: Czy całą tę wędrówkę, schodzenie w głąb, zabijanie smoków, mam urzeczywistnić w pojedynkę?

CAMPBELL: Jeśli masz kogoś, kto ci pomoże, to bardzo fajnie, ale koniec końców, tego ostatniego wyczynu musisz dokonać sam. W kategoriach psychologicznych smok przedstawia silne przywiązanie człowieka do własnego ego. My sami tkwimy uwięzieni w klatce smoka. Problemem dla psychiatry jest rozmontowanie tego smoka, rozbicie go na kawałki, tak byś mógł swobodniej wzbogacać swoje związki ze światem. Koniec końców, najgroźniejszy smok czai się w tobie – to jest twoje ego, które przygwaźdża cię do ziemi.

MOYERS: Czym jest moje ego?

CAMPBELL: Tym, czego rzekomo chcesz, w co pragniesz wierzyć, na co – jak sądzisz – możesz sobie pozwolić, co postanawiasz kochać, do czego – jak sądzisz – jesteś zobowiązany. A jeśli robisz tylko to, co powiedzą ci sąsiedzi, z pewnością zostaniesz przygwożdżony. Wówczas sąsiedzi są tym twoim smokiem, bo, tkwiąc w tobie, w nich się on właśnie odbija.

Nasze zachodnie smoki reprezentują chciwość. Chiński smok jest inny, symbolizuje tętniące życiem bagna, z których wypelza, klepiąc się po brzuchu i rycząc: hou hu hu hou! To miły rodzaj smoka, taki, który obficie dostarcza życiodajnej wody – wielkiego, wspaniałego daru. Natomiast smok

z naszych zachodnich opowieści próbuje wszystko zagarnąć dla siebie i trzymać. W swojej kryjówce pilnuje mnóstwa różnych rzeczy – stosów złota, a może i jakiejś porwanej dziewicy. Nie wie, co z tym wszystkim robić, więc tylko pilnuje tego i strzeże. Są na świecie tacy ludzie, nazywamy ich mendami. Oni nie promieniają życiem, nic z siebie nie dają. Przyklejają się tylko do ciebie, zawisają na tobie i próbują wyssać z ciebie życie.

Jung miał kiedyś pacjentkę, która przyszła do niego, gdyż czuła się samotna w świecie, jak rzucona na skały. Sporządziła dla niego rysunek, aby pokazać, jak się czuje: widać ją tam było na brzegu ponurego morza, uwięzioną w skale od pasa w dół. Dmący wiatr rozwiewał jej włosy, a całe złoto, cała radość życia była daleko od niej, zamknięta w skale. Jednakże następny rysunek zrobiła już po wysłuchaniu jakichś jego wskazówek. W skałę uderza piorun, i odrywa się od niej złoty dysk. Złoto nie jest już więzione wśród głazów, teraz na ich powierzchni widać złote plamy. W toku następnych seansów te plamy zostały zidentyfikowane; byli to przyjaciele pacjentki. A więc – nie była sama. Zamknęła się wprawdzie w swojej małej przestrzeni, w swym małym życiu, ale miała przyjaciół. Uświadomiła to sobie dopiero po zabiciu własnego smoka.

MOYERS: Bardzo podoba mi się twój komentarz do starego mitu o Tezeuszu i Ariadnie. Tezeusz mówi do Ariadny: „Będę cię zawsze kochał, jeśli pokażesz mi drogę wyjścia z labiryntu”. Ariadna daje mu kłębek nici, który on rozwija, wchodząc do labiryntu, a potem idzie za tą nicią do wyjścia. Mówisz: „Miał tylko tę nić. To wszystko, czego potrzebujesz”.

CAMPBELL: To wszystko, czego potrzebujesz – tej nici Ariadny.

MOYERS: Nieraz szukamy jakiegoś wielkiego bogactwa, które by nas ocaliło, wielkiej potęgi, która by nas zbawiła, albo wielkich idei – tymczasem potrzebujemy tylko kawałka nitki.

CAMPBELL: Nie zawsze łatwo ją znaleźć. Ale to fajnie mieć kogoś, kto może dać ci klucz. To rola nauczyciela; to on ma ci pomóc znaleźć twoją nitkę Ariadny.

MOYERS: Podobnie jak wszyscy bohaterowie, Budda nie ukazuje nam samej prawdy, lecz tylko drogę ku niej.

CAMPBELL: Ale to ma być rzeczywiście twoja droga, nie jego. Budda na przykład nie potrafi powiedzieć dokładnie, jak masz się pozbyć swoich

konkretnych lęków. Rozmaici nauczyciele mogą sugerować ci różne ćwiczenia, ale one niekoniecznie okażą się przydatne dla ciebie. Nauczyciel może tylko sugerować. Jest on jak latarnia morska ostrzegająca: „Tu są rafy, omijaj to miejsce! Ale tam dalej jest kanał, płyn tam”.

Podstawowym problemem w życiu każdego młodego człowieka jest mieć jakieś modele sugerujące rozmaite możliwości. Nietzsche mówi: „Człowiek to chore zwierzę”. Człowiek to zwierzę nie wiedzące, co z sobą zrobić. Umysł podsuwa różne możliwości, ale mamy przecież tylko jedno życie. Co mamy z sobą zrobić? Żywy mit ukazuje wzorce współczesne.

MOYERS: Dziś mamy ich nieskończoną wprost rozmaitość. Mnóstwo ludzi wybiera w końcu większą ich liczbę, ale w rezultacie taki człowiek nigdy nie dowiaduje się, kim jest.

CAMPBELL: Wybierając pewne zajęcie, zawód, w rzeczywistości wybierasz określony model, który przez jakiś czas będzie ci odpowiadał. Na przykład patrząc na gościa w średnim wieku, możesz zupełnie spokojnie określić jego zawód. Ludzie, gdziekolwiek się znajdują, od razu wiedzą, że jestem profesorem. Nie wiem, co ja takiego robię albo jak wyglądam; zresztą sam też mogę odróżnić profesora od inżyniera czy handlowca. Człowiek jest kształtowany przez swoje życie.

MOYERS: W *Królu Arturze* jest wspaniały obraz, gdy rycerze Okrągłego Stołu mają właśnie wyruszać na poszukiwanie Graala w Ciemnym Lesie, a narrator mówi: „Myśleli, że nieprzystojnością będzie wychodzić całą gromadą, toteż każdy z nich zapuszczał się w las w miejscu przez siebie upatrzonym”. Podług twojej interpretacji, jest to wyraz nacisku, z jakim Zachód podkreśla wyjątkowość każdego ludzkiego życia, gdyż każdy w pojedynkę musi się mierzyć z ciemnością.

CAMPBELL: Gdy czytałem ten ustęp w trzynastowiecznym poemacie *Queste del Saint Graal*, uderzyło mnie, że streszcza on specyficzny dla Zachodu cel i ideał duchowy – mianowicie przeżywanie życia jako pewnego potencjału, który ty nosisz w sobie, którego – jako możliwości – nie było nigdy w nikim innym.

To właśnie, jak sądzę, jest wielką prawdą Zachodu – przekonanie, że każdy z nas jest istotą całkowicie niepowtarzalną, jedyłą, i że jeśli w ogóle możemy coś dać światu, musi to być owocem naszego własnego doświad-

czenia i wypełnienia się naszych własnych, nie czyichś innych możliwości. Natomiast w tradycyjnych cywilizacjach orientalnych – i w ogóle we wszystkich społecznościach mocno zakorzenionych w tradycji – każda jednostka jest jak biskop z tej samej foremki. Nałożone zostają na nią wyraźnie i jasno określone obowiązki i nie sposób od nich się uchylić. Gdy idziesz do guru, aby poprowadził cię ścieżką ducha, wie on dokładnie, w którym punkcie tradycyjnej drogi akurat się znajdujesz, jaki będzie punkt następny i co masz robić, aby do niego dotrzeć. Da ci swoją fotografię, abyś ją nosił i był jak on. Nie ma to wiele wspólnego z typową zachodnią metodą pedagogiczną. My za swoje zadanie uważamy tak prowadzić studentów, aby każdy z nich rozwijał swój własny wizerunek. To, czego każdy z nich powinien szukać w życiu, nie istniało jeszcze nigdy i nigdzie, na lądzie ani na morzu. Musi to być coś, co rodzi się z jego własnych, niepowtarzalnych możliwości i potencji, coś, czego nikt inny nigdy nie doświadczył ani nie mógłby doświadczyć.

MOYERS: Hamlet zapytywał: „Czyś dorósł do swego przeznaczenia?”

CAMPBELL: Jego problemem było to, że sam nie dorósł. Otrzymał los zbyt wielki jak na niego, i ten los zniszczył go. Tak też się może zdarzyć.

MOYERS: Jakie mitologiczne opowieści pomagają nam zrozumieć śmierć?

CAMPBELL: Śmierci nie można zrozumieć, można tylko nauczyć się, jak się z nią pogodzić. Powiedziałbym tak: historia Chrystusa, przyjmującego postać człowieczego sługi, który idzie nawet na śmierć krzyżową, jest dla nas podstawową lekcją akceptowania śmierci. Również historia Edypa i Sfinksa niemało mówi nam na ten temat. Sfinks z opowieści o Edypie to nie sfinks egipski, ale kształt kobiety ze skrzydłami ptaka, tułowiem zwierzęcia, piersią, szyją i twarzą kobiety. Symbolizuje ona przeznaczenie wszelkiego życia. Zesłała klęskę na kraj, i aby tę plagę odwrócić, bohater musi odpowiedzieć na postawione przez Sfinksa, zagadkowe pytanie: „Co to jest: najpierw chodzi na czworakach, potem na dwóch nogach, a wreszcie na trzech?” Odpowiedź brzmi: „Człowiek”. Dziecko najpierw raczkuje, jako dorosły chodzi na dwóch nogach, a jako starzec – podciera się laską.

Zagadka Sfinksa odsłania obraz życia zanurzonego w czasie – dzieciństwo, dojrzałość, starość, śmierć. Kiedy bez lęku wychodzisz naprzeciw

zagadce Sfinksa i akceptujesz ją, śmierć nie ma już władzy nad tobą, a przekleństwo Sfinksa rozwiewa się. Ujarmienie strachu przed śmiercią to odzyskanie radości życia. Człowiek może bezwarunkowo afirmować życie tylko wówczas, gdy zaakceptował śmierć – nie jako coś przeciwnego życiu, lecz jako jego aspekt. Życie w swoim stawaniu się zawsze emanuje z siebie śmierć i zawsze jest na krawędzi śmierci. Z ujarmienia strachu płynie odwaga do życia. Jest to najważniejsze z wtajemniczeń we wszelką bohaterską przygodę – nieustraszoneść i spełnienie dzieła.

Pamiętam, jak w dzieciństwie czytałem o okrzyku wojennym indiańskich śmiałków, pędzących w wir bitwy wprost pod grad kul ludzi Custer. Krzyczeli: „Wspaniale umierać w takim dniu!” Oni nie czepiali się kurczowo życia. To jest jedno z wielkich przesłań mitów. Co do mnie, wiem już o sobie to, że nie jestem ostateczną formą mojego bytu. Stałe, w taki lub inny sposób, musimy umierać jako osiągnięta już forma indywidualnego bytu.

MOYERS: Czy masz jakąś opowieść, która by to ilustrowała?

CAMPBELL: Słynna jest staroangielska opowieść o Sir Gawainie i Zielonym Rycerzu. Pewnego dnia do sali biesiadnej Króla Artura zielony olbrzym wjechał na ogromnym zielonym rumaku i zawołał: „Wyzywam każdego z was tutaj, aby chwycił ten wielki topór wojenny, który mam z sobą, i uciął mi głowę; potem, w rok od dzisiejszego dnia, niech się spotka ze mną w Zielonej Kaplicy, gdzie ja utnę jego głowę”.

Jedynym rycerzem, który miał odwagę przyjąć to dziwaczne zaproszenie, był Gawain. Wstał od stołu, Zielony Rycerz zsiadł z konia, wręczył Gawainowi topór, nadstawił kark, a Gawain jednym cięciem odrąbał mu głowę. Zielony Rycerz wstał, podniósł swoją głowę, odebrał topór, dosiadł wierzchowca i odjechał, rzucając zdumionemu Gawainowi: „Zobaczymy się za rok”.

Przez cały ten rok wszyscy byli dla Gawaina bardzo mili. Na jakieś dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem wyjechał on, aby odszukać Zieloną Kaplicę i dotrzymać słowa danego zielonemu olbrzymowi. Czas biegł, zostawały jeszcze tylko trzy dni, i wówczas Gawain znalazł się przed chatką myśliwego; tam zapytał o drogę do Zielonej Kaplicy. Myśliwy, miły, jowialny facet, wita go w progu i mówi: „Kaplica jest tam, kawałek dalej,

paręset kroków stąd. A może te trzy dni spędziłby pan tutaj z nami? Będzie nam miło gościć pana. Gdy czas nadejdzie, pański zielony przyjaciel wyjdzie panu na spotkanie”.

Gawain zgadza się. Tego samego wieczora myśliwy mówi do niego: „Słuchaj pan, wczesnym rankiem idę na polowanie, ale wracam wieczorem; wymienimy się wtedy tym, co każdy z nas uzyskał w ciągu dnia. Ja dam panu to, co uda mi się upolować, a pan odda mi swoją zdobycz”. Roześmiali się obaj, co Gawainowi sprawiło przyjemność. Potem poszli spać.

Rano, bardzo wczesnie, myśliwy wyjechał, gdy Gawain jeszcze spał. Po chwili wchodzi żona myśliwego, nadzwyczaj piękna kobieta, łaskocze Gawaina pod brodą, budzi go i roznamiętniona proponuje mu poranek pełen miłości. No, ale on jest rycerzem z dworu Króla Artura, zdrada gospodarza to ostatnia rzecz, do której mógłby się zniżyć taki rycerz, toteż Gawain stanowczo odmawia. Ona jednak nie daje za wygraną i jest coraz bardziej natarczywa, aż wreszcie mówi do niego: „Dobrze, w takim razie tylko cię pocałuję!” I cmoka go raz, głośno. No i dobrze.

Wieczorem zjawia się myśliwy obładowany mnóstwem rozmaitej drobnej zwierzyny. Rzuca to wszystko na podłogę, a Gawain daje mu dużego całusa. Śmieją się obaj. No i dobrze.

Następnego ranka żona łowcy znów przychodzi do Gawaina, jeszcze bardziej roznamiętniona, i owocem tego spotkania są dwa całusy. Myśliwy wraca wieczorem z łupem o połowę większym niż poprzednio, otrzymuje dwa całusy i znów obaj się śmieją.

Trzeciego ranka żona jest wprost cudowna i Gawain, młody człowiek, który wnet spojrzy w twarz śmierci, robi, co może, by zachować trzeźwą głowę i uchronić swój rycerski honor wobec tego ostatniego, rozkosznego daru, jaki podsuwa mu życie. Tym razem godzi się na trzy całusy. Gdy mu je dała, prosi go, by przyjął jej podwiązkę jako znak jej miłości. „Jest zaczarowana – mówi – i będzie cię chronić przed wszelkim niebezpieczeństwem”. Gawain przyjmuje więc podwiązkę. I gdy myśliwy przynosi, jako całą zdobycz, nędznego, cuchnącego liska, którego rzuca na podłogę – w zamian od Gawaina dostaje trzy pocałunki; podwiązki – nie.

Czyż nie jest całkiem jasne, co oznaczają te próby młodego rycerza Gawaina? Są dokładnie takie same jak dwie pierwsze próby Buddy.

Pierwsza to pragnienie, żądza. Druga to strach przed śmiercią. Gawain wykazał się dostateczną odwagą, dotrzymując słowa i stawiając czoło przygodzie. Pokusa podwiązki była jednak raczej zbędna.

Gawain, zbliżając się do Zielonej Kaplicy, słyszy, że w środku jest już Zielony Rycerz i że ostrzy on swój wielki topór, aż świszczy wokół. Gawain wchodzi, a olbrzym tylko mówi doń: „Połóż głowę tu, na tej kłodzie”. Gawain robi to, Zielony Rycerz unosi topór, ale zatrzymuje się. „Nie tak; wyciągnij jeszcze trochę szyję” – mówi. Gawain robi, co mu kazano, i olbrzym znów unosi topór. „Jeszcze odrobinę” – mówi raz jeszcze. Gawain stara się, jak umie najlepiej, i nagle śśśśśśśś – topór spada na kark Gawaina, ale zostawia na nim tylko lekkie draśnięcie. Następnie Zielony Rycerz, który w istocie jest owym myśliwym, lecz przemienionym, wyjaśnia: „To za podwiązkę”.

Powiada się, że ta właśnie legenda mówi o początkach zakonu Kawalerów Orderu Podwiązki.

MOYERS: A morał tej historii?

CAMPBELL: Morał, myślę, jest ten, że pierwszymi warunkami kariery bohatera są takie cnoty rycerskie, jak lojalność, opanowanie i odwaga. W tym przypadku lojalność ma dwa stopnie, bądź dwojakię odniesienie: obowiązuje, po pierwsze, wobec wybranej przygody, po drugie – wobec ideałów stanu rycerskiego. Otóż to drugie zobowiązanie wydaje się przeciwstawiać drogę Gawaina drodze Buddy, który po prostu zignorował rozkaz Pana Powinności Społecznej, polecającego mu spełnianie obowiązków właściwych jego kaście, i teżyże nocy osiągnął Oświecenie oraz wyzwolenie z koła narodzin. Gawain jest Europejczykiem, więc – podobnie jak Odyseusz, który dochował wierności ziemi i powrócił z Wyspy Słońca do swej żony Penelopy – jako zobowiązanie swego życia przyjął nie wyzwolenie, lecz lojalność wobec wartości życia w tym świecie. A przecież – widzieliśmy to przed chwilą – droga wiodąca do spełnienia, czy to będzie środkowa ścieżka Buddy, czy też środkowa ścieżka Gawaina, przechodzi między niebezpieczeństwami pożądania i strachu.

Trzecie stanowisko, bliższe Buddzie niż Gawainowi, ale jednak ciągle jeszcze wierne wartościom ziemskiego życia, zajmuje Nietzsche w *Tako rzecze Zaratustra*. Posługując się swego rodzaju przypowieścią, Nietzsche

opisuje to, co nazywa trzema przemianami ducha. Pierwszą figurą jest wielbłąd – dzieciństwo i młodość. Wielbłąd klęka i mówi: „Nałóż na mnie brzemię”. To pora posłuszeństwa i przyjmowania pouczeń i informacji od społeczności, niezbędnych do prowadzenia w tejże społeczności życia odpowiedzialnego, zgodnego z jej wymaganiami.

Kiedy jednak wielbłąd jest już dobrze obciążony, zrywa się na równe nogi i biegnie na pustynię, gdzie przemienia się w lwa – tym silniejszego, im cięższy dźwigał ładunek. Zadaniem lwa jest zabić smoka, którego imię brzmi „Powinieneś”. Na każdej łusce tego łuskowatego zwierza wypisane jest to „powinieneś”; niektóre z „powinieneś” pochodzą sprzed czterech tysięcy lat, inne – z tytułów porannych gazet. Podczas gdy wielbłąd – dziecko – musiał podporządkować się owym „powinieneś”, lew – czyli młodzieniec – ma je odrzucić i zająć się urzeczywistnianiem własnych celów.

I właśnie wtenczas, gdy z tego smoka jest już zimny trup, a wszystkie jego „powinieneś” zostały pokonane, lew przemienia się w dziecko posłuszne tylko własnej naturze, tak jak koło napędzane wyłącznie przez własną piastę. Nie ma już reguł, których trzeba słuchać. Żadnych praw wyprowadzanych z konieczności historycznych i celów lokalnej społeczności, lecz tylko czysty impuls witalny pchający do życia życiem kwiatu.

MOYERS: Wracamy więc do Edenu?

CAMPBELL: Do Edenu sprzed Upadku.

MOYERS: Czym są te „powinieneś” dziecka, które musi ono z siebie strząsnąć?

CAMPBELL: Jest to wszystko to, co hamuje jego samospelnienie się. Owo „powinieneś” dla wielbłąda jest murem, siłą cywilizującą. Zmienia ono zwierzę ludzkie w cywilizowaną istotę ludzką. Natomiast młodość jest okresem samoodkrywania się i samoprzekształcania w lwa. Reguły należy wówczas stosować wedle własnego uznania, zgodnie z wymogami życia, a nie jakichś tam „powinieneś”.

Coś w tym rodzaju musi sobie uświadomić i jakoś się z tym uporać każdy poważny adept sztuki. Jeżeli udajesz się do mistrza, aby uczyć się rozmaitych technik, to skrupulatnie wypełniasz wszystkie jego zalecenia i wskazówki. Później jednak przychodzi czas, gdy zaczynasz stosować prawidła na swój własny sposób i nie jesteś już nimi skrepowany. Jest to

czas „czynów lwa”. Możesz faktycznie zapomnieć o regulach, ponieważ przyswoił je sobie. Jesteś artystą. Twoja obecna niewinność jest niewinnością kogoś, kto stał się artystą, kto został poniekąd przemieniony. Zachowujesz się zupełnie inaczej niż ktoś, kto nigdy nie opanował żadnej sztuki.

MOYERS: Mówisz: „przychodzi czas”. Skąd dziecko ma wiedzieć, kiedy przychodzi jego czas? Na przykład w społecznościach archaicznych chłopiec musiał przejść przez serię obrzędów, które mówiły mu, że jego czas nadszedł. Wiedział wtedy, że nie jest już dzieckiem i że musi strząsnąć z siebie obcy wpływ, aby stanąć na własnych nogach. My, w naszym społeczeństwie, nie dysponujemy takim wyraźnie wyodrębnionym momentem ani oczywistym rytuałem, który mógłby powiedzieć mojemu synowi: „Jesteś mężczyzną”. Gdzie jest dziś to przejście?

CAMPBELL: Nie mam na to odpowiedzi. Wyobrażam sobie, że musisz to zostawić swemu chłopcu; w którymś momencie powinien on poczuć, że dysponuje już własną siłą. Młody ptak wie, kiedy może latać. Tuż obok miejsca, gdzie jadamy śniadania, mamy parę ptasich gniazd i widzieliśmy już kilka ptasich rodzin, jak wywodzą swoje młode na świat. Te małe stworzonka nigdy się nie mylą. Siedzą sobie na gałęzi, aż poczują, że potrafią latać, i wtedy lecą. Myślę, że człowiek w głębi duszy jakoś to wie.

Mogę na przykład powiedzieć ci o paru znanych mi studentach sztuki. Otóż przychodzi chwila, kiedy wiedzą już oni wszystko, czego mógł ich nauczyć dany artysta. Opanowali rzemiosło i są gotowi do samodzielnego lotu. Niektórzy z artystów pozwalają na to swoim studentom. Czekają na ten ich lot. Inni pragną założyć szkołę i student przekonuje się, że aby rozwinąć skrzydła, musi być niemity dla swego nauczyciela albo rozpowiadać o nim paskudne rzeczy. Ale jest to wina samego nauczyciela, który w stosownym czasie powinien był zdać sobie sprawę, że pupil pragnie sobie polecieć. Znani mi studenci, ci, którzy rzeczywiście są coś warci, wiedzą, kiedy mają ruszać o własnych siłach.

MOYERS: Jest taka stara modlitwa: „Boże, poucz nas, kiedy mamy odejść”. Chyba powinniśmy to wiedzieć, nieprawdaż?

CAMPBELL: To jest wielki problem dla rodziców. Rodzicielstwo to jedno z najtrudniejszych powołań, jakie znam. Gdy pomyślę, ile wyrzeczeń

kosztowało moich rodziców wyprowadzenie na ludzi nas, ich dzieci – cóż, odczuwam prawdziwy podziw.

Mój ojciec był człowiekiem interesu, toteż byłby oczywiście bardzo zadowolony, gdyby jego syn też wszedł do biznesu i wziął go na swoje barki. I rzeczywiście, zrobiłem tak i przez parę miesięcy siedziałem z tatą w biznesie, ale potem pomyślałem: „Do licha, to nie dla mnie!” A on pozwolił mi odejść. Przychodzi w życiu taka chwila, gdy przed samodzielnym lotem samego siebie musisz poddać próbie.

MOYERS: Mity zwykle pomagają nam określić moment startu.

CAMPBELL: Mity proponują ci pewne gotowe formuły. Mówią na przykład, że osiągnąwszy określony wiek, powinieneś stać się dorosłym. Ten wiek może być jakąś sensownie wyliczoną przeciętną, ale w rzeczywistości, w jednostkowym życiu, może być bardzo różny. Niektórzy ludzie dojrzewają wolno i poszczególne etapy osiągają w stosunkowo późnym wieku. Sam powinieneś wyczuwać, w którym właśnie jesteś miejscu. Masz tylko jedno życie i żyjesz za siebie, nie za sześciu innych ludzi. Trzeba na to uważać.

MOYERS: A co ze szczęściem? Jestem, dajmy na to, młody i chcę być szczęśliwy. Co mity mówią mi o szczęściu?

CAMPBELL: Własne szczęście uświadamiasz sobie w ten sposób, że zatrzymujesz w umyśle chwile, gdy czujesz się najbardziej i naprawdę szczęśliwy – nie podekscytowany ani przejęty dreszczem, ale po prostu głęboko szczęśliwy. To wymaga pewnej zdolności do samoanalizy. Co mianowicie napędza cię szczęściem? Trzymaj się tego, nie zważaj, co mówią ludzie. To właśnie nazywam „podążaniem za swoim szczęściem”.

MOYERS: Ale w jaki sposób mitologia mówi mi o moim szczęściu?

CAMPBELL: Mity nie powiedzą, co zapewni ci szczęście, ale powiedzą, co się stanie, gdy pójdziesz za swoim szczęściem, jakie napotkasz przy tym przeszkody.

W opowieściach amerykańskich Indian jest na przykład motyw, który nazwałem „odrzućciem zalotników”. Jest sobie młoda, piękna i urocza dziewczyna, której młodzi ludzie proponują małżeństwo. „Nie, nie – mówi ona – nie ma w okolicy nikogo odpowiedniego dla mnie”. Wtedy zjawia się wąż – albo, gdy chodzi o chłopca, który nie chce mieć do czynienia

z dziewczętami, może zjawić się królowa węzów z wielkiego jeziora. Z chwilą gdy panna odrzuca zalotników, wznosi się ponad swoją lokalną sferę i sytuuje się w sferze wyższych mocy, wyższego niebezpieczeństwa. Pytanie tylko, czy potrafi im sprostać...

W innych indiańskich opowieściach mamy motyw matki i dwóch małych chłopców. Matka mówi: „Możecie się bawić koło domów, ale nie idźcie na północ”. Oni, rzecz jasna, idą na północ. Poszukiwacze przygód.

MOYERS: A sęk tkwi w czym?

CAMPBELL: W tym, że gdy odrzucasz zalotników, odmawiasz przekroczenia pewnej granicy, zaczyna się przygoda. Wkraczasz na nowy, nie chroniony obszar. Nie zyskasz mocy twórczej, jeśli nie pozostawisz za sobą wszystkiego, co związane, ustalone, wszystkich reguł.

Mamy też legendę irokeską ilustrującą ten motyw odrzucenia zalotników. W wigwamie na skraju wioski żyła razem z matką pewna dziewczyna. Była bardzo piękna, ale też nadzwyczaj dumna, więc nie chciała żadnego z chłopców. Matka miała przez nią okropnie dużo zgrzyot.

Pewnego dnia, gdy obie odeszły daleko od wioski, aby zbierać drewna na opał, nagle spowiła je jakaś złowieszcza ciemność. Nie był to wcale mrok zapadającej nocy. Kiedy ogarnia cię ciemność tego rodzaju, możesz być pewien, że jest to sprawka jakiegoś czarownika. Matka mówi więc: „Zbierzmy trochę kory, aby postawić wigwam; nazbieramy też drzewa na ognisko i po prostu przenocujemy tutaj”.

Uwinęły się z tym raz dwa, zrobiły sobie kolację, po czym matka poszła spać. Wtem dziewczyna podnosi wzrok i widzi stojącego przed nią wspaniałego młodzieńca przystrojonego szarfą z wampumem i pięknymi czarnymi piórami; w sumie gość całkiem do rzeczy. Mówi do niej: „Przyszedłem, aby cię poślubić. Czekam na odpowiedź”.

Ona na to: „Muszę naradzić się z matką”.

Zasięga zdania matki, a ta przyjmuje młodzieńca, który w dowód swych poważnych zamiarów wręcza jej swój pas z wampumem. Potem zwraca się do dziewczyny: „Chciałbym, żebyś dzisiaj wieczorem przysłała do mojego obozu”. Dziewczyna idzie z nim. Zwykli ludzie nie byli dostatecznie dobrzy dla tej młodej damy, więc teraz dostaje ona coś rzeczywiście ekstra.



Ilustracja Stevena Partona.

Ku jej zdziwieniu wyciąga ją z wody.

Nie wiedziała, że jest w wodzie.

*Innymi słowy, poprzez małżeństwo
przeniosła się ze sfery racjonalnej, świadomej,
w sferę rządzoną przymusami nieświadomego.*

MOYERS: Gdyby nie powiedziała „nie” pierwszym absztyfikantom, którzy pojawili się rutynowo, w ramach społecznego konwensu...

CAMPBELL: ...to nie spotkałaby jej ta przygoda. A przygoda jest dziwna i cudowna. Dziewczyna towarzyszy młodzieńcowi do jego wioski, wchodzi do jego chaty. Spędzają razem dwie doby, a trzeciego dnia chłopak mówi do dziewczyny: „Dziś wychodzę na polowanie”. I wychodzi. Ledwo jednak zatrzasnął za sobą drzwiczki, ona słyszy na zewnątrz jakiś dziwny dźwięk. Cały dzień spędza sama, a kiedy zapada wieczór, znów słyszy ten dziwny dźwięk. Drzwi wejściowe otwierają się nagle i do środka wpelza kolosalnych rozmiarów wąż o żądlastym, ruchliwym języku. Składa swój łeb na jej podolku i mówi: „Teraz wyskaj mnie”. Ona go iska i znajduje na jego głowie mnóstwo różnych okropnych rzeczy; gdy wytłukła je wszystkie, on podnosi głowę, wyslizguje się z chaty – i oto drzwiczki niemal w tej samej chwili, w której zamknęły się za nim, znów się otwierają, do izby zaś wchodzi ten sam co przedtem przystojniak, małżonek dziewczyny. „Czy bałaś się mnie, gdy przed chwilą przyszedłem do ciebie w tej innej postaci?” – pyta.

„Nie – odpowiada ona – ani trochę”.

Nazajutrz znów wychodzi na polowanie, ona też zaraz opuszcza chatę, by nazbierać drzewa na opał. Pierwsze, co widzi, to ogromnego węża wygrzewającego się na skałach; potem widzi jeszcze jednego i jeszcze jednego. Robi jej się jakoś dziwnie, nieswojo, odczuwa tęsknotę za domem i zniechęcenie, więc wraca do chaty.

Wieczorem wąż znów przypelza, odchodzi i wraca jako człowiek. Na trzeci dzień po jego odejściu młoda kobieta postanawia spróbować wydostać się z tego miejsca. Wychodzi z chaty i zapuszcza się w las; przystaje, namyśla się i nagle słyszy głos. Odwraca się i spostrzega małego starego człowieczka, który mówi do niej: „Dziecko, widzę, że masz kłopot. Człowiek, którego poślubiłaś, jest jednym z siedmiu braci. Są to wielcy czarownicy, a ludzie tego rodzaju mają zwykle serca gdzie indziej, nie w swoich ciałach. Wracaj do chaty i poszukaj pod wykiem tego z braci, któremu jesteś poślubiona; znajdziesz tam ukryty worek z siedmioma sercami”. Jest to znany na całym świecie standardowy motyw szamanistyczny: czarownik nie nosi swojego serca w ciele, więc nie można go zabić. Najpierw trzeba by odnaleźć i zniszczyć serce.

Dziewczyna wraca do chaty, znajduje worek z sercami i wybiegając słyszy głos: „Stój, stój!” Woła na nią, rzecz jasna, czarownik. Ona biegnie nadal, głos zaś woła: „Może myślisz, że uciekniesz ode mnie, ale nigdy ci się to nie uda”.

Dziewczę zaczyna już opadać z sił, ale znów słyszy głos małego staruszka. „Pomogę ci” – mówi do niej i ku jej zdziwieniu wyciąga ją z wody. Nie wiedziała, że jest w wodzie. Innymi słowy, przez małżeństwo przeniosła się ze sfery racjonalnej, świadomej, w sferę rządzoną przymusami nieświadomego. Taki jest zawsze symboliczny sens przygód dziejących się pod wodą. Osobowość człowieka obsuwa się ze sfery działań kontrolowanych w sferę zdarzeń transpersonalnych, którymi włada ślepy mus. Być może da się nad nimi zapanować, a może nie.

Dalszy ciąg tej historii jest taki: gdy staruszek wyciąga z wody dziewczynę, widzi ona, że znajduje się w otoczeniu gromady staruszków podobnych kropka w kropkę do jej wybawiciela. Są to Grzmotowładcy, reprezentujący potęgę wyższej atmosfery. Oznacza to, że nadal przebywa ona w sferze transcendentnej, w której znalazła się, odrzucając zalotników. Dopiero teraz, oderwawszy się od negatywnego aspektu tych mocy, zawiadnęła aspektem pozytywnym.

Ta irokeska opowieść jest bardzo długa, jest w niej jeszcze o tym, jak nasza młoda kobieta, teraz już w służbie wyższych mocy, pomogła im w zniszczeniu złych potęg otchłani i jak później, wędrując wśród nawałnicy, odnalazła drogę do chaty swej matki.

MOYERS: Czy to właśnie opowiadasz swoim studentom, aby zilustrować tezę, że sama przygoda będzie dla nich jedyną nagrodą, o ile pójdą za swoim szczęściem i wykorzystają szansę, jaką oferuje im życie?

CAMPBELL: Tak, przygoda jest swoją własną nagrodą, tyle że zawsze niebezpieczną, kryjącą w sobie złe i dobre możliwości, a wszystkie poza naszą kontrolą. Idziemy własną drogą, nie drogą Taty ani Mamy, toteż nic nas nie chroni na obszarze poddanym władzy potęg wyższych niż te, które znamy. Człowiek musi mieć jakieś wyczucie możliwych na tym polu konfliktów, i garść archetypowych historii w rodzaju powyższej może nam pomóc w zorientowaniu się, czego możemy oczekiwać. Jeśli byliśmy zuchwali* i zupełnie nie nadawaliśmy się do roli, w jaką sami się

* W oryg. *impudent* – „zuchwały”, „bezwstydny”.
Niewykluczone jednak, że jest tu błąd literowy
i że należałoby raczej czytać *imprudent* –
„nierozważny”, „nieroztropny”, „nierozsądny”.

wpakowaliśmy, nasze małżeństwo stanie się istnym piekłem i chaosem. Ale nawet w takiej sytuacji możemy usłyszeć głos ratunku, dzięki czemu niebezpieczna przygoda zmieni się w coś tak wspaniałego, że przekroczy wszelkie nasze wyobrażenia.

MOYERS: Wygodniej jest siedzieć w domu, w łonie, nie wyruszać w żadną podróż.

CAMPBELL: Tak, ale wówczas twoje życie może wyjałowić, ponieważ nie wędrujesz własnym szlakiem, choćby i ryzykownym. Z tej drugiej strony zdarzyło mi się kiedyś doświadczenie wprost przeciwne i zupełnie zdumiewające – spotkałem mianowicie i poznałem bliżej człowieka, którego cała młodość upłynęła pod kontrolą i kierownictwem innych, ludzi wysokiego i niskiego szczebla. Ten mój przyjaciel jest Tybetańczykiem, który w dzieciństwie został rozpoznany jako kolejne wcielenie pewnego opata inkarnującego się nieprzerwanie od mniej więcej siedemnastego wieku. Zabrano go do klasztoru, gdy miał około czterech lat, i od tej chwili nikt go nigdy nie pytał, na co ma ochotę, tylko we wszystkim musiał co do joty przestrzegać zaleceń i pouczeń swoich mistrzów. Całe jego życie zaplanowano zgodnie z rytualnymi wymogami obowiązującymi w tybetańskim klasztorze buddyjskim. Każdy etap jego duchowego rozwoju był świętowany stosownymi ceremoniami. Jego osobiste życie zostało przeniesione w wymiar archetypowej wędrówki, toteż, chociaż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że nie cieszy się on bodaj odrobiną osobistego życia, w istocie toczyło się ono na bardzo głębokim, archetypicznym poziomie, jak życie bóstwa.

W 1959 r. to życie skończyło się. Garnizon komunistycznych wojsk chińskich stacjonujący w Lhasie zbombardował letni pałac Dalajlamy i rozpoczął się okres masakr. Wokół Lhasy znajdowały się klasztory liczące nawet do sześciu tysięcy mnichów; wszystkie zostały zniszczone, a mnichów i opatów zabijano i torturowano. Wielu uciekło, razem z setkami innych uchodźców, przez niemal niedostępne Himalaje do Indii. Jest to straszliwa historia, w dużej mierze nie znana.

Wszyscy ci zmaltretowani ludzie dotarli w końcu do Indii, które ledwo są w stanie zapewnić opiekę własnej ludności; wśród uchodźców był sam Dalajlama i szereg czołowych dostojników oraz przeorów wielkich

klasztorów, obecnie zniszczonych. Wszyscy byli zgodni: buddyjski Tybet przestał istnieć. Wobec tego mojemu przyjacielowi i innym młodym mnichom, którym udało się uciec, poradzono, aby uważali się za zwolnionych ze ślubów, tak że mogą swobodnie zdecydować, czy nadal chcą w jakiejś formie prowadzić życie mnichów, czy też zrezygnować z tego i próbować jakoś inaczej, na nowo ukształtować swoje życie stosownie do potrzeb i możliwości współczesnego człowieka świeckiego.

Mój przyjaciel wybrał to ostatnie, nieświadom, rzecz jasna, jakie czekają go na tej drodze rozczarowania, ubóstwo i cierpienia. Było mu naprawdę bardzo ciężko, ale przetrwał to jakoś, okazując siłę ducha i spokój świętego. Nic nie wytrąca go z równowagi. Znam go i pracuję z nim już od dziesięciu lat, a przez cały ten czas nie słyszałem od niego ani jednego słowa oskarżenia przeciwko Chińczykom bądź narzekania na to, jak potraktowano go tu, na Zachodzie. Również od Dalajamy nigdy nie usłyszysz słowa urazy ani potępienia. Wszyscy ci ludzie i ich przyjaciele stali się ofiarami straszliwego wstrząsu i okropnej przemocy, a jednak nie ma w nich nienawiści. Właśnie od tych ludzi dowiedziałem się, czym jest religia dzisiaj – prawdziwa, żywa religia.

MOYERS: Kochaj swych nieprzyjaciół.

CAMPBELL: Kochaj swych nieprzyjaciół, bo oni są narzędziami twego losu.

MOYERS: Co mity mówią nam o Bogu, który pozwala na śmierć, w stosunkowo krótkim odstępie czasu, dwojga dzieci w jednej rodzinie, i który nadal doświadcza ją jedną klęską po drugiej? Przypominam sobie historię młodego Buddy, który na widok zgrzybiałego starca powiedział: „Hańba narodzinom, bo każdego, kto się narodził, dotknie starość”. Co mity mówią o cierpieniu?

CAMPBELL: Skoro już wspomniałeś o Buddzie, porozmawiajmy o tym przykładzie. Opowieść o dzieciństwie Buddy mówi, że urodził się on jako książę i że przy jego narodzinach prorok powiedział ojcu, iż dziecko, gdy dorośnie, stanie się albo władcą, albo nauczycielem świata. Pocziwego króla interesował tylko własny fach, i profesja nauczyciela jakiegokolwiek rodzaju była ostatnią rzeczą, której by życzył swojemu synowi. Urządził więc wszystko tak, aby dzieciak wychowywał się w wyjątkowo pięknym

pałacu, gdzie nie miało prawa bytu nic bodaj odrobinę brzydkiego lub niemilego, co mogłoby zwrócić jego umysł ku sprawom poważnym. Piękne młode kobiety grały na instrumentach i opiekowały się chłopcem. Były tam też rozkoszne ogrody, sadzawki pełne lotosów i tak dalej.

Ale pewnego dnia młody książę powiedział do swego woźnicy, który był mu najbliższym przyjacielem: „Chciałbym pojechać do miasta i zobaczyć, jak ludzie tam żyją”. Usłyszawszy to, ojciec dołożył wszelkich starań, ażeby jego syn, młody książę, nie zobaczył nic z udręk i nędz życia na tym świecie. Jednakże bogowie czuwali nad tym, aby ów ojcowski program dla syna spełził na niczym.

Gdy więc królewski wóz toczył się przez miasto – oczywiście wy-
sprzątane, przystrojone, tak by nic szpetnego nie rzuciło się w oczy – jeden z bogów przybrał postać zgrzybiałego starca i stanął sobie tak, by książę go zauważył. „Co to jest?” – spytał młody książę swego woźnicę, a ten odparł: „To jest stary człowiek. Starość”.

„Czy wszyscy ludzie starzeją się?” – zapytał książę.

„O, tak” – odrzekł woźnica.

„A więc hańba życiu” – powiedział, głęboko wstrząśnięty, młody książę, i przybity poprosił, aby zawracać do domu.

Następnym razem ujrzał człowieka chorego; był wychudły i słaby, krok miał chwiejny. I znów, dowiadując się, co oznacza ten widok, książę upadł na duchu i kazał zawracać do pałacu.

Za trzecim razem ujrzał zwłoki w otoczeniu żałobników. „To jest śmierć” – powiedział woźnica.

„Ruszaj z powrotem – rzekł książę. – Muszę poszukać jakiegoś sposobu wyzwolenia się z władzy tych niszczycieli życia – starości, choroby i śmierci”.

Jeszcze jedna wycieczka do miasta – i co widzi? Tym razem jest to zebrzący mnich. „Co to za człowiek?” – pyta.

„To święty mąż – brzmi odpowiedź woźnicy. – Mąż, który porzucił dobra tego świata i żyje bez pragnień ani bojaźni”. Za czym, powróciwszy do pałacu, młody książę postanawia opuścić dom ojcowski i udać się na poszukiwanie sposobu uwolnienia się od smutków życia.

MOYERS: Zdaje się, że większość mitów mówi, iż cierpienie to nieodłączna część życia, i że nie sposób go ominąć...

CAMPBELL: Nie znam takiego, który by zapewniał człowieka, że żyjąc nie będzie cierpiał. Mity mówią nam, jak stawiać czoło cierpieniom, znosić je i interpretować, ale nie mówią, że w życiu nie może albo nie powinno być cierpienia.

Gdy Budda mówi, że istnieje wyzwolenie się z cierpienia, to mówi o nirwanie; nie jest ona żadnym miejscem, jak niebo, lecz stanem umysłu, stanem psychicznym, w którym człowiek jest wolny od pożądań i lęków.

MOYERS: A jego życie staje się...

CAMPBELL: ...harmonijne, uładzone, afirmujące.

MOYERS: Nawet cierpienie?

CAMPBELL: Absolutnie tak. Buddyści mówią o bodhisattwie – istocie, która poznała nieśmiertelność, ale dobrowolnie wkracza w sferę rozdrobnionego czasu, aby ochoczo, radośnie uczestniczyć w smutkach tego świata. Oznacza to nie tylko samemu doświadczać tych smutków, ale mieć współczujący udział w smutkach innych ludzi. Współczucie jest to rozbudzenie się serca ze zwierzęcego egotyzmu do człowieczeństwa. Przecież „współ-czucie” to w istocie „współ-cierpienie”...

MOYERS: Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że współczucie usprawiedliwia cierpienie?

CAMPBELL: Oczywiście, że usprawiedliwia – w tym sensie, iż przyznaje: tak, cierpienie jest życiem.

MOYERS: Przypomina, że życiu towarzyszy cierpienie.

CAMPBELL: Tak, towarzyszy, ale całkiem się od niego nie uwolnisz. Kto, kiedy i gdzie na tym świecie był zupełnie wolny od życiowych zgrzyot?

Doznałem kiedyś olśnienia dzięki pewnej kobiecie, od wielu lat cierpiącej bardzo mocno wskutek jakiejś dolegliwości, która dotknęła ją w młodych latach. Wychowano ją jako wierzącą chrześcijankę, więc uważała, że jest to kara, którą Bóg spuścił na nią za coś, która wówczas zrobiła albo czego nie zrobiła. Jej udręka była duchowa i zarazem fizyczna. Powiedziałem jej, że jeśli pragnie ulgi, nie powinna negocjować, lecz właśnie afirmować fakt jedności swego cierpienia i swego życia, i to, że właśnie dzięki cierpieniu stała się szlachetną istotą, którą obecnie jest. Jednakże mówiąc to wszystko myślałem: „Kimże ja, u licha, jestem, aby mówić takie rzeczy komuś, kto

naprawdę cierpi, ja, który w życiu poznałem co najwyżej ból zębów?” A jednak właśnie wtedy, podczas tej rozmowy owa kobieta, przynajmniej, że cierpienie ukształtowało jej życie i było dla niej nauczycielem – przeżyła nawrócenie. Później (a było to wiele, wiele lat temu) utrzymywałem z nią kontakt i wiem, że istotnie jest to już nie ta sama osoba.

MOYERS: Nagle doznała oświecenia...

CAMPBELL: Tak – i byłem tego świadkiem.

MOYERS: Pod wpływem czegoś, co jej powiedziałeś, nawiązując do mitologii?

CAMPBELL: Tak, choć trochę trudno to wytłumaczyć. Otóż wpoilem w nią przeświadczenie, że sama jest przyczyną własnego cierpienia, że w jakiś sposób sama je spowodowała. U Nietzschego spotykamy ważną ideę – *amor fati*, czyli „umiłowania własnego losu”, to znaczy w istocie własnego życia. Według niego, jeśli mówisz „nie” choćby tylko jednemu składnikowi swojego życia, to drzesz na strzępy całość. Ponadto twierdzi on, że im większe i groźniejsze jest wyzwanie sytuacji, którą człowiek ma zasymilować, tym większy jest format tego, kto potrafi to uczynić. Demon, którego zdolny jesteś przelknąć, udziela ci swojej siły, a im większy jest ból życia, tym więcej od niego dostajesz.

Moja znajoma myślała: „To zrobił mi Bóg”. Powiedziałem jej: „Nie, zrobiłaś to sobie sama. Bóg jest w tobie. Sama jesteś swoim stwórcą. Jeśli odnajdziesz w sobie miejsce, z którego wywiodłaś to wszystko, potrafisz z tym żyć i zaakceptować to, może nawet cieszyć się tym jako swoim życiem”.

MOYERS: Jediną alternatywą byłoby nie żyć.

CAMPBELL: „Wszelkie życie jest cierpieniem” – powiedział Budda, a znów u Joyce’a masz zdanie: „Czy życie warte jest życia?”*

MOYERS: A co z młodym człowiekiem, który mówi: „Nie postanawiam, że przyjdę na świat, decyzję podjęli za mnie rodzice”.

CAMPBELL: Freud mówi, że za wszystkie niedogodności naszego życia mamy winić rodziców; Marks – że wyższe klasy społeczeństwa. Ale jedynymi winnymi jesteśmy my sami. Tak wynika z bardzo użytecznej

* W oryginale zdanie to brzmi: *Is life worth leaving?* Mamy w nim oczywisty błąd, wynikły zapewne ze sposobu przygotowania tekstu tej książki (z zapisu magnetofonowego). *Leaving* znaczy „porzucenie”, „odejście”, „pozostawienie”, tymczasem powinniśmy tu mieć *living* – „życie”, „przeżywanie”. Nb. oba słowa wymawiane są dość podobnie.

indyjskiej idei *karmana*. Twoje życie jest owocem twych własnych działań. Nie możesz winić nikogo oprócz siebie samego.

MOYERS: No dobrze – ale przypadek! Pijany kierowca skręca i uderza w ciebie. To nie twoja wina, nie zrobiłeś sobie tego sam...

CAMPBELL: Czy, patrząc na swoje życie pod tym kątem, widzisz w nim coś, co nie byłoby wynikiem przypadku? Chodzi o to, żeby umieć zaakceptować przypadek. Ostatecznym oparciem dla życia jest przypadek – na przykład ten, że twoi rodzice się spotkali! Przypadek – albo to, co przypadkiem może się wydawać – jest środkiem, przez który urzeczywistnia się życie. Problem polega nie na tym, by potępiać bądź wyjaśniać pojawiające się życie, ale by dawać sobie z nim radę. Na przykład gdzieś wybucha nowa wojna, zostajesz wcielony do armii i masz przed sobą pięć, sześć lat życia niosącego cały szereg zupełnie nowych, przypadkowych zdarzeń. Najlepsza rada to przyjąć je wszystkie tak, jak gdybyś tego właśnie pragnął. W ten sposób włączasz w to wszystko swoją wolę.

MOYERS: We wszystkich tych mitologicznych wędrówkach jest jakieś miejsce, które każdy pragnie znaleźć: buddyści mówią o nirwanie, Jezus mówi o pokoju, o domu z wieloma mieszkaniami. Czy takie miejsce, które trzeba znaleźć, jest czymś typowym dla podróży bohatera?

CAMPBELL: To miejsce trzeba znaleźć w sobie samym. Wiem trochę o tym, bo uprawiałem sport. Zawodnik będący w szczytowej formie ma w sobie takie ciche miejsce, wokół którego jakoś obracają się wszystkie jego działania. Jeśli on sam rzuca się cały w to pole działania, nie osiągnie oczekiwanego wyniku. Moja żona, tancerka, mówi, że dokładnie tak samo jest z tańcem. Mamy w sobie jakiś ośrodek spokoju, który trzeba rozpoznać i utrzymać. Tracąc go, stajemy się łupem napięć i zaczynamy rozpadać się od środka.

Takim centrum spokoju jest buddyjska nirwana. Buddyzm to religia psychologiczna, jej punktem wyjścia jest psychologiczny problem cierpienia. Wszelkie życie jest pełne zgrzyot, ale przecież jest z nich jakieś wyjście – właśnie nirwana, będąca stanem umysłu bądź świadomości, a nie żadnym miejscem, jak niebo. Ona jest tu, wśród zgiełku życia. To stan, który odnajdujesz z chwilą, gdy siłą napędową twego życia przestają być przymusy pragnień, lęków i społecznych obowiązków, gdyż już odnalazł

w sobie ośrodek wolności i możesz działać swobodnie, wedle swej woli, bo tkwisz w nim. Dobrowolne działanie, płynące z tego centrum, jest działaniem bodhisattwy, jest ochoczym współuczestniczeniem w smutkach świata. Nic nie zniewala cię gwałtem, bo uwolniłeś się już od zniewolicieli – strachu, żądz i obowiązku. To oni są władcami świata.

W tybetańskim buddyzmie istnieje bardzo pouczające malowidło przedstawiające tak zwane Koło Życia. W klasztorach to malowidło umieszcza się nie wewnątrz budynku, ale na jego ścianie zewnętrznej. Malunek przedstawia obraz świata, jaki ukazuje się umysłowi sparaliżowanemu jeszcze przez strach przed Panem Śmierci. Sześć sfer bytu wyobrażonych jest jako szprychy wiecznie obracającego się koła: sfera życia zwierzęcego, następnie ludzka, potem sfera bogów niebieskich i czwarta – dusz cierpiących kary piekielne. Piąta sfera należy do wojowniczych antybogów albo Tytanów. I na koniec szósta – sfera wygłodniałych upiórów, dusz tych, w których miłości dla innych było przywiązanie, lgnięcie, oczekiwanie. Wygłodniałe upiory mają ogromne, nienasycone brzuchy i usta małe jak dziurki po szpilce. Jednakże pośrodku każdej z tych sfer widzimy postać Buddy symbolizującą możliwość wyzwolenia i oświecenia.

W piąście koła mamy trzy symboliczne zwierzęta – świnię, koguta i węża. To siły, dzięki którym koło się kręci – niewiedza, pożądanie i złość. Wreszcie obręcz koła reprezentuje ciasny horyzont świadomości człowieka, którym powoduje ta trójca sił z piasty i którego trzyma w swoim uścisku strach przed śmiercią. W środku, wokół piasty i tych jej „trzech trucizn”, widać dusze spadające w ciemność oraz inne, wznoszące się ku oświeceniu.

MOYERS: Czym jest oświecenie?

CAMPBELL: Jest to uświadomienie sobie, że jedna i ta sama wieczność promieniuje z wszystkich rzeczy, obojętne, czy w perspektywie czasowej są one osądzone jako dobre czy też jako złe. Żeby do tego dojść, musisz całkowicie wyzwoić się z pożądania dóbr tego świata i ze strachu przed ich utratą. „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni” – takie słowa Jezusa czytamy. „Gdyby wrota postrzegania były czyste – napisał Blake – człowiek widziałby wszystko tak, jak jest, jako nieskończoność”.

MOYERS: Trudna to droga...

CAMPBELL: To droga podniebna.

MOYERS: Czy naprawdę tylko dla świętych i mnichów?

CAMPBELL: Nie; myślę, że również dla artystów. Prawdziwy artysta to ten, kto potrafi rozpoznać i oddać coś, co Joyce nazwał „promieniowaniem” rzeczy, ich epifanią albo objawieniem ich wewnętrznej prawdy.

MOYERS: Czy jednak cała reszta, my, zwyczajni śmiertelnicy, nie zostajemy w tym wszystkim gdzieś daleko z tyłu?

CAMPBELL: Nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak „zwyczajny śmiertelnik”. Każdy ma możliwość przeżycia – na swoją miarę – zachwycenia, olśnienia. Musi tylko je rozpoznać i następnie pielęgnować, i obcować z tym stale. Zawsze odczuwam przykrość, gdy ludzie mówią o „zwyczajnych śmiertelnikach”, bo ja nigdy nie spotkałem nikogo zwyczajnego – ani mężczyzny, ani kobiety, ani dziecka.

MOYERS: Czy więc sztuka jest jedyną drogą do tego oświecenia?

CAMPBELL: Sztuka i religia to dwie najbardziej wskazane drogi. Nie sądzę, że można to osiągnąć wyłącznie przez filozofię akademicką, która wszystko wikła w pojęcia. Natomiast po prostu życie z sercem współczująco otwartym na innych – oto droga stojąca otworem dla wszystkich.

MOYERS: A więc przeżycie oświecenia dostępne jest każdemu, nie tylko świętym lub artystom. Jeśli jednak potencjalnie jest ono w każdym z nas, głęboko zamknięte w skrzyni pamięci, to jak tę skrzynię otworzyć?

CAMPBELL: Ktoś w tym otwieraniu musi ci pomóc. Może masz bliskiego przyjaciela lub dobrego nauczyciela? Ta pomoc może przyjść od konkretnej istoty ludzkiej albo od jakiegoś przeżycia w rodzaju wypadku samochodowego bądź od szczególnie mądrej książki. Jeśli o mnie idzie, na ogół otrzymuję ją od książek, choć miałem też w życiu wielu wspaniałych nauczycieli.

MOYERS: Czytając twoje prace, myślę sobie: „Panie Moyers, mitologia oddała ci tę wielką przysługę, że umieściła cię na gałęzi bardzo starego drzewa. Jesteś okrucieństwem społeczności żyjących i umarłych, która istniała na długo przed twoim pojawieniem się tutaj i która będzie istnieć jeszcze długo po twym odejściu. Ona cię żywiła i ochraniała, i ty ze swej strony też powinienes żywić ją i ochraniać”.

CAMPBELL: Tak, zapewniam cię, że może ona być wielką podporą w życiu. To zdumiewające, jak ogromnie moje życie wzbogaciło się, czerpiąc z tej skarbnicy.

MOYERS: Ludzie jednak pytają: czy mit to nie kłamstwo?

CAMPBELL: Nie, mitologia nie jest kłamstwem, jest poezją, bo operuje metaforami. Ktoś trafnie stwierdził, że mitologia jest przedostatnią prawdą – przedostatnią, bo tej ostatecznej nie można ująć w słowach. Ona jest poza wszelkim słowem i obrazem, poza tą graniczną obręczą buddyjskiego Koła Życia. Mit wyrzuca umysł poza tę obręcz, ku czemuś, co może być poznane, ale nie może być wypowiedziane. A więc jest to prawda przedostatnia.

Jest ważne, byśmy przeżywali życie, doświadczając – a więc i mając świadomość – jego tajemnicy, a także naszej własnej tajemnicy. To nadaje życiu blask, nową harmonię, nową wspaniałość. Myślenie w kategoriach mitologicznych pomaga nam dojść do zgody z tym, co nieuchronnie nas czeka na naszym padole łez. Człowiek uczy się rozpoznawać wartości pozytywne w tym, co na pierwszy rzut oka wydaje mu się ciemnym, negatywnym aspektem życia. Cały problem sprowadza się do tego, czy potrafimy rzec wspaniałomyślne „tak” naszej przygodzie.

MOYERS: Przygodzie heroicznej?

CAMPBELL: Tak, heroicznej – bo samo życie jest ryzykowną przygodą.

Wczesna bogini.

*Kiedy jako stwórcę masz Boginię,
to jej własne ciało
jest wszechświatem.
Jest ona tożsama z wszechświatem.*

Szu oddzielający Sibę od Nut.

*Często myślałem, że mitologia jest sublimacją
obrazu matki.
Mówimy o Matce-Ziemi.
W Egipcie masz Matkę-Niebo,
Boginię Nut,
przedstawianą jako cała sfera niebieska.*



VI PODARUNEK BOGINI

*Mity o Wielkiej Bogini
uczą współczucia dla wszystkiego,
co żyje. Dzięki nim uczynasz
szanować prawdziwą świętość
samej ziemi,
gdyż jest ona ciałem Bogini.*

MOYERS: Pacierz zaczyna się od słów: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie...” Czy mógłby się zacząć słowami „Matko nasza”?

CAMPBELL: Jest to obraz symboliczny. Odniesieniem dla wszystkich obrazów religijnych i mitologicznych są poziomy świadomości albo pola doświadczenia, potencjalnie obecne w ludzkim duchu. Te obrazy wywołują postawy i przeżycia dostosowane do medytacji nad tajemnicą źródła, z którego wypływa twój własny byt.

Istniały takie systemy religijne, w których pierwszym rodzicielem, źródłem, była matka. Matka w istocie to rodziciel bardziej bezpośredni niż ojciec, bo każdy rodzi się z matki, a pierwszym doświadczeniem każdego noworodka również jest matka. Często myślałem, że mitologia jest sublimacją obrazu matki. Mówimy o Matce-Ziemi. W Egipcie masz Matkę-Niebo, Boginię Nut, przedstawianą jako cała sfera niebieska.

MOYERS: W Egipcie, w jednej ze świątyń, stałem jak urzeczony, gdy po raz pierwszy zobaczyłem na suficie postać Nut.

CAMPBELL: Tak, znam tę świątynię.

MOYERS: Robi ogromne wrażenie, bo potrafi budzić lęk, a jednocześnie jest bardzo zmysłowa.

CAMPBELL: Tak. Idea Bogini związana jest z faktem, że narodziłeś się z matki, ale ojca możesz nie znać albo też on już nie żyje. W utworach epicznych często bywa tak, że gdy bohater się rodzi, jego ojciec już nie żyje albo przebywa w jakimś innym miejscu, toteż bohater musi wyruszyć na jego poszukiwanie.

W historii wcielenia Jezusa – przynajmniej w jej warstwie symbolicznej – jego ojcem był ojciec niebieski. Jezus, idąc na krzyż, wyrusza do ojca, matkę zaś pozostawia. A krzyż, symbolizujący ziemię, jest też symbolem matki. Tak więc Jezus, wisząc na krzyżu, pozostawia swe ciało matce, od której to ciało otrzymał, i odchodzi do ojca, który jest najwyższym, transcendentnym źródłem tajemnicy.

MOYERS: W jaki sposób to poszukiwanie ojca oddziaływało na nas w ciągu wieków?

CAMPBELL: Jest to jeden z głównych tematów mitów. Istnieje pewien drobny motyw, występujący często w opowieściach o bohaterach; gdy

chłopiec mówi: „Mamo, kto jest moim ojcem?” Matka zwykle odpowiada: „Widzisz, on jest tam a tam”, po czym chłopiec wyrusza na poszukiwanie ojca.

W *Odysei* Telemach, syn Odyszeusza, jest małym berbeciem, gdy Odyszeusz wyrusza na wojnę trojańską. Wojna trwa dziesięć lat, a w drodze powrotnej Odyszeusz przepada gdzieś w tajemniczym, mitycznym świecie Śródziemnomorza na następne dziesięć lat. Przed Telemachem, mającym już dwadzieścia lat, pojawia się Atena i mówi mu: „Idź i odszukaj swego ojca”. Ale Telemach nie wie, gdzie jest ojciec, idzie więc do Nestora i pyta: „Jak myślisz, gdzie może być mój ojciec?” Nestor odpowiada: „Idź spytać Proteusza”. Telemach wędruje, szukając ojca.

MOYERS: W *Wojnach gwiazdnych* Luke Skywalker mówi do swoich towarzyszy: „Szkoda, że nie znałem swego ojca”. W tym obrazie poszukiwania ojca jest coś imponującego. Dlaczego nie szuka się matki?

CAMPBELL: Cóż, matka po prostu jest tu zawsze. Rodzisz się z matki, ona cię karmi, uczy i wychowuje aż do czasu, kiedy musisz poszukać ojca.

Otóż odnalezienie ojca ma ścisły związek z odnalezieniem własnego charakteru i losu. Istnieje przekonanie, że charakter dziedziczny po ojcu, natomiast ciało i, bardzo często, umysł – po matce. Jednakże tajemnicą jest właśnie twój charakter i tenże charakter jest twoim losem, przeznaczeniem. Tak więc poszukiwanie ojca jest właśnie symbolem odkrywania własnego przeznaczenia.

MOYERS: Zatem, odnajdując ojca, odnajdujesz samego siebie?

CAMPBELL: W angielszczyźnie mamy słowo *at-one-ment*, „z-jedno-czenie” z ojcem*. Przypominasz sobie, jak to Jezus, wówczas chłopczyk liczący około dwunastu lat, zgubił się w Jerozolimie. Rodzice poszukują go wszędzie i odnajdują wreszcie – w świątyni, dyskutującego z doktorami prawa. Pytają go wtedy: „Synu, czemuś nam to uczynił? Czemuś przyprowadził nas o taki strach i niepokój?” A on mówi: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?” Ma dwanaście lat – wiek młodzieńczych wtajemniczeń, dowiadywania się, kim się jest.

MOYERS: Ale co się przez ten czas stało z tym szacunkiem, jakim w pierwotnych społeczeństwach otaczano postać Bogini, Wielką Boginię, matkę-ziemię? Co się z tym stało?

* Angielskie słowo *atonement* znaczy właściwie „skrucha”, „pokuta” i nie ma żadnego etymologicznego związku ze zwrotem *at one* „razem”, „w jedność z...”.
co zdaje się sugerować J. Campbell.



A



B

A. Wizerunek przedstawiający narodziny.

B. Sowiokształtna bogini odrodzonego życia.

Element żeński przedstawia to, co w terminologii Kantowskiej nazywamy „formami naoczności”.

*Żeńskość jest samym czasem i przestrzenią,
a kryjąca się za nią tajemnica
wykracza poza wszelkie pary przeciwieństw.*

Nie jest więc ona ani męskim, ani żeńskim.

Jest w niej wszystko, toteż bogowie są jej dziećmi.

CAMPBELL: Ten szacunek kojarzy się głównie z rolnictwem i ze społecznościami rolniczymi. Ma on związek z ziemią. Kobieta rodzi, dokładnie tak jak ziemia rodzi rośliny. Daje pokarm, tak jak rośliny. Toteż magia żeńska i magia ziemi są tym samym. Są powiązane. A personifikacja energii rodzącej formy i karmiącej formy jest, co oczywiste, rodzaju żeńskiego. Właśnie w rolniczym świecie starożytnej Mezopotamii, nad egipskim Nilem i we wczesnych systemach opartych na hodowli roślin Bogini jest dominującą postacią mityczną.

W Europie znaleziono setki wczesnoneolitycznych figurek Bogini, ale prawie ani jednego posążka męskiego. W figurach byka i niektórych innych zwierząt, jak knura albo kozła, można upatrywać symbole siły męskiej, ale jedynym materialnie wyobrażanym bóstwem była w owym czasie Bogini.

Kiedy jako stwórcę masz Boginię, jej własne ciało jest wszechświatem. Jest ona tożsama z wszechświatem. Taki właśnie sens zawiera postać Bogini Nut, którą widziałeś w egipskiej świątyni. Jest ona całą sferą niebios, mieszczącą w sobie wszelkie życie.

MOYERS: Albo taka scena: Bogini połyka słońce. Pamiętasz?

CAMPBELL: Chodzi o to, że ona połyka słońce na zachodzie, a rodzi je na wschodzie; podczas nocy słońce wędruje przez jej ciało.

MOYERS: A więc dla tamtych ludzi byłoby czymś naturalnym wyjaśnianie dziwów świata przez odwoływanie się do postaci kobiecej, do tego, co widzieli we własnym życiu.

CAMPBELL: Więcej nawet; jeśli uwzględniś filozoficzny punkt widzenia, tak jak przedstawia się on w indyjskich religiach Bogini (gdzie symbolika Bogini dominuje do dziś dnia), to spostrzeżesz, że element żeński reprezentuje *maję*. Przedstawia to, co w terminologii Kantowskiej nazywamy „formami naoczności”. Żeńskość jest samym czasem i przestrzenią, a kryjąca się za nią tajemnica wykracza poza wszelkie pary przeciwieństw. Nie jest więc ona ani męskim, ani żeńskim. Ani jest, ani nie jest. Jednak w niej jest wszystko, toteż bogowie są jej dziećmi. Wszystko, o czymkolwiek możesz tylko pomyśleć, cokolwiek tylko możesz zobaczyć – jest tworem Bogini.

Widziałem kiedyś świetny film naukowy o protoplazmie. To było dla mnie objawienie. Protoplazma przez cały czas jest w ruchu, przelewa się.

Wydaje się, że płynie raz tu, potem gdzie indziej – a potem tworzy jakiś kształt. Ma zdolność kształtowania. Widziałem ten film w Północnej Kalifornii i jadąc do Big Sur wzdłuż wybrzeża, przez całą drogę tylko to miałem przed oczami: oto tu protoplazma w formie trawy jest pożerana przez protoplazmę w formie krowy, tam protoplazma w formie ptaka nurkuje po protoplazmę w formie ryby. Masz wtedy fantastyczne odczucie zagładania w jakąś otchłań, z której wszystko się wynurzyło. Jednakże każda forma kieruje się własnymi celami, posiada swoje własne możliwości – i dopiero tu w grę wchodzi sens. Nie ma go w samej protoplazmie.

MOYERS: Tym sposobem nawróciliśmy do Indian, którzy uważają, że życiem i energią, przenikającą i kształtującą wszystko, jest ziemia. Cytujesz następujące wersy z *Upaniszad*: „Ty jesteś ciemnoniebieskim ptakiem i zieloną papugą o czerwonych oczach. Ty za dziecko masz błyskawicę. Ty jesteś porą roku i oceanem. Tyś bez początku, ale bytujesz w sobie, skąd biorą się wszystkie rzeczy”. Czyż nie jest to właśnie ta myśl – że my i ziemia stanowimy jedno?

Dalej, czy nie było czymś nieuniknionym, że ta idea obumrze pod naporem odkryć naukowych? Przecież wiemy, że rośliny nie rodzą się z ciał martwych ludzi, tylko rosną zgodnie z prawem nasienia, gleby, słońca. Czy Newton nie zabił mitu?

CAMPBELL: Cóż, myślę, że mit powraca. Pewien młody naukowiec* używa dziś terminu „pole morfogenetyczne” – pole wytwarzające formy. Przecież to jest właśnie Bogini, pole, które wytwarza formy.

MOYERS: Co oznacza to dla nas?

CAMPBELL: Oznacza, że musisz określić źródło twego własnego życia i ustalić, jaka jest relacja między twoim ciałem, formą fizyczną, a energią, która je ożywia. Przecież ciało bez energii jest nieżywe, nie sądzisz? A więc masz w swym własnym życiu rozróżnić to, co przynależy ciału, i to, co odnosi się do energii oraz świadomości.

W Indiach najpospolitszym symbolem tego, co ostateczne, jest *fallus*, *lingam*, jak oni tam mówią, płodzącego boga, wnikaający w waginę (*jon*) Bogini. Kontemplując ten symbol, kontemplujesz moment poczynania się wszelkiego życia. Cała tajemnica tworzenia się życia jest symbolicznie zawarta w tym kontemplowanym przez ciebie znaku.

* Chodzi o Sheldrake'a i jego teorię, wyłożoną w książce *Presence of the Past*.

Widzisz, tajemnica płciowości jest w Indiach, jak prawie wszędzie na świecie, świętą tajemnicą. Jest to tajemnica tworzenia życia. Płodzenie dziecka to akt kosmiczny i należy go pojmować jako święty. Dlatego symbol, który w sposób najbardziej naoczny przedstawia tę tajemnicę wtargnięcia energii życia w pole czasu, jest *lingam* i *joni*, moc męska i żeńska, w twórczym złączeniu.

MOYERS: Co znaczyłoby dla nas, gdybyśmy ongiś, dawno, ni stąd, ni zowąd zaczęli się modlić słowami „Matko nasza” zamiast „Ojciec nasz”? Jaką różnicę psychologiczną by to spowodowało?

CAMPBELL: Z pewnością dałoby to inny psychologiczny wizerunek naszej kultury. Weźmy przykład: główna kolebka naszej zachodniej cywilizacji znajdowała się w dolinach wielkich rzek – Nilu, Tygrysu-Eufratu, Indus, później Gangesu. Był to świat Bogini. Na przykład nazwa rzeki Ganges (*Gangā*) to imię bogini.

Ale później przysły inwazje. Tak na dobre rozszalały się one w czwartym tysiącleciu przed naszą erą i stopniowo stawały się coraz bardziej niszczycielskie. Szły z północy i z południa i w ciągu jednej nocy ścierały z powierzchni ziemi całe miasta. Poczytaj sobie tylko w Księdze Rodzaju te historie opowiadające o roli, jaką plemię Jakubowe odegrało w upadku miasta Sychem. W ciągu jednej nocy to miasto zostaje unicestwione przez ów pasterski lud, który pojawił się nagle. Najeźdźcy semiccy byli pasterzami kóz i owiec, indoeuropejcy – bydła. I jedni, i drudzy wcześniej trudnili się łowiectwem, toteż ich kultury są w zasadzie zorientowane na zwierzęta. Tam gdzie masz myśliwych, masz zabijanie. A gdy masz pasterzy, też masz zabijanie, bo oni są w ciągłym ruchu, koczują, wchodzą w konflikty z innymi ludźmi i zdobywają tereny, na które się przenoszą. Wraz z tymi inwazjami pojawiają się bogowie wojny, gromodzierzcy, jak Zeus i Jahwe.

MOYERS: A więc – miecz i śmierć zamiast fallusa i płodności?

CAMPBELL: Dokładnie; więcej, zostają one zrównane z sobą.

MOYERS: Opowiadasz też o tym, jak została obalona bogini-matka Tiamat.

CAMPBELL: Myślę, że można by tę historię uznać za wydarzenie kluczowe, archetypiczne.

MOYERS: Nazwałeś je przełomowym momentem w dziejach.

CAMPBELL: Tak. Kiedy Semici najechali świat opanowany przez religie Bogini-Matki, przewagę uzyskały mitologie o orientacji męskiej, a Bogini-Matka stała się – no, czymś w rodzaju Bogini-Prababki, przepadła w zamierzchłej przeszłości.

Działo się to w okresie wzrostu miasta Babilon. Otóż każde z tych starożytnych miast miało własne bóstwo opiekuńcze – boga lub boginię. Widzisz, ludy o ciągotach imperialistycznych mają tę cechę, że własnego, lokalnego boga próbują ubrać w rolę szefa całego wszechświata. Inne bóstwa przestają się liczyć. Tutaj przed babilońskim bogiem Mardukiem mieliśmy Boginię-Wszechmatkę. Cała historia zaczyna się od wielkiego zgromadzenia męskich bogów w niebie (każdy bóg to gwiazda). Doszła ich wieść, że wnet przybędzie Babka – stara Tiamat, Otchłań, niewyczerpane Źródło. Przybywa w kształcie wielkiej ryby lub smoka, który więc z bogów ośmieli się stawić czoło Babce i wykończyć ją? Oczywiście, jest taki jeden – to bóg naszego, teraz już wielkiego, miasta. On jest tym zuchem.

Kiedy więc Tiamat otwiera paszczę, młody bóg Babilonu Marduk wysyła wiatr w jej gardło i brzuch i ten wiatr rozdziera ją na kawałki, które Marduk jeszcze ćwiartuje i formuje z nich niebo i ziemię. Ten motyw rozczłonkowania pierwotnej istoty i przekształcania jej ciała we wszechświat pojawia się w wielu mitologiach i przybiera rozmaite formy. W Indiach jest to postać Puruszy; odbiciem jego ciała jest wszechświat.

Rzecz w tym, iż w starych mitologiach matki-bogini bóstwo to samo było wszechświatem, a więc wielki stwórca wyczyn Marduka był nadprogramowy. On wcale nie musiał siekać jej na kawałki i robić z nich wszechświata, gdyż ona już była wszechświatem. Górę bierze jednak mit męsko zorientowany, więc to on, Marduk, staje się – pozornie – stwórcą.

MOYERS: A zainteresowanie odwróciło się od Bogini ku jej synowi, młodemu politycznemu parweniuszowi, który...

CAMPBELL: ...zwróciło się ku interesom konkretnej grupy – mężczyzn, władców miasta Babilon.

MOYERS: A więc społeczeństwo matriarchalne zaczęło się cofać przed...

CAMPBELL: O, w owym czasie, gdzieś około roku 1750 przed Chrystusem, już nie istniało.

MOYERS: Dziś pewne kobiety mówią, że duch Bogini jest na wygnaniu od pięciu tysięcy lat.

CAMPBELL: Nie, nie można tego cofać tak daleko, aż o pięć tysięcy lat. Bogini była bardzo potężną figurą jeszcze w czasach hellenistycznych na obszarze Śródziemnomorza, a powróciła w tradycji rzymskokatolickiej jako Dziewica. W żadnej tradycji Bogini nie czczono jej równie pięknie i okazałe jak w dwunasto- i trzynastowiecznych katedrach francuskich, z których każda jest pod wezwaniem Matki Boskiej.

MOYERS: Tak, ale wszystkie te motywy i tematy były kontrolowane przez mężczyzn – księży, biskupów – którzy wyłączały kobiety, tak że niezależnie od tego, jaki dana forma mogła mieć sens dla wierzącego, była ona w rękach dominującej postaci męskiej, wykorzystującej ją dla celów władzy.

CAMPBELL: Można akcentować i ten aspekt, ale myślę, że podkreślasz go zbyt mocno, bo przecież znamy też wielkie postacie świętych kobiet. Na przykład Hildegarda z Bingen – godna rywalka Innocentego III. Albo Eleonora Akwitańska; w całym średniowieczu nie ma bodaj drugiej takiej postaci, która dorównywałaby jej wielkością. Teraz łatwo jest patrzeć wstecz i krytykować całą ówczesną sytuację, ale tak naprawdę położenie kobiet wcale nie było wtedy takie okropne.

MOYERS: Nie, ale jednak żadna z tych świętych nie mogła zostać papieżem.

CAMPBELL: Zostać papieżem to w istocie dość kiepski interes, tylko fura urzędowych obowiązków. Żaden papież nigdy nie mógłby być matką Chrystusa. To są różne role. Opieka nad kobietami była sprawą mężczyzn.

MOYERS: Stąd wziął się paternalizm.

CAMPBELL: Kobiety są dobrem, które można rabować. Gdy zdobywano miasto, wszystkie bez wyjątku kobiety były gwałcone.

MOYERS: Cytując w swojej książce Księgę Wyjścia, wspominasz o tej sprzeczności etycznej: „Nie zabijaj ani nie pożądaj żony bliźniego swego – chyba że jesteś w obcym kraju. Tam wszystkich mężów wygubisz ostrzem miecza, a kobiety weźmiesz sobie jako łup”. To wprost ze Starego Testamentu.



Leda z labędziem, Il Bacchiacca (1494-1557).
U Hebrajczyków widzimy bardzo silną wrogość wobec Bogini, wrogość, jakiej nie znajdziesz w mitologiach indoeuropejskich. Tutaj masz na przykład Zeusa, który poślubia Boginię, po czym działają oni wspólnie.

CAMPBELL: Z Księgi Powtórzonego Prawa. Okrutne są te ustępy.

MOYERS: Jak sądzisz, co mówią one o kobietach?

CAMPBELL: Więcej mówią o samej Księdze niż o kobietach. Hebrajczycy byli absolutnie bezlitośni wobec swoich sąsiadów. Ale ten właśnie ustęp jest kwintesencją czegoś, co należy do samej istoty większości mitologii zorientowanych socjologicznie. Chodzi o to, że miłość i współczucie zarezerwowane są w nich dla „grupy wewnętrznej”, natomiast agresja i przemoc projektowane są na zewnątrz, na innych. „Grupę zewnętrzną” należy traktować tak, jak to opisano w Księdze Powtórzonego Prawa.

Obecnie wszakże nie ma już na tej planecie żadnych „grup zewnętrznych”, a problemem współczesnej religii jest objęcie czynnym miłosierdziem całej ludzkości. Ale – co wtedy z agresją? Oto problem, z którym świat będzie musiał się zmierzyć, ponieważ agresja jest w tym samym stopniu instynktem naturalnym, co i współczucie, ale w sposób jeszcze bardziej bezpośredni, i będzie istnieć zawsze. To fakt biologiczny. Rzecz jasna, w czasach biblijnych Hebrajczycy, dokonawszy inwazji, rzeczywiście wykorzenili doszczętnie kultu Bogini. W Starym Testamencie boginię kanaanejską określa się mianem „Obrzydliwość”. Co prawda wygląda na to, że na przykład przez cały okres przedstawiony w Księdze Królewskiej to jeden, to drugi kult raz cofał się, innym zaś razem znów brał górę. Wielu hebrajskich królów jest w Starym Testamencie potępionych za oddawanie czci bożkom na szczytach gór. Te góry są symbolem Bogini. U Hebrajczyków widzimy bardzo silną wrogość wobec Bogini, wrogość, jakiej nie znajdziesz w mitologiach indoeuropejskich. Tutaj masz na przykład Zeusa, który poślubił Boginię, po czym działają oni wspólnie. Tak więc w Biblii mamy do czynienia z przypadkiem krańcowym; ujarzmienie kobiety u nas, na Zachodzie, jest rezultatem myślenia biblijnego.

MOYERS: Ponieważ zastępując pierwiastek żeński męskim, otrzymujesz inną psychologię, inne kulturowe nastawienie. A skoro w twój kulturze dozwolone jest wszystko to, co czynią twoi bogowie, więc i ty, po prostu...

CAMPBELL: Dokładnie tak. Wyróżniłbym tu trzy sytuacje. Pierwsza jest ta najwcześniejsza, gdy bóstwo męskie zajmuje pozycję dość pośrednią. Potem – jej odwrotność, gdy męczyzna przejmuje główną rolę. I wreszcie

stadium klasyczne, gdy oboje współdziałają z sobą – jak na przykład również w Indiach.

MOYERS: Z czego się to bierze?

CAMPBELL: Z postawy Indoeuropejczyków, którzy nie deprecjonowali całkowicie zasady żeńskiej.

MOYERS: A co powiesz o narodzinach z dziewicy? Bo raptem znów pojawia się Bogini, tym razem w kształcie czystego, niewinnego naczynia wybranego przez Boga.

CAMPBELL: Jest to nadzwyczaj interesujący proces w dziejach religii Zachodu. W Starym Testamencie masz Boga stwarzającego świat samodzielnie, bez bogini. Ale potem otwierasz Księgę Przysłów – i oto ona, Sofia, Bogini Mądrości, mówiąca: „Pan mnie stworzył (...); gdy niebo umacniał, z Nim byłam (...); ja byłam przy Nim mistrzynią, rozkoszą Jego dzień po dniu”. Jednakże dla tradycji żydowskiej idea syna Bożego jest czymś odpychającym, w ogóle nie bierze się jej pod uwagę. Mesjasz jako syn Boży w rzeczywistości nie jest synem Boga, a jedynie kimś, kto z racji swego charakteru i dostojęstwa godny jest przyrównania z synem Boga. Jestem pewien, że w tej tradycji nie ma motywu narodzin z dziewicy. Do chrześcijaństwa dostał się on za pośrednictwem tradycji greckiej. Czytając na przykład cztery Ewangelie stwierdzasz, że jedyną, w której mówi się o narodzinach z dziewicy, jest Ewangelia według św. Łukasza. A Łukasz był Grekiem.

MOYERS: A więc grecka tradycja zawierała obrazy, legendy i mity o narodzinach z dziewicy?

CAMPBELL: O, tak: Leda i łabędź, Persefona i wąż, i tak dalej, i tak dalej. Motyw narodzin z dziewicy spotykamy w niej na każdym kroku.

MOYERS: A więc to, co stało się w Betlejem, nie było czymś nowym. Co jednak oznaczają narodziny z dziewicy?

CAMPBELL: Sądzę, że aby odpowiedzieć na takie pytanie, najlepiej będzie porozmawiać o pewnym systemie indyjskim, opisującym stadia rozwoju duchowego. Otóż w Indiach mają system siedmiu centrów psychicznych ułożonych wzdłuż stosu pacierzowego. Reprezentują one psychologiczne płaszczyzny zainteresowania, świadomości, działania. Pierwsze centrum

umiejscowione jest przy jelicie prostym i reprezentuje odżywianie, funkcję podstawową, podtrzymującą życie. Ten przemożny impuls dobrze symbolizuje wąż – coś w rodzaju ruchomego przewodu pokarmowego, który pełza tu i tam i tylko je, je, je. Nikt z nas by nie istniał, gdyby bez przerwy nie jadł. To, co zjadasz, jest zawsze czymś, co przed chwilą jeszcze było żywe. To sakramentalna tajemnica pokarmu i spożywania, o której często nie pamiętamy, siadając i zabierając się do jedzenia. Składając dziękczynienie przed posiłkiem, dziękujemy za naszą strawę tej postaci z Biblii, ale ze starszych mitologii wiemy, że ludzie, zasiadając do posiłku, dziękowali zwierzęciu, które za chwilę mieli spożyć, za to, że oddało się im w dobrowolnej ofierze.

W jednej z *Upaniszad* czytamy kapitalne słowa: „Cudowne, cudowne, cudowne, jestem pokarmem, pokarmem, pokarmem! Jestem zjadaczem pokarmu, zjadaczem pokarmu, zjadaczem pokarmu!” Dziś nie myślimy o sobie w ten sposób. Jednakże kurczowo chroniąc samych siebie, odmawiając stania się pokarmem, dopuszczamy się elementarnego, negatywnego aktu – zanegowania życia. Wstrzymujemy przepływ! Natomiast zasilanie przepływu to przeżywanie wielkiego misterium, i przeżycie to harmonizuje z dziękowaniem zwierzęciu, które za chwilę ma zostać zjedzone, za to, że oddało nam siebie. W swoim czasie oddasz się i ty.



MOYERS: Jestem naturą, a natura jest mną.

CAMPBELL: Tak. Drugie centrum psychiczne w indyjskim porządku rozwoju duchowego symbolizowane jest przez organy płciowe, tzn. przez popęd do płodzenia. Trzecie centrum znajduje się na poziomie pępka; tutaj mamy ośrodek woli mocy, panowania i sukcesu – albo też, w aspekcie negatywnym, podboju, ujarzmiania, miażdżenia i deptania innych. To trzecia funkcja – agresja. Otóż z analizy symboliki zawartej w indyjskim systemie psychologicznym dowiadujemy się, że ta pierwsza funkcja – odżywianie – jest pochodną instynktu zwierzęcego; druga – prokreacja – też jest instynktem zwierzęcym; trzecia – panowanie i podbój – również jest instynktem zwierzęcym. Wszystkie trzy centra usytuowane są symbolicznie w obrębie miednicy.

Następny ośrodek, czwarty, leży na poziomie serca; tu zaczyna się otwarcie na współczucie. W tym miejscu opuszczasz pole aktywności zwierzęcej i wkraczasz w dziedzinę swoiście ludzką i duchową.



A



 Arre le grant chef deature de nature
 pose quelle ne ait este la premiere
 uice: si a elle este la premiere uice
 apres celle de ihu crist predestinee
 car deuant que tantais l'homme
 fust creé: dieu par sa diuine prescience en preuoisit
 la cheute de l'homme auoit preueu et conquis.

B



Każdemu z tych czterech centrów przyporządkowana jest pewna forma symboliczna. Na przykład ten pierwszy, u podstawy, ma jako symbol *lingam* i *joni* – organy męski i żeński w złączeniu. W centrum serca znów mamy *lingam* i *joni*, tj. organy męski i żeński w złączeniu, ale tym razem są one ze złota – symbolizują narodziny z dziewicy, to znaczy narodziny człowieka duchowego z człowieka zwierzęcego.

MOYERS: Następuje to wtedy...

CAMPBELL: ... gdy na poziomie serca budzisz się do współ-czucia, współ-cierpienia dzielonego z innymi, przeżywania go wraz z innymi. To początek człowieczeństwa. Medytacje religijne zachodzą na tym właśnie poziomie – poziomie serca.

MOYERS: Mówisz, że to początek człowieczeństwa, ale przecież w tych opowieściach jest to moment, w którym rodzą się bogowie. Narodziny z dziewicy to pojawienie się boga.

CAMPBELL: A czy wiesz, kim jest ten bóg? To jesteś ty. Wszystkie te mitologiczne symbole odnoszą się do ciebie. Możesz uparcie trzymać się myśli, że wszystko to przebywa gdzieś tam, na zewnątrz, rozważasz więc mękę i cierpienie Jezusa z takim nastawieniem uczuciowym, jak gdyby działały się one gdzieś tam, na zewnątrz. Ale przecież to cierpienie powinno dziać się w tobie. Czy narodziłeś się powtórnie – dla ducha? Czy umarłeś dla swej zwierzęcości, aby powstać do życia jako człowiecze wcielenie współczucia?

MOYERS: Dlaczego znacząca w takich narodzinach jest dziewiczność?

CAMPBELL: Tym, który płodzi, jest duch. To są narodziny duchowe. Dziewica poczęła ze słowa, które wniknęło w nią przez ucho.

MOYERS: Jak promień światła.

CAMPBELL: Właśnie. I w tym samym sensie powiada się, że Budda narodził się, wychodząc z boku swej matki, na poziomie *czakry* serca.

MOYERS: *Czakra* serca znaczy...

CAMPBELL: ...że to symboliczne centrum połączone jest z sercem. *Czakra* to „krąg” albo „sfera”.

A. Zwiastowanie i dzieciństwo Chrystusa, Antoine Dufour, ok. 1505.

B. Sceny z życia Buddy, detal z okładki indyjskiego rękopisu.

Narodziny z dziewicy symbolizują narodziny współczucia w sercu, narodziny człowieka duchowego z człowieka zwierzęcego.

Są to narodziny duchowe – Dziewica poczęła ze Słowa, które wniknęło w nią przez ucho.

W tym samym sensie Budda narodził się,

wychodząc z boku swej matki na poziomie czakry serca.



Izyda karmiąca Horusa.
*Najwcześniejszym modelem Madonny
jest Izyda
z Horusem przy piersi.*

MOYERS: A więc Budda wychodzi z...

CAMPBELL: Budda rodzi się z boku swej matki. Są to narodziny symboliczne. Z boku matki narodził się on nie fizycznie, ale symbolicznie.

MOYERS: Lecz Chrystus narodził się tak samo jak ty i ja.

CAMPBELL: Tak, ale z dziewicy. Po czym, zgodnie z nauką Kościoła rzymskokatolickiego, jej dziewictwo zostało przywrócone. Można by więc powiedzieć, że w sensie fizycznym nic się nie zmieniło. W sensie symbolicznym ważne są nie fizyczne narodziny Jezusa, lecz ich znaczenie duchowe. Taki jest sens narodzin z dziewicy. W ten właśnie sposób rodzą się herosi i półbogowie – jako istoty motywowane współczuciem, a nie panowaniem, seksualnością czy też instynktem samozachowawczym.

Taki też jest sens powtórných narodzin, gdy zaczynasz żyć na poziomie centrum serca. Trzy niższe centra mają zostać przekroczone, nie odrzucone, i mają stać się uległymi służebnikami serca.

MOYERS: Czy cofając się w epokę starożytną, odnajdujemy obraz Madonny jako matki dziecka-zbawiciela?

CAMPBELL: Starożytnym pierwowzorem obecnej Madonny jest Izyda z Horusem przy piersi.

MOYERS: Izyda?

CAMPBELL: To zawiła historia. Zresztą wszystkie one okazują się dość skomplikowane. Otóż Izyda i jej mąż, Ozyrys, byli bliźniętami zrodzonymi z bogini Nut. Mieli młodszego rodzeństwo – Seta i Nefthys, także bliźnięta z tej samej matki, Nut. Pewnej nocy Ozyrys poszedł do łóżka z Nefthys myśląc, że to Izyda; ot, takie drobne przeoczenie. Owocem tej nocy był Anubis, najstarszy syn Ozyrysa, ale z niewłaściwej żony. Seta, jej męża, dosyć to rozeźliło, więc postanowił zabić starszego brata, Ozyrysa. Potajemnie zdjął miarę z Ozyrysa i kazał zrobić piękny sarkofag, w sam raz na niego. Potem, pewnego wieczora, gdy wśród bogów wrzała w najlepsze zabawa, zjawia się pośród nich Set z owym sarkofagiem i oznajmia, że ten, na którego będzie on pasował, może go sobie wziąć jako dar grobowy. Wszyscy próbują po kolei, ale oczywiście dopiero gdy do sarkofagu wchodzi Ozyrys, okazuje się, że pasuje do niego jak ulał. Wtedy wbiegają tam współnicy w liczbie siedemdziesięciu dwóch, zatrząskują wieko, mocno

obwiązują sarkofag rzemieniami i wrzucają go do Nilu. Mamy więc tu do czynienia ze śmiercią boga. Otóż, ilekroć masz śmierć boga takiego właśnie rodzaju, możesz wnet oczekiwać jego zmartwychwstania.

Śmierć Ozyrysa połączono symbolicznie z corocznym przyborem i wylewem rzeki Nil, dzięki czemu ziemia Egiptu co roku bywała użyźniana. Tak jakby wskutek rozkładu ciała Ozyrysa cały kraj uzyskiwał płodność i życie.

Ozyrys popłynął w dół z nurtem Nilu, który wyrzucił go gdzieś na brzeg Syrii. Wyrosło tam piękne drzewo o cudownym zapachu; przyjęło ono w siebie sarkofag, otoczyło go swoim pniem. Tamtejszemu władcy urodził się właśnie syn, zresztą zabierał się on akurat do wznoszenia pałacu. Aromat drzewa był tak wspaniały, że król kazał je ściąć i zrobić z niego centralną kolumnę w głównej komnacie pałacu.

Tymczasem biedna bogini Izysa, której małżonka wrzucono do Nilu, wyrusza na poszukiwanie jego ciała. Ten temat – poszukiwanie Boga będącego małżonkiem duszy – jest naczelnym tematem mitów owego okresu; oto Bogini idzie szukać swego zaginionego męża lub kochanka, zstępuje do królestwa śmierci i dzięki swej wierności staje się jego zbawczynią.

Izysa w samą porę dociera do pałacu, gdzie dowiaduje się o pachnącej kolumnie. Podejrzewa, że może to mieć jakiś związek z Ozyrysem, więc angażuje się jako mamka do nowo narodzonego dziecka. Karmi je wszakże z palca – ostatecznie jest boginią, więc nie do każdego rodzaju zwycięstwa może się zniżyć. Kocha jednak tego chłopczyka i postanawia obdarzyć go nieśmiertelnością, wkładając go do ognia, aby spalić doszczętnie jego śmiertelne ciało. Jako bogini może przecież zapobiec uśmierceniu go przez ogień. Każdego wieczoru, podczas gdy dzieciak siedzi w ogniu, ona zmienia się w jaskółkę i kwiląc żalśnie, lata wokół kolumny, w której zamknięty jest jej małżonek.

Któregoś wieczoru, gdy rozgrywa się właśnie taka scena, matka dziecka wchodzi do pokoju, widzi malca w ogniu i wydaje głośny krzyk, który niszczy czar, tak że chłopaczka trzeba czym prędzej ratować przed spaleniem na popiół. Tymczasem jaskółka zmieniła się znowu w hożą mamkę i boginię, która wyjaśnia całą sytuację królowej. „*A propos* – mówi – w tej kolumnie jest mój mąż; byłabym wdzięczna, gdybyś pozwoliła mi zabrać go do domu”. Na to król, który właśnie tam wszedł: „Ależ

oczywiście, nie ma problemu!” Każę wyjąć kolumnę, zwraca ją Izydzie, po czym pyszny sarkofag z ciałem Ozyrysa umieszczony zostaje na królewskiej barce.

Podczas podróży ku Deltcie Nilu, Izysda zdejmuje wicko trumny, kładzie się na swoim zmarłym mężu i poczyzna dziecku. Jest to motyw powtarzający się we wszystkich starożytnych mitologiach i w najrozmaitszych formach: ze śmierci przychodzi życie. Gdy łódź przybija do brzegu, Bogini w papirusowych szuwarach wydaje na świat syna, Horusa. Ta właśnie figura boskiej matki z dziecicciem poczętym z Boga stała się pierwowzorem Madonny.

MOYERS: A czy jaskółka nie przekształciła się w gołębicę?

CAMPBELL: Gołębica, ptak w locie, to nieomal uniwersalny symbol ducha; na przykład w chrześcijaństwie – Ducha Świętego...

MOYERS: ...skojarzonego z najświętszą matką?

CAMPBELL: Tak, z matką, ale taką, która poczyzna z ducha. Jeszcze jeden drobiazg: otóż, gdy to wszystko się działo, zawistny młodszy brat Ozyrysa, Set, zawiłdął jego tronem. Jednakże właśnie po to, aby stać się godnym tego tronu, musi on poślubić Izydę. W egipskiej ikonografii Izysda reprezentuje tron. Faraon siedzi na tronie – Izydzie – tak jak dziecko spoczywa na łonie matki. Stąd też, gdy staniesz przed katedrą w Chartres, zobaczysz nad jednym z portali zachodniej fasady wizerunek Matki Boskiej jako tronu, na którym siedzi dzieciątko Jezus i błogostawi światu jako jego cesarz. Dokładnie ten właśnie obraz dotarł do nas z najbardziej zamierzchlej przeszłości Egiptu. Najdawniejsi ojcowie i artyści świadomie przejęli te obrazy.

MOYERS: Ojcowie Kościoła przejęli wizerunek Izysdy?!

CAMPBELL: Oczywiście. Twierdzą to sami. Przeczytaj sobie tekst, w którym stwierdza się, że „te formy, w przeszłości wyłącznie mitologiczne, są obecnie rzeczywiste i wcielone w naszego Zbawiciela”. Mitologie tutaj wzmiankowane opowiadały o umarłym i zmartwychwstałym bogu – Atysie, Adonisie, Gilgameszu, Ozyrysie, o nich wszystkich, jeden po drugim. Śmierć i zmartwychwstanie boga łączone bywa wszędzie z księżycem, umierającym i zmartwychwstającym każdego miesiąca. Przez dwie noce



Posąg Amona-Re.

Faraon siedzi na tronie – Izydzie

– tak jak dziecko spoczywa na łonie matki.

Gdy staniesz przed katedrą w Chartres,

zobaczysz wizerunek Matki Boskiej jako tronu,

na którym siedzi Dzieciątko Jezus i błogosławi światu jako jego cesarz.

Dokładnie ten właśnie obraz dotarł do nas

z najbardziej zamierzchłej przeszłości Egiptu.

– albo trzy dni – jest ciemno; tak samo Chrystus leży w grobie przez dwie noce albo trzy dni.

Nikt nie ma pojęcia o rzeczywistej dacie narodzin Jezusa, ale zwyczajowo przyjmuje się, że wypadły one w dniu zimowego przesilenia, 25 grudnia, gdy noce zaczynają się skracać, a dni wydłużać. To moment ponownych narodzin światła. Była to dokładnie data narodzin perskiego Boga światła Mitry, Słońca.

MOYERS: Jaki, twoim zdaniem, jest tego sens?

CAMPBELL: Taki, że w naszym życiu i myśleniu tkwi idea śmierci dla przeszłości i narodzin dla przyszłości, umierania w nas zwierzęcia i rodzenia się dla ducha. W taki bądź inny sposób owe symbole o tym właśnie mówią.

MOYERS: Dlatego Izysda może powiedzieć: „Jam jest z przyrodzenia matką wszechrzeczy. Panią i władczynią wszelkich żywiołów. Naczelniczką mocy boskich, królową nad tymi, co bytują w piekle, ale i zwierzchniczką wszystkich, którzy zamieszkują niebios. Przejawiona jako jedyna, pod jedną postacią wszystkich bogów i bogiń”.

CAMPBELL: Ta wypowiedź, streszczająca cały ten temat, pochodzi z okresu bardzo późnego – mianowicie ze *Złotego osła* Apulejusza, drugi wiek naszej ery. Nawiasem mówiąc, *Złoty osioł* to jedna z pierwszych powieści. Jej główny bohater został zamieniony, na skutek swych chuci i czarów, w osła, i musi przejść mnóstwo przykrych i upokarzających prób oraz przygód, nim wreszcie zostanie odkupiony dzięki łasce bogini Izysdy. Zjawia się ona z różą w dłoni (symbolizującą boską miłość, nie żądze), i gdy on, jeszcze jako osioł, zjada tę różę, z powrotem staje się człowiekiem. Ba, teraz jest kimś więcej niż tylko człowiekiem – jest człowiekiem oświeconym, świętym. Rozumiesz, przeżył powtórnie, dziewicze narodziny. Człowiek może zatem ze zwykłej, zwierzęcej cielesności przejść – poprzez śmierć duchową – do nowych narodzin. Te drugie narodziny wiodą do wzniosłego, ukształtowanego przez ducha wcielenia.

Tą, która sprawia to wszystko, jest Bogini. Drugie narodziny to narodziny z matki duchowej. Notre-Dame w Paryżu, Notre-Dame w Chartres: nasza matka Kościoła. Odradzamy się duchowo, wchodząc do kościoła i wychodząc z niego.

MOYERS: Istnieje pewna moc absolutnie swoista dla zasady żeńskiej.

CAMPBELL: Tak to zostało ujęte w tej powieści, ale nie musi to być wyłącznie moc żeńska. Odrodzenie możesz również uzyskać przez pierwiastek męski, ale w tym układzie symbolicznym sprawczynią odrodzenia staje się kobieta.

MOYERS: A więc nie miał absolutnego pierwszeństwa sobór w Efezie, który zebrał się w 431 r. po śmierci Chrystusa i ogłosił Marię Matką Boga?

CAMPBELL: Nie; w rzeczywistości debata na ten temat już od pewnego czasu toczyła się w Kościele. Jednakże tak się jakoś złożyło, że miejscem w Efezie, gdzie podjęto tę decyzję, była największa w cesarstwie rzymskim świątynia bogini Artemidy, czyli Diany. Opowiadano, że podczas obrad soboru, właśnie gdy roztrząsano tę kwestię, ludność Efezu uformowała pikietę i wznosiła okrzyki na cześć Marii: „Bogini, Bogini, oczywiście ona jest Boginią”.

W tradycji katolickiej doszło do zlania się żydowskiej, patriarchalnej, monoteistycznej idei Mesjasza jako tego, który ma zjednoczyć potęgę duchową i doczesną, z hellenistyczną, klasyczną ideą Zbawiciela jako umarłego i zmartwychwstałego syna Wielkiej Bogini, zrodzonego z dziewicy. Takich powtórnie zrodzonych zbawicieli było mnóstwo.

Na Bliskim Wschodzie bóstwem zstępującym w sferę czasu była pierwotnie Bogini. Jezus, pod impulsem miłosierdzia zstępując na ziemię, przejął w istocie rolę Bogini. Natomiast Dziewica, godząc się na rolę naczynia wcielenia, sama włączyła się w dzieło odkupieńcze. W miarę upływu czasu widać było coraz wyraźniej, że Dziewica w swym cierpieniu zrównała się z cierpieniem swego syna. O ile się nie mylę, Kościół katolicki nazywa ją obecnie „współzbawicielką”.

MOYERS: Jaki to związek ma związek ze sprawą zjednoczenia pierwiastków męskiego i żeńskiego? W społeczeństwach pierwotnych przez długi czas dominuje mitologiczny obraz żeński. Potem nastaje okres agresywnej, wojowniczej męskości, ale wnet znów kobieta zaczyna odgrywać główną rolę w stworzeniu i odradzaniu. Czy ma to jakiś związek z fundamentalną, wzajemną tęsknotą mężczyzn i kobiet do siebie?

CAMPBELL: Tak, ale ja pojmuję to raczej w kategoriach historycznych. Jest czymś bardzo interesującym, że ta Bogini-Matka królowała na

olbrzymich obszarach, aż do doliny Indusu w Indiach. Wszędzie, od Egei aż po Indus, jest ona postacią dominującą. No, a potem masz fale Indoeuropejczyków spływające z północy w dół – do Persji, Indii, Grecji, Italii, a razem z nimi przychodzi mitologia zorientowana męsko. W Indii są to *Wedy*, w Grecji – tradycja homerycka; później, po jakichś pięciuset latach, Bogini zaczyna powracać. W rzeczy samej, mamy *Upaniszadę** pochodzącą z mniej więcej siódmego wieku p.n.e. (a więc z okresu, gdy Bogini zaczyna powracać i uzyskuje znaczenie również w świecie egejskim), w której widzimy zebranych razem bogów wedyjskich; w pewnej chwili spostrzegają oni przed sobą, dość daleko, jakąś dziwną, bezkształtną rzecz – ni to dym, ni to kłęb mgły. Pytają: „Co to takiego?”, ale nikt z nich nie wie. Jeden więc proponuje: „Pójdę i zobaczę”. Idzie tam, do tej niby-dymnej rzeczy, i oznajmia: „Jestem Agni, Pan Ognia, mogę spalić wszystko. A kim ty jesteś?” Wtedy z owej mgły wylatuje źdźbło słomy, upada na ziemię i rozlega się głos: „Zobaczymy, czy to spalisz”. Agni stwierdza, że nie potrafi. Wraca do reszty bogów i mówi: „Doprawdy, to jest dziwne!” „Cóż – odzywa się na to Pan Wiatru – może ja spróbuję”. Idzie więc tam, ale dzieje się dokładnie to samo, co poprzednio. „Jestem Waju, Pan Wiatru, mogę zdmuchnąć wszystko dokoła”. I znowu wylatuje słomka: „Zobaczymy, czy to zdmuchniesz?”. On nie może, więc także wraca. Wtenczas idzie w to miejsce Indra, największy z wedyjskich bogów, gdy jednak podchodzi bliżej, ta zjawia znika, a tam, gdzie była, stoi piękna, tajemnicza kobieta, która zaczyna pouczać bogów, odsłaniając im tajemnicę najgłębszej podstawy ich własnego bytu. „To jest najwyższa tajemnica wszechbytu – mówi im – od której i wy, chłopcy, otrzymaliście swoje moce. Ono może je wyłączać i włączać, jak samo zechce”. Indyjska nazwa na ten Byt wszelkich bytów jest brahman; to rzeczownik rodzaju nijakiego, ani męski, ani żeński. A znów owa kobieta nosi w Indiach miano Maja-Sakti-Dewi, czyli „Bogini Dająca Życie i Matka Form”. W wymienionej *Upaniszadzie* pojawia się ona jako nauczycielka samych bogów wedyjskich, objaśniająca im kwestie związane z ostatecznym podłożem i źródłem ich własnych mocy i bytu.

MOYERS: To mądrość żeńska.

CAMPBELL: Żeńskość jako dawczyni form. To ona dała życie formom, to ona wie, skąd się one wzięły – mianowicie z tego, co jest poza

* *Talawakara (Kena) Upaniszada*, III.

pierwiastkami męskim i żeńskim, co jest poza bytem i niebytem. To zarazem jest i nie jest. I ani jest, ani nie jest. To leży poza wszelkimi kategoriami myśli i umysłu.

MOYERS: Są w Nowym Testamencie wspaniałe słowa: „W Jezusie nie ma męża ni niewiasty”. W sensie najwyższym, ostatecznym, nie istnieje ani kobieta, ani mężczyzna.

CAMPBELL: A powinni istnieć. Jeśli Jezus stanowi źródło naszego bytu, to wszyscy jesteśmy jakby myślami w umyśle Jezusa. On jest słowem, które stało się ciałem – również w nas.

MOYERS: My obaj, ty i ja, mamy cechy zarówno męskie, jak i żeńskie, prawda?

CAMPBELL: Ma je ciało. Nie mam pojęcia, jaka jest chronologia tego wszystkiego, ale w pewnej chwili, w okresie płodowym, staje się oczywiste, że to dziecko będzie płci męskiej, a tamto – żeńskiej. Otóż daje tu o sobie znać ciało, potencjalnie zdolne do odchylenia w jedną bądź drugą stronę.

MOYERS: A więc żyjąc, respektujemy bądź eliminujemy jedno lub drugie.

CAMPBELL: Natomiast w tej chińskiej figurze *jin-jang*, w czarnej rybie, czy też jak sobie ją chcesz nazwać, umieszczona jest jasna kropka. Za to w białej – czarna kropka. W takie związki z sobą mogą one wchodzić. Nie można wejść w żaden związek z czymś, w czym się jakoś nie uczestniczy. Dlatego idea Boga jako kogoś Absolutnie Innego jest śmieszna. Z Absolutnie Innym nie może być żadnego stosunku.

MOYERS: Czy zmiany zachodzące podczas duchowego przeobrażenia, o jakim mówisz, nie będą zależeć od takich cech kobiecych, jak opiekuńczość, kreatywność i współdziałanie zamiast współzawodnictwa? Czy nie to właśnie jest samym jądrem zasady żeńskiej, którą omawiamy?

CAMPBELL: Cóż, matka kocha wszystkie swoje dzieci – głupie, bystre, nieposłuszne i grzeczne. Nieważne, jaki które ma charakter. Kobiecość reprezentuje więc poniekąd miłość „wszechobejmującą” do potomstwa. W przypadku ojca większą rolę gra dyscyplina. W większym stopniu kojarzy się on z porządkiem społecznym i ze społecznym charakterem. Tak w istocie funkcjonuje obraz ojca w społeczeństwach. Można by powiedzieć,

że matka rodzi fizyczną naturę [potomka], ojciec zaś – jego charakter społeczny, sposób, w jaki ma on funkcjonować.

Tak więc nawrót do natury z pewnością spowoduje powrót zasady macierzyńskiej. W jaki sposób ustali się jej relacja z zasadą patriarchalną – nie wiem, ponieważ uporządkowanie naszej planety będzie operacją o ogromnej skali, i zadanie to spadnie na mężczyznę, toteż nie sposób przewidzieć, jak ten nowy ład będzie wyglądać. Z pewnością jednak natura powraca.

MOYERS: Kiedy więc mówimy: „Ratujcie ziemię”, mówimy o ratowaniu samych siebie.

CAMPBELL: Tak. Cała ta nadzieja, że coś stanie się ze społeczeństwem, czeka na jakąś przemianę ludzkiej psychy, na jakąś zupełnie nową społeczną psychologię. W tym względzie kluczowe pytanie, tak jak ja je widzę, jest proste: z jakim społeczeństwem, z jaką grupą społeczną sam się identyfikujesz? Czy ma to być cała ludność planety, czy też tylko twoja konkretna „grupa wewnętrzna”? W zasadzie to właśnie pytanie nurtowało umysły założycieli naszego kraju, kiedy ludzie z trzynastu stanów zaczęli myśleć o sobie jako o jednym narodzie, choć przecież nie lekceważyli konkretnych, szczególnych interesów każdego ze stanów. Dlaczegoż by coś w tym rodzaju nie miało zaistnieć na świecie już teraz?

MOYERS: Kiedy tak roztrząsamy tutaj wszystkie te sprawy – zasadę męską i żeńską, narodziny z dziewicy, duchową moc, zapewniającą nam odrodzenie – powstaje pewna kwestia. Otóż mądrzy ludzie we wszystkich epokach mówili nam, że żyć właściwie możemy tylko wówczas, gdy nauczymy się żyć według ducha. Ale jak człowiek ma żyć według ducha, skoro sam jest z ciała? Św. Paweł powiedział: „Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch, a duch do czego innego niż ciało, i stąd nie ma między nimi zgody”. Jak mamy się nauczyć żyć według ducha?

CAMPBELL: W dawnych czasach to była rola nauczyciela. To on miał ci dostarczyć klucza do życia duchowego. Do tego właśnie był kapłan. A także rytuał. Rytuał można zdefiniować jako *i n s c e n i z a c j ę* mitu. Uczestnicząc w rytuale, naprawdę przeżywasz rzeczywistość mityczną, i właśnie to współuczestnictwo może cię nauczyć życia według ducha.

MOYERS: Zatem mitologiczne opowieści rzeczywiście wskazują drogę do życia duchowego?

CAMPBELL: Tak, bo przecież musisz mieć klucz. Musisz mieć jakąś mapę drogową, i w rzeczy samej mnóstwo ich mamy pod ręką. Ale nie wszystkie są jednakowe. Niektóre mówią tylko o interesach tej lub innej grupy wewnętrznej, o tym lub innym plemiennym bogu. Inne, szczególnie te uchodzące za objawienia Wielkiej Bogini, matki wszechświata i nas wszystkich, uczą współczucia dla wszystkiego, co żyje. Dzięki nim zaczynasz też dostrzegać rzeczywistą świętość samej ziemi, bo jest ona ciałem Bogini. Jahwe, tworząc człowieka, tworzy go z ziemi, tchnąc w życie w ukształtowane ciało. On sam nie jest obecny w tym kształcie. Natomiast Bogini jest zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Twoje ciało jest z jej ciała. W tych mitologiach dochodzi do głosu ta właśnie, powszechna wszechtożsamość.

MOYERS: Dlatego nie jestem specjalnie przekonany, że przyszłość gatunku i powodzenie naszej podróży leżą w przestrzeni kosmicznej. Myślę, że tkwią one tu, na ziemi, w ciele, w trzewiach naszego bytu.

CAMPBELL: Z pewnością. Wylatując w przestrzeń kosmiczną, niesiesz z sobą ciało, i jeśli nie uległo ono przemianie tutaj, to i przestrzeń kosmiczna cię nie odmieni. Jednakże warto o niej myśleć, dzięki niej coś można zrozumieć. Otóż w atlasie świata na rozkładówce możemy oglądać naszą Galaktykę wśród roju innych galaktyk, a wewnątrz naszej – Układ Słoneczny. Dopiero to daje nam wyobrażenie o ogromie tej przestrzeni, którą obecnie próbujemy badać. Jeśli o mnie idzie, te stronicie otworzyły przede mną wizję wszechświata o niewyobrażalnej wprost wielkości i nie dającej się pojąć gwałtowności. Miliardy i miliardy huczących termojądrowych pieców, które rozpraszają się, odrywają jeden od drugiego, a każdy taki piec to gwiazda, i nasze Słońce pośród nich! Wiele z nich w tej chwili wybucha, rozpryskuje się na szczątki zaśmiecające najdalsze krańce przestrzeni pyłem i gazem, z którego właśnie w tym momencie rodzą się nowe gwiazdy z wirującymi wokół nich planetami. A do tego z jeszcze dalszych odległości, z rejonów gdzieś poza tym wszystkim nadbiegają ku nam szmery, jakieś mikropromieniowanie będące echem najpotężniejszego w ogóle kataklizmu, eksplozji – mianowicie Big Bangu, wielkiego wybuchu

stworzenia, który, wedle pewnych wyliczeń, nastąpił może jakieś osiemnaście miliardów lat temu.

Tak to więc z nami jest, mój stary, i gdy sobie to uświadomisz, zaczynasz rozumieć, jak w istocie jesteś ważny – ty, właśnie ty, drobinka wśród tego straszliwego ogromu. Potem musi przyjść odczucie, że ty i tamto w pewnym sensie jesteście jednym i że masz w tym wszystkim jakiś udział.

MOYERS: A zaczyna się to – tutaj.

CAMPBELL: Tak, tutaj.

→

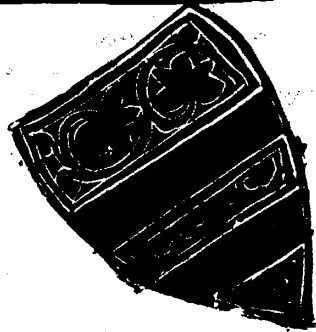
Stronica z *Manesse Codex*, trubadur Werner von Teufen.

Trubadurzy byli pierwszymi ludźmi na Zachodzie.

którzy pojmowali miłość

tak jak my obecnie

– jako stosunek międzypsobowy.



VII

O MIŁOŚCI I MAŁŻEŃSTWIE

*Tedy przez oczy właśnie miłość serca dosięga,
Albowiem to one są wywiadowcami serca;
Oczy rozglądają się, śledzą pilnie
Za tym, co serce najchętniej pragnęłoby osiąść.
A kiedy cała trójka już osiągnie zgodę
I jednomyślne, mocne ma postanowienie
– W owej to chwili rodzi się miłość doskonała
Z tego, co oczy wcześniej zachwaliły sercu.
Bo nie inaczej począć się może i narodzić miłość,
Niż poczynając się i rodząc ze skłonności.*

*Z łaski więc i rozkazu
Tych trojga, a też z ich rozkoszy,
Rodzi się miłość, a jej szlachetna nadzieja
Zawsze umacnia tych, co ją miłują.
Bo wiedzą o tym wszyscy kochankowie:
Miłość to jest życzliwość doskonała,
Zrodzona – bez wątpienia – z serca i oczu:
Pod ich spojrzeniem rozkwita, w sercu zaś dojrzewa
Miłość, owoc, co wzeszedł z tamtej trójki zasiewu.*

Guiraut de Borneilh (ok. 1138–1200)

MOYERS: Miłość to temat tak rozległy, że gdybym na przykład przyszedł do ciebie i powiedział: „Porozmawiajmy o miłości”, to od czego byś zaczął?

CAMPBELL: Od trubadurów z dwunastego stulecia.

MOYERS: Kim oni byli?

CAMPBELL: Trubadurzy należeli do prowansalskiej szlachty; później spotykamy ich również w innych rejonach Francji i Europy. W Niemczech znani są pod mianem minnesingerów, piewców miłości. *Minne* to średniowieczne niemieckie słowo oznaczające miłość.

MOYERS: Czy to byli ówcześni poeci?

CAMPBELL: Tak, w pewnym sensie. Okresem trubadurów jest dwunasty wiek. W Prowansji tradycja trubadurska została całkowicie unicestwiona podczas tzw. krucjaty przeciwko albigensom, zainicjowanej w 1209 r. przez papieża Innocentego III. Uważa się ją za jedną z najpotworniejszych krucjat w dziejach Europy.

Trubadurzy przyłączyli się do herezji manichejskiej albigensów, szerzącej się gwałtownie w owym czasie – choć w istocie ruch albigensów był protestem przeciwko zepsuciu średniowiecznego kleru. Toteż trubadurzy, razem ze swoją przekształconą ideą miłości, w sposób bardzo skomplikowany uwikłali się w życie religijne.

MOYERS: Przekształcona miłość? Co masz na myśli?

CAMPBELL: Trubadurów bardzo interesowała psychologia miłości. To oni w gruncie rzeczy byli pierwszymi ludźmi na Zachodzie, którzy pojmowali miłość tak jak my obecnie – jako stosunek międzyosobowy.

MOYERS: A jak było przedtem z tą sprawą?

CAMPBELL: Przedtem miłość była po prostu Erosem, bożkiem, który pobudza w nas pożądanie płciowe. Ale to niewiele ma wspólnego z przeżywaniem miłości, tak jak je rozumieli trubadurzy. Eros to coś o wiele bardziej bezosobowego niż zakochanie się. Widzisz, ludzie nie wiedzieli, co to takiego Amor. Amor to coś osobowego, i trubadurzy rozpoznali to. Eros i Agape są miłościami bezosobowymi.

MOYERS: Wytlumacz.

CAMPBELL: Eros to popęd biologiczny, gwałtowny pociąg organów nawzajem do siebie. Czynniki osobowy nie liczy się.

MOYERS: A Agape?

CAMPBELL: Agape to „kochaj bliźniego swego jak siebie samego”, czyli miłość duchowa. Dla niej nie jest ważne, kto jest tym bliźnim.

MOYERS: A więc, jak rozumiem, nie jest to namiętność w sensie nakazu Erosa, tylko współczucie.

CAMPBELL: Tak, współczucie. Otwarcie serca. Coś bez piętna indywidualności, inaczej niż Amor.

MOYERS: Agape jest impulsem religijnym.

CAMPBELL: Tak. Ale Amor też mógł stać się impulsem religijnym. Trubadurzy uznali go za najwyższe doświadczenie duchowe.

Widzisz, doświadczenie Erosa to swego rodzaju opętanie. W Indiach bogiem miłości jest krzepki, duży młodzian z łukiem i kołczanem pełnym strzał. Te strzały noszą nazwy: „Śmiertelna Męka”, „Otwarcie Serca” i tak dalej. I rzeczywiście, wprowadza on to coś w ciebie, tak że dochodzi do wielkiej fizjologicznej i psychologicznej eksplozji.

Teraz ta druga miłość – Agape: miłość do bliźniego, taka jak do siebie samego. I znów nie ma tu znaczenia, kim jest ta osoba. Jest twoim bliźnim, więc musisz ją kochać w ten sposób.

Amor natomiast proponuje ideał czysto osobowy. Opętanie rodzące się ze spotkania oczu, jak to ujmują tradycje trubadurów, jest przeżyciem dzielącym się między dwiema osobami.

MOYERS: W jednej ze swoich książek zamieściłeś poemat o tym spotkaniu oczu: „Tedy przez oczy właśnie miłość serca dosięga...”

CAMPBELL: Jest to zupełnie przeciwne wszystkiemu, za czym orędowną Kościół. To osobowe, indywidualne przeżycie, i myślę, że coś dla Zachodu największego i najistotniejszego, coś, co zasadniczo odróżnia Zachód od wszelkich innych znanych mi tradycji.

MOYERS: A więc odwaga kochania stała się odwagą afirmowania własnego doświadczenia przeciw tradycji – tradycji Kościoła. Dlaczego było to ważne dla Zachodu, dla jego ewolucji?



Kama celuje ze swego kwiatowego luku w Radhę,
w chwili, gdy służąca przyprowadza do niej Krysznę, Indie, XVII w.
*W Indiach bogiem miłości jest krzepki, duży młodzian
z lukiem i kolanem pełnym strzał.
Te strzały noszą nazwy:
„Śmiertelna Męka”, „Otwarcie Serca” i tak dalej.
To jest wielka fizjologiczna
i psychologiczna eksplozja.*

CAMPBELL: Było ważne, ponieważ uwypukliło znaczenie jednostki, tego, że człowiek powinien zaufać własnemu doświadczeniu, a nie tylko obiegowym opiniom przekazywanym mu przez innych. Podkreśla to – wbrew monolitycznemu systemowi – wagę indywidualnego doświadczenia człowieka, życia, wartości. System monolityczny to system mechaniczny; każda maszyna działa tak jak każda inna, która wyszła z tego samego warsztatu.

MOYERS: Co miałeś na myśli pisząc, że początkiem romantycznej miłości na Zachodzie było „*libido* ponad *credo*”?

CAMPBELL: Cóż, *credo* znaczy „wierzę”: wierzę nie tylko w prawa, ale i w to, że te prawa zostały ustanowione przez Boga, a z Bogiem nie ma dyskusji. Te prawa są dla mnie ciężkim brzemieniem; jeśli nie będę im posłuszny, zgrzeszę, a grzech zagraża memu wiecznemu życiu.

MOYERS: I to jest *credo*?

CAMPBELL: To jest *credo*. Wierzysz, potem idziesz do spowiedzi, przechodzisz w myśli z góry na dół cały spis grzechów i liczysz, które spośród nich masz na sumieniu; po czym, zamiast pójść do księdza i powiedzieć: „Pobłogosław mnie, ojcze, bo w tym tygodniu dokonałem wspaniałych rzeczy”, rozpamiętujesz swoje grzechy, a rozpamiętując grzechy, rzeczywiście stajesz się grzesznikiem w życiu. W istocie więc *credo* to nic innego jak potępienie woli życia.

MOYERS: A *libido*?

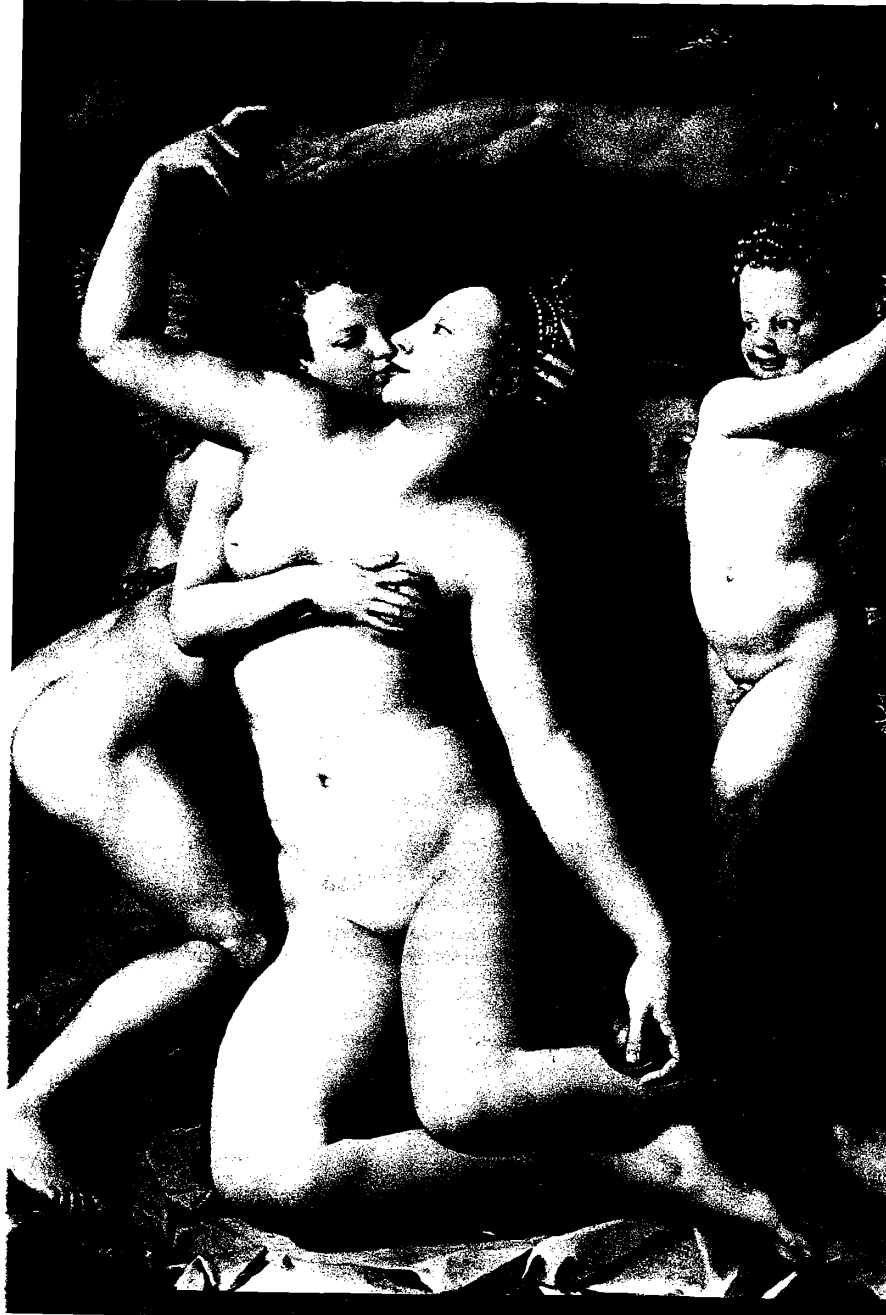
CAMPBELL: *Libido* jest impulsem pchającym ku życiu. Płyń z serca.

MOYERS: A serce...

CAMPBELL: Serce jest organem otwarcia się na drugiego człowieka. Jest to cecha ludzka, która przeciwstawia się zwierzęcości troszczącej się tylko o własny interes.

MOYERS: Mówisz więc o miłości romantycznej jako o przeciwieństwie żądzy, namiętności bądź wreszcie ogólnego nastawienia religijnego?

CAMPBELL: Tak. Widzisz, w kulturach tradycyjnych zwykle małżeństwo uzgadniane było przez rodziny. Nie miało nic wspólnego z decyzją dwojga osób. W Indiach do dziś dnia zamieszczane są całe kolumny ogłoszeń



o kandydatkach na żony, proponowanych przez pośredników małżeńskich. Pamiętam, jak dziewczyna z pewnej rodziny, którą tam poznałem, szła właśnie za mąż. Nigdy przedtem nie widziała młodego człowieka, którego miała poślubić, więc pytywała swoich braci: „Czy on jest wysoki? Czy skórę ma ciemną czy jasną? Jaki w ogóle jest?”

W średniowieczu taki właśnie rodzaj małżeństwa był usankcjonowany przez Kościół. Dlatego idea trubadurów – Amor jako stosunek między konkretnymi osobami – była bardzo niebezpieczna.

MOYERS: Bo była herezją?

CAMPBELL: Nie tylko herezją, ale i cudzołóstwem, czymś, co można by nazwać cudzołóstwem duchowym. Skoro wszystkie małżeństwa aranżowała społeczność, miłość rodząca się ze spotkania oczu miała wyższą duchową wartość.

Weź na przykład romans o Tristanie; Izolda jest tutaj przyobiecana na żonę królowi Markowi. Oboje nigdy przedtem się nie widzieli. Tristan zostaje posłany, aby przywieźć Izoldę Markowi. Matka Izoldy przygotowuje napój miłosny, aby tych dwoje, którzy mieli być sobie poślubieni, naprawdę się pokochało. Napój powierza ona niani jadącej wraz z Izoldą. Na chwilę zostaje on bez opieki, i wtedy Tristan i Izolda, myśląc, że to wino, wypijają go. Rozpala się w nich miłość. Właściwie kochali się już przedtem, ale po prostu o tym nie wiedzieli. Napój miłosny tylko wyzwolił to uczucie. Tego rodzaju przeżycie każdy zna z własnej młodości.

Z punktu widzenia trubadura problem polega na tym, że król Marek i Izolda, którzy mają zostać małżeństwem, w rzeczywistości nie spełniają warunków, aby się pokochać. Nigdy przedtem się nie widzieli. Prawdziwe małżeństwo to takie, które rodzi się z rozpoznania swej tożsamości w drugim człowieku, fizyczny związek jest tu tylko sakramentem potwierdzającym tę jedność. Małżeństwo nie zaczyna się od drugiego końca – od pociągu fizycznego, który później doznaje uduchowienia, lecz od duchowego wstrząsu wywołanego przez miłość – Amor.

MOYERS: Chrystus mówił o „cudzołóżnikach w sercu”, o pogwałceniu związku duchowego rodzącego się w umyśle i sercu.

CAMPBELL: Takim cudzołóstwem było każde małżeństwo aranżowane przez społeczność, a nie przez serce. To właśnie jest sens średniowiecznej

Wenus, Kupido, Szalenstwo i Czas, II Bronzino (1503–1572).

*Wraz z Amorem
otrzymujemy ideał czysto osobony;
jest to coś w rodzaju opętania
rodzącego się ze spotkania oczu.*



G.I. ze swoją dziewczyną w Hyde Parku, Londyn, Ralph Morse, 1944.

Prawdziwe małżeństwo to takie,

które rodzi się z rozpoznania swej tożsamości w drugim człowieku,

fizyczny związek

jest tu tylko sakramentem potwierdzającym tę jedność.

Małżeństwo zaczyna się od duchowego wstrząsu

wywołanego przez miłość – Amor.

„miłości dwornej”; stoi ona w jawnej sprzeczności ze zwyczajem Kościoła. Słowo AMOR czytane wspak daje ROMA, Kościół rzymskokatolicki, usprawiedliwiający małżeństwa o charakterze wyłącznie politycznym i społecznym. Stąd narodziła się tendencja do uprawomocnienia indywidualnego wyboru, którą ja nazywam „podążaniem za własnym szczęściem”.

Oczywiście, jest tu też pewne niebezpieczeństwo. Kiedy w romansie o Tristanie młoda para wypija napój miłosny i niania Izoldy uświadamia sobie, co zaszło, idzie do Tristana i mówi: „Wypiłeś własną śmierć”. Tristan na to: „Czy, mówiąc »śmierć«, masz na myśli moją miłosną mękę?” – bo człowiek powinien czuć się chory z miłości, to był jeden z najważniejszych punktów. Nie może być na tym świecie całkowitego urzeczywistnienia owej tożsamości, jaką odczuwamy. Tristan mówi: „Jeśli przez tę śmierć rozumiesz moją miłosną udrękę, to jest ona moim życiem. Jeśli przez moją śmierć rozumiesz karę, którą poniesiemy oboje, gdy nas odkryją, to przyjmuję ją. I jeśli przez tę moją śmierć rozumiesz karę wieczną w ogniu piekła, to przyjmuję ją również”. Mocna rzecz.

MOYERS: Zwłaszcza dla średniowiecznych katolików, wierzących w dosłowne piekło. Jakie więc jest naprawdę znaczenie słów Tristana?

CAMPBELL: Chciał powiedzieć, że jego miłość jest większa nawet niż śmierć i cierpienie, niż cokolwiek. On w wielkim stylu afirmuje ból życia.

MOYERS: Jest gotów wybrać ból miłości, nawet gdyby to miało oznaczać wieczne cierpienie i potępienie w piekle.

CAMPBELL: Jeśli tylko pragniesz podążać za własnym szczęściem, to wybierając jakąkolwiek drogę życiową, powinieneś mieć przeświadczenie, że nic cię od niej nie odstraszy. To właśnie nadaje wartość twemu życiu i uczynkom i nieważne, co ci się może przytrafić.

MOYERS: A gdy wybieram miłość?

CAMPBELL: Również gdy wybierasz miłość.

MOYERS: Napisałeś kiedyś, iż z piekłem, jak i z niebem, sprawa ma się tak, że trafiając tam, trafiasz w miejsce dla siebie właściwe, bo w końcu tam właśnie chcesz być.

CAMPBELL: Na tę myśl wpadł Bernard Shaw, zresztą również Dante. Kara piekła polega na tym, że na całą wieczność otrzymujesz to, co zdawało ci się najbardziej upragnione na ziemi.



Francesca da Rimini, William Dyce (1806–1864).

Paolo i Franczeska

siedzieli pod drzewem czytając historię Lancelota i Ginewry.

*„Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane
rycerz całował w nieowładnej chęci...”*

MOYERS: Tristan pragnął swojej miłości, swego szczęścia, i był skłonny cierpieć za to.

CAMPBELL: Tak. Ale na przykład William Blake w swoich wspaniałych aforyzmach *The Marriage of Heaven and Hell* mówi: „Gdy wędrowałem wśród piekielnych płomieni... które aniołom zdały się męczarnią” – to znaczy, że dla ludzi tam przebywających, a nie będących przecież aniołami, ten ogień nie jest płomieniem bólu, tylko rozkoszy.

MOYERS: Pamiętam *Piekło* Dantego; największych w dziejach ludzkości kochanków umieszcza on właśnie w piekle – są tam Helena, Kleopatra, Tristan. Co to znaczy?

CAMPBELL: Dante przyjmuje postawę Kościoła: to jest piekło, a oni cierpią w piekle. Jak pamiętasz, dostrzega on tam również parę młodych, współczesnych sobie włoskich kochanków – Paola i Franceskę. Franceska miała romans z Paolem, bratem swego męża. Dante, niczym rasowy socjolog, zapytuje: „Miła, jakże to się stało? Jaka jest tego przyczyna?” Tu następują najsłynniejsze w dziele Dantego wersety. Franceska opowiada, jak wraz z Paolem siedziała w ogrodzie pod drzewem, czytając historię Lancelota i Ginewry: „Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane / Rycerz całował w nieowładnej chęci, / On, z którym nigdy się już nie rozstanę, / Drżący do ust mych przywarł bez pamięci; / (...) w ten dzień jużesmy nie czytali więcej”*. To był początek ich upadku.

I to właśnie cudowne przeżycie miałoby być potępione jako grzech? Trubadurzy mówią tutaj zdecydowanie „nie”. Miłość jest sensem życia, jego kulminacją.

MOYERS: Czy to właśnie miał na myśli Wagner w swojej wielkiej operze o Tristanie i Izoldzie, gdy mówił: „Chcę na tym świecie mieć swój własny świat, niech z nim przepadnę lub się z nim ocale”?

CAMPBELL: Dokładnie to powiedział Tristan.

MOYERS: To znaczy: chcę mej miłości, chcę mego życia.

CAMPBELL: Tak: to jest moje życie i pragnę zapłacić za nie każdym cierpieniem.

MOYERS: To wymagało wielkiej odwagi, nie sądzisz?

CAMPBELL: To w y m a g a wielkiej odwagi. Nawet sama myśl o tym.

* Przekład F. Porębowicza.

MOYERS: Wymaga... Używasz czasu teraźniejszego.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Nawet teraz?

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Powiedziałeś, że sednem sprawy w przypadku wszystkich tych pionierów miłości jest to, że postanowili oni stać się autorami i narzędziami własnego samospelnienia się, że urzeczywistnianie miłości ma być najwznioślejszym dziełem natury oraz że owi ludzie zamierzali czerpać mądrość z własnego doświadczenia, a nie z dogmatu, polityki albo z obiegowych pojęć o tym, co społecznie dobre. Czy to właśnie było na Zachodzie początkiem romantycznej idei jednostki, która bierze sprawy w swoje ręce?

CAMPBELL: Absolutnie tak. Przykłady tego rodzaju masz również w opowieściach ze Wschodu, ale tam nie utworzyły one społecznego systemu. W świecie zachodnim jest to obecnie ideał miłości.

MOYERS: Miłość rodząca się z osobistego przeżycia, osobiste przeżycie jako źródło mądrości?

CAMPBELL: Tak, tu chodzi o jednostkę. Najlepsza część zachodniej tradycji zawiera w sobie uznanie i poszanowanie indywidualności jako żywej, realnej istoty. Zadaniem społeczeństwa jest sprzyjanie rozwojowi jednostki. Natomiast wspomaganie społeczeństwa nie jest zadaniem jednostki.

MOYERS: Dobrze, ale co się stanie z instytucjami – z uniwersytetami, zrzeczeniami, kościołami, z politycznymi instytucjami naszego społeczeństwa – jeśli wszyscy ot, tak, po prostu, damy nogę i pobiegnemy sobie każdy za swoją miłością? Czy nie ma w tym jakiegoś napięcia – jednostka *contra* społeczeństwo? Musi przecież istnieć jakiś ogólnie uznany punkt, poza którym indywidualna intuicja, indywidualne *libido*, indywidualne pragnienie, indywidualna miłość i indywidualny impuls do robienia tego, co się chce – powinny być powściągnięte, bo inaczej będziemy mieć zamęt i anarchię i żadna instytucja się nie ostoï. Czy naprawdę twierdzisz, że powinniśmy iść za swoim szczęściem, za swoją miłością, dokądkolwiek nas ona zaprowadzi?

CAMPBELL: Cóż, musisz przy tym główkować. Sam wiesz, że wąska ścieżka to ścieżka niebezpieczna – ostrze brzytwy, jak to mówią.

MOYERS: Czyli że głowa i serce nie powinny z sobą wojować?

CAMPBELL: Nie, nie powinny; powinny współdziałać. Głowa powinna być przytomna, a serce ma od czasu do czasu przysłuchiwać się jej.

MOYERS: Czy zdarza się niekiedy, że serce obejmuje przewodnictwo?

CAMPBELL: Najlepiej, gdyby zawsze mogło tak być. Można by tu wspomnieć o pięciu głównych cnotach średniowiecznego rycerza. Są to umiarkowanie, odwaga, miłość, lojalność i dworność. Dworność to poszanowanie form towarzyskich obowiązujących w społeczeństwie, w którym żyjesz.

MOYERS: A więc miłość nie harcuje sobie sama, ma za towarzyszy...

CAMPBELL: Jest ona tylko jedną z wielu funkcji. To prosta droga do obłędu – pozwolić, by jedna funkcja zdominowała cały system, zamiast służyć ogólnemu ładowi. Otóż przewodnią myślą średniowiecza – wbrew temu, że ówczesni ludzie buntowali się przeciwko kościelnemu autorytetowi – było poszanowanie dla społeczności, w jakiej uczestniczyli. Wszystko robiono według reguł. Gdy walczyło z sobą dwóch rycerzy, nie gwałcili oni reguł walki, choć była to walka na śmierć i życie. O tej dworności trzeba zawsze pamiętać.

MOYERS: Czy istniały reguły prawa? Albo reguły miłości? Czy były, na przykład, zakazy co do cudzołóstwa? Gdy twoje oczy spotykały się z oczami kobiety nie będącej twoją żoną, to jaka w epoce średniowiecznej winna być twoja reakcja?

CAMPBELL: Właśnie wtedy rodził się model dwornej miłości. Istniały określone reguły gry, i ludzie przestrzegali ich w tej grze. Mieli własny zestaw reguł. Nie były to reguły Kościoła, lecz takie, by gra mogła toczyć się harmonijnie i stosownie do oczekiwanych rezultatów. We wszystkim, co robimy, tkwi system reguł mówiących, jak dana rzecz ma być robiona, aby była zrobiona dobrze. Powiadano, że sztuka to robienie rzeczy w sposób właściwy. A jeśli chodzi o postępowanie w sprawach miłosnych... Cóż, można być w tych sprawach nieokrzesanym prostakiem, ale przecież jest o wiele przyjemniej, gdy znamy pewne reguły umożliwiające nam pełniejszą, bardziej zadowalającą ekspresję uczuć.

MOYERS: A więc rycerskość rozwijała się, w miarę jak coraz bliższa była epoka miłości romantycznej.

CAMPBELL: Powiedziałbym, że jedno i drugie było tym samym. Ów okres był bardzo dziwny, panowała w nim przerażająca brutalność. Nie istniał scentralizowany system prawny. Każdy polegał na własnym systemie, z czego, rzecz jasna, wynikało mnóstwo wielkich nadużyć w każdej dziedzinie. Jednakże w obrębie całej tej brutalności działała siła cywilizująca; w istocie reprezentowały ją kobiety, gdyż to one właśnie ustalały reguły gry, o jakiej mówiliśmy. Mężczyznom wypadało ją prowadzić zgodnie z wymaganiami kobiet.

MOYERS: Dlaczego kobiety uzyskiwały ten dominujący wpływ?

CAMPBELL: Dlatego, że kiedy chcesz się kochać z kobietą, ona od razu ma nad tobą przewagę. Terminem technicznym na udzielanie przez kobietę swoich łask było słowo *merci*. Kobieta daje swoje *merci*. Mogło to oznaczać, że mężczyźnie wolno było całować ją w karczek w każde Zielone Świątki albo coś w tym rodzaju, rozumiesz – bądź też mogło być pełnym miłosnym przyzwoleniem. Zależało to od jej oceny charakteru kandydata.

MOYERS: Więc istniały reguły określające ten egzamin?

CAMPBELL: Tak. Był jeden zasadniczy wymóg: ten ktoś musiał mieć szlachetne serce, to znaczy serce zdolne do miłości, nie tylko do żądy. Kobieta wypróbowywała kandydata do swej miłości, by zobaczyć, czy ma szlachetne serce, czy jest zdolny do kochania.

Musimy też pamiętać, że wszystkie te damy wywodziły się ze szlachty, a szlachta w owych czasach byli to ludzie dość wyrafinowani i bardzo biegli – zarówno w okrucieństwie, jak i w czułości. Otóż nie bardzo wiem, kto dziś chciałby się bawić w sprawdzanie czyjegós charakteru, aby zobaczyć, czy ten ktoś ma szlachetne serce. Zresztą nie wiem, czy to szlachetne serce w ogóle jest dla kogokolwiek upragnionym ideałem.

MOYERS: Z czym kojarzy ci się „szlachetne serce”?

CAMPBELL: Z jakąś zdolnością do... Cóż, dla mnie kluczowym pojęciem jest tutaj współczucie.

MOYERS: To znaczy?

CAMPBELL: Cierpienie wespól z kimś. Najlepiej oddaje to niemieckie słowo *Mitleid*. *Mit* znaczy „razem”, „z kimś”, *Leid* – „smutek, cierpienie”. W istocie chodziło o wypróbowanie mężczyzny, sprawdzenie, czy potrafi on coś niecoś wycierpieć dla miłości, czy nie ulega jedynie żądzy.

MOYERS: Joe, choć to wszystko może i zrodziło się w epoce trubadurów, było jeszcze całkiem żywe i miało się dobrze we wczesnych latach pięćdziesiątych we wschodnim Teksasie...

CAMPBELL: Sam więc widzisz, jakie to silne. Powstało w dwunastowiecznej Prowansji, a masz z tym do czynienia w dwudziestym wieku, w Teksasie.

MOYERS: Muszę ci jednak powiedzieć, że ostatnimi czasy bardzo to wszystko podupadło. Widzisz, nie jestem pewien, czy nadal, tak jak dawniej, ma to charakter próby. Myślę, że jeśli o mnie idzie, przyjąłem tę próbę z wdzięcznością. Ale nie jestem pewien...

CAMPBELL: Jedną z prób, jakie wówczas stosowano, było wysyłanie faceta do pilnowania mostu. Tacy młodzieńcy strzegący mostów trochę przeszkadzali w ruchu drogowym. Ale egzamin obejmował również sprawdzenie się w boju. Kobieta zbyt surowa, żądająca od swego amanta, by jeszcze nim udzieliła mu jakiegokolwiek łaski, naprawdę ryzykował życiem, była określana mianem *sawage*, „okrutna”. *Sawage* była też ta, która oddawała się od razu, bez prób. Jak widzisz, mamy tu do czynienia z bardzo subtelną grą psychologicznych ocen.

MOYERS: Ale przecież trubadurzy nie dążyli chyba do zniesienia małżeństwa ani do powszechnego chaosu; ich prawdziwym celem nie był też jedynie stosunek cielesny, chuć, ani nawet ukojenie duszy w Bogu... Pisziesz tak: „Raczej wystawiali oni życie w sposób bezpośredni, przez doświadczenie miłości jako siły sublimującej, wysubtelniającej, otwierającej serce na bolesną i zarazem rozkoszną pieśń bytu, który odnajduje się w miłości, we własnej trwodze i we własnej radości”. Przecież oni nie usiłowali chyba niczego niszczyć...

CAMPBELL: Jasne, że nie. Oni wcale nie mieli bzika na punkcie potęgi; chodziło im o osobiste doświadczenie i sublimację, a to coś zupełnie innego. Nie przypuszczali bezpośredniego szturmu na Kościół. Kierowała nimi idea sublimowania życia, podnoszenia go na poziom doświadczeń duchowych.



Aniołowie niosący Świętego Graala,
ilustracja z *The Playfair Book of Hours*, Anglia, XV w.

*Podczas wojny, jaka toczyła się w niebie
między Bogiem i Szatanem, dobrem i złem,
niektóre z anielskich zastępów stały po stronie Szatana,
inne – po stronie Boga.*

*Graala przynieśli na ziemię drogą środkową neutralni aniołowie.
Ta droga symbolizuje ścieżkę pośrednią między parami przeciwieństw,
między łękiem i pragnieniem, dobrem i złem.*

MOYERS: Oto miłość jest przede mną, Amor, ścieżka miłości stoi przede mną otworem, a oczy...

CAMPBELL: Otóż to: spotkanie oczu. „Tedy przez oczy właśnie miłość serca dosięga, / Albowiem to one są wywiadowcami serca”.

MOYERS: Co trubadurzy wiedzieli o ludzkiej psychce? O psychce już słyszeliśmy; na przykład, że Eros kochał Psyche, a obecnie kładzie się nam do głów, że powinniśmy rozumieć własną psychce. Co trubadurzy odkryli na temat ludzkiej psychce?

CAMPBELL: Odkryli pewien jej indywidualny aspekt, nie dający się ująć w pojęcia ogólne. Jego istotą jest doświadczenie jednostkowe, indywidualne zaangażowanie w to doświadczenie, indywidualna w nie wiara i takież przeżywanie go.

MOYERS: A więc miłość to nie miłość w ogóle, tylko miłość do tej właśnie kobiety?

CAMPBELL: Do tej właśnie. Dokładnie.

MOYERS: Jak sądzisz, dlaczego zakochujemy się w tej właśnie, a nie innej osobie?

CAMPBELL: Nie mnie odpowiadać na takie pytanie. To coś bardzo tajemniczego – ta jakaś elektryczna iskra, po której może nastąpić straszna męka. Trubadurzy opiewają męki miłości, chorobę, której nie mogą uleczyć doktorzy, ranę, którą może wygoić jedynie narzędzie, co ją zadało.

MOYERS: To znaczy?

CAMPBELL: Ta rana to moja namiętność i męka miłości, jaką odczuwam do owej istoty. Jedynym, który może mnie uleczyć, jest ten, kto wymierzył cios. Ten motyw pojawia się w formie symbolicznej w wielu średniowiecznych opowieściach o włóczęni zadającej ranę. Rana może zagoić się dopiero wówczas, gdy włóczęnia dotknie jej ponownie.

MOYERS: Czy coś z tego motywu nie występuje również w legendzie o świętym Graalu?

CAMPBELL: W monastycznej wersji tej historii Graal łączony jest z męką Chrystusa. Graal to kielich używany podczas Ostatniej Wieczerzy i zarazem kielich, który przyjął krew Chrystusa po zdjęciu Go z krzyża.

MOYERS: Cóż więc symbolizuje Graal?

CAMPBELL: Istnieje bardzo interesujące objaśnienie pochodzenia Graala. Jeden z dawnych autorów mówi, że przynieśli go z nieba neutralni aniołowie. Otóż podczas wojny, jaka toczyła się w niebie między Bogiem i Szatanem, dobrem i złem, niektóre z anielskich zastępów stanęły po stronie Szatana, a inne – po stronie Boga. Graala przynieśli na ziemię drogą środkową neutralni aniołowie. Ta droga symbolizuje ścieżkę pośrednią między parami przeciwieństw, między lękiem i pragnieniem, dobrem i złem.

Głównym wątkiem opowieści o Graalu jest to, że cały kraj, jakiś ważny dla nas obszar, uległ całkowitemu spustoszeniu. Stał się ziemią jałową. Co to znaczy – ziemia jałowa? Otóż jest to kraina, w której każdy żyje życiem nieprawdziwym, robi to, co robią wszyscy, tak jak mu kazano, nie mając odwagi żyć po swojemu. To właśnie jest ziemia jałowa, o to chodziło T.S. Eliotowi w jego poemacie *Ziemia jałowa*.

Powierzchnia ziemi jałowej nie przedstawia w istocie rzeczywistości, którą w powszechnej opinii jakoby przedstawiała, ludzie żyją na niej w sposób nieautentyczny. „Przez całe życie nie zrobiłem niczego, na co miałem ochotę. Robiłem, jak mi kazano”. Pojmujesz?

MOYERS: W takim razie Graal staje się...

CAMPBELL: Graal staje się czymś... jak by to nazwać? – czymś, co osiąga i urzeczywistnia człowiek, który żył własnym, autentycznym życiem. Graal symbolizuje pełne urzeczywistnienie najwyższych duchowych potencji ludzkiej świadomości.

Król Graala, na przykład, był ładnym młodym chłopcem, ale jeszcze nie zasłużył sobie na godność Króla Graala. Ze swojego zamku wyjechał z wojennym zawołaniem „Amor!” Cóż, takie zawołanie przystoi młodzieńcowi, ale nie strażnikowi świętego Graala. Otóż, gdy tak sobie jedzie, z lasu wypada muzułmanin, rycerz pogański. Obaj zniżają lance i cwałem ruszają na siebie. Lanca Króla Graala zabija poganina, ale lanca poganina pozbawia męskości Króla Graala.

Sens tego jest taki, że w wyniku chrześcijańskiego rozdzielania materii od ducha, dynamiki życia od królestwa ducha, od naturalnej i nadprzyrodzonej łaski – natura rzeczywiście ulega okastrowaniu. Wskutek tej separacji europejski umysł, europejskie życie zostały jak gdyby pozbawione męsko-

ści. Prawdziwa duchowość, jaka zrodziłaby się ze zjednoczenia materii i ducha, została zabita. Cóż natomiast symbolizuje poganin? Jest to człowiek wywodzący się z przedmieść Edenu. Uważano go za człowieka natury; na grocie jego lancy wypisane było słowo „Gaal”. Znaczy to, że natura dąży do Graala. Życie duchowe jest esencją, aromatem, kwieciem i wypełnieniem ludzkiego bytu, nie zaś nadprzyrodzoną wartością narzuconą mu odgórnie.

Dlatego tym, co nadaje życiu autentyczność, są impulsy natury, a nie prawa pochodzące od nadprzyrodzonego autorytetu; taki jest sens Graala.

MOYERS: Czy to właśnie miał na myśli Tomasz Mann mówiąc, że dziełem najszlachetniejszym jest gatunek ludzki, ponieważ łączy w sobie naturę i ducha?

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Natura i duch tęsknią wzajem do siebie, chcą się spotkać w tym doświadczeniu. A znów Graal, którego poszukują te romantyczne legendy, jest ponownym zjednoczeniem tego, co kiedyś zostało rozdzielone, jest pokojem płynącym z połączenia.

CAMPBELL: Graal staje się symbolem życia autentycznego, przeżywanego w kategoriach jego własnych aktów woli, swoistych tylko dla niego impulsów, które wiodą je pomiędzy parami przeciwieństw – dobra i zła, światła i ciemności. Jeden z autorów legendy o Graalu zaczyna swój długi epicki poemat krótkim wierszem, w którym mówi: „Każdy czyn ma dobre i złe skutki”. Każdy nasz uczynek daje w wyniku pary przeciwieństw, najlepsze zatem, co można robić, to dążyć do światła, do harmonii w stosunkach z innymi, harmonii płynącej ze współ-czucia z cierpiącymi, ze zrozumienia dla innych. W tym właśnie zawiera się sens Graala i to właśnie dochodzi do głosu w romansie Graala.

W legendzie o Graalu młody Perciwal jest wychowywany na wsi przez matkę, która odrzuciła życie dworskie i pragnie, by jej syn nic nie wiedział o dworskich regułach. Życie Perciwala biegnie zgodnie z dynamiką swoich własnych popędów aż do czasu, gdy młodzieniec jest już dojrzały. Wtedy człowiek, który przysposabiał go do rycerskiego fachu, oferuje mu na żonę swoją młodą, ładną córkę. Ale Perciwal mówi: „Nie, muszę zasłużyć sobie na żonę, nie mogę brać jej w darze”. To jest początek Europy.

MOYERS: Początek Europy?

CAMPBELL: Tak – Europy spod znaku indywidualizmu, spod znaku Graala.

Perciwal dociera do zamku Graala i spotyka tam Króla Graala, którego wnoszą w lektyce, rannego; przy życiu trzyma go wyłącznie bliskość Graala. Pod wpływem współczucia Perciwal już już ma go zapytać: „Wuju, gdzie cię boli?” – ale nie zadaje tego pytania, bo jego nauczyciel wpoił mu, że rycerz nie zadaje niepotrzebnych pytań. Jest posłuszny tej zasadzie, no i cała przygoda bierze w łeb.

Potem następuje pięć lat pełnych prób, kłopotów i wszelkiego rodzaju trudności, nim młodzian znów może powrócić do zamku i zadać owo pytanie, które uleczy króla i społeczność. To pytanie wyraża nie prawidłą rządzące społeczeństwem, ale współczucie, spontaniczne otwarcie się ludzkiego serca na innego człowieka. To jest Graal.

MOYERS: Rodzaj miłości, która...

CAMPBELL: To jest spontaniczne współczucie, współ-cierpienie.

MOYERS: Jak to powiedział Jung? – Że dusza nie ma spokoju, póki nie znajdzie swego drugiego ja, a tym drugim ja jest zawsze jakieś ty? To właśnie romantycy...

CAMPBELL: Dokładnie tak – romans, romanca. Właśnie o tym mówi mit.

MOYERS: Ale czy to nie jest coś sentymentalnego?

CAMPBELL: Nie, sentyment, uczucie, jest echem gwałtu. W istocie nie jest to ekspresja czegoś koniecznego.

MOYERS: Jak sądzisz, co to wszystko mówi o miłości romantycznej? O naszym indywidualnym jestestwie?

CAMPBELL: Mówi, że żyjemy w dwóch światach: w naszym własnym oraz w tym, który dano nam z zewnątrz. Cały problem polega na tym, jak doprowadzić do harmonii między nimi. Wchodzę w daną społeczność, więc muszę żyć zgodnie z jej regułami. Byłoby czymś śmiesznym żyć inaczej, nie podług reguł tej społeczności, ponieważ jeśli tak nie żyję, to nie żyję w ogóle. Nie mogę jednak pozwolić, aby ta społeczność dyktowała mi, jak powinienem żyć. Człowiek powinien zbudować sobie własny system; niekiedy może on brutalnie zawieść społeczne oczekiwania i społeczność go

nie zaakceptuje. Jednakże naszym życiowym zadaniem jest żyć w obszarze pozostawionym nam przez społeczność, która rzeczywiście nas wspiera.

Wynika tu pewna kwestia – na przykład wojna, kiedy to młodzi ludzie muszą się rejestrować do poboru. Wymaga to decyzji o ogromnej wadze. Dokąd mnie ona zaprowadzi, czym się skończy moja zgoda na to, czego żąda ode mnie społeczeństwo – zabijania innych ludzi, których nie znam? Za co? Dla kogo? I inne tego rodzaju rzeczy.

MOYERS: O to właśnie mi chodziło, gdy mówiłem przed chwilą, że społeczeństwo nie mogłoby istnieć, gdyby każde serce było włóczęgą, a każde oko biegło tu i tam.

CAMPBELL: Tak, z pewnością. Ale, widzisz, są społeczeństwa, które nie powinny istnieć.

MOYERS: One wcześniej czy później...

CAMPBELL: ...wałą się w gruzy.

MOYERS: Trubadurzy rozwalili ten stary świat.

CAMPBELL: Nie sądzę, aby to naprawdę oni go rozwalili.

MOYERS: To zrobiła miłość.

CAMPBELL: To było... tak, chyba coś w tym rodzaju. Luter był w pewnym sensie trubadurem Chrystusa. Miał swoje wyobrażenie o tym, co to znaczy być kapłanem. I rzeczywiście – zgruchotał na kawałki średnio-wieczny Kościół. On nigdy już się z tego nie podniósł.

Widzisz, historia chrześcijaństwa nasuwa wiele ciekawych myśli. W ciągu pierwszych pięciu stuleci istniało wiele chrystianizmów, wiele rozmaitych sposobów bycia chrześcijaninem. Potem, za czasów Teodozjusza, w czwartym wieku, jedyną dopuszczoną w Cesarstwie Rzymskim religią stała się religia chrześcijańska, a jedyną formą chrześcijaństwa dopuszczonego w Cesarstwie – chrześcijaństwo bizantyjskiego tronu. Barbarzyństwo, z jakim przy tej okazji zniszczono starożytnie świątynie, niewiele ma analogii w dziejach świata.

MOYERS: Niszczył je zorganizowany Kościół?

CAMPBELL: Tak, zorganizowany Kościół. A dlaczego chrześcijanie nie mogli współżyć z innymi religiami? O co im chodziło?



**Galahad podchodzi do Okrągłego Stołu,
ilustracja ze średniowiecznego manuskryptu.**

*Galahada wprowadzono na dwór Króla Artura
w płomieniste czerwonej zbroi,
a działo się to w Zielone Świąta – upamiętniające
zstąpienie na apostołów Ducha Świętego w formie płomyków ognia.
Każdy z nas może być Galahadem.
Jezus mówi: „Ten, kto pije z moich ust, będzie jak ja, a ja będę nim”.*

MOYERS: Jak sam o tym myślisz?

CAMPBELL: O potęgę, o potęgę im chodziło. Myślę, że dążenie do potęgi ma w dziejach Europy znaczenie fundamentalne. Przeniknęło ono do naszych tradycji religijnych.

Jeśli idzie o legendy o Graalu, bardzo interesujące jest to, że pojawiają się one w jakieś pięćset lat po narzuceniu chrystianizmu Europie. Reprezentują spotkanie się dwóch tradycji.

Pod koniec dwunastego wieku opat Joachim de Flore pisał o trzech epokach ducha. Po Upadku w Ogrodzie – twierdził – Bóg musiał wynagrodzić tę katastrofę ludziom, więc wprowadził do dziejów zasadę duchową. Na jej przekaziciela wybrał sobie jeden lud; to była epoka Ojca i Izraela. Potem ów lud, odpowiednio przygotowany do funkcji kapłańskiej i do stania się naczyniem Wcielenia, wydaje spośród siebie Syna. W ten sposób następuje druga epoka – epoka Syna i Kościoła, w której nie jeden wybrany lud, ale cała ludzkość ma przyjąć przesłanie duchowej woli Boga.

Trzecia epoka (nasz filozof, czynny około 1260 r., twierdził, że rozpocznie się ona w naszych czasach) jest wiekiem Ducha Świętego, mówiącego bezpośrednio do jednostki. Każdy, kto ucieleśnia lub wprowadza w swoje życie orędzie Słowa, jest równoważny Chrystusowi; taki jest sens tej trzeciej epoki. Podobnie jak wskutek ustanowienia Kościoła Izrael stał się anachronizmem, tak też indywidualne doświadczenie sprawia, że anachroniczny staje Kościół.

Zapoczątkowało to wielki ruch eremicki – pustelnicy szli w lasy, aby tam czekać na duchowe przeżycie. Za pierwszego przedstawiciela tego prądu uważa się św. Franciszka z Asyżu; był on odpowiednikiem Chrystusa, przez niego też – tu, w fizycznym świecie – objawił się Duch Święty.

Wszystko to kryje się w tle opowieści o szukaniu Graala. Galahad, wędrujący na poszukiwanie Graala, był odpowiednikiem Chrystusa. Gdy wprowadzono go na dwór Króla Artura, miał na sobie płomieniście czerwona zbroję, a działo się to w Zielone Świąta – upamiętniające zstąpienie na apostołów Ducha Świętego w formie płomyków ognia. Widzisz, każdy z nas może być Galahadem. Jest to gnostycka postawa wobec chrześcijańskiego orędzia. Tę ideę wyrażają dokumenty gnostyckie, zagrzebane na pustyni w czasach Teodozjusza.

Na przykład w gnostyckiej ewangelii Tomasza Jezus mówi: „Ten, kto pije z moich ust, będzie jak ja, a ja będę nim”*. Właśnie ten motyw występuje w owych romansach o Graalu.

MOYERS: Powiedziałeś, że to, co stało się w wiekach dwunastym i trzynastym, było jedną z najważniejszych przemian w ludzkim odczuwaniu i w duchowej świadomości; że doszedł wtedy do głosu nowy sposób przeżywania miłości.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: I że był to sprzeciw wobec kościelnego despotyzmu, sprawującego władzę nad ludzkimi sercami i wymagającego, by ludzie – szczególnie młode dziewczęta – wiązali się małżeństwem z tymi, których narzucał im Kościół bądź rodzice. Jaki to miało wpływ na namiętność serca?

CAMPBELL: Najpierw słówko o tej pierwszej sprawie. Otóż trzeba przyznać, że w atmosferze codziennego życia więź uczuciowa rodzi się między mężem i żoną nawet wówczas, gdy inni ludzie ułożyli ich małżeństwo. Inaczej mówiąc, w takich zaaranżowanych stadłach też może być dużo miłości. Jest w nich miłość rodzinna, kwitnie bogate życie uczuciowe. Brak jednak tego drugiego elementu – zachwycenia, płynącego z rozpoznania w drugiej osobie części siebie samego. Za tym właśnie orędowni trubadurzy i to jest obecnie dla nas ideałem.

Ale, jak sam wiesz, małżeństwo to małżeństwo. Małżeństwo nie jest zwykłą miłością. Miłość to coś zupełnie innego. Małżeństwo jest zaangażowaniem się w to, czym jesteś sam. Druga osoba jest najdosłowniej twoją drugą połową. Ona i ty jesteście jednym. Miłość to coś innego. To związek dla przyjemności, więc kiedy przyjemność zaczyna blednąć – koniec z romansem. Natomiast małżeństwo to zaangażowanie na całe życie, a takie zaangażowanie oznacza, że staje się ono w twoim życiu naczelną troską. Jeśli nią nie jest, to znaczy, że nie jesteś małżonkiem.

MOYERS: Czy romans w małżeństwie może trwać?

CAMPBELL: W niektórych małżeństwach – tak, w innych – nie. Jednakże sednem problemu, pojęciem kluczowym w całej tej trubadurskiej tradycji jest lojalność.

* Por. przypis na str. 99.

MOYERS: Co masz na myśli, mówiąc o lojalności?

CAMPBELL: Nie oszukać, nie zdezerterować; niezależnie od wszelkich prób i cierpień pozostać wiernym.

MOYERS: Purytanie nazywali małżeństwo „małym kościołem w Kościele”. W małżeństwie kochasz codziennie i codziennie wybaczasz. To jest dziejący się stale sakrament – miłości i przebaczenia.

CAMPBELL: Cóż, według mnie, najtrafniejszym słowem jest próba, w najkonkretniejszym jego sensie. To podporządkowanie się jednostki czemuś od niej wyższemu. Prawdziwe życie małżeńskie bądź miłosne, jak w romansie na serio, kryje się w związku – a dotyczy to również ciebie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

MOYERS: No, nie całkiem.

CAMPBELL: Widzisz, to jest tak jak z symbolem jin-jang. Tu jestem ja, tu jest ona, a tu jesteśmy my. Dlatego kiedy muszę wyrzec się czegoś, robię to nie dla niej, ale dla dobra związku. Uraza wobec drugiej strony jest nieporozumieniem. Życie, twoje życie, zawiera się obecnie w związku. Tym właśnie jest małżeństwo, podczas gdy romans to mniej lub bardziej udany związek dwojga ludzi połączonych stosunkiem trwającym tak długo, jak długo wydaje się on przyjemny.

MOYERS: W małżeństwie uświęconym religijnie jest tak, że to, co Bóg połączył, staje się jednym i nie może być rozdzielone przez człowieka.

CAMPBELL: Ta jedność to dopiero początek, małżeństwo zaś jest jej symbolicznym potwierdzeniem.

MOYERS: Początek?

CAMPBELL: Małżeństwo to symboliczne uznanie tożsamości nas dwojga – dwóch aspektów tej samej istoty.

MOYERS: Znasz tę starą, ciekawą legendę o ślepym proroku Tejrezjaszu, prawda?

CAMPBELL: Tak. Wspaniała historia. Tejrezjasz, idąc kiedyś przez las, zobaczył nagle dwa spółkujące wężę. Wetknął między nie swoją łaskę i raptem zmienił się w kobietę, po czym żył jako kobieta przez wiele lat. I znowu Tejrezjasz-kobieta idzie przez las i widzi dwa kopulujące wężę,

wtyka pomiędzy nie swoją łaskę i z powrotem zostaje przemieniony w mężczyznę.

Otóż, pewnego pięknego dnia, na Wzgórzu Kapitołińskim, poświęconym Zeusowi...

MOYERS: Chyba na górze Olimp?...

CAMPBELL: Na górze Olimp, oczywiście... Otóż Zeus spierał się ze swoją żoną, kto ma więcej przyjemności ze stosunku seksualnego, mężczyzna czy kobieta. Rzecz jasna, żadne z nich dwojga nie mogło rozstrzygnąć tego sporu, bo przecież oboje, by tak powiedzieć, grali na jedną bramkę. Wtedy któreś z nich rzekło: „Spytajmy Tejrezjasza”.

Idą więc do Tejrezjasza i pytają go o zdanie. Tejrezjasz mówi: „Oczywiście kobieta, dziewięć razy więcej niż mężczyzna”. Ale z jakiegoś powodu, którego doprawdy nie rozumiem, Herę, żonę Zeusa, bardzo ta odpowiedź rozżłościła, więc poraziła Tejrezjasza ślepotą. Wobec czego Zeus, poczuwając się do niejkiej winy, udzielił ślepemu Tejrezjaszowi daru prorokowania. Jest w tym wszystkim głęboki sens: gdy twoje oczy zamykają się na rozpraszające uwagę zjawiska, zagłębiasz się we własną intuicję i możesz wejść w kontakt z nagą, podstawową formą rzeczy.

MOYERS: Dobrze, ale czy nie chodzi tu o to, że Tejrezjasz, przemieniony przez węże w kobietę, potem w mężczyznę, uzyskał wiedzę o przeżyciach zarówno kobiety, jak i mężczyzny, i wiedział więcej niż bóg i bogini każde z osobna?

CAMPBELL: Dokładnie tak. Co więcej, symbolicznie przedstawia on jedność obojga. Kiedy Kirke wysłała Odyseusza do świata podziemnego, prawdziwą inicjację uzyskał on dopiero wówczas, gdy spotkał Tejrezjasza i uświadomił sobie jedność męskości i żeńskości.

MOYERS: Często sobie myślałem, że gdyby człowiek mógł wejść w kontakt ze stroną żeńską, jaką w sobie nosi, albo z męską, jeżeli jest kobietą – to wiedziałby wszystko, co wiedzą bogowie, a może nawet więcej.

CAMPBELL: Taką właśnie wiedzę człowiek czerpie z małżeństwa. Tą właśnie drogą wchodzisz w kontakt ze swoją stroną kobiecą.

MOYERS: A co się dzieje z tym samopoznaniem się przez miłość, gdy spotkasz kogoś innego i przesywa cię myśl: „Ja znam tę osobę!”, albo „Chcę poznać tę osobę”?

CAMPBELL: To coś bardzo tajemniczego. To jest prawie tak, jak gdyby przyszłość, całe przyszłe wspólne życie z tą osobą powiedziało ci – i to już dawno – że właśnie z tą osobą przyjdzie ci spędzić życie.

MOYERS: Może jest to coś, co wylania się z jakiejś głębi, z magazynu naszych wspomnień, których nie rozumiemy i nie rozpoznajemy? Wylania się i w jakiś sposób zostaje dotknięte przez tę osobę...

CAMPBELL: Wygląda to prawie tak, jak gdybyś reagował na przyszłość. To mówi do ciebie z tego, co dopiero będzie. Ma to związek z tajemnicą czasu i pozaczasowości. Myślę jednak, że dotykamy tu bardzo głębokiej tajemnicy.

MOYERS: Ale czy ty, w swoim życiu, odkładasz to po prostu na bok jako tajemnicę? Albo inaczej: czy sądzisz, że można mieć udane małżeństwo i oprócz tego inny związek, pozamałżeński?

CAMPBELL: W sensie technicznym można by powiedzieć: „Oczywiście, dlaczego nie?”

MOYERS: Wydaje się jednak, że wszystko to, co wnosisz do romansu, odbierasz jednocześnie swojemu małżeństwu, i że podkopuje to lojalność twojego związku.

CAMPBELL: Sądzę, że każdy musi sam jakoś uporać się z tymi sprawami. Przecież jest możliwe miłosne zachwycenie już po zaangażowaniu się w małżeństwo, i może to być urzeczenie tak potężne, że gdybyś na nie nie odpowiedział, mógłbyś, co tu dużo gadać, zupełnie stłumić w sobie zdolność do przeżywania pełnej, autentycznej miłości.

MOYERS: W tym tkwi chyba sedno rzeczy. Skoro oczy są wywiadowcami serca i donoszą mu o tym, czego ono namiętnie pragnie, to czyż serce może pragnąć tylko jeden jedyny raz?

CAMPBELL: Powiem tylko tyle: miłość nie uodparnia człowieka na inne związki. Czy jednak można mieć romans – rozumiesz, taki prawdziwy, dojrzały romans – i jednocześnie być lojalnym wobec zobowiązań małżeńskich... Cóż, nie sądzę, żeby obecnie było to możliwe.

MOYERS: Dlaczego?

CAMPBELL: Byłaby klapa z małżeństwem. Ale lojalność nie wyklucza serdecznych, nawet pełnych miłości stosunków z inną osobą płci przeciw-

nej. W romansach rycerskich w sposób bardzo wdzięczny i subtelny opisuje się czułość, z jaką człowiek lojalny wobec własnej miłości odnosi się do innych kobiet.

MOYERS: Trubadurzy opiewali swoje damy, nawet gdy mieli zupełnie nikłe szanse na kontynuację i pogłębienie związku.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: A czy mitologia mówi coś w kwestii, że może lepiej jest kochać i utracić miłość?

CAMPBELL: Najogólniej biorąc, mitologia nie zajmuje się problemem osobistej, jednostkowej miłości. Człowiek poślubia osobę, którą wolno mu poślubić, rozumiesz. Jeśli należysz do określonego klanu, możesz ożenić się z tą właśnie, a nie inną kobietą, itd.

MOYERS: W takim razie co ma wspólnego miłość z moralnością?

CAMPBELL: To, że miłość narusza moralność.

MOYERS: Narusza moralność?!

CAMPBELL: Tak. Miłość o tyle, o ile wyraża samą siebie, czyni to wcale nie w kategoriach społecznie akceptowanych obyczajów. Dlatego tyle wokół niej tajemniczości. Miłość nie ma nic wspólnego ze społecznym porządkiem. Jest ona doświadczeniem duchowym wyższym niż małżeństwo społecznie zaaranżowane.

MOYERS: Czy kiedy mówimy, że Bóg jest miłością, ma to jakiś związek z miłością romantyczną? Czy mitologia wiązała kiedykolwiek miłość z Bogiem?

CAMPBELL: Robiła to zawsze. Miłość była boskim opętaniem, toteż zawsze przewyższała małżeństwo. Jest to idea trubadurska. Jeśli Bóg jest miłością, no to miłość, rzecz jasna, jest Bogiem. Mistrz Eckhart powiedział: „Miłość nie zna cierpienia”. Dokładnie to samo miał na myśli Tristan mówiąc: „Gwoli mej miłości ochoczo przyjmuję udręki piekiel”.

MOYERS: Ale sam mówisz, że miłość łączy się z cierpieniem.

CAMPBELL: To inny motyw. Tristan doświadczał miłości; Mistrz Eckhart o niej mówił. Ból miłości nie jest innym rodzajem bólu – to jest ból życia. Można by rzec, iż tam, gdzie jest nasz ból, jest też nasze życie.

MOYERS: W pewnym ustępie Listu do Koryntian św. Paweł mówi: „Miłość wszystko znosi, wszystko przetrzyma”.

CAMPBELL: To jest to samo.

MOYERS: Mimo wszystko jednym z moich ulubionych mitów jest ta historia z Persji mówiąca o tym, że Szatan skazany został na piekło, ponieważ zbyt mocno kochał Boga.

CAMPBELL: Tak, jest to główna muzułmańska idea dotycząca Szatana jako tego, który najmocniej umiłował Boga. O Szatanie można myśleć na rozmaite sposoby. Ten wyrasta z pytania: dlaczego Szatan został strącony do piekieł? Najbardziej rozpowszechniona wersja mówi, że Bóg, stworzywszy aniołów, nakazał im, aby oddawali cześć wyłącznie Jemu, nikomu więcej. Potem stworzył człowieka, którego uznał za wyższego od aniołów, i zażądał od nich, by mu służyli. Szatan jednak nie chciał pokłonić się człowiekowi.

Otóż, o ile dobrze pamiętam nauki z lat dziecińczych, w tradycji chrześcijańskiej interpretuje się to jako wyraz egotyzmu Szatana. Nie chciał pokłonić się człowiekowi. Jednakże według tej perskiej opowieści on nie mógł kłaniać się człowiekowi z powodu swej miłości do Boga; mógł oddawać cześć tylko Bogu. Bóg zmienił kod, rozumiesz? Ale Szatan tak się przywiązał do pierwszego zestawu sygnałów, że nie mógł go pogwałcić, toteż w swoim – nie powiem sercu, bo nie wiem, czy je posiada – więc w swoim duchu nie mógł przystać na to, by kłaniać się komukolwiek innemu oprócz Boga, którego kochał. Wtedy Bóg mówi doń: „Zejdź mi z oczu”.

Otóż najgorszą z udręk piekielnych – o ile mamy wierzyć opisom piekła – jest nieobecność Umilowanego, którym jest Bóg. Jak więc Szatan w ogóle w piekle wytrzymuje? – Wspominając brzmienie głosu Boga, gdy powiedział mu: „Idź do piekła”. To piękny znak miłości.

MOYERS: Cóż, z pewnością jest prawdą, że największym piekłem, jakiego można zaznać w życiu, to być oddzielonym od tego, kogo się kocha. Dlatego tak lubię ten perski mit. Szatan, tak kochający Boga...

CAMPBELL: ...jest od niego oddzielony, i to właśnie jest dla niego prawdziwą męką.



Indie, Margaret Bourke-White (1906–1971).

Miłość jest najgorętszym punktem życia.

a że całe życie pełne jest smutku,

to tak samo jest z miłością.

Im silniejsza miłość, tym więcej bólu.

MOYERS: Istnieje też inna perska opowieść – o parze naszych prarodzców.

CAMPBELL: Rzeczywiście, wspaniała. W istocie byli oni na początku jednym, wyrosli jako roślina. Potem jednak rozdzielili się i stali się dwojgiem, i splodzili potomstwo. Swoje dzieci tak kochali, że pożarli je. Bóg pomyślał: „No, tak być nie może!” I zmniejszył rodzicielską miłość o jakieś 99,99 procenta, tak że odtąd rodzice nie zjadali już swego potomstwa.

MOYERS: Ale co ten mit...

CAMPBELL: Sam słyszałem odzywki w stylu „to małe jest takie rozkoszne, że mógłbym je schrupać”.

MOYERS: Potęga miłości?

CAMPBELL: Potęga miłości.

MOYERS: Tak wielka, że trzeba było ją zredukować.

CAMPBELL: Tak. Widziałem kiedyś obraz z namalowanymi, szeroko rozwartymi ustami; w środku było serce. Taka miłość pożera cię. Matki, ogarnięte tego rodzaju miłością, powinny uczyć się ją powściągać.

MOYERS: Boże, poucz mnie, kiedy mam pozwolić na odejście...

CAMPBELL: Właśnie. W Indiach znane były drobne obrzędy pomagające matkom w rozstawaniu się ze swoimi dziećmi, szczególnie z synami. Guru, kapelan rodziny, przychodził i prosił matkę, aby oddała mu, co ma najcenniejszego. Mógł to być jakiś klejnot czy coś w tym rodzaju. Następowały rozmaite ćwiczenia uczące matki, jak rezygnować z tego, co dla nich najwartościowsze. Wreszcie, na koniec, taka matka rezygnowała z własnego syna.

MOYERS: A więc w miłości jest radość i męka.

CAMPBELL: Tak. Miłość jest najgorętszym punktem życia, a że całe życie pełne jest smutku, to tak samo jest z miłością. Im silniejsza miłość, tym więcej bólu.

MOYERS: Ale miłość wszystko znieśie.

CAMPBELL: Można by powiedzieć, że sama miłość jest bólem – bólem prawdziwego istnienia.



Kali zabijająca przywódców Asurów, Rakta-Widźa, Indie, XVII w.

Są bogowie przemocy.

są bogowie współczucia.

są bogowie łączący z sobą oba światy – widzialny i niewidzialny.

Wszyscy oni stanowią personifikacje czynnych w danej sytuacji energii.

Jednakże ostateczne źródło tych energii

pozostaje tajemnicą.

VIII MASKI WIECZNOŚCI

*Obrazy mitu są odbiciami
duchowych możliwości
tkwiących w każdym z nas.
Z kontemplowania ich czerpiemy
moc dla własnego życia.*

MOYERS: Czy, poruszając się wśród tylu rozmaitych światopoglądów, zanurzając się w rozmaite kultury, cywilizacje i religie, odnajdujesz w każdej z nich jakiś element wspólny, stwarzający konieczność istnienia Boga?

CAMPBELL: Każdy, kto miał doświadczenie tajemnicy, wie, że jest we wszechświecie wymiar kryjący w sobie coś niedostępnego zmysłom. Trafnie ujmuje to jedna z *Upaniszad*: „Gdy wobec piękna zachodzącego słońca bądź góry przystajesz i wołasz: »Ach!«, współuczestniczysz w boskości”. W takim momencie współuczestnictwa człowiek uświadamia sobie cud i nagie piękno istnienia. Ludzie żyjący pośród natury co dnia przeżywają takie chwile. Mają oni świadomość, że obcuja z czymś znacznie przewyższającym ludzki wymiar. Jednakże w człowieku tkwi dążność do personifikowania takich doświadczeń, do antropomorfizacji sił natury.

Zgodnie z naszym, zachodnim sposobem myślenia upatrujemy w Bogu ostateczne źródło bądź przyczynę energii i cudu świata. Natomiast w większości światopoglądów orientalnych, a także zgodnie ze światopoglądem pierwotnym, bogowie są raczej przejawami i dostarczycielami energii w ostatecznym rachunku bezosobowej. Nie są jej źródłem. Bóg to jedynie przekaziciel energii, a siła bądź charakter wchodzącej faktycznie w grę lub symbolizowanej energii określa charakter i funkcję boga. Są bogowie przemocy, są bogowie współczucia, są bogowie łączący z sobą oba światy – widzialny i niewidzialny, są wreszcie bogowie będący po prostu opiekunami królów lub narodów prowadzących akurat wojnę. Wszyscy oni stanowią personifikacje czynnych w danej sytuacji energii. Jednakże ostateczne źródło tych energii pozostaje tajemnicą.

MOYERS: Czy fatum skutkiem tego nie staje się czymś w rodzaju anarchii, ciągłej wojny pomiędzy księstwami?

CAMPBELL: Owszem – bo tak właśnie jest w życiu. A nawet w naszych umysłach: gdy przychodzi do podjęcia decyzji, zaczyna się wojna. Gdy na przykład działam wśród ludzi i wchodzę w stosunki z nimi, staję wobec kilku możliwości. Wówczas wpływ bóstwa dominującego w moim umyśle będzie określać moją decyzję. Jeśli moje naczelne bóstwo jest brutalne, to i moja decyzja będzie brutalna.

MOYERS: A jak się to ma do wiary? Ty, jako człowiek wiary, zdolny do przeżywania zachwyty...

CAMPBELL: Nie, ja nie muszę mieć wiary, wystarczy mi doświadczenie.

MOYERS: Jakiego rodzaju?

CAMPBELL: Doświadczenie cudu życia. Doświadczenie miłości. Doświadczenie nienawiści, złości do tego tam faceta, którego mam wielką ochotę wyrzucić w szczękę. Z punktu widzenia obrazowania symbolicznego są to rozmaite siły działające w moim umyśle. Zachwyty, miłość, nienawiść; wszystkie te doznania można uważać za inspirowane przez różne bóstwa.

Jako mały chłopiec wychowywany byłem w wierze katolickiej; mówiono mi wówczas, że po prawej stronie mam anioła stróża, po lewej zaś diabła kusiciela, i że wszystkie moje życiowe decyzje będą zależeć od tego, czy większy wpływ na mnie uzyska anioł czy też diabeł. Jako chłopiec nadawałem tym myślom charakter konkretny i sądziłem, że tak samo robili moi wychowawcy. Uważali, że anioł istnieje naprawdę, że jest faktem i że diabeł też jest faktem. Teraz jednak, zamiast myśleć o nich jako o faktach, mogę traktować ich jako metafory impulsów, które mną powodują i prowadzą mnie.

MOYERS: Skąd pochodzą te energie?

CAMPBELL: Z twego własnego życia, z energii twego własnego ciała. Rozmaite organy twego ciała, łącznie z głową, pozostają we wzajemnym konflikcie z sobą.

MOYERS: A skąd bierze się moje życie?

CAMPBELL: Z ostatecznej, najwyższej energii będącej życiem wszechświata. Teraz zapewne powiesz: „No dobrze, ale w takim razie musi istnieć ktoś wytwarzający tę energię!” Czy jednak musisz o to pytać? Czy najwyższa tajemnica nie może być nieosobowa?

MOYERS: Ale czy ludzie mogą współżyć z czymś, co jest bezosobowe?

CAMPBELL: Tak, i możesz to zobaczyć wszędzie; wystarczy, że pojedziesz na wschód od Suez. Jak wiesz, na Zachodzie istnieje tendencja do antropomorfizacji i podkreślania człowieczeństwa bogów, personifikacji. Na przykład Jahwe jest już to bogiem gniewnym, sprawiedliwym i karzącym, już to bogiem łaskawym, podporą twego życia, jak czytamy chociażby w Psalmach. Na Wschodzie jednak bogowie przejawiają charakter znacznie bardziej żywiołowy, o wiele mniej ludzki, w większym stopniu upodabniają się do mocy natury.

MOYERS: W naszej kulturze kiedy ktoś mówi do dziecka: „Spróbuj wyobrazić sobie Pana Boga”, ono odpowiada: „To jest staruszek z brodą, w długiej białej szacie”.

CAMPBELL: W naszej kulturze – tak. Nawykliśmy myśleć o Bogu jako o mężczyźnie, jednak w wielu innych tradycjach moc boską pojmuje się głównie w formie żeńskiej.

MOYERS: Chodzi o to, że nie sposób wyobrazić sobie czegoś, czego nie można upersonifikować. Czy, twoim zdaniem, jest możliwe skupienie umysłu na tym, co Platon nazywał „nieśmiertelną, boską myślą”?

CAMPBELL: Oczywiście. Na tym polega medytacja. Medytować to znaczy rozmyślać ciągle nad pewną sprawą. Może to się odbywać na rozmaitych poziomach. Ja w swoim myśleniu nie rozgraniczam specjalnie sfery fizycznej od duchowej. Na przykład medytacja o pieniądzach to całkiem dobra medytacja. Także piecza o rodzinę jest bardzo ważną medytacją. Ale jest też forma samotnej medytacji – na przykład, gdy wchodzisz do katedry.

MOYERS: A więc modlitwa to w rzeczywistości medytacja.

CAMPBELL: Modlitwa jest nawiązaniem kontaktu z tajemnicą i jest medytacją nad nią.

MOYERS: Wywoływaniem mocy skądś, z głębi siebie.

CAMPBELL: W katolicyzmie wdrażają nas do pewnej formy medytacji, gdy odmawiamy różaniec, powtarzając w kółko jedną i tę samą modlitwę. To wciąga umysł. Taka praktyka nazywa się po sanskrycku *dżapa*, „powtarzanie świętego imienia”. Nakłada ona blokadę na wszelkie inne myśli i pozwala ci skupić się na jednej rzeczy, dzięki czemu później – w zależności od siły swej wyobraźni – możesz doświadczyć głębokości tej tajemnicy.

MOYERS: W jaki sposób uzyskujemy to głębokie doświadczenie?

CAMPBELL: Przez głębokie odczucie tajemnicy.

MOYERS: Ale jeśli Bóg jest tylko bogiem naszej wyobraźni, to jak mamy odczuwać lęk przed naszym własnym tworem?

CAMPBELL: A czyż nie bywa tak, że trwożą nas własne sny? Musimy oderwać się od własnego wizerunku Boga, pójść dalej, aby dotrzeć do

światłości. Psycholog Jung zauważył trafnie: „Religia jest obroną przed doświadczeniem Boga”.

Tajemnica została zredukowana do pewnej liczby pojęć i idei; nadmierne podkreślanie tych pojęć i idei może nas odciąć od właściwego przeżycia religijnego – od doświadczenia transcendencji. Za takie najwyższe doświadczenie religijne wypada nam uważać intensywne doświadczenie tajemnicy.

MOYERS: Niemalø chrześcijan uważa, że aby poznać Jezusa, należy wyjść poza chrześcijańską wiarę, poza chrześcijańską doktrynę i poza Kościół...

CAMPBELL: Trzeba oderwać się od wyobrazonego wizerunku Jezusa. Taki wizerunek własnego boga staje się dla nas ostatnią przeszkodą, ostatnią barierą. Trzymasz się swej własnej ideologii, własnego prościutkiego sposobu myślenia, a kiedy stajesz w obliczu jakiegoś większego doświadczenia Boga, doświadczenia przewyższającego wszystko to, do czego zostałeś przygotowany, czmychasz przed nim, czepiasz się obrazu, jaki nosisz w umyśle. Znana to sprawa, nazywa się to „chronieniem własnej wiary”.

Na pewno znasz ten motyw – wznoszenie się ducha poprzez rozmaite centra znaczące archetypiczne etapy doświadczenia. Droga zaczyna się od elementarnych, zwierzęcych doświadczeń głodu i zachłanności, potem wiedzie przez żądzę płciową, następnie do fizycznego panowania takiego bądź innego rodzaju. Na wszystkich tych etapach doświadczasz poczucia mocy. Później jednak, gdy docierasz do ośrodka mieszczącego się w sercu, budzi się w tobie współczucie dla innego człowieka lub jakiegoś stworzenia i uświadamiasz sobie, że ty i ten drugi jesteście w pewnym sensie stworzeniami uczestniczącymi w jednym życiu, w jednym stawaniu się. Wówczas otwiera się przed tobą nowy, wielki etap – życie w duchu. To otwarcie się serca na świat symbolizowane jest w mitach przez narodziny z dziewicy. Oznaczają one narodziny do życia duchowego w obrębie egzystencji, która jeszcze niedawno była elementarnym człowieczym, zwierzęcym bytowaniem nastawionym na cele czysto fizyczne, jak zdrowie, potomstwo, władza i odrobina rozrywki.

Ale teraz stajemy przed czymś innym. Otóż przez to doświadczenie współczucia, harmonii czy nawet tożsamości z innymi lub z jakąś ponadegoistyczną zasadą, która zadomowiła się w twoim umyśle jako dobro

godne czci i oddania – wkraczasz definitywnie, raz na zawsze, na ściśle religijną drogę życia i doświadczenia. Może cię ona poprowadzić do poszukiwania pełni doświadczenia owego Bytu wszelkich bytów, którego wszystkie formy doczesne są tylko odbiciami, i to poszukiwanie może ci wypełnić całe życie.

Jeśli zaś idzie o to ostateczne wszechpodłoże rzeczy, można go doświadczać dwojako: w konkretnej formie i bez żadnej formy, poza wszelką formą. Gdy doświadczasz swego boga jako mającego kształt, z jednej strony jest twój pochłonięty wizją umysł, z drugiej – bóg. Jest podmiot i jest przedmiot. Ostatecznym wszakże celem mistycznym jest osiągnięcie jedności z własnym bogiem. W tym momencie dualność zostaje przekroczona, a formy znikają. Nie ma już nikogo – ani boga, ani ciebie. Twój umysł, wychodząc poza wszelkie pojęcia, rozpuścił się w utożsamieniu z podłożem twego własnego jestestwa, gdyż tym, do czego odsyła metaforyczny wizerunek twego boga, jest najgłębsza tajemnica twego własnego bytu, a ona jest zarazem tajemnicą bytu świata. Tak oto rzeczy się mają.

MOYERS: Rdzeniem chrześcijańskiej wiary jest oczywiście to, że Bóg był w Chrystusie, że elementarne moce, o jakich mówisz, wcieliły się w istotę ludzką, która ludzki rodzaj pojednała z Bogiem.

CAMPBELL: Tak, natomiast podstawową ideą gnostycką i buddyjską jest przekonanie, że odnosi się to zarówno do mnie, jak i do ciebie. Jezus był postacią historyczną, która doszła do uświadomienia sobie, że on i to, co nazywał Ojcem, są jednym, tak że całe jego życie wzrastało na tym fundamencie – na tym rozpoznaniu w sobie, w swojej naturze, Chrystusa.

Pamiętam, jak kiedyś podczas wykładu mówiłem o przeżywaniu w sobie Chrystusa; w pewnej chwili ksiądz, obecny na sali (powiedziano mi o tym później), zwrócił się do siedzącej obok kobiety i szepnął: „To jest bluźnierstwo”.

MOYERS: Co miałeś na myśli mówiąc, że nosimy w sobie Chrystusa?

CAMPBELL: To, że musimy żyć nie w kategoriach naszego własnego „ja”, lecz tego, co by można nazwać odczuciem ludzkości – Chrystusa – jakie w sobie nosimy. Jest takie indyjskie powiedzenie: „Boga czcić może tylko bóg”. Musisz w jakiejś mierze utożsamić się z zasadą duchową,

reprezentowaną w twym pojęciu przez twego boga, żebyś mógł czcić go należycie i żyć zgodnie z jego słowem.

MOYERS: Czy rozstrząsając sprawę naszego wewnętrznego boga, wewnętrznego Chrystusa, płynącej z naszego wnętrza iluminacji bądź przebudzenia, nie narażamy się na niebezpieczeństwo narcyzmu, ulegania obsesji własnego ja, mogącej doprowadzić nas do skrzywienia naszej wizji nas samych i świata?

CAMPBELL: Oczywiście, tak może być. Następuje wtedy coś jakby krótkie śpięcie, przerwanie prądu. Cały cel polega jednak na tym, żeby wyjść poza siebie, poza własne wyobrażenie o sobie samym, i dążyć do tego, czego każdy z nas jest jedynie niedoskonałym przejawem. Kiedy na przykład kończysz medytację, masz obowiązek udzielenia wszelkich płynących z niej dobrodziejstw całemu światu, wszystkim żywym istotom, a nie zatrzymywania ich dla siebie.

Widzisz, pomyśl: „Jestem Bogiem”, można na dwa sposoby. Jeśli myślisz: „Ja tutaj, w mojej fizycznej postaci i doczesności, jestem Bogiem”, toś zważywał i przerwałś prąd doświadczenia. Jesteś Bogiem, ale nie w swym własnym ja, lecz w swojej najgłębszej istocie, tam, gdzie stanowisz jedno z niedualną transcendencją.

MOYERS: Piszesz gdzieś, że dla osób z naszego otoczenia – dla naszych dzieci, żon, tych, których kochamy, sąsiadów – możemy stać się zbawcami, ale nigdy Zbawcą. Mówisz, że możemy być matkami i ojcami, ale nigdy Matką ani Ojcem. Uznajemy w ten sposób nasze ograniczenia, czy tak?

CAMPBELL: Tak jest.

MOYERS: Co myślisz o Jezusie-Zbawicielu?

CAMPBELL: Właściwie niezbyt wiele wiemy o Jezusie. Wszystko, co wiemy, zawarte jest w czterech przeczących sobie nawzajem tekstach, które rzekomo przekazują nam jego wypowiedzi i uczynki.

MOYERS: *Teksty spisane grubo po jego śmierci.*

CAMPBELL: Tak. Mimo wszystko sądzę, że w przybliżeniu możemy wiedzieć, co mówił Jezus. Myślę, że to, co mówi Jezus, jest raczej dość bliskie jego oryginalnym wypowiedziom. Na przykład główna jego nauka: miłuj swoich nieprzyjaciół.



Wydanie Chrystusa, Fra Angelico (1387–1455).

W Jezusie nie ma nic z wojownika.

Niczego w tym sensie nie mogę się doczytać w żadnej z Ewangelii.

Oto Piotr wyciąga miecz i ucina ucho pacholckowi,

a Jezus mówi: „Piotrze, włóż swój miecz do pochwy”.

Jednakże później Piotr

jeszcze nieraz puszczał w ruch swój miecz.

MOYERS: Jak można miłować nieprzyjaciela, nie wybacząc mu tego, co on robi, nie akceptując jego agresji?

CAMPBELL: Zaraz ci powiem, jak to zrobić. Otóż nie usiłuj wyciągać źdźbła z oka twego nieprzyjaciela, staraj się raczej wyciągnąć belkę z własnego oka. Nikt nie jest w prawie do potępiania w czambuł sposobu życia swego nieprzyjaciela.

MOYERS: Czy myślisz, że Jezus byłby dzisiaj chrześcijaninem?

CAMPBELL: Może, ale nie chrześcijaninem tego rodzaju, który znamy. Myślę, że ludźmi mniej więcej pokroju Jezusa są tylko niektórzy mnisi i niektóre mniszki, rzeczywiście pozostający w kontakcie z wyższymi tajemnicami duchowymi.

MOYERS: Możliwe zatem, że Jezus nie reprezentowałby Kościoła wojującego...

CAMPBELL: W Jezusie nie ma nic z wojownika. Doprawdy niczego w tym sensie nie mogę się doczytać w żadnej z Ewangelii. Oto Piotr wyciąga miecz i ucina ucho pachołkowi, a Jezus mówi: „Piotrze, włóż swój miecz do pochwy”. Jednakże później Piotr jeszcze nieraz puszczał w ruch swój miecz.

Przeżyłem niemały szmat dwudziestego wieku i pamiętam z czasów, gdy byłem małym chłopcem, co mi mówiono o ludziach, którzy ani wówczas, ani nigdy przedtem nie byli naszymi wrogami. Żeby przedstawić ich jako potencjalnych wrogów i usprawiedliwić nasz atak na nich, rozpętano kampanię nienawiści, dezinformacji i oszczerstw, których echa odzywają się aż do dzisiaj.

MOYERS: A przecież mówi się nam, że Bóg jest miłością. Przytoczyłeś kiedyś słowa Jezusa: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych”, i uznałeś je za najwznioślejszą, najszlachetniejszą i najodważniejszą naukę chrześcijańską. Czy nadal tak uważasz?

CAMPBELL: Myślę, że fundamentalnym doświadczeniem religijnym jest współczucie; jeśli go nie ma, nie ma nic.

MOYERS: Powiem ci, które ze słów Nowego Testamentu najbardziej chwytają mnie za serce. Otóż te: „Wierzę. Pomóż mi w mej niewierze”. Wierzę w tę najwyższą rzeczywistość, w to, że mogę jej doświadczyć i że naprawdę jej doświadczam. Ale nie mam odpowiedzi na moje pytania. Wierzę w pytanie: „Czy jest Bóg?”

CAMPBELL: Parę lat temu zdarzyło mi się coś zabawnego. Byłem akurat w Nowojorskim Klubie Sportowym, na basenie; przedstawiono mnie tam księdzu, profesorowi na jednym z naszych uniwersytetów katolickich. Gdy więc już sobie popływałem, poszedłem wyciągnąć się na leżaku w pozycji zwanej „horyzontalną”; wtedy ksiądz, spoczywający obok mnie, spytał: „Panie Campbell, czy pan jest księdzem?”

Odpowiedziałem: „Nie, ojcze”.

„A czy jest pan katolikiem?”

„Byłem, ojcze” – odrzekłem.

Potem zapytał mnie znowu, i uważam, że bardzo interesujący był sposób, w jaki sformułował swoje pytanie: „Czy pan wierzy w osobowego Boga?”

„Nie, ojcze” – odpowiedziałem.

Na to on: „Cóż, zdaje się, że nie ma sposobu, aby na drodze logicznej dowieść istnienia osobowego Boga”.

„Gdyby był taki sposób – powiedziałem – to jaką wartość miałyby wiara?”

„Panie Campbell – śpiesznie wyrzekł ksiądz – cieszę się, że pana poznałem”. I już go nie było. Czuję się jak dżudoka, który rzucił przeciwnika na matę.

Ta rozmowa była jednak dla mnie bardzo pouczająca. Fakt, że katolicki ksiądz zapytał: „Czy pan wierzy w osobowego Boga?”, oznaczał dla mnie, że i on dopuszczał możliwość Boga nieosobowego, to znaczy transcendentnego podłoża bądź energii samej w sobie. Pojęcie „świadomości Buddy” oznacza, że istnieje immanentna, świetlista świadomość przenikająca i formująca wszystko, a także wszelkie życie. W sposób bezrefleksyjny żyjemy częstkami tej świadomości, ułamkami tej energii. Jednakże religijny sposób życia polega nie na tym, by kierować się czysto indywidualnymi dążeniami naszych konkretnych, żyjących tu i teraz ciał, lecz na uwzględnianiu w życiu przeblysków tej szerszej świadomości.

W odkrytej niedawno gnostyckiej ewangelii Tomasza jest ważny ustęp, w którym uczniowie Jezusa pytają: „W jakim dniu nadejdzie królestwo?” W Ewangelii według św. Marka, rozdział 13 – tak, to chyba tam – czytamy, że wnet nastąpi koniec świata. Innymi słowy, mityczny obraz końca świata jest tu potraktowany jako zapowiedź mającego nastąpić konkretnego, fizycznego, historycznego wydarzenia. Jednakże w wersji Tomasza Jezus odpowiada: „Ono nie nadejdzie wtedy, gdy go wyczekują. Królestwo Ojca rozszerza się na ziemi, a ludzie go nie widzą”*. W tym więc sensie, patrząc teraz na ciebie, dostrzegam poprzez ciebie i rozpoznaję promieniowanie boskiej obecności.

MOYERS: Poprzez mnie?

CAMPBELL: Tak, oczywiście. Jezus, mówiąc: „Ten, kto pije z moich ust, stanie się taki jak ja, a ja będę nim”, mówi tak ze stanowiska tego bytu bytów, który nazywamy Chrystusem, który jest bytem każdego z nas i wszystkich. Każdy, kto żyje z tym w łączności, jest jak Chrystus. Każdy, kto wciela w swoje życie orędzie Słowa, jest odpowiednikiem Jezusa. Taki jest tego sens.

MOYERS: A więc to masz na myśli mówiąc: „Promieniuje na ciebie Bogiem”...

CAMPBELL: Promieniujesz.

MOYERS: A ty – na mnie?

CAMPBELL: Mówię to poważnie.

MOYERS: A ja biorę to poważnie. Wyczuwam, że w drugim człowieku jest boskość.

CAMPBELL: Nie tylko to. Również w tym, czego stronę bierzesz w tej rozmowie i co starasz się uwydatnić, urzeczywistniają się te duchowe zasady. Jesteś więc przekąźnikiem. Ogniskiem promieniowania ducha.

MOYERS: Czy to odnosi się do każdego?

CAMPBELL: Do każdego, kto w swym życiu osiągnął poziom serca.

MOYERS: Czy rzeczywiście sądzisz, że istnieje geografia psyche?

CAMPBELL: To są przenośnie, ale przecież można powiedzieć, że pewni ludzie żyją na poziomie narządów płciowych i jest to jedyny cel ich życia.

* Por. przypis na str. 99 i 310.



Faust i Mefistofeles.

*Gdy czarownik chce uprawiać magię,
zakreśla wokół siebie krąg,
gdyż na tym właśnie wydzielonym, hermetycznie zamkniętym obszarze
można uruchomić moce,
które poza tym kręgiem
tracą wszelką skuteczność.*

Sens ich życia. Kłania się tu filozofia Freuda, nie sądzisz? Potem masz Adlerowską filozofię woli mocy, teorię, że życie w całości skupione jest na przeszkodach i ich przewyciężaniu. Cóż, takie życie jest zupełnie w porządku, to też są formy boskości. Tyle tylko, że zachodzą na poziomie zwierzęcym. Potem jednak przychodzi inny rodzaj życia – taki, który żąda od ciebie, abyś w ten bądź inny sposób oddawał się bliźnim. Jego symbolem jest właśnie otwarcie się serca.

MOYERS: Co jest źródłem tego życia?

CAMPBELL: Wyraźne rozpoznanie, że twoje życie jest w drugim człowieku, że w was obu jest jedno życie. Jego obraz to Bóg. Zadajemy sobie pytanie, skąd pochodzi to jedno życie; ludzie przekonani, że wszystko, co jest, musiało być przez kogoś zrobione, pomyślą: „Cóż, to życie stworzył Bóg”. A więc źródłem tego wszystkiego jest Bóg.

MOYERS: W takim razie czym jest religia?

CAMPBELL: Słowo „religia” znaczy *religio*, „powiązanie”. Jeśli powiemy, że w nas obu jest jedno życie, to moje odrębne życie zostaje powiązane – *religio* – z tym jednym życiem. Tę więc, to powiązanie przedstawiają symbole w obrazach religijnych.

MOYERS: Słynny psycholog Jung powiada, że jednym z najpotężniejszych symboli religijnych jest koło. Mówi on, że koło to jeden z wielkich, najpierwotniejszych obrazów znanych człowiekowi i że zastanawiając się nad symbolem koła, analizujemy samych siebie. W jaki sposób ty to rozumiesz?

CAMPBELL: Cały świat jest kołem. Wszystkie wyobrażenia koliste odbijają psyche, dlatego też może istnieć jakiś związek między pewnymi projektami architektonicznymi a rzeczywistą strukturą naszych funkcji duchowych.

Gdy czarownik chce uprawiać magię, zakreśla wokół siebie krąg, gdyż na tym właśnie wydzielonym, hermetycznie zamkniętym obszarze można puścić w ruch moce, które poza tym kręgiem tracą wszelką skuteczność.

MOYERS: Pamiętam, że czytałem kiedyś o indiańskim wodzu, który mówił: „Gdy rozbijamy obóz, nadajemy mu kształt koła. Orzeł, budując gniazdo, nadaje mu kształt kolisty. Gdy spoglądamy ku widnokręgowi,

widzimy, że jest on kolisty”. Zdaje się, że koło miało wielkie znaczenie dla pewnych Indian...

CAMPBELL: Tak. Ale spotyka się je często również w spuściznie, jaką przejęliśmy z mitologii Sumerów. Odziedziczyliśmy po nich koło mające cztery punkty kardynalne i trzysta sześćdziesiąt stopni. Oficjalnie rok sumeryjski zawierał trzysta sześćdziesiąt dni plus pięć dni świętych nie wliczanych do kalendarza; pozostawały one poza czasem i wykorzystywane były przez nich na ceremonie wiążące ich społeczność z niebiosami. My teraz zatracamy to odczucie kolistości czasu, bo swój czas mierzymy elektronicznie i widzimy, że ucieka on w tył, aż furczy. Elektronika umożliwia ci doznanie upływu czasu. W Nowym Jorku, na Penn Station, jest zegar pokazujący godziny, minuty, sekundy, dziesiąte części sekundy i setne części sekundy. Widząc, jak w okamgnieniu przelatują setne części sekundy, uświadamiasz sobie, jak przez ciebie samego przelatuje czas.

Z drugiej strony, koło przedstawia całościowość. Wszystko w obrębie koła jest jednym, zamkniętym w tym kręgu, ujętym w ramy. To byłby aspekt przestrzenny. Czasowy aspekt koła oznacza, że wyruszasz dokąś, idziesz gdzieś i zawsze powracasz. Bóg jest Alfą i Omegą, źródłem i końcem. Koło sugeruje w sposób bezpośredni wypełnioną całościowość – wypełnioną w czasie bądź w przestrzeni.

MOYERS: Bez początku, bez końca.

CAMPBELL: W koło, w koło i w koło. Weź na przykład rok. Gdy ubiega listopad, znów mamy Święto Dziękczynienia. Przychodzi grudzień – i znów Boże Narodzenie. Kołem nawracają nie tylko miesiące, ale i cykle księżycowe, cykle dobowe. Przypominamy sobie o tym, spoglądając na zegarki i widząc cykle czasowe. Jest ta sama godzina, ale inny dzień.

MOYERS: Chiny zwykły się nazywać Państwem Środka, podobnie własną cywilizację określali Aztekowie. Przypuszczam, że każda kultura odwołująca się do koła jako symbolu kosmicznego ładu siebie samą umieszcza w środku. Dlaczego, twoim zdaniem, koło stało się symbolem tak uniwersalnym?

CAMPBELL: Bo człowiek obcuje z nim przez cały czas – dzień w dzień, rok w rok, wtedy gdy wychodzi z domu i zapuszcza się w nieznaną, by polować, czy coś w tym rodzaju – i gdy potem wraca do domu. Ale istnieje

też głębsze doświadczenie – tajemnica łona i grobu. Ludzi grzebie się po to, by mogli się odrodzić. Takie jest pochodzenie idei pogrzebu. Wkłada się kogoś z powrotem w łono matki-ziemi, aby mógł narodzić się na nowo. Najwcześniejsze wizerunki Bogini ukazują ją jako matkę przyjmującą duszę z powrotem.

MOYERS: Czytając twoje książki – *The Masks of God*, *The Way of the Animal Powers* czy też *The Mythic Image* – często napotykam rysunki koła, czy to na diagramach magicznych bądź w architekturze, zarówno starożytnej, jak i współczesnej, czy to na kopulastych świątyniach Indii, w paleolitycznych rytach naskalnych z Rodezji, w kamiennych kalendarzach Azteków, w starożytnych chińskich tarczach z brązu, bądź wreszcie w wizjach proroka Ezechiela ze Starego Testamentu, gdzie mówi on o jakimś kole na niebie. Wszędzie spotykam ten obraz. A ten tutaj pierścień, moja obrączka ślubna, też ma kształt kołisty. Co to symbolizuje?

CAMPBELL: To zależy, jak pojmujesz małżeństwo. Samo słowo „symbol” oznacza dwie rzeczy złożone razem. Jedna osoba ma jedną połówkę, druga – drugą; potem te osoby spotykają się. Wzajemne rozpoznanie następuje po złożeniu razem obu połówek, tak że powstaje pełny krąg. Tym jest moje małżeństwo – roztopieniem się mego indywidualnego życia w życiu większym, życiu dwojga, w którym dwoje są jednym. Pierścień wskazuje, że jesteśmy teraz oboje w jednym kręgu.

MOYERS: Gdy nowy papież obejmuje swój urząd, wkłada pierścień Rybaka. Znow symbol koła.

CAMPBELL: Ten konkretnie pierścień symbolizuje wezwanie przez Jezusa apostołów, którzy byli rybakami. Jezus powiedział: „Uczynię was rybakami ludzi”. Jest to stary motyw, wcześniejszy od chrześcijaństwa. Orfeusz jest nazywany „Rybakiem”, bo łowi ludzi, żyjących jak ryby w wodzie, i wyciąga ich na światło. To stara idea – przemiany ryby w człowieka. Rybia natura stanowi najprymitywniejszą część naszej natury zwierzęcej, a wędka religii jest po to, by nas z niej wyciągać.

MOYERS: W Anglii nowy król bądź królowa otrzymuje pierścień koronacyjny.

CAMPBELL: Tak, bo jest jeszcze drugi aspekt symboliki pierścienia – związanie. Jako król związany jesteś pewną zasadą. Nie żyjesz już ot tak,

po swojemu. Zostałeś naznaczony. Podczas obrzędów inicjacyjnych ludzie zostają napiętnowani bliznami i tatuażem, co oznacza, że są odtąd związani jedni z drugimi i ze społecznością.

MOYERS: Jung mówi o kole jako o mandali.

CAMPBELL: *Mandala* to sanskryckie słowo znaczące tyle co „krąg”, ale krąg uporządkowany, czyli symbolicznie narysowany, tak żeby przedstawiał ład kosmiczny. Układając mandalę próbujesz skoordynować swój krąg indywidualny z kręgiem uniwersalnym. Na przykład w bardzo skomplikowanej mandali buddyjskiej masz w centrum bóstwo jako źródło mocy, źródło iluminacji. Wizerunki na obrzeżach są zwykle przejawieniami bądź aspektami promieniowania bóstwa.

Kiedy budujesz mandalę dla siebie samego, kreślisz krąg, po czym zaczynasz rozmyślać o zespolach impulsów i wartości kierujących twoim życiem. Następnie zestawiasz je z sobą i próbujesz ustalić, gdzie znajduje się twoje centrum. Sporządzanie mandali to dyscyplina związująca razem wszystkie te rozproszone aspekty twojego życia, tak byś mógł odnaleźć centrum i zestroić się z nim. W ten sposób próbujesz skoordynować swój krąg z kręgiem uniwersalnym.

MOYERS: Aby znaleźć się w centrum?

CAMPBELL: Tak, w centrum. Na przykład u Indian Nawaho obrzędy lecznicze prowadzi się za pośrednictwem obrazów będących najczęściej mandalami rysowanymi na ziemi. Leczona osoba wkracza do mandali, a więc jakby do pewnej rzeczywistości mitycznej, z którą ma się utożsamiać – i utożsamia się z usymbolizowaną mocą. Ten motyw obrazów piaskowych zawierających mandalę i ich zastosowanie do celów medytacji pojawia się również w Tybecie. Mnisi tybetańscy praktykują rysowanie na piasku i kreślenie diagramów kosmicznych mających symbolizować potęgę duchowych mocy, które działają w naszym życiu.

MOYERS: Próba ześrodkowania własnego życia z centrum wszechświata wymaga zapewne wysiłku...

CAMPBELL: Tak; pomaga w niej obrazowanie mitologiczne. Obraz ułatwia ci utożsamienie się z usymbolizowaną mocą. Ani przez chwilę nie możesz oczekiwać, by ktoś mógł się identyfikować z czymś zupełnie nie

zróznicowanym. Gdy jednak wyposażysz tę rzecz w jakieś cechy wskazujące na taką czy inną możliwość urzeczywistnienia, człowiek podaży w jej stronę.

MOYERS: Jest taka teoria, że święty Graal symbolizuje centrum doskonałej harmonii, dążenie do doskonałości, pełni i jedności.

CAMPBELL: Źródła podania o świętym Graalu są różnorakie. Jedno z nich mówi, że w siedzibie boga morza, głęboko w otchłani nieświadomego, znajduje się kocioł obfitości. Życiowe energie płyną ku nam z głębin nieświadomego. Ten kocioł zaś to niewyczerpane źródło, centrum, bulgocący źródł, z którego wytryska wszelkie życie.

MOYERS: Myślisz, że nieświadome jest tym właśnie?

CAMPBELL: Nie tylko nieświadome, ale również padół tego świata. Przez cały czas wokół ciebie pojawia się nowe życie. Wlewa się ono w świat, a wpływa z niewyczerpanego źródła.

MOYERS: A teraz powiedz mi, jak to jest, że w najrozmaitszych kulturach, oddzielonych od siebie czasem i przestrzenią, pojawiają się te same obrazy?

CAMPBELL: Świadczy to o istnieniu w ludzkiej psyche pewnych sił wspólnych dla całego ludzkiego gatunku. Inaczej nie mielibyśmy tak dokładnych zgodności.

MOYERS: A więc jeśli przekonujemy się, że w różnych kulturach powtarza się opowieść o stworzeniu, o narodzinach z dziewicy albo o zbawicielu, który przychodzi, umiera i zmartwychwstaje – to znaczy, że te opowieści mówią o czymś, co nosimy w sobie, i o naszej potrzebie zrozumienia tego.

CAMPBELL: Dokładnie tak. Obrazowanie mityczne jest odbiciem duchowych potencji tkwiących w każdym z nas. Z ich kontemplacji czerpiemy siłę dla własnego życia.

MOYERS: Jeśli zatem święte pismo mówi, że człowiek jest uczyniony na obraz Boga, to idzie tu o pewne cechy, które posiada każdy człowiek niezależnie od swojej religii, kultury, środowiska geograficznego czy też historycznego dziedzictwa?

CAMPBELL: Bóg jest zwykle ostateczną, najbardziej podstawową ideą człowieka.

MOYERS: Naczelną jego potrzebą.

CAMPBELL: I wszyscy jesteśmy uczynieni na obraz Boga. To jest najwyższy archetyp człowieka.

MOYERS: Eliot mówi o nieruchomym punkcie w obracającym się świecie, punkcie, w którym ruch i spoczynek jednoczą się, o piąście, w której ruch czasu i nieruchomość wieczności zespalają się.

CAMPBELL: Właśnie to niewyczerpane centrum reprezentuje Graal. Życie, gdy wchodzi w istnienie, nie ma w sobie ani lęku, ani pożądania, ono po prostu staje się. Potem wchodzi w istnienie i zaczyna bać się i pragnąć. Jeśli uda ci się pozbyć lęku i pożądania i powrócić do miejsca twego stawania się – toś trafił w dziesiątkę. Goethe mówi, że bóstwo działa w tym, co żyjące, nie w tym, co martwe; w tym, co staje się i podlega zmianom, nie w tym, co już się stało i zakrzepło. Tak więc zadaniem rozumu – twierdzi on – jest dążyć do boskości przez stawanie się i zmianę, inteligencja natomiast korzysta z tego, co ustalone, poznawalne, poznane, nadaje się więc do kształtowania życia. Jednakże cel twego poszukiwania samowiedzy tkwi w owym żarzącym się punkcie, jaki w sobie nosisz, w tym czymś w tobie, co jest ciągłym stawaniem się, co jest nieświadome dobra i zła tego świata, bo już się urzeczywistniło, a więc wyzbyło się lęków i pragnień. Jest to warunek, jaki spełnić musi wojownik idący w bój z absolutną odwagą. Jest to życie w ruchu. Jest to sama istota mistycyzmu wojny, jak też wzrastania rośliny. Myślę o trawie – rozumiesz, o tym, że co dwa tygodnie ten czy ów jegomość wychodzi na trawnik z kosiarką i przyszyrzyga go. Przypuśćmy, że trawa mówi do niego tak: „Co ci z tego, na litość Boską, że ciągle mnie tak przycinasz i przycinasz?” Ale nie mówi, tylko sobie po prostu rośnie. Oto i masz sens energii centrum. To jest sens obrazu Graala, niewyczerpanej krynicy, źródła. Źródła nie obchodzi, co dalej dzieje się z tym, co z siebie wydało. Ważne jest tylko dawanie i wchodzenie w byt. To właśnie jest ten punkt w tobie, w którym staje się życie. O tym właśnie pragną ci powiedzieć wszystkie te mity.

Studiując mitologię porównawczą, zestawiamy obrazy w jednym systemie z obrazami w drugim, tak że zostają rozjaśnione oba, gdyż jeden

akcentuje i uwyrażnia jeden aspekt znaczenia, drugi zaś – inny aspekt. Objaśniają się nawzajem.

Zaczynając wykładać mitologię porównawczą, obawiałem się, że mogę zniszczyć religijne przekonania moich studentów, okazało się jednak, że było wprost odwrotnie. Religijne tradycje przekazane im przez rodziców, i po prawdzie niewiele dla nich znaczące, ukazały im się nagle w nowym świetle, kiedy porównywaliśmy je z innymi tradycjami, w których podobne obrazy otrzymały bardziej duchową, bardziej uwewnętrzną interpretację.

Miałem wśród studentów chrześcijan, żydów, buddystów, a nawet dwójkę zoroastrian – wszyscy odbierali to podobnie. Żadne niebezpieczeństwo nie płynię z interpretowania symboli systemu religijnego i traktowania ich jako metafory zamiast jako fakty. Natomiast wskutek tego zabiegu stają się one przesłaniami dla twego własnego życia i wewnętrznego doświadczenia. System staje się nagle osobistym przeżyciem.

MOYERS: Ja czuję się umocniony we własnej wierze wiedząc, że inni tęsknili do tego samego, co ja, i szukali podobnych obrazów, usiłując wyrazić doświadczenia przekraczające pojęcia zwykłego ludzkiego języka.

CAMPBELL: Tutaj bardzo pomocne są postacie błaznów i religie, w których oni występują. Mity germańskie i celtyckie pełne są figur błazeńskich, bóstw doprawdy groteskowych. W tym właśnie tkwi sedno rzeczy: nie jestem obrazem ostatecznym, coś przeze mnie prześwieca. Patrz poprzez mnie, poprzez moją śmieszna postać.

MOYERS: W którejś z tradycji afrykańskich jest wspaniała opowieść o bogu, który idzie sobie drogą, a na głowie ma kapelusz z jednej strony czerwony, z drugiej niebieski. Rolnicy, schodzący wieczorem z pól do wioski, rozmawiają z sobą. „Widziałeś tego boga w niebieskim kapeluszu?” – pyta jeden. – „Nie, on był w czerwonym kapeluszu” – odpowiada drugi, no i dochodzi do bójki.

CAMPBELL: Tak, to jest nigeryjski bóg-oszust [*trickster*] Edszu. On łączy sprawy jeszcze bardziej, bo najpierw idzie w jedną stronę, a potem zawraca i obraca też swój kapelusz, tak że znów jest on czerwony lub niebieski. Potem, kiedy tych dwóch, co się pobili, doprowadzają przed króla, aby ich ukarał, pojawia się bóg-oszust i mówi: „To moja wina, ja to spowodowałem, na dodatek umyślnie. Sianie niezgody to moja największa rozkosz”.



Klauni ze szczepu Pueblo, Otis Poleloma.

*Jakikolwiek system myśli wziąłbyś pod uwagę,
na pewno nie zamknie on w sobie życia,
które jest bezkresne.*

Klauni i błaznowie trafiają w sedno:

*„Nie jestem obrazem ostatecznym, coś przeze mnie prześwieca.
Patrz poprzecz mnie, poprzecz moją śmieszna postać”.*

MOYERS: Jest w tym coś z prawdy.

CAMPBELL: Na pewno. Heraklit mówił, że spór jest ojcem wszystkich rzeczy. Coś w tym rodzaju może się kryć w symbolicznym motywie boga-oszusta. W naszej tradycji ta rola przypadła węzowi w Ogrodzie. Kiedy wszystko jest już tam ustalone i pięknie uładzone, on wrzuca jabłko do całego interesu.

Otóż, jakkolwiek system myśli byś wziął pod uwagę, na pewno nie zamknie on w sobie życia, które jest bezkresne. Kiedy sobie myślisz, że wszystko jest tak, a nie inaczej, zjawia się bóg-oszust i wszystko pęka z hukiem, i znów stajesz wobec zmiany, stawania się.

MOYERS: Zauważyłem, Joe, że wszystkie te historie opowiadasz z humorem. Wydaje mi się zawsze, że świetnie się nimi bawisz, nawet gdy dotyczą spraw dziwacznych i okrutnych.

CAMPBELL: Zasadniczą różnicą między mitologią a naszą religią judeo-chrześcijańską jest to, że obrazowaniu mitologicznemu towarzyszy humor. Uświadamiasz sobie, że obraz coś symbolizuje. Zachowujesz wobec niego dystans. Natomiast w naszej religii wszystko jest prozaiczne i bardzo, bardzo serio. Z Jahwe nie da się pofiglować.

MOYERS: Jak wyjaśnisz to, co psycholog Maslow nazywa „doświadczeniem szczytowym”, a co James Joyce nazwał „epifanią”?

CAMPBELL: No, nie jest to całkiem to samo. Doświadczenie szczytowe odnosi się do konkretnych momentów w życiu, gdy człowiek głęboko przeżywa swoją łączność z harmonią bytu. Moje osobiste doświadczenia szczytowe – te, które już po fakcie rozpoznałem jako szczytowe – zawdzięczam, wszystkie co do jednego, lekkiej atletyce.

MOYERS: Które spośród nich było twoim Everestem?

CAMPBELL: Gdy jako student Columbia University trenowałem biegi, kilka razy zdarzyło mi się podczas zawodów coś naprawdę pięknego. W drugim biegu wiedziałem, że zwyciężę, choć nie miałem najmniejszego powodu, by tak sądzić, bo do ostatniej zmiany w sztafecie wystartowałem, mając prowadzącego zawodnika o trzydzieści jardów przed sobą. Ale po prostu wiedziałem i było to moje doświadczenie szczytowe. Tego dnia nikt nie mógł mnie pobić. Oto, co znaczy być w pełni formy i wiedzieć o tym



Nike z Samotraki, ok. 200 p.n.e.

*Jeśli artyście udało się trafić na właściwy rytm,
masz odczucie promieniowania,
zostajesz pochwycony przez estetyczne wzruszenie.
To jest epifania.*

*To jest coś, co w kategoriach religijnych można by ująć
jako wszechkształtującą zasadę Chrystusa,
która właśnie cię przenika.*

naprawdę. Myślę, że w całym moim życiu nic nigdy nie udało mi się tak dobrze jak oba te biegi; miałem wówczas poczucie, że istotnie jestem u szczytu swoich możliwości i robię doskonałą robotę.

MOYERS: Nie wszystkie szczytowe doświadczenia mają charakter fizyczny.

CAMPBELL: Nie, są też inne jego rodzaje. Kiedy jednak myślę o doświadczeniach szczytowych, te właśnie przychodzą mi do głowy.

MOYERS: A co powiesz o Joyce'owskich epifaniach?

CAMPBELL: To trochę inna sprawa. Joyce ujmuje przeżycie estetyczne jako coś, co nie wzbudza w tobie chęci posiadania obiektu. Dzieło sztuki, które budzi w tobie chęć posiadania wyobrażonego na nim obiektu, nazywa on pornografią. Przeżycie estetyczne nie skłania cię również do krytyki i odrzucania obiektu; taką sztukę nazywa on dydaktyczną, taką krytykę sztuki – krytyką społeczną. Doświadczenie estetyczne to zwykle przyglądanie się obiektowi. Joyce mówi, że umieszczasz go w ramie i najpierw patrzysz na niego jako na pojedynczą rzecz; potem, widząc go jako pojedynczą rzecz, uświadamiasz sobie stosunek między jedną częścią i drugą, między każdą z części i całością, wreszcie między całością i każdą z jej części. Mamy tu zasadniczy czynnik estetyczny – rytm, harmonijny rytm relacji. Jeżeli zaś artyście udało się trafić na właściwy rytm, masz odczucie promieniowania, zostajesz pochwycony przez estetyczne wzruszenie. To jest epifania. To jest coś, co w kategoriach religijnych można by ująć jako wszechkształtującą zasadę Chrystusa, która właśnie cię przenika.

MOYERS: Twarz świętego, który ogląda Boga...

CAMPBELL: Nieważne, kto to jest. Mógłbyś nawet wziąć kogoś, kto w twoim mniemaniu jest potworem. Przeżycie estetyczne transcenduje etykę i racje dydaktyczne.

MOYERS: Tutaj nie zgodziłbym się z tobą. Wydaje mi się, że aby doświadczyć epifanii, obiekt, który kontemplujesz, choć nie pragniesz go posiadać, musi w jakiś sposób być piękny. Przecież przed chwilą, gdy mówiłeś o swoim doświadczeniu szczytowym – biegu – powiedziałeś, że było ono piękne. „Piękne” to termin estetyczny. Piękno jest harmonią.

CAMPBELL: Tak.



**Wisznu jako Waraha, kosmiczny odyniec zabijający wodza demonów,
Indie, ok. 1800.**

Przy końcu świata Wisznu pojawia się jako potwór.

Obraca wniwecz cały wszechświat, wszelkie życie i wszystkie istoty.

Bóg występuje tu w roli niszczyciela.

Tego rodzaju doświadczenia wykraczają poza wszelki osąd etyczny.

Etyka zostaje wymazana.

MOYERS: No i powiedziałeś, że jest to również w Joyce'owskich epifaniach i że ma to związek ze sztuką i estetyką.

CAMPBELL: Tak.

MOYERS: Wydaje mi się, że obie te sprawy są tym samym, skoro obie są piękne. Jak można doświadczyć epifanii, patrząc na potwora?

CAMPBELL: Ze sztuką związane jest też inne doznanie – nie piękna, lecz wzniosłości. To, co nazywamy potwornym, może być przeżywane jako wzniosłe. Potwory reprezentują moce zbyt wielkie, aby mogły się zmieścić w normalnych formach życia. Nieobjęty przestwór nieba jest czymś wzniosłym. Jak wykorzystać ten efekt, wiedzą dobrze buddyści, często stawiający swoje świątynie na wyniosłych wzgórzach. W Japonii na przykład niektóre ze świątynnych ogrodów zaprojektowane są tak, że najpierw masz doznanie miłej, intymnej przytulności. Idziesz dalej, pod górę, aż nagle, w pewnej chwili rozsuwasz jakąś zasłonę i oto roztacza się przed tobą, aż po horyzont, ogromna przestrzeń, skutkiem czego twoje ja kurczy się jakoś, a świadomość się rozszerza i wzbogaca o doświadczenie wzniosłości.

Inną odmianą wzniosłości jest doznanie straszliwej energii, siły, potęgi. Znałem niemało ludzi z Europy Środkowej, którzy przeżyli zmasowane bombardowania swoich miast podczas dywanowych nalotów anglo-amerykańskich. To nieludzkie doświadczenie niektórzy z nich opisują jako nie tylko straszne, ale również, w pewnej mierze, wzniosłe.

MOYERS: Robiłem kiedyś wywiad z weteranem drugiej wojny światowej. Rozmawialiśmy o jego przeżyciach w Battle of the Bulge*, podczas ostrej zimy, kiedy to Niemcom omal się nie powiodł niespodziewany atak. Spytałem go: „Jak widzisz tę bitwę teraz, gdy spoglądasz wstecz?” Odrzekł: „To było coś wzniosłego”.

CAMPBELL: A więc potwór przychodzi jako swego rodzaju bóg.

MOYERS: Mówiąc „potwór”, masz na myśli...

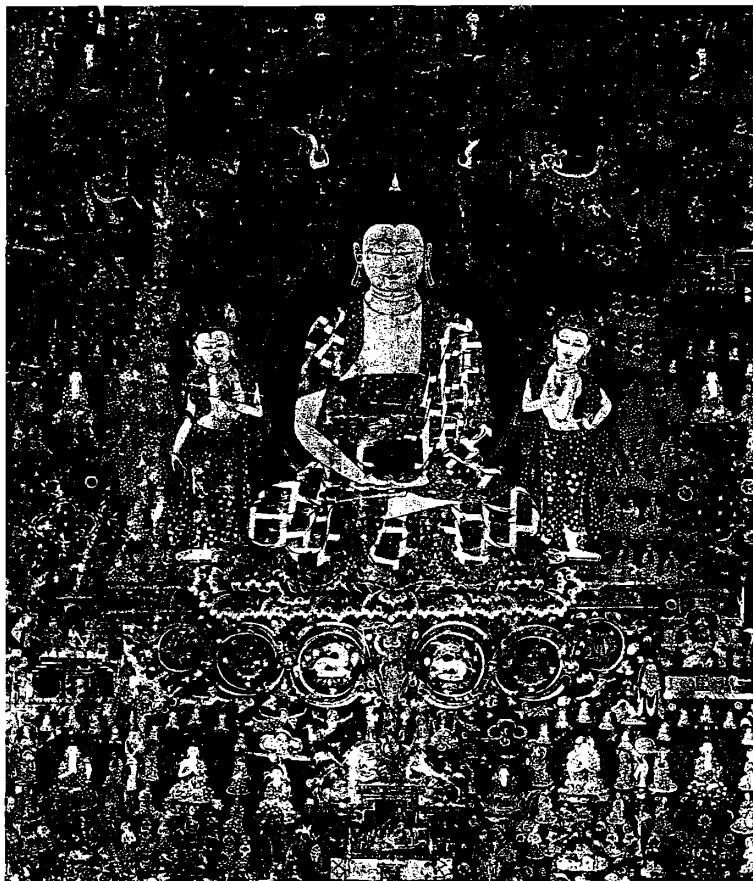
CAMPBELL: Mam na myśli jakąś przerażającą postać albo zjawę, która burzy wszelkie twoje wzorce harmonii, ładu i etycznego postępowania. Na przykład Wisznu pojawia się przy końcu świata jako potwór. Przychodzi, aby zniszczyć wszechświat – najpierw ogniem, potem wodami potopu,

* Dosl. „Bitwa o Wylom”.

Mowa jest o znanym epizodzie z ostatniej wojny (zima 1944–1945), gdy siły niemieckie pod dowództwem feldm.

Rundstedta, ostro kontratakując, usiłowały przełamać linię frontu w Ardenach i wdarły się głęboko na terytorium Belgii.

Kontrofensywę niemiecką powstrzymała wówczas bohaterka obrona nielicznych tam sił amerykańskich.



Niebo Sukhawati, Tybet, XV w.



Mahakala, Tybet, XVIII w.

Buddowie medytacyjni występują w dwóch postaciach – dobrotliwej i gniewnej.

Jeśli trzymasz się kurczowo swego ja i jego mizernych, doczesnych trosk i radości, jeśli rozpaczliwie czepiasz się ukochanego życia, ukaże ci się gniewna postać bóstwa.

Z chwilą jednak, gdy twoje ego ustąpi i zrezygnuje, tego samego Buddy medytacyjnego zaczniesz doświadczać jako dancę błogości.



Mañdžuśri, Tybet, XIV–XV w.

*Jeden z bardzo ważnych wizerunków Buddy
ukazuje go z wysoko uniesionym ponad głowę mieczem.
Jest to miecz rozróżniania,
oddzielania tego,
co wyłącznie doczesne,
od tego, co wieczne.*

który dusi pożar i zatapia wszystko inne. Zostają tylko popioły. Cały wszechświat ze wszystkim, co na nim żyje, z nieprzebrany mnóstwem rozmaitych żywych istot, zostaje doszczętnie unicestwiony. Bóg występuje tu w roli niszczyciela. Tego rodzaju doświadczenia wykraczają poza wszelki osąd etyczny bądź estetyczny. Etyka zostaje wymazana. Tymczasem w naszych religiach, kładących akcent na to, co ludzkie, akcentuje się również wymiar etyczny – bóg określany jest jako dobro. Ale nie, nie! Bóg jest przerażający. Bóg zdolny do wymyślenia piekła nie mógłby być członkiem Armii Zbawienia. Pomyśl sobie tylko: koniec świata! Z drugiej strony, jest takie muzułmańskie powiedzenie: „Anioł Śmierci jest straszny, gdy nadchodzi. Ale gdy już stoi przy tobie, jest błogością”.

W systemach buddyjskich, szczególnie tybetańskich, Buddowie medytacyjni występują w dwóch postaciach – dobroliwej i gniewnej. Jeśli trzymasz się kurczowo swego ja i jego mizernych, doczesnych trosk i radości, jeśli rozpaczliwie czepiasz się ukochanego życia, ukaże ci się gniewna postać bóstwa. Wyda ci się ona przerażająca. Z chwilą jednak, gdy twoje ego ustąpi i zrezygnuje, tego samego Buddę medytacyjnego zaczniesz doświadczać jako dawcę błogości.

MOYERS: Jezus też mówił, że przynosi miecz, ale nie wierzę, by miał na myśli użycie go przeciw mojemu bliźniemu. Raczej miał na myśli otwarcie ego – przyszedłem, aby odciąć cię i uwolnić od więzów ego, krępujących twą własną istotę.

CAMPBELL: Po sanskrycku nazywa się to *wiweka*, „rozdzielenie”, „rozgraniczanie”. Jeden z bardzo ważnych wizerunków Buddy ukazuje go z wysoko uniesionym ponad głowę, ognistym mieczem. Skąd i po co ten miecz? Otóż jest to miecz rozróżniania, oddzielania tego, co wyłącznie doczesne, od tego, co wieczne, tego, co trwa, od tego, co po prostu przemija. Tyk-tyk-tyk czasu zamyka przed nami wieczność. Żyjemy w tym polu czasu. Jednakże w tymże polu przejawia się i odbija jakaś wieczna zasada.

MOYERS: Doświadczenie wieczności.

CAMPBELL: Doświadczenie tego, czym sam jesteś.

MOYERS: Tak, ale czymkolwiek byłaby wieczność, ona jest tutaj, teraz.



CAMPBELL: I nigdzie indziej. Albo – wszędzie indziej. Jeśli nie doświadczysz jej tu i teraz, nie doświadczysz jej też w niebie. Niebo nie jest wieczyste, ono tylko wiecznie trwa.

MOYERS: Nie bardzo chwytam.

CAMPBELL: Niebo i piekło opisywane są jako istniejące zawsze. Niebo to czas nie mający kresu. Nie jest wieczne, bo wieczność jest poza czasem. Pojęcie czasu wyklucza wieczność. Właśnie na gruncie tego głębokiego doświadczenia wieczności wszelkie doczesne cierpienia i zgryzoty przychodzą i przemijają. Jednym z buddyjskich ideałów jest dobrowolne i radosne współuczestnictwo w przemijających troskach świata. Tam, gdzie jest czas, jest smutek. Jednakże podłożem dla doświadczenia smutku jest odczucie trwałości bytu, którym jest nasze własne prawdziwe życie.

MOYERS: Istnieje taki wizerunek Śiwy, boga Śiwy, otoczonego kręgiem płomieni, ognistym pierścieniem.

CAMPBELL: To promieniowanie boskiego tańca. Tańcem Śiwy jest cały wszechświat. We włosy boga wetknięta jest trupia czaszka i półksiężyc, śmierć i odrodzenie jednocześnie, w tej samej chwili stawania się. W jednej ręce ma on bębenek robiący tik-tak, tik-tak; to bęben czasu, tykanie czasu, który wyklucza poznanie wieczności. Jesteśmy zamknięci w czasie. Za to w drugiej ręce Śiwa dzierży płomień spalający zasłonę czasu i otwierający nasze umysły na wieczność.

Śiwa jest bóstwem bardzo starym, może nawet najstarszym spośród czczonych obecnie na świecie. Mamy jego wizerunki z około roku 2000 bądź 2500 przed naszą erą. Są to małe pieczęcie z wyobrazeniami postaci wyraźnie przypominających Śiwę.

W niektórych swoich przejawieniach wygląda on rzeczywiście straszliwie; przedstawia wówczas przerażające aspekty bytu. Jest on archetypicznym prototypem jogina rozprasającego złudzenia życia, ale również stwórcą i twórcą życia, a także oświecicielem.

MOYERS: Mity traktują o sprawach metafizycznych, religia – również o etyce, o dobru i złu, o tym, jakie mają być moje stosunki z tobą i jak mam się zachowywać wobec swojej żony i wobec ciebie, i wobec każdego mojego bliźniego w Bogu. Jakie jest miejsce i rola etyki w mitologii?

Śiwa Nataradża (Pan Tańca), południowe Indie, XI w.

We włosy boga wetknięta jest trupia czaszka i półksiężyc,

śmierć i odrodzenie jednocześnie, w tej samej chwili stawania się.

W jednej ręce ma on bębenek robiący tik-tak, tik-tak.

To bęben czasu, który wyklucza poznanie wieczności.

Za to w drugiej ręce Śiwa dzierży płomień

spalający zasłonę czasu i otwierający nasze umysły na wieczność.

CAMPBELL: Mówiliśmy o doświadczeniu metafizycznym, w którym uświadamiasz sobie, że ty i ten drugi jesteście jednym. Etyka naucza nas życia w taki sposób, jak gdybyśmy byli jednością z innymi. Tutaj nie musisz polegać na własnym doświadczeniu, bo doktryna religijna daje ci wzorce zachowań implikujących stosunki z innymi, nacechowane współczuciem. Podsuwa ci ona zachętę do wysiłków w tym kierunku, ucząc cię, że działanie tylko we własnym egoistycznym interesie to grzech, ponieważ jest po prostu identyfikowaniem się z własnym ciałem.

MOYERS: Kochaj swego bliźniego jak samego siebie, bo ten twój bliźni to ty sam.

CAMPBELL: Przekonujesz się o tym, gdyś postąpił tak choćby raz.

MOYERS: Jak myślisz, dlaczego tak wielu ludzi odczuwa tak głęboką tęsknotę do życia wiecznego?

CAMPBELL: To jest coś, czego nie rozumiem.

MOYERS: Czy płynie to z lęku przed piekłem i stanowi dla niego pożądaną alternatywę?

CAMPBELL: Tak głosi swojska dla nas wszystkich, obiegująca doktryna chrześcijańska: przy końcu świata będzie sąd powszechny i ci, którzy postępowali cnotliwie, pójdą do nieba, ci zaś, którzy postępowali niecnie, będą wysłani do piekła.

Ten motyw ma swoje korzenie w Egipcie. Ozyrys to bóg, który umarł i zmartwychwstał; w swoim aspekcie wieczystym będzie sprawował sąd nad umarłymi. Mumifikacja miała przygotować człowieka na spotkanie z bogiem. Ale w Egipcie interesujące jest to, że osoba idąca do boga ma sobie uświadomić swoją tożsamość z tymże bogiem. W tradycji chrześcijańskiej nie jest to dopuszczalne. Jeśli zatem mówisz, że alternatywą jest niebo lub piekło – cóż, w takim razie daj mi niebo, na zawsze. Jeśli jednak uświadomisz sobie, że niebo to kontemplowanie napełniającego cię błogością wizerunku Boga, to jest ono beczasową chwilą. Czas eksploduje, a więc i tym razem wieczność okazuje się czymś bynajmniej nie wiecznie trwającym. Możesz ją mieć daną tu, teraz, w doświadczeniu swoich ziemskich związków.

Straciłem już wielu przyjaciół, a także swoich rodziców. W pewnej chwili jednak uświadomiłem sobie bardzo, bardzo wyraźnie, że wcale ich nie

straciłem. Czas, w którym przebywałem z nimi, ma w sobie dla mnie coś wiecznotrwałego, coś, co nadal mi towarzyszy. To, co on mi dał, nadal jest ze mną i kryje się w tym coś jakby sugestii nieśmiertelności.

W pewnej opowieści o Buddzie jest mowa o tym, jak spotkał on kobietę, która właśnie utraciła dziecko i była w wielkiej rozpacz. Budda rzekł: „Niewiasto, idź i zapytaj każdego z mieszkańców wioski, czy nie stracił kogoś kochanego – dziecka, męża, krewnego czy przyjaciela”. Zrozumieć związek śmiertelności z tym, co w każdym z nas transcenduje śmiertelność – o, to trudne zadanie...

MOYERS: Mity przepelnione są pragnieniem nieśmiertelności, prawda?

CAMPBELL: Tak. Ale jeśli źle pojmujemy nieśmiertelność – mianowicie jako wiecznie trwające ciało – to zmienia się ona w coś naprawdę komicznego. Jeśli natomiast rozumiemy ją jako utożsamienie się z tym, co już tu i teraz jest w naszym życiu wieczne – a, to zupełnie inna sprawa.

MOYERS: Powiedziałeś, że cały problem życia obraca się wokół przeciwstawienia byt–stawanie się.

CAMPBELL: Tak. Stawanie się to zawsze coś ułamkowego, byt zaś jest całościowy.

MOYERS: Co masz na myśli?

CAMPBELL: Powiedzmy tak: jesteś istotą mającą osiągnąć pełnię człowieczeństwa. Przez pierwszych kilka lat jesteś dzieckiem, a to przecież tylko ułamek człowieka. Następnych parę lat to dla ciebie okres młodzieńcy, a ten z pewnością też jest tylko fragmentem pełnego człowieka. Jako dojrzały mężczyzna nadal jesteś kimś „ułamkowym” – już nie dzieckiem, ale jeszcze nie starcem. W *Upaniszadach* mamy obraz pierwotnej, skoncentrowanej energii, która wybuchając w Big Bangu stworzenia dała początek światu i poddała wszelkie rzeczy fragmentacji w czasie. Jednakże dostrzeganie przez rozdrobniony czas pełni potęgi pierwotnego bytu to funkcja sztuki.

MOYERS: Piękno to wyraz urzeczenia faktem, że się jest żywym.

CAMPBELL: Takim doświadczeniem powinna być każda chwila.

MOYERS: W zestawieniu z nim nie jest ważne, co będzie z nami jutro.

CAMPBELL: Bill, ta chwila jest naprawdę czymś wielkim, gdyż właśnie w niej próbujemy uchwycić i oddać istotę naszego jestestwa naszymi niedoskonałymi sposobami wyrażania go.

MOYERS: Dobrze, ale skoro nie możemy opisać Boga, skoro nasz język jest tak niedoskonały, to jak dochodzi do tego, że budujemy tak wzniosłe konstrukcje? W jaki sposób tworzymy owe dzieła sztuki odbijające to, co artyści myślą o Bogu? Jak to się dzieje?

CAMPBELL: Cóż, właśnie to odzwierciedla się w sztuce – to, co artyści myślą o Bogu, to, jak ludzie przeżywają Boga. Ale najwyższa, niepochwytana tajemnica leży poza ludzkim doświadczeniem.

MOYERS: Zatem to wszystko, co przeżywamy, musimy wyrażać językiem nie bardzo dostosowanym do tego zadania.

CAMPBELL: Dokładnie tak. Do tego właśnie służy poezja. Poezja jest językiem, który należy przeniknąć do głębi. Wymaga ona precyzyjnego doboru słów, które powinny wywoływać skojarzenia i sugestie wykraczające poza same te słowa. Wtedy człowiek doświadcza jakiegoś promieniowania, epifanii. Epifania to przeświecanie istoty rzeczy.

MOYERS: A więc doświadczenie Boga wymyka się wszelkiemu opisowi, nas jednak coś zmusza do prób opisywania go...

CAMPBELL: Otóż to. Schopenhauer w swoim wspaniałym eseju zatytułowanym *O pozornej intencji kierującej ludzkim losem* wskazuje, że człowiek, osiągnąwszy wiek podeszły i spoglądając wstecz na swoje życie, odnosi wrażenie jego wewnętrznej spójności i ład, jak gdyby zaplanowanego przez powieściopisarza. Wydarzenia, które w momencie, gdy zachodziły, zdawały się przypadkowe i nieistotne, okazują się czynnikami niezbędnymi do ułożenia spójnego scenariusza. Ale któż to go układa? Schopenhauer sugeruje, że podobnie jak nasze marzenia senne komponowane są przez pewien nasz wewnętrzny aspekt, którego nie jesteśmy świadomi, tak też całe nasze życie to kompozycja układana przez wolę, jaką w sobie nosimy. I tak jak ludzie, których spotkałeś niby zupełnie przypadkowo, odegrali później pierwszoplanową rolę w skryształowaniu się porządku twego życia, tak też ty odegrałeś zapewne taką samą rolę w życiu innych, nadałeś temu życiu jakiś sens. Wszystkie te sprawy zazębiają się z sobą jak tony w jednej

wielkiej symfonii – każda z nich nieświadomie konstruuje drugą. Schopenhauer konkluduje, że dzieje się to tak, jak gdyby nasze indywidualne życia były rozmaitymi aspektami jednego wielkiego snu jedynego śniącego, snu, którego wszystkie postacie również śnią. Tym sposobem wszystko tam łączy się ze wszystkim, poruszane jest bowiem jedną wolą życia, powszechnie panującą w przyrodzie.

Jest to doprawdy wspaniała idea; pojawia się ona w Indiach w formie obrazowej – jako Sieć Indry spleciona z klejnotów: w każdym punkcie krzyżowania się jednej nici z drugą osadzony jest klejnot, w którym odbijają się wszystkie pozostałe klejnoty. Wszystko, co zachodzi, ma jakiś związek ze wszystkim innym, tak że nie sposób kogokolwiek potępiać za cokolwiek. Ba, nawet więcej: jest to tak, jak gdyby za wszystkim kryła się jakaś jedna intencja, zawsze w jakiś sposób sensowna, choć nikt z nas nie wie, jaki to mógłby być sens albo czy przeżył życie dokładnie tak, jak zamierzał.

MOYERS: A jednak życie każdego z nas zawsze ma jakiś cel. Czy wierzysz w to?

CAMPBELL: Nie wierzę, bo życie miało jakiś cel. Życie pewna ilość protoplazmy dążącej do tego, by się reprodukować i trwać dalej.

MOYERS: Nieprawda, nieprawda...

CAMPBELL: Chwileczkę. O samym nagim życiu nie można powiedzieć, żeby miało jakiś cel, bo rozejrzyj się tylko wokoło: wszędzie widzisz tyle rozmaitych celów... Można by jednak powiedzieć, że każde konkretne wcielenie niesie w sobie pewną potencjalność i że misją życia jest urzeczywistnienie tej potencjalności. Jak mamy to zrobić? Moja odpowiedź brzmi: „Podążajmy za swoim szczęściem”. Każdy z nas ma coś w sobie, co wie, kiedy jesteśmy w centrum, co wie, kiedy jesteśmy w zasięgu światła, a kiedy poza nim. Gdy wypadniesz z zasięgu światła, żeby zarabiać forsy, toś przegrał życie. Gdy natomiast stoisz w centrum, to choćbyś nie robił żadnej forsy, jednak masz kontakt ze swoim szczęściem.

MOYERS: Lubię myśleć, że liczy się nie cel, ale sama wędrówka.

CAMPBELL: Tak. Karlfried Graf Dürckheim powiada: „Gdy wędrujesz i widzisz, że cel ciągle jest coraz dalej i dalej, uświadamiasz sobie, że prawdziwym celem jest sama wędrówka”.

Indianie Nawaho mają taki wspaniały obraz, nazywają go „ścieżką kwietnego pyłku”. Kwietny pyłek jest źródłem życia. Mówią tak: „Ach, piękno przede mną, piękno za mną, piękno po prawej, piękno po lewej, piękno nade mną, piękno pod mną... Jestem na ścieżce kwietnego pyłku”.

MOYERS: Edenu nie było. Eden będzie.

CAMPBELL: Eden jest. „Królestwo Ojca już nastąpiło na ziemi, ale ludzie go nie widzą”.

MOYERS: Eden jest? Na tym świecie bólu, cierpienia, śmierci i przemocy?

CAMPBELL: Cóż, tak to wygląda, ale owszem, to właśnie jest Eden. Kiedy widzisz, że na ziemi nastąpiło królestwo, stary sposób bycia w świecie zostaje unicestwiony. To jest koniec świata. Koniec świata nie jest wydarzeniem, które dopiero przyjdzie; to przemiana psychologiczna, przemiana sposobu widzenia. Zaczynasz widzieć świat nie jako zbiór konkretnych rzeczy, ale jako coś, co promieniuje blaskiem.

MOYERS: To pojęte, tajemnicze oznajmienie – „Słowo stało się ciałem” – ja odczytuję jako wieczną zasadę obecną w ludzkiej wędrówce, w naszym doświadczeniu.

CAMPBELL: To Słowo możesz odnaleźć również w sobie.

MOYERS: A gdzieś indziej mógłbym je odnaleźć, jeśli nie w sobie?

CAMPBELL: Ktoś powiedział, że poezja to coś, dzięki czemu spoza słów możesz usłyszeć słowo. A Goethe mówi: „Wszystkie rzeczy są metaforami”. Wszystko, co przemijające, jest tylko metaforycznym odniesieniem do czegoś innego. My wszyscy też jesteśmy tylko tym.

MOYERS: Ale jak możemy czcić metaforę, kochać metaforę, umierać za metaforę?

CAMPBELL: Ależ ludzie wszędzie umierają za metafory! Jeśli jednak naprawdę urzeczywistnisz w sobie dźwięk AUM, dźwięk kryjący w sobie tajemnicę wszelkiego słowa, to nie musisz już nigdzie wyruszać, aby za coś umierać, bo masz to tuż obok siebie, pod ręką. Wtedy tylko siedzisz spokojnie i widzisz to, i doświadczasz tego, i już to wiesz. To jest doświadczenie szczytowe.

MOYERS: Wyjaśnij AUM.

CAMPBELL: AUM jest słowem będącym dla naszych uszu dźwiękowym wyrazem energii wszechświata, której wszelkie rzeczy są przejawami. Zaczynasz od A, gdzieś w głębi gardła, potem jamę ustną wypełnia ci U, wreszcie dźwiękiem M zamykasz usta. Gdy wymawiasz właściwie, to w tej sylabie zostają zawarte wszystkie samogłoski. AUM. Spółgłoski są tu tylko przerwami w podstawowym, samogłoskowym dźwięku. W ten sposób wszystkie słowa są fragmentami AUM, dokładnie tak jak wszystkie obrazy są tylko fragmentami Formy wszelkich form. AUM to dźwięk symboliczny, przez który nawiązujesz kontakt z owym rozbrzmiewającym bytem, jakim jest wszechświat. Jeśli słyszałeś nagrania tybetańskich mnichów śpiewających AUM, to doskonale będziesz wiedział, co znaczy to słowo. AUM wyraża bycie w świecie. Kontakt z tym, odczucie tego stanowi największe z doświadczeń szczytowych.

A-U-M. Narodziny, wejście w istnienie i rozpad, i tak w koło. AUM zwane jest „sylabą czterech żywiołów”. A-U-M – a gdzie czwarty żywioł? Otóż jest nim milczenie, z którego powstaje AUM i do którego powraca, i które jest jego fundamentem. Moje życie to A-U-M, ale też milczenie pod nim leżące. Można by je nazwać nieśmiertelnością. Tu jest śmiertelność, tam – nieśmiertelność, i nie byłoby tego, co śmiertelne, gdyby nie istniała nieśmiertelność. Musimy umieć rozróżnić między tym, co w naszym istnieniu śmiertelne, i tym, co nieśmiertelne. Dzięki doświadczeniu, jakim było dla mnie istnienie mych – nieżyjących już – rodziców, którzy wydali mnie na świat, zrozumiałem, że oprócz mego doczesnego z nimi związku jest coś jeszcze. Oczywiście, bywały chwile, gdy prawdziwa istota tego związku przedstawiała się mojej świadomości w sposób nadzwyczaj wyraźny i przemożny. Pamiętam dobrze takie momenty. Są dla mnie chwilami epifanii, objawienia, blasku.

MOYERS: W istocie sens jest niepochwytny dla słowa.

CAMPBELL: Tak. Słowa to zawsze tylko określenia, ograniczenia.

MOYERS: A jednak, Joe, my wszyscy, mizerne ludzkie istoty, zdani jesteście na marny, ulomny język, co prawda piękny, ale tak niedołążny, kiedy próbuje opisać...

CAMPBELL: Właśnie, i dlatego przeżywasz doświadczenie szczytowe, gdy od czasu do czasu uda ci się przedrzeć przez to wszystko i uświadomić sobie: „Ach, jakie to...”